Zwiadowcy

Księga 13

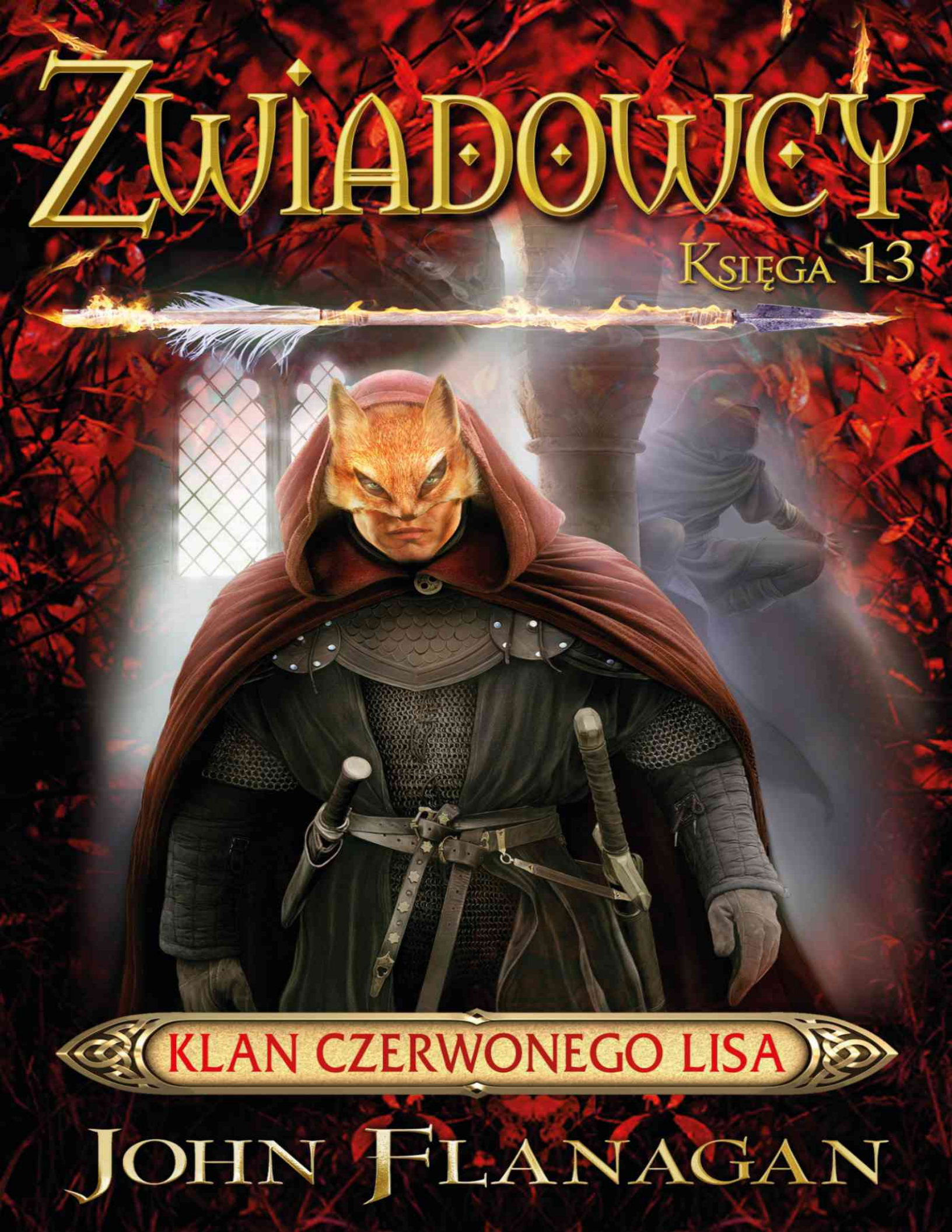

Klan Czerwonego Lisa

John Flanagan

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Zwiadowcy

JOHN FLANAGAN

Zwiadowcy

Księga 13

Klan Czerwonego Lisa

Tłumaczyli
Małgorzata Kaczarowska i Michał Zacharzewski

Jaguar

Tytuł oryginału: *Rangers Apprentice. The Royal Ranger. The Red Fox Clan*
First published Random House Australia Pty Limited, Sydney, Australia
This edition published by arrangement with Random House Australia
Wydanie pierwsze w tej edycji, Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Redakcja: Urszula Przasnek
Korekta: Ewa Mościcka, EKART
Skład i łamanie: EKART

ISBN 978-83-7686-704-5

Copyright © John Flanagan 2018
All rights reserved.

Cover illustration by Jeremy Reston
Cover design & illustration © www.blacksheep-uk.com
All rights reserved.
Copyright for the Polish edition © 2018 by Wydawnictwo Jaguar

Książka dla czytelników w wieku 11+

Adres do korespondencji:
Wydawnictwo Jaguar Sp. z o.o.
ul. Ludwika Mierosławskiego 11a
01-527 Warszawa

www.wydawnictwo-jaguar.pl
youtube.com/wydawnictwojaguar
instagram.com/wydawnictwojaguar
facebook.com/wydawnictwojaguar
snapchat: jaguar_ksiazki

Wydanie pierwsze w wersji e-book
Wydawnictwo Jaguar, Warszawa 2018

Skład wersji elektronicznej:
virtualo
konwersja.virtualo.pl

Spis treści

Mapa
Prolog
Rozdział 1
Rozdział 2
Rozdział 3
Rozdział 4
Rozdział 5
Rozdział 6
Rozdział 7
Rozdział 8
Rozdział 9
Rozdział 10
Rozdział 11
Rozdział 12
Rozdział 13
Rozdział 14
Rozdział 15
Rozdział 16
Rozdział 17
Rozdział 18

Rozdział 19
Rozdział 20
Rozdział 21
Rozdział 22
Rozdział 23
Rozdział 24
Rozdział 25
Rozdział 26
Rozdział 27
Rozdział 28
Rozdział 29
Rozdział 30
Rozdział 31
Rozdział 32
Rozdział 33
Rozdział 34
Rozdział 35
Rozdział 36
Rozdział 37
Rozdział 38
Rozdział 39
Rozdział 40
Rozdział 41
Rozdział 42

Araluen, Picta i Celtia

PROLOG

Stał na uboczu, skryty w cieniu, i pozwalał, by w jego sercu narastała wściekłość. Potrzebował tego uczucia. Karmił się nim. Rozpalało pasję i żar, które rozbrzmiewały w jego słowach i tonie głosu.

Zgromadzeni ludzie wyczuwali jego emocje i reagowali na nie. Potrafił obudzić w nich taką samą wściekłość. Słuchaczami byli w większości prości prowincjusze i wieśniacy, dlatego wykorzystywał wszelkie chwyty wymyślone przez podżegaczy, by odwołać się do ich uprzedzeń i nietolerancji, by sprawić, że wzniosą pięści do nieba i zaczną głośno domagać się sprawiedliwości.

Jego własna wściekłość miała oczywiste podstawy. W swoim mniemaniu został pozbawiony prawa przysługującego mu z urodzenia – prawa do dziedziczenia. A pozbawił go tego prawa kaprys monarchy, pragnącego w ten sposób umocnić swój ród na tronie królewskim. Jednym pociągnięciem pióra zmienił odwieczne prawo i zadecydował, że na tronie Araluenu może zasiadać także kobieta.

Większość Araluеńczyków przyjęła nowe prawo bez specjalnych oporów, jednak niewielka liczba fanatyków i konserwatystów stanowczo mu się sprzeciwiała. Utworzyli oni Klan Czerwonego Lisa, grupę wywrotowców, których deklarowanym celem był powrót do starej tradycji – prawa męskiego dziedziczenia.

Kiedy kilka lat temu odkrył ich istnienie, Klan Czerwonego Lisa był jeszcze niewielki – liczył niespełna pięćdziesięciu członków. On jednak zobaczył w nich klucz do wypełnienia swojego przeznaczenia, jakim było przejęcie korony Araluenu. Uznał, że ten ruch, nawet tak słaby i niezorganizowany jak wtedy, może stać się bazą, na której oprze swoją późniejszą kampanię.

Dlatego też dołączył do nich, wnosząc swój niezaprzeczalny talent organizacyjny i zdolności przywódcze.

Podróżował od wsi do wsi, od miasta do miasta, by na potajemnych spotkaniach zaszczepiać w ludziach uprzedzenia; cierpliwie obserwował, jak wzrasta liczebność klanu. Zamiast niespełna pięćdziesięciu grupa liczyła teraz setki członków i stała się potężnym ruchem z solidnymi źródłami finansowania. On sam zaś awansował na stanowisko *Vulpus Rutilus* – Czerwonego Lisa, przywódcy klanu.

Był utalentowanym i przekonującym mówcą, ale ta umiejętność stanowiła tylko jeden aspekt jego złożonego charakteru. Potrafił być twardy i bezwzględny, jeśli zachodziła taka potrzeba, i już kilka razy brutalnie pozbywał się ludzi, którzy mu się sprzeciwiali lub stawali na jego drodze na szczyt.

Jednakże od dziecka wiedział, że istnieją równie ważne i o wiele skuteczniejsze sposoby osiągania tego, na czym mu zależy – urok osobisty i udawana przyjaźń. Kiedy był mały, matka wbijała mu do głowy, jaka to niesprawiedliwość go spotkała, ale powiedziała przy tym: „Muchy wabi się miodem, nie octem”. On zaś, kiedy stał się dojrzały, z powodzeniem wprowadzał tę naukę w życie.

Rozwijał umiejętność zaskarbiania sobie sympatii i przekonywania innych, że jest ich przyjacielem. Jak wytrawny aktor nauczył się ukrywać niechęć za fasadą życzliwości i dobrego humoru, a także za olśniewającym uśmiechem. Nawet teraz nienawidził z pół tuzina wysoko postawionych członków Klanu Czerwonego Lisa, a jednak żaden z nich nie był tego świadomy. Wszyscy uważali go za przyjaciela, oddanego i hojnego sprzymierzeńca.

Byli także inni – ludzie spoza Klanu, ludzie, których uważał za swoich najgorszych wrogów – niemający pojęcia, jaka otchłań nienawiści ukrywa się za fasadą pogody ducha i serdeczności.

Ale zbliżał się już czas, gdy będzie mógł zrzucić tę maskę i ujawnić swoje prawdziwe uczucia – na samą myśl o tym odczuwał głęboką satysfakcję.

Spotkanie odbywało się na dużej polanie w lesie, między trzema sporymi wsiami, z których rekrutował członków klanu. Przyjrzał się im teraz uważnie. Zaproszenie otrzymali tylko wtajemniczeni, a strażnicy, uzbrojeni w pałki i miecze, pilnowali, by nikt niepowołany nie wdarł się na to zgromadzenie. Przyszła prawie setka ludzi, co należało uznać za doskonały wynik. Początkowo przemawiał do grupek liczących niespełna tuzin

słuchaczy, częściowo tylko zainteresowanych tym, co miał do powiedzenia, szukających za to czegoś, co oderwałoby ich myśli od bezbarwnego, monotonnego życia, jakie wiedli. Teraz zgromadzenie pulsowało już własną energią. Słychać było niecierpliwe pomruki w tłumie czekających, aż przemówi przywódca.

Ocenił, że przyszła właściwa chwila. Przez kilka ostatnich lat wykształcił w sobie wyczucie czasu, przydatne, gdy miało się do czynienia z tłumem. Nauczył się dostrzegać moment, w którym powinien się pojawić – i zwlekać jeszcze kilka cennych minut, aż wyczekiwanie przemieni się w zapał i entuzjazm dla sprawy.

Po jego lewej stronie znajdowało się podium dla mówcy, oświetlone płonącymi pochodniami, a za nim kurtyna ozdobiona wizerunkiem lisiego łba.

Włożył maskę, stylizowaną na pysk lisa, która zasłaniała mu oczy, nos i policzki, ciaśniej owinął się szkarłatnym płaszczem podszytym futrem. Wspiął się na trzy niskie stopnie z tyłu podium i rozchylił kurtynę, by pojawić się niemal magicznie w blasku pochodni.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem rozległ się ogłuszający aplauz, gdy rozłożył szeroko ramiona, a szkarłatny płaszcz załopotał.

– Przyjaciele! – wykrzyknął, odczekawszy odpowiednio długą chwilę, gdy brawa stały się słabsze, ale jeszcze nie ucichły całkowicie.

Zapadło milczenie, w którym wszyscy czekali na jego słowa. Przemówił dźwięcznym głosem, docierającym nawet do słuchaczy stojących na samym końcu.

– Przez tysiące lat nasz kraj kierował się prawem, zgodnie z którym tylko mężczyzna mógł zasiąść na tronie królewskim. To było dobre prawo. To było sprawiedliwe prawo. Było to także prawo, które szanowało wolę bogów.

W tłumie rozległy się pomruki akceptacji.

Zastanowił się przelotnie, czemu tak łatwo wierzyli w to, że wspomniane prawo miało boską aprobatę. Ale wierzyli. Wierzyli od początku. Stanowiło to część wielkiego kłamstwa, jakie skonstruował, a kłamstwo, powtarzane odpowiednio często, zawsze stawało się w umysłach słuchaczy prawdą.

– Aż wreszcie, lata temu, król bez żadnych narad ani dyskusji uznał, że może to prawo zmienić. Zmienił je jednym pociągnięciem pióra. Samowolnie i arogancko.

Zrobił krok, by stanąć z przodu podium, i nachylił się ku publiczności, podnosząc głos.

– Czy chcieliśmy, by to prawo zostało zmienione?

Odczekał chwilę na pożądany efekt.

– Nie! – ryknął tłum.

Na wypadek gdyby słuchacze nie zareagowali odpowiednio, rozmieścił wśród nich osoby, które zainicjowałyby okrzyk protestu.

– Czy prosiliśmy, by to prawo zostało zmienione?

– Nie! – Odpowiedź odbiła się echem od ściany drzew.

– Dlaczego więc to zrobił? – Tym razem nie czekał i zacząć mówić dalej: – Aby zapewnić dziedziczenie własnej rodzinie. By mieć pewność, że jego wnuczka zasiądzie na tronie. Po niej zaś jej córka.

Gdy król zmieniał prawo, jego wnuczki nie było jeszcze na świecie, ale ludzie ogarnięci szczerą pasją skłonni byli przymykać oczy na niewygodne fakty.

– Czy miał rację, postępując w ten sposób?

– NIEEE!

– Czy było to sprawiedliwe?

– NIEEE!

– Czy może był to akt samolubnej arogancji, pokazującej, że całkowicie lekceważy się poddanych tego królestwa?

– TAAAK!

Umilkł na chwilę, czekając, aż zapał słuchaczy trochę przygaśnie. Potem zaczął mówić dalej spokojniejszym, bardziej rzeczowym tonem.

– Czy kobieta może poprowadzić nasz kraj w godzinie wojny? – Potrząsnął głową. – Nie, nie może. Kobieta nie jest dość silna, by stawić czoło naszym wrogom. Co kobieta może wiedzieć o wojnie, wojskowości i zapewnianiu bezpieczeństwa naszym granicom?

Wyciągnął ręce, żądając odpowiedzi, i doczekał się jej natychmiast.

– NIC! NIC!

– Dlatego też, przyjaciele, nadszedł czas, abyśmy podjęli działanie w imię tego, co słuszne! Abyśmy zmienili to niesprawiedliwe, niepotrzebne i bezbożne prawo, przywracając stare prawa naszej ojczyzny. Czy zgadzacie się ze mną?

– TAK! – krzyknęli.

Jednakże to mu nie wystarczało.

– Czy WSZYSCY się ze mną zgadzacie? Czy przywrócimy dawną tradycją? Dobrą tradycję? Tradycję pochwalaną przez bogów?

– TAAAAAK!

Ryk poparcia był tak ogłuszający, że szpaki śpiące na drzewach otaczających polanę zerwały się przerażone. *Vulpus Rutilus* odwrócił głowę, by ukryć triumfalny uśmiech. Gdy już zapanował nad twarzą, zwrócił się znowu do tłumu. Przemawiał teraz ciszej, a zebrani wyciągali szyje, by go lepiej słyszeć.

– Moi przyjaciele, nadszedł czas, by Klan Czerwonego Lisa powstał. Za dwa miesiące zgromadzimy się w lennie Araluen, a wtedy wydam wam stosowne rozkazy.

ROZDZIAŁ 1

Byli coraz bliżej kryjówki Maddie.

Było ich dwunastu, szli rozciągniętym kordonem w pięciometrowych odstępach, w sumie obejmujących ponad pięćdziesiąt metrów terenu. Każdy z nich niósł zapaloną pochodnię, uniesioną wysoko, by rozproszyć gęstniejący mrok. Szereg poszukujących zmierzał prosto w jej stronę. Jeśli zdoła się przedostać przez ich linię lub pozostanie po prostu niewykryta, kiedy ją miną, będzie wolna i bezpieczna.

Wybrana przez Maddie „kryjówka” właściwie nie zasługiwała na tę nazwę. Dziewczyna leżała praktycznie na widoku, przykryta jedynie od stóp do głów peleryną, w suchej trawie sięgającej do kolan.

Na łąkach sąsiadujących z miejscem, które wybrała na kryjówkę, trawa sięgała do pasa i kołysała się lekko w wieczornym wietrze. Z pewnością skuteczniej zasłoniłaby ją przed wzrokiem tuzina poszukujących, ale Maddie nie bez powodu wybrała fragment z niższą roślinnością.

Będą pewni, że uciekinier ukrył się w wysokiej trawie, i tam będą szukać uważniej. Krótkie źdźbła, wśród których leżała, dawały kiepską osłonę, co oznaczało, że będą mniej uważnie przyglądać się ziemi – bez wątpienia założą, że z łatwością wypatrzyliby kogoś, kto spróbowałby się tu schować.

Przynajmniej na to liczyła, gdy wybierała sposób na przemknięcie się przez kordon. Poza tym tamte łąki były węższe, więc szukacze szli tam bliżej siebie. Ponieważ spodziewali się, że Maddie tam właśnie się ukryje, z pewnością uważniej przyglądali się ziemi pod nogami, wypatrując wszystkiego, co nietypowe.

Na przykład kształtu skulonego pod szarozieloną peleryną zwiadowcy.

Przewagę dawało jej także zmieniające się światło. Słońce zaszło już za horyzont, na zachodzie pozostała na niebie zaledwie poświata. Na nierównym terenie porośniętym trawami kładły się długie cienie, między którymi rozciągały się plamy ciemności. Światło smolnych pochodni

zamiast pomagać szukaczom, utrudniało im zadanie, ponieważ migotało i chwiało się niepewnie.

Maddie wyczuła złocisty poblask pochodni, widać szukacz podszedł bliżej. Oparła się nieznośnej pokusie, by podnieść głowę i sprawdzić, gdzie on jest. Twarz miała pobrudzoną ziemią i błotem, które rozsmarowała, zanim podjęła próbę przemknięcia się przez kordon, ale mimo to w półmroku odcinałby się jaśniejszy owal. Jeszcze bardziej widoczny byłby zresztą sam ruch. Leżała więc twarzą w dół, ze wzrokiem utkwionym w suchych źdźbłach trawy, tkwiących kilka centymetrów od jej twarzy. Widziała, jak żółty blask pochodni przesuwa się po nich, rzucając cienie, które skracały się w miarę, jak źródło światła coraz bardziej się zbliżało.

Serce zaczęło jej się tłuc w piersi, usłyszała bowiem szuranie butów. Krew pulsowała jej w uszach jak rytm werbli.

Zaufaj pelerynie. Nagle przypomniała jej się stara mantra, wbijana do głowy przez mentora. Szukacz nie słyszał przecież bicia jej serca. Wiedziała, że tylko jej wydaje się ono tak głośne. Jeśli będzie leżała nieruchomo jak trup, nikt jej nie zobaczy. Peleryna ją ochroni, tak jak zawsze do tej pory.

– No dobra, widzę cię! Wstań i poddaj się.

Głos rozbrzmiewał bardzo blisko, w odległości niecałych trzech metrów. Dźwięczała w nim pewność. Przez sekundę Maddie omal nie poddała się impulsowi i nie wstała, ale przypomniała sobie słowa Willa, który uczył ją, w jaki sposób może pozostać niewidoczna dla szukaczy.

Mogą próbować cię oszukać, żebyś się sama ujawniła. Mogą zawołać, że cię widzą, i kazać ci wstać. Nie daj się na to nabrać.

Dlatego też leżała bez ruchu. Głos rozległ się znowu:

– No już, powiedziałem przecież, że cię widzę!

Teraz jednak głos nie był już tak pewien siebie, jak poprzednio. Dosłyszała w nim cień wahania, jakby szukacz zorientował się, że jego podstęp zawiódł lub też że w szorstkiej trawie przed nim nikt się nie ukrywa. Po kolejnych kilku sekundach mężczyzna zaklął cicho i ruszył dalej. Jego buty zgniatały trawę, a Maddie wyczuła, że ją mija – co oznaczało, że patrzy teraz przed siebie, a nie na nią. Obserwowała cieniutkie cienie rzucane przez źdźbła traw, wydłużające się i obracające w lewo. To oznaczało, że szukacz poszedł w prawo.

Uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, bezgłośnie więc wypuściła powietrze i poczuła, że napięcie, jakie ogarnęło całe jej ciało, zaczyna słabnąć. Rytm uderzeń serca zwolnił z dzikiego galopu do bardziej kontrolowanego cwału.

Za kilka minut mężczyzna oddali się na tyle, że nie usłyszy cichego szelestu, który mógłby towarzyszyć jej poruszeniom. Czekała i liczyła powoli do stu dwudziestu, nasłuchując, aż szuranie butów ucichnie do tego stopnia, że przestanie je w ogóle słyszeć. Napięła mięśnie. Wciąż leżąc na ziemi, wyciągnęła lewą rękę nad głową, a prawą zostawiła przyciśniętą pod tułowiem. Teraz mogła ją wykorzystać, by unieść się na kilka centymetrów i zacząć się powoli czołgać, oddalając się od dotychczasowej kryjówki.

Ostrożnie zaczęła przenosić ciężar na prawą rękę, czując, jak ostre źdźbła traw boleśnie się w nią wbijają. Naturalnym odruchem byłoby leciutkie przesunięcie ręki, by znaleźć wygodniejszą pozycję, jednakże Maddie ponownie oparła się pokusie.

Niepotrzebne poruszenie mogło ją zdradzić. Lepiej wytrzymać jeszcze chwilę niewygody. Oczywiście wiedziała, że będzie musiała przesunąć ramię, by zacząć się czołgać, ale ten ruch był konieczny. Inaczej musiałaby tu tkwić do rana. Zaczęła znowu napinać mięśnie.

Znieruchomiała.

W trawie przed nią rozległ się szelest – słaby i trudny do zidentyfikowania. Gdy go usłyszała, przypomniała sobie jeszcze jedną poradę otrzymaną od Willa.

Czasem z tyłu idzie jeszcze jeden szukacz – usłyszała w głowie jego spokojny głos. *Jego zadaniem jest podążać dziesięć lub dwanaście metrów za kordonem i wypatrywać kogoś, kto pozostał do tej pory niezauważony, a teraz zaczął się poruszać. To stara sztuczka, ale zdziwiłabyś się, jak wielu się na nią nabrało.*

Maddie rozluźniła mięśnie i czekała z głową przy ziemi. Znowu usłyszała ten szelest i tym razem potrafiła go zinterpretować. Mężczyzna, który się zbliżał, unosił stopy wysoko, a potem stawiał je równo i pewnie na ziemi, wybierając miejsce tak, by nie szurać ani nie powodować dodatkowego hałasu. Właśnie tak uczono ją chodzić, gdy miała poruszać się jak najciszej. Zrozumiała, że nowy szukacz jest biegły w sztuce bezszelestnego przemieszczania się z miejsca na miejsce.

Wytężyła słuch, starając się wychwycić jakiekolwiek odgłosy, które by jej powiedziały, gdzie znajduje się mężczyzna i z której strony się zbliża. Miała wrażenie, że jest trochę na prawo od niej i porusza się po skosie, co by oznaczało, że będzie przechodzić tuż obok niej. Do tej pory nie dostrzegła światła jego pochodni. Przygryzła wargę, sfrustrowana. Pochodnia dawałaby niepewne, chwiejne światło, które pomagałoby jej się ukryć. Poza tym płomień na wysokości twarzy szukacza osłabiałby jego zdolność widzenia w ciemności. Teraz jednak, gdy było już niemal całkiem ciemno, pochodnia była w zasadzie bardziej przeszkodą niż pomocą.

Był blisko. Mimo że starał się poruszać bezszelestnie, słyszała stłumione odgłosy stawianych stóp. To, że mężczyzna szedł równym, rytmicznym krokiem, pozwalało jej zorientować się w jego pozycji. Kiedy już oszacowała długość jego kroków, wiedziała, kiedy się spodziewać kolejnego, ledwie słyszalnego stąpnięcia.

Był już bardzo blisko. Przechodził jednak przed nią, pod takim kątem, że mijał ją po lewej stronie, i Maddie wiedziała, że jej nie zauważył. Poczuła przypływ triumfu, gdy zrobił jeszcze jeden krok, oddalając się od niej odrobinę. Jeszcze trzy kroki w tym kierunku i będzie bezpieczna.

W tym momencie mężczyzna z niewyjaśnionych powodów znowu skręcił i zmienił kierunek, tak że szedł teraz równolegle do niej. Serce Maddie znowu zaczęło tłuc się jak oszalałe, gdy zorientowała się, jak niewiele brakuje, by została znaleziona.

Poczuła przeszywający ból, gdy szukacz stanął dokładnie na jej lewej dłoni i wdeptał ją w ziemię całym ciężarem, podnosząc drugą stopę, by zrobić następny krok.

– Ała! – krzyknęła, zanim zdołała się powstrzymać.

Jednocześnie odruchowo drgnęła z bólu dokładnie w momencie, gdy mężczyzna cofnął się o krok, wyczuwając pod stopą nieznany obiekt. Maddie poruszyła się ledwie widocznie, ale to wystarczyło. Szukacz wydał okrzyk triumfu, a ona poczuła żelazny uścisk na karku, tuż pod kapturem peleryny. Została postawiona na nogi.

– Mam cię! – oznajmił z wyraźną satysfakcją w głosie. Odwrócił ją do siebie, wołając do kordonu poszukiwaczy: – Wracajcie! Mam go!

Ściągnął jej kaptur i przyjrzał się uważniej.

– Ale ty nie jesteś chłopakiem, prawda? – powiedział. – Jesteś uczennicą Willa Treaty’ego. Cóż, bez wątpienia i tak jesteś cenną zdobyczą.

Walczyła w jego uścisku, starając się wyrwać, mimo że było już po wszystkim. Pozostali szukacze usłyszeli wołanie, wrócili i otoczyli ich kręgiem. W świetle pochodni aż za dobrze było widać ich szerokie uśmiechy.

– Ale masz pecha – powiedział jeden z nich, przystojny czwartoroczny uczeń. – Prawie ci się udało.

Ruchem głowy wskazał krawędź łąki, a Maddie wykręciła się, żeby spojrzeć w tamtym kierunku. Niewielka chatka, do której polecono jej dotrzeć, znajdowała się w odległości niespełna pięćdziesięciu metrów. Gdyby nie ten niezdarny szukacz ze swoimi wielkimi buciorami, udałoby jej się.

To zaś pozwoliłoby jej bezbłędnie zaliczyć wszystkie próby kończące kolejny rok nauki.

Czekający na oddalonym o sto metrów niewysokim wzgórzu Will Treaty i Gilan obserwowali wypadki rozgrywające się na łące, gdzie szukacze zgromadzili się wokół Maddie i jej znalazcy. Nawet z tej odległości, pomimo mroku, światło pochodni było dostatecznie jasne, by Will mógł dostrzec reakcję zawiedzionej i sfrustrowanej dziewczyny.

– Miała prawdziwego pecha – powiedział Gilan. – Prawie jej się udało. Nie popełniła żadnego błędu.

– Aż do chwili, kiedy krzyknęła: „Ała!” – Will uśmiechnął się łagodnie.

Gilan spojrzał z ukosa na starego przyjaciela.

– Tak jak mówiłem, nie miała szczęścia.

– Halt zawsze mi powtarzał, że zwiadowca sam umie zadbać o swoje szczęście – odparł Will.

– Gdybym nie znał cię dość dobrze, pomyślałbym, że jesteś zadowolony, że została złapana – zauważył Gilan.

Will wzruszył ramionami.

– Nie jestem szczególnie niezadowolony – przyznał. – Wydawało się, że zaliczy wszystko bez błędów, a nie jestem pewien, czy cieszyłoby mnie to. To nie byłoby zbyt korzystne dla jej ego. – Zastanowił się przez moment. – Ani też dla mojej cierpliwości.

– Jak rozumiem, przemawia przez ciebie doświadczenie? – zapytał Gilan.

Will skinął głową.

– Zaliczyła bez żadnych błędów drugi rok – powiedział. – A ja musiałem wysłuchiwać o tym przez następne trzy miesiące, ilekroć próbowałem ją poprawić albo sugerowałem, że może źle się zabiera za wykonanie zadania. Potrafi być troszkę za bardzo uparta.

Gilan skinął głową.

– To prawda. Ale musisz przyznać, że jest bardzo dobra.

– Przyznaję, ale jest też córką swojej matki. Czy potrafisz sobie wyobrazić, jaka byłaby Evanlyn na jej miejscu?

Na samą myśl o tym Gilan uśmiechnął się.

– W tak lekceważący sposób wyrażasz się o Jej Wysokości księżniczce Cassandrze? – Czuł się lekko rozbawiony tym, że Will nadal nazywał księżniczkę imieniem, które mu podała, gdy spotkali się po raz pierwszy.

Will ze smutkiem potrząsnął głową.

– Zaiste, wyrażam się – odparł. – Im dłużej obserwuję Maddie, tym bardziej dostrzegam w niej jej matkę.

– Co najprawdopodobniej wyjaśnia, dlaczego jest taką perfekcjonistką – podsumował Gilan. Will musiał się z nim zgodzić.

– To prawda. – Wstał z miejsca, gdzie siedział oparty o pień drzewa. Grupa szukaczy wraz ze swoim jeńcem wracała do punktu zgromadzenia. W ciemności świecił rząd pochodni.

– Wracajmy do obozu i posłuchajmy raportu podsumowującego – powiedział.

ROZDZIAŁ 2

Analiza wyników Maddie została przeprowadzona w jednym z dużych namiotów dowódców. Za stołem opartym na kozłach, na wygodnych składanych płóciennych krzesłach siedzieli trzej starsi egzaminatorzy studiujący raporty instruktorów, którzy podczas zgromadzenia sprawdzali jej umiejętności i zdolności.

Maddie stała przed nimi, a mężczyzna, który ją schwytał, pół kroku za nią. Egzaminatorzy unieśli głowy, gdy do namiotu weszli Will i Gilan, odgarniając płócienne klapy. Harlon, najstarszy z egzaminatorów, skinieniem głowy zaakceptował ich obecność. Will był mentorem Maddie, miał więc oczywiście pełne prawo być tutaj i wysłuchać oceny jej wyników. Natomiast Gilan, jako dowódca Korpusu Zwiadowców, mógł wchodzić wszędzie, gdzie tylko zechciał.

Zanim dotarli do namiotu, zgromadzeni w środku zdążyli już wysłuchać raportu zwiadowcy, który złapał Maddie. Teraz odezwał się Harlon:

– Niestety, nie możemy zaliczyć ci ćwiczenia z przemieszczania się niepostrzeżenie – powiedział. W jego głosie brzmiała życzliwość, był bowiem pod wielkim wrażeniem ogólnego poziomu umiejętności Maddie, który mógł ocenić na podstawie raportów egzaminatorów prowadzących poszczególne zaliczenia. Teraz przyjrzał się leżącym na stole przed nim raportom.

Strzelanie – ocena celująca. Zauważył też dodatkową notatkę: w odróżnieniu od pozostałych uczniów Maddie zaliczała także strzelanie z procy, nie tylko z łuku. Harlon uniósł brwi, widząc, że jej średnia ocena z sześciu serii prób wynosiła dziewięćdziesiąt pięć procent. Z procą radziła sobie jeszcze lepiej niż z łukiem, w przypadku którego uzyskała imponujące dziewięćdziesiąt dwa procent. Rzucanie nożem – celująco. Walka wręcz – bardzo dobrze. Kreślenie map – znowu celująco. Zdolności nawigacyjne – powyżej przeciętnej, a trzeba dodać, że „przeciętny” poziom

w przypadku Korpusu Zwiadowców oznaczał poziom wyśmienity. Planowanie taktyczne – celująco.

Przekartkował papiery, odnajdując kolejne oceny celujące i ponadprzeciętne. Był pod wrażeniem, ponieważ dobrze znał swoich kolegów. Zaliczenia po trzecim roku nauki były trudne. Wtedy to egzaminatorzy naprawdę przykręcali śrubę; uczniowie byli już w połowie szkolenia i oczekiwano, że sprostają wysokim wymaganiom. Harlon podniósł głowę i spojrzał na Willa Treaty'ego, który stał tuż przy wejściu do namiotu. Cóż, nic dziwnego, że Maddie radzi sobie tak dobrze. Will Treaty był jednym z najbardziej zasłużonych członków Korpusu Zwiadowców, a sam został wyszkolony przez Halta, legendę wśród szaro-zielonych peleryn.

Harlon przeniósł spojrzenie na stojącą przed nim smukłą dziewczynę. Maddie zdjęła kaptur, odsłaniając potargane krótkie włosy, w które wplątało się kilka źdźbeł suchej trawy. Stała wyprostowana i patrzyła na niego z determinacją, wręcz buntowniczo. Zauważył, że jest lekko zarumieniona – odgadł, że złości się, ponieważ została złapana tak blisko celu.

– Ogólnie radzisz sobie bardzo dobrze, Madelyn – powiedział. – Poza ćwiczeniem z przemieszczania się niepostrzeżenie jesteś praktycznie na czele rankingu. – Wskazał raporty leżące przed nim. Jego dwaj towarzysze, którzy dostali własne kopie, wydali potwierdzające pomruki.

– Twoje wyniki wystarczą z dużym zapasem do rozpoczęcia czwartego roku nauki – ciągnął Harlon. Zauważył, że w tym momencie ramiona dziewczyny leciutko się rozluźniły, jednakże po sekundzie lub dwóch znowu zesztywniała i zacisnęła z uporem szczęki.

Zebrał raporty w jeden stos i postukał nimi o stół, by wyrównać kartki.

– Będziesz miała zaliczenie poprawkowe z przemieszczania się niepostrzeżenie za jakieś trzy miesiące – powiedział. – Jestem pewien, że zdasz je bez trudu.

– To nie fair! – wybuchnęła Maddie, niezdolna się dłużej powstrzymywać. Harlon odłożył uporządkowane raporty na stół i uniósł brew, patrząc na jej gniewną twarz.

– Nie fair? Dlaczego to nie jest fair? Zostałaś złapana pięćdziesiąt metrów od celu.

– Ale to było zaliczenie z przemieszczania się niepostrzeżenie – zaprotestowała. – On mnie nie zauważył! Po prostu nadepnął mi na rękę!

– Czy chcesz powiedzieć, że nie zostałaś zatrzymana? – zapytał spokojnie Harlon.

Maddie dalej protestowała zawzięcie:

– Chcę powiedzieć, że nie zostałam zauważona! – Okręciła się na pięcie i wskazała zwiadowcę, który ją złapał. – Samo to, że nadepnął mi na rękę, stanowi dostateczny dowód. Nie miał pojęcia, że tam jestem. To był test przemieszczania się niepostrzeżenie, a on mnie nie zauważył!

– Do chwili, gdy krzyknęłaś i poruszyłaś się – przypomniał Harlon. – Wtedy już cię zauważył.

Maddie z uporem potrząsnęła głową.

– To nie było zaliczenie z bycia deptanym – powiedziała. Miała świadomość, że jej słowa brzmią idiotycznie, ale nie umiała tego ująć inaczej.

– To był test sprawdzający twoje zdolności w zakresie ukrywania się – rzekł Harlon. – Czy wzięłaś pod uwagę, co mogłoby się stać, gdybyś nie zareagowała? Gdybyś nie krzyknęła?

– Cóż, to chyba oczywiste, że krzyknęłam – wykłócała się Maddie. – Ten zwalisty kloc stanął mi na ręce! Ty też byś krzyknął!

„Zwalisty kloc” – który, podobnie jak większość zwiadowców, był szczupły i średniego wzrostu – nie potrafił powstrzymać uśmiechu, słysząc taki opis swojej osoby. Lubił Maddie. Obserwował ją podczas zaliczeń i podziwiał jej umiejętności. Wiedział, że musiała się starać bardziej od innych uczniów, ponieważ była dziewczyną – pierwszą, która została uczniem zwiadowców. Wiele osób chętnie pozbyłoby jej się z Korpusu z tego właśnie powodu. Nie wystarczało, że byłaby równie dobra jak chłopcy na jej poziomie. Musiała być od nich lepsza.

– Mertinie – odezwał się egzaminator siedzący po prawej stronie. – Co by się stało, gdyby Maddie zachowała milczenie?

Wywołany zwiadowca wzruszył ramionami.

– Najprawdopodobniej poszedłbym dalej. W pierwszej chwili pomyślałem, że nadepnąłem na jakiś korzeń albo leżącą gałąź. – Uśmiechnął się. – Ale potem gałąź zawołała: „Ała!” i zrozumiałem, że się pomyliłem.

Gniewny grymas Maddie stał się jeszcze wyraźniejszy. Harlon znowu przeniósł wzrok z Mertina na nią.

– Czy przyszło ci do głowy, że mogłabyś nie zareagować?

Poczerwieniała gniewnie.

– Nie przyszło mi to do głowy. Nadepnął mi na rękę wielkim i ciężkim buciorem. – Urwała na chwilę, by zaraz dodać uparcie: – Ponieważ mnie nie zauważył!

– Hmmm – powiedział z namysłem Harlon.

Gudris, zwiadowca siedzący po prawej stronie, pochylił się do przodu.

– Powiedz mi, Maddie – odezwał się – dlaczego wybrałaś tę łąkę, by spróbować przedostać się przez kordon? Ostatecznie trawa na łąkach po bokach była znacznie wyższa.

Maddie na moment zapomniała o złości i odpowiedziała.

– Uznałam, że oni założą, że będę próbowała przekraść się przez wysoką trawę i dlatego szukacze idący przez niską trawę nie będą aż tak bardzo uważać. Poza tym będą szli w większych odstępach.

Egzaminatorzy wymienili spojrzenia. Will i Gilan, stojący przy wejściu do namiotu, zrobili to samo. Gilan wydął wargi i skinął głową z aprobatą.

– To był dobry pomysł – przyznał Downey, trzeci z egzaminatorów. Pozostali zgodzili się z nim. Ocena zaliczenia z taktycznego planowania zyskała dodatkowe potwierdzenie.

– Jednakże – przypomniał Harlon, który uznał, że zbyt wiele pochwał nie wpłynie korzystnie na tę młodą damę – została złapana.

– Tylko dlatego, że on na mnie stanął! – znowu wybuchnęła Maddie.

Stojący za jej plecami Will uniósł brew i spojrzał na Gilana, jakby chciał powiedzieć: „Widzisz, o co mi chodziło?”. Gilan wzruszył ramionami.

– Ustaliliśmy już, że był to pechowy zbieg okoliczności – oznajmił z większym naciskiem Harlon. – Ale to nie wpływa na wynik.

Maddie dosłyszała zmianę tonu jego głosu, który z obiektywnego, zabarwionego cieniem współczucia stał się stanowczy i ostateczny. Zrozumiała, że dalsza kłótnia może przynieść efekty odwrotne do zamierzonych. Otworzyła już usta, żeby dalej dyskutować, ale zaraz zamknęła je szybko.

Harlon zauważył tę kapitulację młodej dziewczyny, uśmiechnął się półgębkiem i z aprobatą. Mówił dalej już bardziej pojednawczym tonem:

– Tak czy inaczej, Maddie, twoje osiągnięcia podczas tego zgromadzenia były wyjątkowe i chciałbym ci pogratulować zaliczenia trzeciego roku.

– Zgoda, zgoda – mruknęli Downey i Gudris. Maddie pozwoliła sobie na blady uśmiech, chociaż jej zarumienione policzki wyraźnie zdradzały, że

nadal jest zirytowana oblaniem zaliczenia przez czysty przypadek.

Harlon popatrzył na dwóch starszych zwiadowców stojących za plecami dziewczyny i zwrócił się do Willa:

– Chciałbym także pogratulować tobie, Willu Treaty. Jej wyniki odzwierciedlają efekty nauki i udzielanych przez ciebie wskazówek.

Will wzruszył ramionami.

– Ja tylko wskazuję drogę, Harlonie. Maddie sama nią idzie. Wszelkie sukcesy zawdzięcza własnym wysiłkom.

– Zaiste – przyznał Harlon i uśmiechnął się w duchu na taką skromność swojego rozmówcy. Znowu popatrzył na Maddie i wziął do ręki brązowy liść dębu, który na początku tego spotkania położyła na stole. Oddał jej odznakę.

– Proszę, Maddie. Z największą przyjemnością mogę cię powiadomić, że zdałaś na czwarty rok nauki pod kierunkiem zwiadowcy Willa.

Maddie wzięła liść dębu i przełożyła łańcuszek przez głowę, tak by nieduża brązowa odznaka znalazła się na jej szyi. Gdyby nie udało jej się uzyskać zaliczenia rocznego, liść zostałby naznaczony małą wybitą dziurką. Jeśli przez lata nauki otrzymałaby trzy takie dziurki, podziękowano by jej grzecznie za dalszą służbę w Korpusie. Była dumna z tego, że liść dębu, symbolizujący jej rangę jako ucznia zwiadowców, nie miał ani jednego śladu.

Harlon odsunął krzesło i wstał, by wyciągnąć rękę przez stół i uścisnąć dłoń Maddie. Gudris i Downey zrobili to samo. Maddie potrząsnęła ich dłońmi i pochyliła głowę, gdy jej gratulowali. Odwróciła się do wyjścia i stanęła twarzą w twarz z Mertinem, młodym zwiadowcą, który ją złapał. On także wyciągnął do niej rękę.

– Gratulacje, Maddie – powiedział.

Zawahała się. Nadal była zła z powodu sposobu, w jaki ją znalazł, jednak jego uśmiech był szczery, a zachowanie życzliwe. Uścisnęła mu dłoń.

– Dziękuję – powiedziała krótko i uśmiechnęła się wbrew sobie. Nie potrafiła się długo złościć na kogoś tak pogodnego jak on.

– Powinnaś być z siebie dumna – oznajmił Mertin. – Jeden na czterech uczniów nie dociera tak daleko bez konieczności powtarzania roku przynajmniej raz.

Była zbyt zaskoczona, by cokolwiek odpowiedzieć. Nie zdawała sobie sprawy z tego, jak wysoki jest procent porażek. Will oczywiście jej o tym

nie wspomniał, ponieważ nie chciał, by obawiała się niepowodzenia – chociaż niepowodzenie nie było czymś, co Maddie w ogóle brała pod uwagę. Wypuściła rękę Mertina, wymamrotała podziękowanie i odwróciła się do czekających na nią Willa i Gilana. Jej mentor odchylił połę namiotu i gestem zaprosił Maddie, by wyszła pierwsza. Zaraz potem wraz z Gilanem poszedł w jej ślady i cała trójka zgodnie ruszyła do miejsca, gdzie rozstawili swoje proste, jednoosobowe namioty.

Przez kilka minut szli w milczeniu, aż Maddie nie była w stanie dłużej się powstrzymywać.

– Nadal uważam, że to nie fair – powiedziała cicho.

Will spojrzał na nią kątem oka.

– Jak przypuszczam, zamierzasz to powtarzać aż do zaliczenia poprawkowego za trzy miesiące? – zapytał. W jego głosie zadźwięczała stanowczość; wyraźne ostrzeżenie, że nie powinna kontynuować tematu.

Gilan miał jednak coś do dodania.

– Maddie, jeśli naprawdę uważasz, że zostałaś niesprawiedliwie potraktowana, będę miał obowiązek przyjrzeć się tej sprawie. Ostatecznie jestem dowódcą. Czy chcesz złożyć teraz oficjalną skargę?

Maddie była zdumiona pomysłem, że miałaby się odwoływać do autorytetu dowódcy Korpusu.

– O Boże, nie, Gilanie! – powiedziała szybko. – Nie myślałam o tobie jako o dowódcy!

– Cóż, bardzo ci za to dziękuję – oznajmił Gilan. – Cieszę się, że mój autorytet jest tak niezauważalny.

Maddie poprawiła się szybko.

– To znaczy, wiem oczywiście, że jesteś dowódcą! I szanuję cię za to. Ale myślę o tobie raczej jak o przyjacielu.

– Cóż – odpowiedział. – W takim razie pozwól, że coś ci doradzę jako przyjaciel: zaakceptuj werdykt i nie ciągnij tej sprawy. Albo raczej zapamiętaj ją sobie na przyszłość. Mogłabyś być najbardziej utalentowana ze wszystkich w przemieszczaniu się niepostrzeżenie…

– Naprawdę? – Maddie rozpromieniła się, ale Gilan patrzył na nią tylko przez kilka sekund, zanim odpowiedział:

– Powiedziałem to hipotetycznie – przypomniał, a Maddie oklapła, jakby balon jej dumy został skutecznie przekłuty. – Ale nawet gdybyś była – ciągnął – prawda jest taka, że zdarzają się wypadki i czasem ma się pecha.

Mały błąd, nieoczekiwane zdarzenie mogą cię zdradzić. Nie zapominaj o tym.

Zastanowiła się nad jego słowami i skinęła głową.

– Masz rację, Gilanie. Przepraszam. – Popatrzyła na Willa. – Nie będę cię tym zamęczać, kiedy wrócimy do domu – obiecała.

Will prychnął tylko.

– Ciekawe, czy tego doczekam.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Gilan wskazał mężczyznę siedzącego przy ognisku przed ich namiotami.

– Jeśli mnie oczy nie mylą, czeka na nas Halt.

– Ciekawe, czego chce? – zastanowił się Will.

– Jestem pewna, że sam nam powie – oznajmiła Maddie z satysfakcją. Takiej właśnie odpowiedzi udzielał jej Will, jeśli kiedykolwiek zadawała retoryczne pytanie, teraz więc była zadowolona, że ma okazję się zrewanżować.

– Chyba wolałem już, jak narzekałaś, że zostałaś nadepnięta – westchnął Will.

ROZDZIAŁ 3

Gdy Will, Maddie i Gilan zbliżyli się do ogniska, Halt podniósł głowę. Przed chwilą wrzucił garść kawy do kociołka z wrzątkiem i mieszał teraz napój cienkim patykiem.

– Dobry wieczór – powiedział. – Jak sądzę, mieliście udany dzień?

– Owszem, mieliśmy. Maddie zakończyła egzaminy i może rozpocząć czwarty rok nauki – oświadczył Will.

Halt skinął głową.

– Cóż, nie mogę powiedzieć, że się tego nie spodziewałem – oznajmił. – Mimo że trafił ci się tak nieudolny mentor. – Ostatnie słowa wypowiedział z promiennym uśmiechem.

Will uznał, że je zignoruje.

– Znowu bezbłędny wynik? – zapytał Halt, a Maddie skrzywiła się.

– No nie – mruknął Will. – Musiałeś o to pytać?

Halt przeniósł spojrzenie z Willa na Maddie i pytająco uniósł brew.

– Były jakieś problemy?

– Nie zaliczyli mi przemieszczania się niepostrzeżenie – powiedziała Maddie, czując znowu przypływ złości.

Halt uniósł teraz obie brwi.

– Jak to się mogło stać? Widziałem cię, a raczej nie widziałem cię, kiedy ćwiczyłaś przemieszczanie się niepostrzeżenie. Jesteś w tym ekspertką. Jesteś prawie tak dobra jak Gilan. – Uśmiechnął się do dawnego ucznia.

– Cóż, technicznie rzecz biorąc, zdałam. Nikt mnie nie zauważył. Przeszli koło mnie, ale szukacz idący za kordonem nadepnął mi na rękę.

Jeśli spodziewała się zrozumienia ze strony starszego zwiadowcy, czekał ją zawód. Halt roześmiał się krótko i zdecydowanie bez cienia współczucia.

– No cóż, takie rzeczy się zdarzają – powiedział. – Nie da się zaplanować pecha.

Maddie nabrała tchu, chcąc odpowiedzieć, ale Will powstrzymał ją, kładąc jej rękę na przedramieniu swej uczennicy.

– Tylko nie mów znowu, że to nie fair – przestrzegł ją. – Życie nie zawsze jest fair i musisz do tego przywyknąć.

Słowa protestu zamarły na wargach jego uczennicy. Wymamrotała coś pod nosem, a Will uznał, że będzie lepiej, jeśli uda, że nic nie usłyszał. Halt zajął się nalewaniem sobie kawy do kubka, a potem rozejrzał się za słojem miodu, który – jak wiedział – musiał znajdować się gdzieś w pobliżu.

– Wisi na gałęzi – powiedział Gilan i wskazał gałąź zwieszającą się z rozłożystego dębu, pod którym rozstawili namioty. – Nie spodziewałeś się chyba, że zostawimy go przy ognisku, żeby mogły się dobrać do niego mrówki?

Maddie sięgnęła do góry i podała miód Haltowi. Zwiadowca nałożył łyżką szczodrą porcję do kubka i napił się.

– Aaaach! – mruknął cicho z satysfakcją.

Podczas gdy Will nalewał kawę sobie i Gilanowi, Halt przyglądał się Maddie, a na jego twarzy malowało się wyraźne rozbawienie.

Gilan pomyślał, że Haltowi złagodniał charakter. Dawniej zdarzało się, że przez cały miesiąc nawet się nie uśmiechnął. Najwidoczniej był to wpływ Pauline.

– Wiesz – powiedział Halt, opierając się plecami o kłodę drzewa leżącą koło ogniska i wyciągając nogi – coś podobnego przydarzyło mi się wiele lat temu.

– Podczas zaliczenia? – zapytała Maddie.

Starszy zwiadowca potrząsnął głową.

– Ja nie miałem żadnych formalnych zaliczeń – przyznał. – Crowley po prostu zdecydował, że moje umiejętności są dostatecznie dobre i ogłosił mnie zwiadowcą. – Gdy mówił o zmarłym dowódcy, w jego głosie zabrzmiała nuta melancholii. Tęsknił za Crowleyem, swoim pierwszym prawdziwym przyjacielem. Zaraz jednak wrócił do przerwanej opowieści. – Nie. To się zdarzyło, kiedy byłem ścigany przez bandę Temudżeinów.

– Czy to było wtedy, kiedy ukradłeś im tabun koni? – zapytał Will.

Halt popatrzył na niego i zmarszczył leciutko brwi. Will uśmiechnął się do siebie. Halt nie lubił, by mu przypominano, że ukradł Temudżeinom stado liczące dwadzieścia koni, by wykorzystać je do ulepszenia koni hodowanych dla zwiadowców.

– Powiedzmy, że je pozyskałem – oznajmił z naciskiem Halt. – Zostawiłem za nie sto pięćdziesiąt sztuk srebra, czyli o wiele więcej, niż

były warte.

– Ale nie zapytałeś Temudżeinów, czy zgadzają się sprzedać ci konie, prawda? – wtrącił Gilan. Podobnie jak Will znał drażliwość Halta w kwestii sposobu „pozyskania” koni.

– Cóż, to nie miałoby sensu – przyznał Halt. – Oni nigdy nie sprzedają swoich koni.

– Czyli w gruncie rzeczy ukradłeś je – podsumował Will, a Halt spiorunował go wzrokiem.

– O kradzieży można mówić wtedy, gdy zabierasz coś bez zapłaty – powiedział. – Coś, co nie należy do ciebie.

– Niezależnie od tego, czy zostawiłeś za nie pieniądze, czy też nie, sam przyznałeś, że Temudżeini nie zamierzali sprzedawać tych koni, co oznacza, że je ukradłeś – oznajmił Gilan, z trudem ukrywając uśmiech. Halt zmarszczył brwi i patrzył na przemian na swoich dawnych uczniów.

– Bardziej was lubiłem, kiedy okazywaliście odrobinę szacunku starszym – rzekł wreszcie.

Will wzruszył ramionami.

– Cóż, dawniej cię szanowaliśmy, ale potem dowiedzieliśmy się, że ukradłeś stado koni, i od tej pory trudno nam było uważać cię za wzór do naśladowania.

Maddie zlitowała się nad siwowłosym zwiadowcą. Lubiła Halta. Zawsze był dla niej przyjacielem, a zupełnie niedawno dowiedziała się także, że to właśnie on w największym stopniu przyczynił się do zmiany zasad obowiązujących w Korpusie Zwiadowców i wyrażenia zgody na przyjęcie na naukę dziewczyny.

– Powiedziałeś, że przydarzyło ci się coś podobnego – przypomniała. – Czy jeden z Temudżeinów nadepnął na ciebie?

Halt skinął głową, wdzięczny za zmianę tematu. Wypił łyk kawy i zaczął opowiadać dalej.

– Nie. Ukryłem konie… Te, za które zapłaciłem uczciwie… – dodał, rzucając Gilanowi złe spojrzenie – w kępie drzew. Poszedłem po wodę do pobliskiego strumienia, ale wtedy właśnie pojawiło się dwóch Temudżeinów, którzy gnali pół tuzina kóz do wodopoju. Byli oczywiście na koniach.

– Czyli nadepnął na ciebie jeden z koni? – domyśliła się Maddie.

– Które z nas opowiada tę historię? – zapytał Halt, więc machnęła przepraszająco ręką, zachęcając go, żeby kontynuował. Halt zaczekał chwilę, by mieć pewność, że Maddie nie przerwie mu znowu.

– Leżałem w wysokiej trawie, przykryty peleryną…

– Zupełnie jak ja – wtrąciła Maddie, ale zauważyła jego poirytowane spojrzenie i dodała pospiesznie: – Przepraszam! Przepraszam! Mów dalej!

– Jesteś pewna? – zapytał Halt. Maddie pokiwała szybko głową, zaciskając usta. – No więc leżałem sobie na ziemi, całkowicie ukryty przed Temudżeinami, kiedy jedna z kóz zaczęła skubać moje włosy.

Will i Gilan, którzy nigdy nie słyszeli tej historii, ryknęli śmiechem. Maddie uśmiechnęła się, ale doszła do wniosku, że zważywszy na obecny nastrój Halta, lepiej będzie, jeśli okaże współczucie.

– Powinieneś mieć na głowie kaptur! – powiedział Will.

– Miałem – odparł Halt. – Ta przeklęta koza odsunęła go pyskiem i zaczęła się na mnie paść.

Śmiech stał się jeszcze głośniejszy. Gilan w końcu zdołał się opanować i oznajmił z kamienną powagą:

– Często się zastanawiałem, co stanowiło inspirację dla twojej obecnej fryzury. To opowiadanie bardzo wiele wyjaśnia.

W Korpusie Zwiadowców krążyły plotki, że Halt ma zwyczaj obcinać sobie włosy saksą i dlatego były one zwykle potargane i nierówne.

– Co się stało potem? – zaciekawiła się Maddie.

– Oczywiście zerwałem się na równe nogi, żeby uciec przed tą kozą. Temudżein, znajdujący się bliżej mnie spadł z konia, który stanął dęba z zaskoczenia. Wtedy złapałem drugiego za nogę i także ściągnąłem go z siodła. Potem rzuciłem się do ucieczki. Ledwie mi się udało. Na szczęście niedaleko czekał Abelard, a on potrafił prześcignąć ich wierzchowce. W nocy wróciłem okrężną drogą po resztę koni.

Halt spojrzał przenikliwie na Maddie.

– Morał jest taki, że wypadki się zdarzają. Ludzie mogą na ciebie nadepnąć. Koza może zacząć skubać ci włosy. Musisz być przygotowana na rzeczy niespodziewane. To wszystko należy do sztuki pozostawania w ukryciu. Zapamiętaj to sobie na przyszłość. Ucz się na własnych doświadczeniach. Nigdy nie wiesz, co się może wydarzyć.

Maddie pokornie skinęła głową.

– Rozumiem, Halcie. Dziękuję.

– No dobrze – powiedział Halt, odwracając się do Willa i Gilana. – Czy któryś z was, rozbawione małpiszony, zechce zapytać, co mnie tu sprowadza? Dlaczego przyjechałem aż z Zamku Redmont i porzuciłem ciepłe miejsce przy kominku, by was odwiedzić?

Tego roku Halt wyjątkowo pojawił się na zgromadzeniu. Szkolił część młodszych uczniów, pokazując im, jak ulepszyć technikę strzelania z łuku, oceniał także zaliczenia różnych ćwiczeń. Jednakże teraz, gdy zgromadzenie zbliżało się do końca, nie miał już żadnych obowiązków.

Gilan wzruszył ramionami.

– Uznałem, że przyjechałeś na ceremonię pożegnalną.

Halt skinął głową.

– Cóż, to prawda, ale ceremonia odbędzie się dopiero jutro. Przyszła do ciebie wiadomość od Horace’a. Pomyślałem, że powinienem ją przywieźć, ponieważ nikt w Redmont nie wie, gdzie odbywa się zgromadzenie.

Miejsce zgromadzenia zmieniano co roku, a jego dokładne położenie okryte było ścisłą tajemnicą. Na przestrzeni lat Korpus Zwiadowców dorobił się wielu wrogów, a niektórzy z nich wiele by dali, żeby się dowiedzieć, gdzie przez dwa tygodnie będą przebywać wszyscy jego członkowie.

Halt sięgnął pod kamizelkę i wyciągnął zwój pergaminu przewiązany wstęgą zapieczętowaną dużym kleksem wosku. Przekazał list Gilanowi, którzy przyjrzał się pieczęci i rozpoznał na niej herb Horace’a.

– Czytałeś? – zapytał Halta. Starszy zwiadowca był dobrze znany ze swojej umiejętności otwierania i ponownego zapieczętowywania korespondencji. Miał bogaty zestaw przyborów pozwalających mu na zdjęcie woskowej pieczęci tak, by wyglądała potem na nienaruszoną. Na wypadek zaś, gdyby coś poszło nie tak, dysponował również kolekcją fałszywych pieczęci, którymi mógł zastąpić oryginalną. Nie zawsze były to idealne kopie, ale wystarczały, by oszukać większość ludzi, jeśli tylko nie przyglądali się dostatecznie uważnie.

Na twarzy Halta odmalowało się oburzenie.

– List jest zapieczętowany – powiedział z godnością. Will uśmiechnął się w duchu, ponieważ zauważył, że Halt w gruncie rzeczy nie odpowiedział na zadane mu pytanie.

– Czy to cię kiedykolwiek powstrzymało? – mruknął Gilan, złamał pieczęć i rozwinął pergamin, by przeczytać jego treść. Po kilku sekundach

spojrzał na Maddie. – Tata przesyła ci uściski – powiedział. – Ma nadzieję, że zaliczenia poszły ci dobrze.

Maddie uśmiechnęła się. To było typowe dla taty – nawet w oficjalnej korespondencji potrafił przesłać jej osobistą wiadomość. Zawsze była blisko z Horace'em, ale od kiedy została uczennicą zwiadowców, stali się sobie jeszcze bliżsi, ponieważ dzięki temu mieli jeszcze więcej wspólnych tematów.

Gilan wrócił do listu i czytał dalej, marszcząc lekko brwi.

– Złe wieści? – zapytał Will, który zauważył jego niezadowolenie.

Gilan machnięciem ręki zbył pytanie, by zaczekało, aż skończy lekturę. Potem podniósł głowę i spojrzał prosto na Halta.

– Słyszałeś coś o grupie nazywającej się Klanem Czerwonego Lisa?

Halt wydął lekko wargi.

– Nic specjalnego. To anarchiści, prawda?

Gilan potrząsnął głową.

– Nie tylko. Do Zamku Araluen od kilku miesięcy przychodzą raporty w ich sprawie. To grupa, która sprzeciwia się obecnemu porządkowi sukcesji w rodzinie królewskiej. Chcą powrotu do systemu patriarchalnego.

Prawo Araluenu stanowiło, że każdy uznany potomek króla, mężczyzna czy kobieta, może zasiadać na tronie. To oznaczało, że po śmierci Duncana królową i prawowitą władczynią będzie Cassandra. Horace nie zostanie królem tylko dlatego, że jest jej mężem – będzie nosił tytuł księcia małżonka. W swoim czasie zaś Maddie zasiądzie na tronie po swojej matce. Jeśli jednak Klan Czerwonego Lisa postawiłby na swoim, królestwo powróciłoby do starego prawa, zgodnie z którym koronę może dziedziczyć tylko męski potomek. Gdyby tak się stało, porządek sukcesji zostałby całkowicie zachwiany.

– Mają jakieś powody, by tego chcieć? – zapytał Will.

Gilan wzruszył ramionami.

– Najprawdopodobniej ktoś chce wykorzystać to jako pretekst, by samemu zasiąść na tronie – stwierdził. – Tak czy inaczej oznacza to, że Cassandra i nasza Maddie mogą mieć kłopoty, więc Horace uważa, że nadszedł najwyższy czas, by zrobić z tym porządek.

– Co proponuje? – zapytał Will. Zauważył, że Halt nie zadaje żadnych pytań, co wyraźnie świadczyło, że zdążył już przeczytać wiadomość.

– W końcu udało nam się odszukać ich kwaterę główną w pobliżu wschodniego wybrzeża – powiedział Gilan. – Horace chce, żebyśmy my dwaj wzięli ze sobą oddział i rozprawili się raz na zawsze z tym idiotyzmem. – Zawahał się i popatrzył na pozostałych dwóch zwiadowców. – Jednocześnie krążą plotki, że inna ich grupa zebrała się na północno-zachodniej granicy lenna Redmont. Pyta, czy moglibyście się temu przyjrzeć, zobaczyć, co planują, i także przywołać ich do porządku.

– Czyli jutro jedziesz z powrotem do Zamku Araluen? – zapytał Halt.

Gilan przyjrzał mu się, przekrzywiając głowę.

– Właśnie tak jest tutaj napisane – oznajmił i postukał palcem wiadomość. – Ale skąd ty mogłeś o tym wiedzieć?

Halt uśmiechnął się.

– Zgadywałem.

ROZDZIAŁ 4

Ceremonia zamknięcia zgromadzenia zawsze miała słodko-gorzki posmak. Zwiadowcy i ich uczniowie zbierali się na pożegnalnej uczcie przygotowanej przez kucharzy i służących sprowadzonych z Zamku Redmont i otaczających go wsi. Teraz, gdy zgromadzenie dobiegało końca, nie trzeba było już utrzymywać jego miejsca w tajemnicy. W następnym roku będzie odbywać się gdzie indziej.

Zwiadowcy ucztowali i rozmawiali do późnej nocy, aż do wzruszającej chwili, gdy wszyscy razem zaśpiewali tradycyjną pieśń pożegnalną *Chata pośród drzew*.

Prowadzili życie niebezpieczne i pełne przygód, nie dało się więc przewidzieć, ilu z dziś tutaj zgromadzonych pojawi się na przyszłorocznym spotkaniu. Rozmawiali więc, ściskali się, życzyli sobie nawzajem szczęścia i patrzyli głęboko w oczy, ponieważ wiedzieli, że niektórych mogą widzieć po raz ostatni.

Gilan postanowił zostać na ceremonii mimo wcześniejszej deklaracji, że chce wracać od razu do Zamku Araluen z powodu listu Horace’a.

– Jedna noc nie zrobi żadnej różnicy – powiedział do Halta. – Poza tym Horace będzie i tak zajęty przygotowywaniem oddziału. Wyjadę wcześnie rano.

Większość z pozostałych poszła w jego ślady – spakowali się i opuścili obóz jeszcze przed świtem. Teraz, gdy zgromadzenie się zakończyło, chcieli jak najszybciej wracać do swoich lenn i dowiedzieć się, co zdążyło się tam wydarzyć pod ich nieobecność. Will i Maddie, którzy wracali do położonego niedaleko Zamku Redmont, nie spieszyli się. Zjedli późne śniadanie i patrzyli, jak służący pakują wszystko na wozy i odjeżdżają. Widok prostokątów gołej ziemi, pozostałych w miejscach, gdzie przez ostatnie dziesięć dni stały ich namioty, był dziwnie smutny. Stanowił dowód, że wcześniej byli tutaj, ale teraz już ich nie ma.

Will rozejrzał się po niemal pustym obozowisku.

– Pożegnania zawsze są smutne – powiedział bardziej do siebie niż do Maddie. Ona jednak odpowiedziała mu:

– Mama powiedziała mi, że zawsze tak mówiłeś. Że kiedy odchodziłeś, nigdy nie oglądałeś się za siebie.

Will uśmiechnął się ze smutkiem.

– To prawda. Dawniej nie potrafiłem znieść widoku ludzi lub rzeczy, które zostawiałem za sobą. Teraz często oglądam się, na wypadek gdybym po raz ostatni widział tych, których opuszczam. – Wzruszył ramionami. – Możesz to przypisywać mojemu zgrzybiałemu wiekowi.

Maddie roześmiała się.

– Rzeczywiście, zgrzybiały staruszek! Jesteś w kwiecie wieku.

– Miło jest się tym łudzić – odpowiedział. W tym momencie zauważył kobietę zbliżającą się do rzędu śladów pozostawionych po namiotach. – No proszę, a już się zastanawiałem, czy Jenny zamierza tu jeszcze wpaść.

Jego przyjaciółka z dzieciństwa, Jenny, jeszcze zeszłego wieczora była szefem kuchni. Kuchmistrz Chubb, jej dawny mentor, odszedł niedawno na emeryturę, ale Jenny, pomimo namów barona Aralda, odrzuciła ofertę przeprowadzki do Zamku Redmont i objęcia we władanie tamtejszej kuchni. Była osobą niezależną i wolała mieć własną karczmę we wsi. Przeszkoliła za to jednego ze swoich uczniów, by zastąpił Chubba w zamkowej kuchni. Na wyjątkowe okazje osobiście jednak nadzorowała przygotowywanie jedzenia w Redmont. Baron Arald wyczekiwał tych okazji i starał się, by zdarzały się one jak najczęściej.

Kiedy Jenny podeszła, Will wstał, żeby się przywitać. Stęknął cicho, rozprostowując nogi, a potem spojrzał w dół na Maddie.

– Widzisz, co miałem na myśli, mówiąc o zgrzybiałym wieku? – zapytał, zazdroszcząc dziewczynie lekkości, z jaką się podniosła. Nawet dawna rana biodra zazwyczaj jej nie przeszkadzała. Will popatrzył teraz na swoją starą przyjaciółkę. – Cześć, Jenny. Przykro mi, że wczoraj nie mieliśmy czasu na dłuższą rozmowę.

– Byłam trochę zajęta – odparła Jenny. W kuchni była surowym i wymagającym nadzorcą, upierała się też, że zwiadowcy mają dostawać tylko najlepsze jedzenie i napoje. Poprzedniego wieczora zdołali więc zamienić zaledwie kilka słów.

Will popatrzył na nią z uznaniem. Ostatnio w jej jasnych włosach pojawiło się parę siwych pasm, a talia odrobinę się poszerzyła – była to

choroba zawodowa kucharki, która potrafiła docenić przygotowywane przez siebie przysmaki. Jednakże Jenny zawsze miała zaokrąglone kształty, więc dodatkowe centymetry nie ujmowały jej urody.

– Jesteś piękna jak zawsze – powiedział, ale machnęła tylko ręką, zbywając komplement.

– A ty jesteś ponury jak stary siwy wilk – odparła. – Co się stało z tym chłopcem o świeżej twarzy, którego pamiętam z dzieciństwa?

– To ciężar odpowiedzialności – odparł Will. – Ostatecznie teraz muszę pilnować tej okropnej uczennicy.

Jenny uśmiechnęła się ciepło do Maddie. Ich znajomość nie zaczęła się szczególnie fortunnie, ponieważ Maddie po przyjeździe do Redmont wyniośle zaproponowała, by Jenny zwracała się do niej „Wasza Wysokość”. Teraz jednak były już dobrymi przyjaciółkami.

– Co słychać, Maddie? – zapytała Jenny.

Dziewczyna odwzajemniła uśmiech.

– Wszystko dobrze. Napijesz się może kawy? – Wskazała dzbanek czekający na rozżarzonych węglach ogniska, ale Jenny potrząsnęła głową.

– Muszę mieć oko na moich kuchcików podczas pakowania rzeczy. Inaczej zostawią moje najlepsze garnki i chochle, a ja będę musiała wracać tutaj, żeby ich szukać.

– Gilan wyjechał z samego rana – poinformował ją Will.

Skinęła głową.

– Wiem. Przyszedł do mnie wcześniej, więc mieliśmy chwilę dla siebie. Cieszę się, że mogłam go zobaczyć. – Uśmiechnęła się na myśl o tym.

Will przechylił głowę na bok.

– Czyli… są jakieś szanse, że przeniesiesz swoją restaurację do Zamku Araluen?

Jenny stanowczo potrząsnęła głową.

– Nie. Zaproponowałam, żeby Gilan przeniósł swoją kwaterę główną do Redmont. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałby tego zrobić.

Jenny i Gilan „spotykali się”, jak to mawiali ludzie, już od lat. Jednakże ich związek ograniczany był przez dzielącą ich odległość – Jenny od lat prowadziła karczmę we wsi Wensley w pobliżu Zamku Redmont, podczas gdy Gilan mieszkał w Zamku Araluen.

Will wzruszył ramionami.

– On chyba uważa, że Horace i Evanlyn powinni go mieć pod ręką – powiedział, ale Jenny prychnęła tylko lekceważąco.

– Są przecież gołębie pocztowe, które mogą przenosić wiadomości – zauważyła. – Poza tym to tylko kilka dni drogi albo nawet mniej na jednym z tych waszych słynnych koni zwiadowców. Nie ma żadnego powodu, dla którego nie miałby zamieszkać tutaj.

Will zasłonił się obiema rękami, by pokazać, że nie chce być wciągany w tę kłótnię – chociaż był nawet skłonny zgodzić się z Jenny. Gilan mógłby spokojnie pracować w Redmont, a poza tym mieszkałby blisko dwóch doświadczonych zwiadowców, Halta i Willa.

– Musicie to sami załatwić między sobą – powiedział.

Jenny podeszła bliżej, żeby go uściskać.

– Kiedyś nam się to uda – zapewniła. – Uważajcie na siebie. Gilan powiedział, że za kilka dni jedziecie na północny zachód.

– Ja jadę – potwierdził Will. – Chcemy się tam trochę rozejrzeć z Haltem. Maddie wraca do Zamku Araluen. – Zauważył gwałtowną reakcję Maddie, która odwróciła się do niego.

– Myślałam, że pojadę z tobą i Haltem.

Will przecząco potrząsnął głową.

– Twoja matka oczekuje cię w Zamku Araluen – powiedział stanowczo. – Nie widziała cię od roku.

Zauważył, że Maddie zacisnęła szczękę, i wiedział, że czeka go długa dyskusja.

– Ale dlaczego? – zapytała Maddie po raz piętnasty. – Dlaczego nie mogę jechać z tobą i Haltem? Jestem zwiadowcą, prawda?

– Ponieważ twoja matka chce, żebyś ją odwiedziła – powtórzył cierpliwie Will. – Co roku po zgromadzeniu jedziesz na wakacje do domu.

– No to skoro jeżdżę co roku, to jakie ma znaczenie, jeśli raz tego nie zrobię? Poza tym mogę pojechać z tobą i Haltem, a potem odwiedzić dom.

– Nie wiemy, ile czasu spędzimy na granicy – rzekł Will. – To może być nawet kilka tygodni.

– Daj spokój! Gilan powiedział, że to tylko niepotwierdzone plotki. Możliwe, że są całkiem bezpodstawne i wrócicie za tydzień, najwyżej dwa.

– Nie – oznajmił Will stanowczo, z nadzieją, że pozwoli to zakończyć sprawę. Ale Maddie wróciła do poprzedniego pytania.

– Dlaczego? Powiedz mi tylko dlaczego?

Pomyślał, że to szesnasty i siedemnasty raz. Westchnął ciężko.

– Twoja matka nadal nie wybaczyła mi, że zrekrutowałem cię do Korpusu Zwiadowców – przypomniał.

Maddie lekceważąco machnęła ręką.

– To nie była twoja wina. Gilan i Halt to wymyślili.

– Możliwe, ale to ja cię szkolę, więc to mnie należy winić za to, że zaliczasz jeden rok za drugim.

– Mama chyba nie chce, żebym oblała, prawda?

– Nie. Właściwie nie. Jest z ciebie bardzo dumna. Ale początkowo myślała, że będziesz uczennicą tylko przez rok, więc nie byłaby całkowicie nieszczęśliwa, gdybyś oblała i musiała wracać do domu. W obecnej sytuacji upiera się, żebyś przyjeżdżała do niej na miesiąc każdego roku, a ja nie zamierzam się jej sprzeciwiać.

Maddie wojowniczo wysunęła podbródek.

– Chcesz powiedzieć, że boisz się mojej matki? – zapytała wyzywająco.

Will popatrzył na nią bardzo spokojnie.

– Możesz w to wierzyć.

Gdy wrócili do leśnej chaty w pobliżu Redmont, zaczęli się pakować, każde na swój wyjazd. Will jak zwykle po prostu wrzucił ubrania na zmianę i potrzebny sprzęt do torby przy siodle, upychając wszystko, byle się zmieściło. Maddie bez słowa wypakowała jego torbę, poskładała rzeczy i powkładała je z powrotem tak, że zajmowały o połowę mniej miejsca niż poprzednio.

– Nie trzeba tak się z tym bawić – powiedział Will.

Rzuciła mu zbolałe spojrzenie.

– Jeśli tego nie zrobię, będą całkiem pogniecione, kiedy je wyjmiesz – wyjaśniła.

Will wzruszył ramionami.

– Rozprostują się, kiedy je ponoszę pół godziny – odparł. Zastanowił się przez chwilę i dodał: – No, może godzinę.

Pakowanie rzeczy Maddie trwało odpowiednio dłużej, ponieważ musiała zabrać nie tylko ubrania zwiadowcy, lecz także suknie i płaszcze, które miała nosić jako księżniczka. Zamierzała przebrać się w połowie drogi do Zamku Araluen.

Pozycja Maddie jako zwiadowcy utrzymywana była w ścisłej tajemnicy. Oczywiście zwiadowcy wiedzieli o wszystkim – ale oni znani byli z tego, że trzymają język za zębami. Tak więc o przynależności Maddie do Korpusu wiedziało jeszcze tylko kilka osób, na przykład baron Arald i jego żona. Pozostali mieszkańcy królestwa nie mieli o niczym pojęcia. Ostatecznie Jej Wysokość księżniczka Madelyn była druga w kolejce do tronu i byłoby ryzykowne rozpowiadać wszem i wobec, że jest zwiadowczynią. Zawsze istniało niebezpieczeństwo, że wrogowie królestwa spróbują ją porwać lub zabić. Jako uczennica zwiadowców Maddie udawała zwyczajną dziewczynę i nie zwracała na siebie niczyjej uwagi. Większość ludzi sądziła, że spędza czas w Zamku Redmont, gdzie pod bacznym okiem lady Sandry zgłębia tajniki sztuki dyplomacji.

Jeszcze jedna osoba wiedziała o wszystkim. Była to Ingrid, pokojówka Maddie.

Kiedy Maddie przyjechała na naukę, przywiozła ze sobą pokojówkę oraz górę bagaży. Will natychmiast odesłał służącą wraz z większością rzeczy do Zamku Araluen, ponieważ uznał, że uczeń zwiadowców musi umieć sam sprzątać i naprawiać swoje ubrania. Jednakże w kolejnych latach okazało się, że Maddie będzie potrzebowała pokojówki, by ta towarzyszyła jej w podróży do domu. Zadanie to zostało powierzone właśnie Ingrid, która przez resztę roku przebywała w Zamku Redmont i pracowała dla lady Sandry. Teraz, gdy Maddie podążała do Zamku Araluen, Ingrid jak zwykle miała jechać wraz z nią.

Gdy przyszedł umówiony dzień, Ingrid przybyła z Zamku Redmont, prowadząc ze sobą arydzkiego wałacha Maddie, Sundancera. Nie było mowy, by następczyni tronu jeździła na kosmatym koniku zwiadowców, arystokratyczny Sundancer był wierzchowcem dla niej zdecydowanie bardziej stosownym. Oczywiście Maddie zamierzała jechać na Zderzaku do

chwili, gdy będzie zmuszona na nowo wcielić się w rolę księżniczki, potem mały konik miał udawać jucznego kuca.

– Przepraszam cię za to – mówiła do Zderzaka, głaszcząc go po aksamitnych chrapach. – Wiem, że to poniżej twojej godności.

Gdyby Zderzak nie był koniem, można by powiedzieć, że wzruszył ramionami. *Skoro ty możesz wystroić się jak manekin snobistycznego krawca, to ja mogę ponieść kilka paczek.*

ROZDZIAŁ 5

Gilan i Horace pochylili się nad mapą rozłożoną na biurku zwiadowcy. Horace czubkiem sztyletu pokazywał punkty, o których mówił.

– Nasi szpiedzy donieśli, że Klan Czerwonego Lisa gromadzi się mniej więcej tutaj. – Przeciągnął sztyletem wzdłuż krętej rzeki i wskazał punkt o cztery dni jazdy na północ od Zamku Araluen.

– Rzeka Wezel. – Gilan odczytał nazwę na mapie. Dotknął symbolu na północnym brzegu, koło wydłużonego zakola rzeki. – Co to jest?

– To stary fort na wzgórzu – wyjaśnił Horace. – Nieużywany od wieków.

– Czy Lisy go zajęły?

Horace potrząsnął głową.

– Nie. O ile wiemy, rozbili obóz gdzieś na południowym brzegu, niedaleko tego zakola.

– Czyli jeśli zbliżymy się od południa, rzeka odetnie im drogę ucieczki.

– Owszem. Rzeka jest głęboka i ma niewiele brodów. Z taktycznego punktu widzenia nie najlepiej wybrali sobie miejsce, ale od początku wydawało się, że taktyka nie jest ich mocną stroną.

– To nie są wyszkoleni wojownicy, prawda? – upewnił się Gilan.

– Raczej nie, jeśli wierzyć doniesieniom. To głównie bandyci i inne opryszki, zrekrutowani przez Klan Czerwonego Lisa obietnicą zapłaty i łatwych łupów. Wśród ich przywódców jest może z pół tuzina wyszkolonych żołnierzy, pozostali to zwykła hołota.

– Ilu ich jest?

Horace oparł czubek sztyletu na blacie biurka.

– Od trzydziestu do czterdziestu, nie więcej – powiedział. I dodał, uprzedzając kolejne pytanie: – Zdecydowałem, że zabierzemy dwudziestu konnych i dwudziestu łuczników. – Podniósł głowę znad mapy. – To zawodowi żołnierze, doświadczeni w bitwach. Nie wydaje mi się, żeby czterdziestu obszarpanych rzezimieszków sprawiło nam jakieś problemy.

Gilan uśmiechnął się.

– Szczególnie jeśli my obaj tam będziemy – dorzucił. Żartował, ale w jego żarcie kryło się wiele prawdy. Horace uchodził za jednego z najwybitniejszych rycerzy w królestwie, a zawdzięczał to świetnej technice szermierczej, szybkości oraz nieprzeciętnej sile. Jego niezwykłe zdolności zostały dostrzeżone, gdy miał zaledwie szesnaście lat. Teraz, wiele lat później, do wrodzonego talentu dodał ogromne doświadczenie. Natomiast Gilan jako dowódca zwiadowców był oczywiście jednym z najlepszych ludzi w Korpusie.

– Zabierzemy zapasy na dziesięć dni – zapowiedział Horace. – Suszone mięso, owoce i podpłomyki. Każdy żołnierz weźmie też dwa bukłaki. Kiedy już wyruszymy, chciałbym, żebyśmy podróżowali szybko i dotarli do Wezel, zanim tamci się zorientują, że się zbliżamy. Im szybciej zrobimy z nimi porządek, tym lepiej. Będziemy rozkładać na noc obóz i omijać po drodze wsie i miasta.

– To dobry pomysł. Im mniej ludzi nas zobaczy, tym lepiej. Kiedy wyjeżdżamy?

– Żołnierze jeszcze przygotowują swoje wierzchowce. Konie od kilku miesięcy były na pastwiskach, więc potrzeba kilku dni, by się przyzwyczaiły do uprzęży i przypomniały sobie, jak trzeba chodzić pod siodłem. Kiedy są puszczane wolno, stają się na wpół dzikie. Powinniśmy być gotowi pod koniec tygodnia. Dzięki temu przed wyjazdem zdążę się jeszcze zobaczyć z Maddie.

Maddie miała przyjechać następnego dnia rano.

– Chciałbym, żebyś jutro sprawdził wyposażenie łuczników – ciągnął Horace. – Lepiej ode mnie wiesz, na co zwracać uwagę.

Gilan skinął głową. Sięgnął do mapy i rozwinął ją trochę bardziej, przesuwając na tyle, by zobaczyć obszar, na którym znajdował się Zamek Redmont.

– Halt i Will powinni już być w drodze – powiedział. – Spodziewasz się, że coś znajdą?

Horace wzruszył ramionami.

– Raporty od szpiegów były niejasne, zawierały więcej plotek niż potwierdzonych faktów. Nie mogę jednak pozwolić sobie na ich ignorowanie. Będę spał spokojniej, mając pewność, że Halt i Will się tam rozglądają. Ten cały kult Lisa to banda mocna tylko w gębie, ale podobne

pomysły aż za szybko potrafią zacząć się rozprzestrzeniać i zanim się obejrzymy, będziemy mieli w kraju regularne powstanie. Musimy ukrócić ich działania w zalążku.

Gilan puścił krawędź mapy, która znowu się zwinęła.

– To najlepszy sposób w takich przypadkach – przyznał. – Uderzyć szybko, zanim sprawy wymkną się spod kontroli.

Horace, do tej pory pochylony nad biurkiem, wyprostował się. Starannie zwinął mapę, schował ją do wąskiego cylindra i zabezpieczył pętlą z brązowej wstążki.

– Potrzebujemy trzech lub czterech dni, by dotrzeć do rzeki Wezel – powiedział. – A potem jeszcze kilku dni, by znaleźć obóz Lisów, a wtedy będziemy mogli zakończyć tę farsę.

Gilan mruknął potwierdzająco, ale leciutko zmarszczył brwi. Jedna rzecz nie dawała mu spokoju.

Horace zauważył to.

– Czy coś jest nie tak?

Gilan zawahał się.

– Czterdziestu żołnierzy, konnych i łuczników – powiedział. – To ponad połowa stacjonującego tutaj garnizonu. Nie obawiasz się, że w razie jakichś problemów Cassandra może mieć za mało ludzi?

Horace potrząsnął głową.

– Zamek Araluen jest łatwy do obrony – powiedział. – Nawet nieduży garnizon może go z łatwością utrzymać. Poza tym Cassandra jest dobrym dowódcą, ma dostateczne doświadczenie w walce.

Gilan pokiwał głową.

– To prawda – przyznał.

Cassandra dowiodła swojej wartości w bitwach na wybrzeżu Skandii, na pustyniach Arydii i w surowych górach w Nihon-Ja. Mając do dyspozycji twierdzę, praktycznie niemożliwą do zdobycia, taką jak Zamek Araluen, bez cienia wątpliwości zdoła skutecznie i z powodzeniem bronić się przed dowolnym dającym się przewidzieć zagrożeniem.

Maddie i Ingrid po opuszczeniu Redmont podróżowały w dobrym tempie. Pogoda była ładna, a drogi puste.

Ingrid spojrzała na słońce, by ocenić w przybliżeniu godzinę po jego pozycji na niebie.

– Niedługo będziesz musiała się przebrać – ostrzegła. – Najwyższy czas, żebyś znowu została księżniczką.

Maddie zmarszczyła nos z niesmakiem. Nadal miała na sobie strój zwiadowcy, chociaż kaptur peleryny odrzuciła na plecy i jechała z odsłoniętą głową. Lubiła wygodę luźnych i niekrępujących ruchów ubrań zwiadowców. Z kolei amazonka, którą miała niebawem założyć, była suknią obcisłą i niewygodną, zaprojektowaną raczej z myślą o urodzie niż funkcjonalności.

Zderzak prychnął złośliwie.

Krawiecki manekin.

– Śmiej się, śmiej, juczny kucu – odparła cicho.

Ingrid spojrzała na nią.

– Czy coś mówiłaś?

Maddie szybko potrząsnęła głową. Nie była pewna, jak pokojówka zareagowałaby na wiadomość, że rozmawia z koniem i że słyszy, co koń odpowiada. Prawdopodobnie uznałaby, że jej pani zwariowała. Z drugiej strony Ingrid i tak była o tym prawie całkowicie przekonana, ponieważ nie rozumiała, jak Maddie może woleć trudne i wymagające ciągłej gotowości życie uczennicy zwiadowców od wygód i eleganckich ubrań, którymi mogła cieszyć się jako królewska córka.

Sprawa szybko jednak odeszła w niepamięć, gdy Ingrid wskazała drogę przed nimi.

– Mamy towarzystwo.

Przejechały już przez otwarte pola ciągnące się wzdłuż rzeki. Trakt w tym miejscu przecinał na ukos Las Alder. Drzewa po bokach były wysokie i rosły gęsto, sama droga zaś zwęziła się tak, że mieściły się na niej tylko dwa konie idące koło siebie.

Jakieś trzydzieści metrów przed nimi z lasu wyłoniło się dwóch mężczyzn, którzy zagrodzili im drogę. Obaj byli potężnie zbudowani i mieli przybrudzone, proste ubrania. Obaj byli też uzbrojeni.

Mężczyzna po prawej trzymał łuk ze strzałą nałożoną na cięciwę, a nad jego ramieniem widać było lotki kolejnych strzał włożonych do prostego

kołczanu. Przy pasie nosił długi nóż.

Drugi mężczyzna, nieco wyższy, trzymał w prawej ręce ciężką pałkę zrobioną z solidnego drewna, zwężającą się do wystruganej rękojeści owiniętej skórzanymi paskami. Jej ciężki koniec był gęsto najeżony kolcami. Cała broń sprawiała równie niesympatyczne wrażenie jak jej właściciel.

Dziewczyny instynktownie ściągnęły wodze i zatrzymały konie. Maddie poczuła, że Zderzak pod nią zawibrował ostrzegawczym pomrukiem.

– Powinnyśmy były zabrać eskortę – odezwała się cicho Ingrid, chociaż, jak Maddie zauważyła, towarzyszka wcale nie sprawiała wrażenia szczególnie zalęknionej.

– Z powodu tych dwóch flejtuchów? Chyba żartujesz.

Przełożyła prawą nogę nad łękiem i zeskoczyła na ziemię obok Zderzaka. Jednocześnie sięgnęła po procę, którą nosiła zwiniętą pod paskiem, wydostała ją, a drugą rękę wsunęła do woreczka, w którym nosiła gładkie ołowiane pociski. Łuk miała schowany w pokrowcu przywiązanym po prawej stronie za siodłem, ale nie przejmowała się tym. Jeśli miała wybór, zawsze wolała procę.

Nie musiała patrzeć, co robi, gdy wkładała jeden z pocisków do miseczki procy. Wprawa, z jaką to zrobiła, prawdopodobnie musiała zwrócić uwagę obu rabusiów. Byli jednak zbyt pewni siebie i do głowy im nie przyszło, że dwie młode dziewczyny mogłyby stanowić dla nich zagrożenie. Maddie odsunęła się od Zderzaka, żeby mieć miejsce na zamachnięcie się procą.

Ingrid popatrzyła na nią.

– Masz jakiś konkretny pomysł?

Maddie potrząsnęła głową.

– Zobaczmy, jak się sprawy potoczą – powiedziała i wypuściła częściowo rzemień procy. Zderzak nadal wydawał niskie, ostrzegawcze pomruki, słyszalne na odległość zaledwie kilku metrów.

Mężczyzna z łukiem uniósł teraz broń, chociaż nadal nie napiął cięciwy.

– Nie każcie nam czekać, dziewczyny! – zawołał. – Podejdźcie tutaj i oddajcie wszystkie cenne rzeczy. Będzie wam wtedy znacznie lżej.

W jego głosie słychać było rozbawienie. Maddie wyczuwała, że jest bardzo zadowolony z siebie. Ingrid była elegancko ubrana i wyglądała na kogoś, kto ma przy sobie pieniądze i biżuterię. Jej koń, rasowa klacz, także już na pierwszy rzut oka był sporo wart; podobnie jak Sundancer, który

szedł z tyłu, niosąc ich bagaże. Zderzak oczywiście nie wydawał się interesujący – prymitywny, baryłkowaty konik, zapewne wytrzymały i pracowity, ale niezbyt cenny. Wszystko to razem sprawiało, że dziewczyny nadawały się na idealne ofiary dla rabusiów. Praktycznie bezbronne, bez jakiejkolwiek ochrony, nie mogły długo stawiać oporu dwóm uzbrojonym mężczyznom.

– Wolimy zostać tutaj – odpowiedziała Ingrid, ciszej zaś powiedziała do Maddie: – Możemy jeszcze zawrócić.

Maddie potrząsnęła głową.

– Nie ułatwiliby nam tak bardzo życia. Zaraz pewnie się okaże, że trzeci członek tej bandy stoi za nami.

Ingrid obejrzała się przez ramię i zobaczyła, że Maddie miała rację. Trzeci mężczyzna, równie zgrzebnie ubrany, uzbrojony w ciężką tyczkę zakończoną grotem, stał, podświetlony od tyłu jasnym blaskiem słońca, w miejscu, gdzie trakt zagłębiał się w lesie.

– Masz rację – przyznała i mocniej zacisnęła palce na swoim palcacie.

Ingrid nigdy nie uderzyła nim konia – była to zamaskowana broń. Kawałek twardego jesionowego drewna długości pięćdziesięciu centymetrów owinięty był skórą i zakończony kamienną gałką. Na drugim końcu znajdował się właściwy bacik, zrobiony z płaskiej, plecionej skóry. Poza tym, jak to miały w zwyczaju damy, Ingrid nosiła przy pasie sztylet.

– Zajmę się najpierw łucznikiem – powiedziała półgłosem Maddie. – Jeśli będziemy mieć szczęście, pozostali uciekną, kiedy go powalę.

– A jeśli nie będziemy mieć szczęścia? – zapytała Ingrid.

Maddie uśmiechnęła się.

– Wtedy oni będą mieli pecha – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ 6

Mężczyzna z łukiem zaczął się niecierpliwić. Dziewczyny już od kilku minut nie ruszyły się z miejsca. Widział, że Ingrid obejrzała się przez ramię, musiała więc wiedzieć, że wszelka droga ucieczki została odcięta.

– Chodźcie tutaj! – rozkazał ostro. – Straciliśmy już dostatecznie dużo czasu. Podejdźcie i oddajcie wszystkie kosztowności!

Aby podkreślić swoje słowa, zaczął napinać łuk. Naciągana cięciwa skrzypnęła.

Maddie przyjrzała się łukowi, mrużąc oczy. Była to marna broń, w niczym nieprzypominająca wykonanych starannie łuków, jakich używali zwiadowcy. Krzywe łęczysko, z jednym końcem węższym od drugiego, sprawiało, że górna część łuku wyginała się bardziej niż dolna. Maddie poważnie wątpiła, by mężczyzna mógł trafić z takiego łuku w cokolwiek z odległości większej niż pięćdziesiąt metrów. Z drugiej strony jednak był na pewno przyzwyczajony do niedoskonałości swej broni i potrafił wziąć poprawkę na nierówne lotki strzały.

Poza tym znajdował się w odległości mniejszej niż pięćdziesiąt metrów, więc Maddie uznała, że nie warto pozwalać mu, żeby strzelił.

Szybkim i płynnym ruchem zrobiła długi wykrok lewą nogą i wypuściła trzymaną w prawej ręce procę na pełną długość za plecami. Potem zakręciła nią i przygotowała się do strzału, robiąc krok prawą nogą. Ruch był wyważony i skoordynowany, Maddie idealnie wykorzystywała mięśnie nóg, tułowia i ramienia, by nadać impet ołowianemu pociskowi. Śmignął on w powietrzu tak szybko, że nie dało się prześledzić toru jego lotu. Trafił w górną część łęczyska, w połowie jej wysokości. Górna część była słabsza i wygięta mocniej niż dolna, dlatego nagłe uderzenie ołowianego pocisku po prostu strzaskało ją. Wydawało się, iż łuk eksplodował mężczyźnie w ręku, gdy napięta cięciwa nagle została zwolniona.

Odłamana część łęczyska, przytrzymywana na końcu cięciwą, zatoczyła półkole w powietrzu i trafiła mężczyznę w szczękę, zostawiając krwawą szramę. Bandyta krzyknął i cofnął się chwiejnie, upuścił połamany łuk i podniósł rękę, by zatamować płynącą krew. Nie do końca był pewien, co się wydarzyło. Wypadki potoczyły się zbyt szybko, żeby zobaczył coś wyraźnie, nie miał jednak wątpliwości, że za wszystko odpowiada ta smukła dziewczyna stojąca przy kosmatym koniku. Zdeterminowany, by się zemścić, sięgnął po długi nóż, który nosił za pasem, i ruszył w jej stronę.

– Niczego się nie nauczyli – powiedziała Maddie. Załadowała kolejny pocisk do procy i strzeliła do napastnika. Pocisk trafił mężczyznę w ramię, miażdżąc mu kość i uszkadzając ciało. Nóż upadł na ziemię, a rabuś zatrzymał się i zaskowyczał z powodu nagłego szoku i bólu. Powoli opadł na kolana i sięgnął lewą ręką do złamanego ramienia. Zwinął się tak, że jego czoło dotykało ziemi, i zaczął cicho pojękiwać.

– Ty wiedźmo! – wrzasnął jego kompan. Uniósł nad głowę pałkę i rzucił się pędem na Maddie. Dziewczyna spokojnie załadowała kolejny pocisk do procy i czekała na niego, jednakże tym razem Ingrid zareagowała jako pierwsza.

Spięła konia i jednocześnie odwróciła trzymany palcat. Mężczyzna, widząc, że dziewczyna się zbliża, zatrzymał się, by ją zaatakować. Zamachnął się gwałtownie pałką, ale Ingrid szturchnęła konia kolanem i zrobiła płynny unik, wychodząc poza zasięg ciosu. Potem skręciła, zanim napastnik zdążył odzyskać równowagę, pochyliła się w siodle i z całej siły uderzyła kamienną gałką w skórzaną czapkę mężczyzny.

Rabuś popatrzył na nią zaskoczony, ale zaraz potem jego oczy zaszkliły się, a on sam złożył się jak stos szmat i nieprzytomny padł na zasypaną liśćmi ziemię.

Ponieważ dwóch napastników zostało już unieszkodliwionych, Maddie przeniosła uwagę na trzeciego członka bandy. Ten zawahał się, widząc swoich towarzyszy powalonych w zaledwie kilka sekund, potem odwrócił się i zaczął uciekać.

– Zderzak – powiedziała cicho dziewczyna i wskazała biegnącą postać.

Mały konik wystrzelił jak strzała wypuszczona z łuku. Maddie wciąż była zafascynowana, z jakim przyspieszeniem potrafiły biegać konie zwiadowców. Po kilku krokach Zderzak galopował już z pełną prędkością, zbliżając się do umykającego mężczyzny.

Gdyby bandyta miał dostatecznie dużo rozumu, by schować się pomiędzy drzewami, miałby większe szanse. Postanowił jednak trzymać się drogi prowadzącej na otwartą przestrzeń za lasem. Zdążył oddalić się od ściany drzew może na dziesięć metrów, gdy Zderzak dogonił go i – wierny swojemu imieniu – uderzył barkiem w plecy uciekiniera.

Siła uderzenia sprawiła, że rabuś poturlał się po trawie spory kawałek, zanim udało mu się wstać chwiejnie na nogi. Potrząsnął głową, żeby widzieć wyraźniej – upadając, uderzył mocno głową o ziemię i był teraz lekko zamroczony. Mały kosmaty konik stał kilka metrów od niego, z nastawionymi uszami, i przyglądał mu się z zaciekawionym wyrazem pyska, jakby chciał zapytać: „Co zamierzasz teraz zrobić?”. Bandyta miał nieodparte wrażenie, że zwierzę jest rozbawione całą sytuacją. Sięgnął po nóż przy pasie, ponieważ podczas upadku zgubił w wysokiej trawie włócznię.

Wyciągnął nóż z pochwy i zaczął się zbliżać do konia, mamrocząc pod nosem przekleństwa.

– Wystarczy! – Usłyszał ostrzegawczy głos Maddie. Obejrzał się za siebie. Dziewczyna spokojnie poszła za Zderzakiem i stała teraz na skraju lasu. Proca z założonym kolejnym ołowianym pociskiem zwisała swobodnie z jej dłoni i kołysała się w przód i w tył na wysokości prawego kolana.

Bandyta nie widział momentu, kiedy Maddie trafiła jego towarzysza dwoma pociskami z procy, bo wszystko zasłaniał mu koń. Nie docenił więc zagrożenia i znowu zaczął się zbliżać do Zderzaka, który lekko zastrzygł uszami.

– Ostrzegam po raz ostatni! – zawołała Maddie. Jej głos był wyraźnie ostrzejszy.

Mężczyzna obejrzał się i skrzywił się szyderczo.

– Lepiej odwołaj swojego konia, panienko – powiedział. – Bo zaraz go wypatroszę.

Maddie westchnęła. Dała mu szansę, ale Will od lat wbijał jej do głowy żelazną zasadę postępowania w podobnych sytuacjach. *Daj przeciwnikowi szansę poddania się. Ale tylko jedną. Potem zacznij działać.*

Bandyta zrobił jeszcze krok w stronę Zderzaka, przemawiając do niego uspokajającym głosem i jednocześnie zapowiadając, co zamierza zrobić.

– No, chodź, konisiu… dobry konik. Stój spokojnie, żebym mógł ci wbić nóż w to brzuszysko… spokojnie, grzeczny… AIIIIIAAAAA!

Wrzasnął, kiedy ołowiany pocisk uderzył go w przedramię, łamiąc kości. Nóż wypadł mu z palców, które nagle straciły czucie. Rabuś zwinął się wpół i zacisnął lewą dłoń na prawej ręce w reakcji na niespodziewane uderzenie i przeszywający ból.

Maddie spokojnie zwinęła procę i wsadziła ją za pas, a potem wyciągnęła saksę i zbliżyła się do znieruchomiałego, jęczącego mężczyzny. Usłyszał jej kroki i podniósł głowę. Po brudnej, nieogolonej twarzy płynęły mu łzy zaskoczenia i bólu.

– Złamałaś mi rękę! – powiedział oskarżycielskim tonem.

Maddie nie mogła powstrzymać uśmiechu, słysząc oburzenie w jego głosie. Oto niedoszły rabuś, który zamierzał okraść dwie pozornie bezbronne dziewczyny, ma czelność zachowywać się, jakby to on został pokrzywdzony. Nigdy nie przestawało jej bawić, ilu bandytów w podobnych okolicznościach zaczynało się zachowywać jak skrzywdzone niewiniątka.

– Mogłam celować w głowę – poinformowała go bez cienia współczucia. Szturchnęła go w tyłek czubkiem saksy. Mężczyzna odskoczył i jęknął, ponieważ ten ruch sprawił, że przez złamaną rękę przeszła nowa fala bólu. – Ruszaj się – poleciła stanowczym głosem i wskazała drogę prowadzącą do lasu. Bandyta, jęcząc i protestując, wstał i posłusznie ruszył. Doszli do miejsca, gdzie jego dwaj kompani siedzieli pod wielkim dębem, a nad nimi, z palcatem w jednym ręku i sztyletem w drugim, stała Ingrid. Rabusie byli całkowicie potulni i nie stawiali już żadnego oporu. Maddie popchnęła ich towarzysza na ziemię, co sprawiło, że wyrwał mu się kolejny jęk bólu. Dopiero wtedy podnieśli głowy. Ten, którego ogłuszyła Ingrid, zdążył się ocknąć, ale jego nieprzytomne spojrzenie zdradzało, że prawdopodobnie ma wstrząśnienie mózgu.

Maddie postukała się rękojeścią saksy w nogę i popatrzyła na bandytów, zastanawiając się, co z nimi zrobić. Nie mogły zabrać ich ze sobą, ale nie zamierzała także puszczać ich wolno.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Ściągać ciuchy.

Żaden z nich się nie ruszył. Wpatrywali się w nią nierozumiejącym wzrokiem. W końcu odezwał się ten, który wcześniej miał łuk.

– Mamy się rozebrać? Całkiem?

Maddie potrząsnęła niecierpliwie głową.

– Nie do końca. Ingrid nie zasłużyła na oglądanie tak nieprzyjemnych widoków. Wystarczą portki i koszule. Rozbierzcie się do bielizny.

Nadal się nie ruszali, więc dodała ostro:

– Pospieszcie się!

Posłuchali, chociaż ci dwaj z połamanymi rękami poruszali się powoli i niezgrabnie. Ściągnęli poplamione i brudne ubrania, odsłaniając równie nieciekawie wyglądającą bieliznę, niepraną od wielu dni, dziurawą i obszarpaną. Maddie kopniakiem odsunęła ściągnięte ubrania na stos.

– Buty też – poleciła. Niechętnie, ale posłuchali.

Ingrid przyglądała się temu z zaciekawieniem.

– Masz jakiś powód, żeby to robić? – zapytała cicho.

Maddie popatrzyła na nią i skinęła głową.

– Dzięki temu poczują się bezbronni i będą mniej skłonni do sprzeciwiania się rozkazom. Jeśli każesz mężczyźnie się rozebrać, zwykle traci pewność siebie. Szczególnie w obecności dwóch dziewcząt.

– Zaraz mi się zrobi słabo – skomentowała Ingrid. – Zapewniają mocne wrażenia węchowe, nie uważasz?

Miała rację. Po zdjęciu ubrań silny smród niemytych ciał stał się wyraźnie odczuwalny.

– Niewiele można na to poradzić – westchnęła Maddie. Pochyliła się, złapała zamroczonego mężczyznę za nadgarstki, wykręciła mu ręce do tyłu i związała jego kciuki kawałkiem rzemienia. Potem szybko postąpiła tak samo z jego kompanami, czego efektem były kolejne okrzyki bólu, gdy ustawiała ich połamane ręce w odpowiednim położeniu – bez nadmiernej delikatności.

– Aaaała, bogowie, ależ to boli! – jęczał trzeci członek bandy.

Maddie popatrzyła na niego bez współczucia.

– Należało wam się za atakowanie bezbronnych dziewczyn.

Ingrid uśmiechnęła się. Nie potrafiła sobie wyobrazić dziewczyny mniej bezbronnej niż jej pani.

– A teraz siadać pod drzewem – poleciła Maddie i gestem kazała się im cofnąć, tak że usiedli oparci plecami o pień dębu. Kiedy już to zrobili, owinęła drzewo liną, którą zarzuciła im na szyje, i zacisnęła na tyle, na ile się dało. W ten sposób byli uwięzieni przy drzewie i nie mogli się poruszyć,

jeśli nie chcieli udusić siebie i swoich towarzyszy. Nie mieli też możliwości rozwiązania liny.

– Mamy ich tutaj zostawić? – zapytała Ingrid. Z zainteresowaniem przyglądała się całej procedurze, zastanawiając się, ile razy Maddie robiła podobne rzeczy, odkąd została uczennicą zwiadowców. Widać było, że ma w tym wprawę. Pokojówka pomyślała, że jej pani prawdopodobnie nie po raz pierwszy unieruchamia w ten sposób więźniów.

Maddie sprawdziła tymczasem, czy lina jest dobrze napięta, a potem cofnęła się, zadowolona z efektów swojej pracy. Z uśmiechem odpowiedziała na pytanie Ingrid.

– To kuszący pomysł – przyznała. – W tym lesie na pewno są wilki i niedźwiedzie. Zajęłyby się nimi i załatwiłyby sprawę za nas. – Zauważyła zaskoczone i zaniepokojone spojrzenia trzech mężczyzn. – Ale może powinnyśmy być litościwe. Pół godziny jazdy stąd jest posiadłość tutejszego lorda. Poprosimy go, żeby przysłał swoich ludzi i zabrał tych trzech przystojniaków do jakiejś wygodnej, przytulnej celi

Po piętnastu minutach jazdy Maddie zatrzymała się, zsiadła z konia i przebrała się. Odzienie i pelerynę zwiadowcy schowała do dużej torby, a potem włożyła elegancki strój do jazdy konnej, składający się z amazonki, lnianej bluzki i skórzanej kurteczki, bardziej stosowny dla księżniczki Araluenu. Zdjęła juki z grzbietu Sundancera i zamieniła je miejscami z siodłem Zderzaka.

– Przepraszam cię za to – powiedziała do Zderzaka. Miała poczucie, że odgrywanie jucznego konia było poniżej jego godności.

Zderzak parsknął.

Natomiast Sundancer wydawał się szczęśliwy, że wreszcie został uwolniony od juków i może ponownie odgrywać należną mu rolę wierzchowca. Zarżał z aprobatą, gdy Maddie wskoczyła na siodło.

Kilka kilometrów dalej dziewczyny wjechały do schludnej, niewielkiej wioski i zatrzymały się przed imponującą posiadłością na jej obrzeżach. Maddie przedstawiła się kamerdynerowi, a po chwili lord, starszy już wiekiem rycerz, wybiegł, by je powitać. Lord najwyraźniej był w trakcie

południowego posiłku, ponieważ za kołnierz zatkniętą miał wielką białą serwetę, a na brodzie widać było okruchy chleba. Skłonił się pospiesznie, gdy Maddie zsiadła z konia, wyciągnął serwetkę i poniewczasie spróbował ją schować za plecami.

– Witamy w Tonbridge, Wasza Wysokość – powiedział. – Jestem sir Gerald Wollden, a to moja posiadłość. Czy mogę zaproponować Waszej Wysokości poczęstunek i odpoczynek? Może także nocleg?

Maddie potrząsnęła głową.

– Dziękuję, ale nie trzeba. Chciałabym jak najszybciej dotrzeć do Zamku Araluen. Mam jednak pewną prośbę – oznajmiła.

Ingrid zauważyła, z jaką łatwością jej pani powróciła do roli pewnej siebie, władczej księżniczki. Starszy rycerz skłonił się kilkakrotnie, by wyrazić swoją gotowość.

– Ależ oczywiście – zapewnił żarliwie. – Zrobię wszystko dla Waszej Wysokości!

– Zostawiłyśmy kilka kilometrów stąd, przy drodze, trzech rannych mężczyzn. Czy mógłbyś się nimi zająć?

– Oczywiście, Wasza Wysokość! Zaraz wyślę służących, żeby opatrzyli ich rany.

Maddie wydęła wargi.

– Wolałabym, żebyś wysłał strażników i aresztował ich – powiedziała. – To bandyci. Próbowali nas obrabować.

Dobrze wychowany starszy pan nie posiadał się z oburzenia.

– Obrabować Waszą Wysokość? Czy nic się wam nie stało, pani? Czy nie odniosłaś żadnych obrażeń?

– Ależ skąd – zapewniła go Maddie. – Moja towarzyszka ich unieszkodliwiła. To bardzo zdolna młoda dama.

Rycerz z pewnym zaskoczeniem popatrzył na drobną Ingrid. Nie potrafił sobie wyobrazić, jak w pojedynkę mogła pokonać trzech rabusiów.

– Zajmę się nimi, Wasza Wysokość – zapewnił. Potarł z namysłem podbródek, przez co kilka okruchów wypadło mu z brody. – Zazwyczaj wieszamy bandytów.

Maddie zmarszczyła brwi.

– To może być pewna przesada. Może wsadzisz ich na kilka dni do więzienia, a potem zatrzymasz ich tu na jakieś trzy miesiące, żeby wykonywali cięższe prace we wsi? To powinno dać im nauczkę.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – odpowiedział lord Wollden. – Możesz być pewna, że znajdziemy dla nich mnóstwo roboty. – Jego oczy zalśniły na myśl o trzech opryszkach, którzy zaatakowali księżniczkę. – Ciężkiej roboty – dodał.

– Dziękuję, sir Geraldzie. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc. A teraz, jeśli pozwolisz, ruszymy w dalszą drogę. – Podeszła do koni i odruchowo chciała wsiąść na Zderzaka. Konik cofnął się i parsknął ostrzegawczo, zmieniła więc kierunek i wskoczyła na siodło Sundancera.

– Będę musiała na to uważać – powiedziała półgłosem, gdy wyjeżdżały z otaczającego posiadłość ogrodu.

ROZDZIAŁ 7

Gdy wyjechały z lasu, Maddie ściągnęła cugle. Widok Zamku Araluen za każdym razem zapierał jej dech w piersi. Piękna twierdza z wysmukłymi wieżami i eleganckimi krzywiznami murów górowała nad okolicą, widoczna z odległości wielu kilometrów z każdej strony. Ulokowana na szczycie wydłużonego wzgórza o łagodnych zboczach wydawała się dosłownie unosić w powietrzu. Flagi i proporce łopotały na licznych masztach, targane wiatrem, który w tej części królestwa wiał niemal zawsze. Maddie nie potrafiła sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek widziała te flagi zwisające bezwładnie.

– Kiedy wracam, nie mogę się napatrzeć na ten widok – powiedziała Ingrid.

Maddie powoli skinęła głową, nie odrywając spojrzenia od prześlicznej budowli wznoszącej się przed nimi.

– Jest oszałamiający, prawda?

Piękny Zamek Araluen pozornie nie wyglądał aż tak solidnie, jak chociażby twierdza Redmont. Jednakże w jego urodzie kryła się także potęga. Wysokie mury i głęboka fosa bez trudu mogły powstrzymać atakujących, podczas gdy wieże i blanki dostarczały obrońcom doskonałych pozycji, z których oni mogli zasypywać napastników gradem strzał, włóczni i kamieni lub też oblewać ich wrzącym olejem albo wodą.

Przez kilka minut dziewczęta nie ruszały się z miejsca, podziwiając majestatyczną budowlę. W końcu Maddie szturchnęła piętami Sundancera, Ingrid zrobiła to samo i po chwili jechały już spokojnym cwałem przez prześlicznie utrzymane tereny parkowe i starannie skoszone trawniki. Tu i ówdzie kępy drzew zapewniały cień i schronienie przed wiatrem osobom, które chciały odpocząć w parku. Wszystko to miało głębszy cel. Dzięki takiemu zagospodarowaniu terenu żaden większy oddział nie miałby szans zbliżyć się niepostrzeżenie do zamku. Otwarta przestrzeń zapewniała doskonały widok w promieniu co najmniej pół kilometra od zamku

i chroniła przed atakiem z zaskoczenia. Nawet grupka licząca pół tuzina ludzi zostałaby z łatwością zauważona z licznych posterunków strażniczych usytuowanych na murach. Dlatego park nie tylko cieszył oko, lecz także stanowił dodatkowe zabezpieczenie zamku przed intruzami i napastnikami.

Nie były nawet w połowie drogi, gdy ich uwagę zwróciło jakieś poruszenie przy bramie głównej. Potężny zwodzony most był opuszczony, jak zawsze w ciągu dnia, jeśli nie spodziewano się żadnego zagrożenia. Maddie przyjrzała się uważnie, a ponieważ wiedziała, czego się spodziewać, bez trudu dostrzegła dwóch wartowników, którzy stanęli szybko na baczność, gdy z zamku wyjechał pełnym galopem samotny jeździec.

– Zastanawiam się, któż to może być? – zapytała przeciągle Maddie z chytrym uśmiechem. Jeździec galopował w ich stronę w dół wzgórza, a jego długie jasne włosy powiewały na wietrze, podobnie jak szarfa na szyi, wydymająca się od pędu powietrza.

– Czy to możliwe, żeby to była twoja matka? – zapytała Ingrid z takim samym rozbawieniem.

– Jej Wysokość księżniczka regentka? – odparła Maddie. – Nie podejrzewasz chyba, że wykazywałaby się takim brakiem godności i lekceważeniem etykiety?

– Zrobiła to w zeszłym roku – przypomniała Ingrid.

– A także w jeszcze poprzednim – zgodziła się z nią Maddie. Zatrzymała Sundancera i stanęła w strzemionach, by pomachać zbliżającej się ku nim szybko kobiecie na powitanie.

Cassandra ściągnęła cugle tak gwałtownie, że jej koń przysiadł na zadnich nogach i wyhamował z poślizgiem, zatrzymując się obok nich w chmurze kurzu i wyrwanej trawy. Księżniczka przełożyła nogę nad łękiem i zeskoczyła lekko na ziemię, by podbiec do córki z wyciągniętymi ramionami.

– Maddie! Maddie! W końcu wróciłaś! – Jej głos był wyższy niż zwykle z powodu ekscytacji.

Maddie zdecydowanie spokojniej zsiadła z konia. Ledwie jednak zdążyła wyciągnąć stopę ze strzemienia, a już matka, piszcząc z radości, wpadła na nią i objęła ramionami tak, że obie straciły równowagę.

– Spokojnie, mamo! – zawołała Maddie bez tchu. – Zaraz mnie przewrócisz!

Ingrid patrzyła z rozbawieniem, jak przewidywania Maddie stają się rzeczywistością – matka i córka straciły równowagę i przewróciły się na równo skoszoną trawę, turlając się ze śmiechu. Cassandra pierwsza zdołała się opanować, podniosła się i wyciągnęła rękę, by pomóc wstać Maddie.

– Co za podróż! – powiedziała Maddie, nadal roześmiana, wytrzepując zabłąkane źdźbła trawy z włosów. – Najpierw zatrzymali nas bandyci, a kiedy już myślałam, że jestem bezpieczna w domu, własna matka szarżuje na mnie jak wściekły byk.

Z twarzy Cassandry w jednej chwili zniknęło rozbawienie. Popatrzyła na córkę z niepokojem.

– Bandyci? Zatrzymali was bandyci? Co się stało? Nic wam nie jest?

– Niestety, mamusiu – odparła Maddie z kamienną twarzą. – Zostałyśmy obie zamordowane. Patrzysz na nasze duchy. Oczywiście, że nic nam nie jest.

– Ale co się stało? Znalazłyście się w niebezpieczeństwie? Kiedy to się stało? Gdzie oni są teraz? – Pytania płynęły non stop, a słowa zlewały się ze sobą. Maddie podniosła rękę, by powstrzymać ten strumień, ale matka popatrzyła na pokojówkę.

– Ingrid, co się stało? Na litość boską, niech ktoś mi udzieli rzeczowej odpowiedzi!

Ingrid uśmiechnęła się uspokajająco.

– Wasza Wysokość, naprawdę nic poważnego nam nie groziło. Wasza córka z łatwością sobie z nimi poradziła.

– Ilu ich było? Gdzie są teraz? Jesteście pewne, że nic się wam nie stało? – Widać było, że spokojna odpowiedź Ingrid nie wystarczyła, by rozwiać obawy Cassandry.

– Naprawdę nic nam nie jest, Wasza Wysokość. Nie byłyśmy ani przez chwilę w prawdziwym niebezpieczeństwie.

– Ale co się stało? – powtórzyła Cassandra. Jej głos robił się coraz wyższy, gdy próbowała uzyskać odpowiedzi na swoje pytania. Dosłownie przeskakiwała z jednej nogi na drugą, co było wyraźną oznaką poruszenia, jakie czułaby każda matka na wiadomość, że jej dziecko znalazło się w niebezpieczeństwie.

Maddie położyła rękę na jej ramieniu, chcąc ją uspokoić.

– Mamo, to nic takiego. Byłyśmy o pół dnia drogi stąd, przejeżdżałyśmy przez Las Alder, kiedy trzech obszarpanych opryszków postanowiło nas

obrabować. Wyszli na drogę i kazali nam oddać wszystkie cenne rzeczy.

– Czy byli uzbrojeni?

Maddie wzruszyła ramionami.

– Ledwie. Jeden miał maczugę, drugi dość żałośnie wyglądający łuk, a trzeci włócznię.

– Był za nami, żeby odciąć nam drogę ucieczki – wtrąciła Ingrid.

Cassandra spojrzała na nią szybko.

– Czyli nie mogłyście uciec?

Nic z tego, co mówiły dziewczęta, nie uspokajało jej ani odrobinę.

– Nie wydaje się, żeby była taka potrzeba – zapewniła ją Maddie. Naprawdę nie mogła zrozumieć, czemu jej matka tak się uczepiła tego tematu. Z drugiej strony sama nie była matką.

Ingrid znowu przejęła wątek opowieści.

– Lady Maddie strzeliła z procy i strzaskała łuk. Potem strzaskała ramię łucznikowi – powiedziała. Kiedy były same z Maddie, zwracała się do niej po prostu po imieniu, ale uznała, że w obecności matki dziewczyny powinna okazać trochę więcej szacunku.

– Potem Ingrid walnęła drugiego palcatem – dodała Maddie i popatrzyła na swoją pokojówkę. – Swoją drogą, bardzo praktyczna rzecz. Muszę też taki mieć.

– Uderzyłaś go palcatem? – zapytała Cassandra. To nie brzmiało jak szczególnie skuteczny sposób na poradzenie sobie z uzbrojonym bandytą.

Ingrid pokazała jej palcat i wskazała ciężką kamienną gałkę.

– To nie jest zwykły palcat – wyjaśniła. – Rękojeść obciążona jest ołowiem, a na końcu ma ciężki kamień.

– No i wreszcie Zderzak załatwił trzeciego – ciągnęła Maddie. – Popchnął go tak, że bandzior poleciał jak długi na ziemię. Zrobiło się trochę nieprzyjemnie, więc złamałam mu rękę pociskiem z procy. Nie mogłam dopuścić, żeby skrzywdził Zderzaka. – Odwróciła się z uśmiechem do małego konika, który na dźwięk swojego imienia nastawił uszu i cicho zarżał.

Cassandra wreszcie trochę się uspokoiła, Maddie poklepała więc matkę po ramieniu.

– Mamusiu, to było tylko trzech opryszków. Pamiętaj, że od trzech lat jestem uczennicą zwiadowców. Bywałam już w znacznie gorszych sytuacjach.

Cassandra przesunęła dłonią po twarzy.

– Nawet mi o tym nie mów. Naprawdę nie chcę tego słuchać. – Położyła dłonie na ramionach córki i spojrzała jej głęboko w oczy. – Jesteś pewna, że nic ci nie jest? – zapytała całkiem poważnym tonem.

Maddie uśmiechnęła się.

– Nic mi nie jest, mamo. Naprawdę. Ingrid sama by sobie z nimi poradziła. Jest naprawdę dobra w walce – zapewniła.

Ingrid z uśmiechem potrząsnęła głową. Pomyślała, że jeśli chodzi o bycie dobrym w walce, z pewnością nikt nie przewyższa jej pani. Bawiło ją, że Cassandra nie jest świadoma, iż jej córka jest wyszkoloną wojowniczką, posługującą się biegle łukiem, procą i nożem. Mogła być jeszcze uczennicą, ale uczniowie zwiadowców byli naprawdę niebezpieczni. Szczególnie dla głupich, kiepsko uzbrojonych opryszków, którzy polegali bardziej na groźbach i wrzaskach niż na faktycznej umiejętności używania broni.

Wyglądało na to, że Cassandra w końcu została uspokojona. Uśmiechnęła się bowiem do córki i jeszcze raz ją uściskała – tym razem delikatniej niż poprzednio.

– Cóż, skoro jesteś pewna, że nic ci się nie stało...

Maddie uścisnęła ją gorąco.

– Jestem pewna, mamo. Naprawdę. – Cofnęła się o krok i rozłożyła ręce na boki, żeby matka mogła się jej przyjrzeć. – Widzisz? Ani śladu.

Nie uszło jej uwagi, że Cassandra obejrzała ją uważnie w poszukiwaniu jakichś obrażeń. W końcu wydawało się, że regentka jest usatysfakcjonowana. Skinęła głową i odwróciła się, żeby podejść do swojego konia, który skubał trawę w pobliżu.

– W takim razie wracajmy do domu – powiedziała Cassandra. – Różne osoby czekają, żeby się z tobą przywitać.

Wsiadły na konie i w milczeniu pojechały trawiastym zboczem w stronę zamku. Jechały tuż obok siebie, w odległości może metra, trzymając się za ręce. Kiedy zbliżyły się do wartowników, stojących na skraju mostu zwodzonego, Cassandra puściła rękę Maddie i odwróciła się do niej.

– Nie wspominałabym o tym incydencie twojemu ojcu – odezwała się półgłosem. – Wiesz, że ma on zwyczaj się zamartwiać.

– On ma zwyczaj się zamartwiać?! – zapytała z niedowierzaniem Maddie. Uświadomiła sobie jednak, że matka mówi poważnie, pokiwała więc głową. – Ode mnie nie usłyszy ani słowa.

Zbyt dobrze znała swoją matkę i doskonale wiedziała, gdzie i kiedy jej ojciec dowie się o przygodzie na leśnym trakcie

Przez kilka następnych godzin służba i starzy przyjaciele witali Maddie w domu, ona zaś robiła obchód potężnego zamku, by spotkać się z ludźmi, których znała od lat. Na pierwszym miejscu wśród nich był rzecz jasna ojciec. Kiedy tylko zsiadła z konia na dziedzińcu, Horace zamknął ją w niedźwiedzim uścisku, podniósł do góry i okręcił się z nią, powtarzając raz za razem jej imię.

Kiedy w końcu Maddie przywitała się ze wszystkimi, z wyjątkiem swojego dziadka, króla Duncana, razem z rodzicami udała się do królewskich apartamentów w donżonie na prywatny obiad rodzinny.

– Jutro możesz przywitać się z dziadkiem – powiedziała Cassandra. – Ostatnio jest bardzo słaby i teraz już śpi.

– Miałam nadzieję, że może czuje się lepiej – przyznała Maddie z nutą smutku w głosie.

Horace potrząsnął głową.

– Jego stan wcale się nie poprawia. Raczej pogarsza się z każdym dniem. Cieszę się, że przyjechałaś, bo to może być wasze ostatnie spotkanie.

Maddie poczuła napływające pod powieki piekące łzy. Od pewnego czasu wiedziała, że stan zdrowia Duncana pogarsza się – właśnie dlatego w jego imieniu rządziła jako regentka jej matka. Jednakże świadomość, że już niedługo może go zabraknąć, napełniała ją najgłębszym smutkiem. Przez kilka minut milczała, starając się oswoić z tą wiadomością.

Horace łagodnie objął ją ramieniem.

– Ale teraz jesteś w domu i nikt nie powiedział, że jego zdrowie nie może się poprawić.

Maddie przełknęła łzy i zmusiła się do uśmiechu. Naprawdę cieszyła się, że znowu widzi rodziców, i nie mogła się doczekać, aż będą mogli z ojcem powymieniać opowieści. Przy okazji zamierzała dowiedzieć się więcej o planowanej przez niego i Gilana wyprawie, mającej na celu rozprawienie się z tajemniczym Klanem Czerwonego Lisa. W głębi duszy snuła już plany jakiegoś podstępu, który pozwoliłby jej do nich dołączyć.

Usiedli do obiadu, na który podano jedną z ulubionych potraw Maddie – długo pieczoną łopatkę jagnięcą przyprawioną rozmarynem i czosnkiem niedźwiedzim, do tego pieczone na chrupko ziemniaki i duszone jarzyny. Smakowite mięso piekło się w szczelnie przykrytym żelaznym kociołku przez prawie trzy godziny, a teraz, gdy wbiła w nie nóż i widelec, praktycznie samo odpadało od kości.

– Mmm, pycha – powiedziała. – Równie dobre jak to, co gotuje Jenny.

Matka uśmiechnęła się, ponieważ osobiście przygotowała posiłek.

– To przepis Jenny – przyznała. – Ale cieszę się, że doceniasz moje talenty kulinarne.

Przez kilka minut jedli w pełnej zadowolenia ciszy, aż wreszcie Horace odłożył sztućce i przyjrzał się córce. Pomyślał, że wydaje się jakaś starsza, a zaraz potem uświadomił sobie, że przecież jest starsza – w jej wieku rok to był bardzo długi czas. Wydawała się zdrowa i silna, emanowała z niej także nowo nabyta pewność siebie, co bardzo mu się podobało. W odróżnieniu od swojej żony wręcz nie posiadał się z radości, że Maddie szkoli się na zwiadowcę. Dzięki temu uczyła się strategii i taktyki, a także przyswajała umiejętność szybkiej i dogłębnej analizy sytuacji, co bardzo jej się przyda, gdy kiedyś zasiądzie na tronie.

– To co tam u ciebie słychać? – zapytał.

Cassandra natychmiast wybuchnęła powstrzymywanym do tej pory potokiem słów.

– Co u niej słychać? Zaraz ci powiem! Została napadnięta przez bandytów zaledwie pół dnia drogi stąd! Zaatakowali ją i musiała walczyć o życie! Mamy szczęście, że w ogóle jest z nami. To wszystko twoja wina!

– Moja wina? – zapytał łagodnie Horacy.

Cassandra energicznie skinęła głową i oskarżycielsko wyciągnęła widelec w jego kierunku, tak że mąż cofnął się odrobinę.

– To twoja wina, że zachęcasz ją, żeby dalej zajmowała się tymi sprawami zwiadowców, zamiast siedzieć bezpiecznie w domu, razem z nami.

Horace patrzył na nią spokojnie, aż się opanowała, odrobinę zarumieniona i zawstydzona własnym wybuchem.

– No to co się stało? – zapytał córkę.

– Nic takiego, tato, naprawdę. Trzech niezdarnych bandziorów próbowało nas zatrzymać. Powaliłam jednego z procy, Ingrid ogłuszyła

drugiego, a Zderzak zajął się trzecim.

– A co z nimi potem zrobiłaś?

Maddie wzruszyła ramionami.

– Związałyśmy ich i oddałyśmy w ręce miejscowego lorda z najbliższej posiadłości, sir Geralda Jak-mu-tam-było.

– Czyli sir Geralda Wolldena – odgadł Horace. – Wyślę mu list z podziękowaniem – obiecał, a potem uśmiechnął się szeroko. – Mówisz, że Ingrid jednego ogłuszyła?

Maddie odwzajemniła uśmiech.

– Swoim palcatem. Walnęła go rękojeścią tak, że zobaczył wszystkie gwiazdy.

Horace wyraźnie był pod wrażeniem.

– Cóż, to świetnie. – Zauważył wzrok Cassandry i wskazał skinieniem głowy półmisek. – Czy byłabyś tak dobra i nałożyłabyś mi jeszcze parę kawałków? – zapytał. – To jest wyjątkowo smaczne.

Cassandra westchnęła i z politowaniem potrząsnęła głową nad jego całkowitą niefrasobliwością.

– Widać wyraźnie, że nie jesteś matką – oznajmiła.

Horace uniósł brwi.

– Cóż, dziękujmy za to bogom – odpowiedział.

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia Cassandra urządziła przyjęcie w parku otaczającym zamek, by wszyscy okoliczni mieszkańcy mogli powitać powracającą do domu Maddie. Wśród gości byli służący z pałacu, a także strażnicy, którzy w tym momencie nie pełnili warty. Tłumnie przyszli także mieszkańcy pobliskiej wsi, a oprócz nich lokalna szlachta i mieszkańcy osad rozrzuconych w promieniu kilku kilometrów.

Nikt nie był rozczarowany uroczystością, chociaż niektórzy z obecnych musieli pokonać długą drogę. Nad ogromnymi dołami pełnymi żarzących się węgli piekły się jagnięta, prosiaki i połcie wołowiny, obracane powoli na rożnach przez spoconych muskularnych kucharzy. Przerywali oni swą pracę tylko po to, by kuchcikowie mogli odkrawać soczyste kawałki pieczonego mięsa z obracanej tuszy. Ustawione kilka metrów dalej stoły uginały się od brązowego, chrupkiego pieczywa i smakowitych placków.

Były tu także stragany, na których sprzedawano owoce i kolorowe budynie dla wielbicieli czegoś słodkiego, podparte zaś na kozłach beczki wina i piwa tylko czekały, by ugasić pragnienie gości. Dla młodszych przygotowano osłodzoną cukrem wodę z cytryną – dla wielu wiejskich dzieci był to rzadki przysmak, więc starały się w pełni wykorzystać okazję.

Nie zabrakło także innych atrakcji – w różnych punktach parku popisywali się żonglerzy, akrobaci, minstrele i grajkowie. Oczywiście można było także znaleźć pojawiające się zawsze przy takich okazjach stoiska, na których można było sprawdzić swoje umiejętności, na przykład w rzucaniu obręczą do celu, chociaż uważny obserwator mógłby zauważyć, że drewniane pierścienie wydawały się podejrzanie mniejsze niż nagrody, na które należało je zarzucić. W beczkach wypełnionych wodą pływały jabłka, a rozbawieni ludzie prychali, puszczali bańki nosem i nierzadko zanurzali całą głowę, starając się złapać jeden ze śliskich, kołyszących się owoców.

Młodzieńcy mogli spróbować zmierzyć się z potężnym i łysym mężczyzną w obszarpanej przepasce z lamparciej skóry. Siadali naprzeciwko niego przy stole i siłowali się z nim na rękę. Był jednak doświadczonym zawodnikiem, a jego umiejętności nie ograniczały się do wykorzystywania brutalnej siły. Potrafił wyczuć właściwy moment, by jako pierwszy przypuścić atak, i w efekcie rzadko przegrywał.

Namiot, w którym wystawiano „Puncha i Judy", zapewniał rozrywkę młodszym dzieciom, które głośno piszczały ze śmiechu, widząc, jak Judy okłada swojego nieszczęsnego męża pałką zrobioną z długich drewnianych listewek, wydającą przy każdym ciosie satysfakcjonujące trzaski.

Jeszcze głośniejsze piski dobiegały z namiotu, w którym starsze dzieci próbowały przypinać ogon osiołkowi. Zawodnicy uznali, że zdecydowanie zabawniejsze jest podglądanie przez zawiązaną na oczach opaskę i wbijanie szpilki z całej siły w imponujący zadek tłustego rycerza, który na kolorowym obrazie prowadził osiołka. Jedna z dziewczynek pod wpływem ogólnych emocji zdołała nawet wbić szpilkę w siedzenie pechowego pracownika obsługującego tę konkurencję. Jej wyczyn został powitany kolejną falą pisków i bardzo głośnym kwikiem niczego niespodziewającej się ofiary.

Wśród przybyłych z wizytą szlachciców i rycerzy Horace wypatrzył sir Geralda Wolldena z Tonbridge. Podszedł do starszego rycerza i skinął głową w życzliwym powitaniu.

– Sir Geraldzie – powiedział – jestem ci winien wdzięczność za pomoc, jakiej udzieliłeś mojej córce.

Sir Gerald, który właśnie ugryzł kawałek placka na gorąco, uniósł przepraszająco dłoń, prosząc o cierpliwość, zanim zakończy walkę z gorącym mięsem, tłuszczem i wybornym, rozpadającym się w ustach ciastem. Pospiesznie przełknął kęs, parząc się przy tym w język i podniebienie. Musiał po tym wypić duży łyk piwa z trzymanego w drugiej ręce kufla. Dopiero potem udało mu się odpowiedzieć.

– Proszę o wybaczenie, milordzie – wymamrotał, ocierając usta grzbietem dłoni.

Horace uśmiechnął się i czekał cierpliwie. Nie zamierzał zawstydzać starszego rycerza.

– Spokojnie, sir Geraldzie. Nigdzie nam się nie spieszy – powiedział swobodnie.

Sir Gerald upił jeszcze łyk piwa, by schłodzić poparzone usta, a potem zakołysał się w czymś pomiędzy ukłonem a dygnięciem.

– Chciałem powiedzieć, milordzie, że niezwykle mnie ucieszyło, iż mogłem przysłużyć się księżniczce Madelyn – zdołał wreszcie oznajmić.

Horace zaczekał jeszcze chwilę, zanim podjął rozmowę.

– Jeśli chcesz, mogę wysłać moich ludzi, żeby zabrali od ciebie tych bandytów. Nie chciałbym, żebyś musiał się nimi kłopotać.

– To żaden kłopot, milordzie. Całkowicie zarabiają na swoje utrzymanie. Mamy we wsi mnóstwo ciężkich prac do wykonania, a oni się nimi zajmują. Moi poddani bardzo się cieszą, mogąc korzystać z ich usług. Chociażby dziś rano oczyścili dół kloaczny za gospodą. Dawno nikt się tym nie zajmował, więc wieśniacy byli bardzo zadowoleni, że ktoś robi to za nich.

Horace był pod wrażeniem, jak jego córka rozwiązała kwestię kary dla niedoszłych rabusiów. Zdecydowanie lepiej jest kazać im wykonywać żmudne i potrzebne prace, niż uciekać się do bardziej drastycznych kar w rodzaju powieszenia lub obcięcia ręki.

– To doskonale – powiedział. – Ale koniecznie daj mi znać, gdyby zaczęli sprawiać problemy… Albo gdyby skończyły wam się doły kloaczne do opróżniania.

– Oczywiście, milordzie – odparł sir Gerald i odgryzł kolejny kawałek placka, który tymczasem ostygł na tyle, że jedzenie go stało się znacznie przyjemniejsze.

Horace położył mu dłoń na ramieniu.

– Nie musisz tytułować mnie „milordem”, sir Geraldzie – powiedział. – Nie jestem żadnym lordem, tylko zwykłym rycerzem, tak samo jak ty. Wystarczy, jeśli będziesz się do mnie zwracać „sir Horace”.

Horace był żarliwym głosicielem równości. Nie widział żadnego powodu, dla którego miałby używać górnolotnych tytułów, na które, swoim zdaniem, nie zasłużył.

Sir Gerald pokiwał kilka razy głową.

– Oczywiście, mi… Oczywiście, sir Horace – poprawił się. Trudno było mu wierzyć, że mężczyzna będący małżonkiem przyszłej królowej Araluenu nie przyznał sobie żadnych tytułów ani odznaczeń. Wiele razy słyszał jednak, że sir Horace w głębi duszy był prostolinijnym, skromnym

człowiekiem, a mimo to pozostawał jednym z najwaleczniejszych rycerzy w całym królestwie.

Horace skinął głową i oddalił się, zobaczył bowiem w tłumie Maddie. Kierowała się do strzelnicy u stóp wzgórza; teren był tam dostatecznie równy, by dało się rozstawić tarcze i bele słomy chroniące postronnych przed przypadkowymi strzałami.

Maddie zapłaciła właścicielowi strzelnicy piątaka za trzy próby, a teraz krytycznie przyglądała się przygotowanym dla zawodników łukom i strzałom. Wiele łuków miało krzywe łęczyska i nie wyglądały dużo lepiej od tego, którym niedawno próbował ją zastraszyć bandyta. Strzały z kolei miały wyłysiałe lotki – większości z nich zostały tylko dwa pióra, drzewce zaś często były wygięte.

Goście, którzy płacili, chcąc spróbować sił w łucznictwie, nie zwracali najczęściej na to uwagi, nie odrywali bowiem wzroku od atrakcyjnych nagród.

Łuki dźwięczały, a strzały szybowały w stronę odległych o trzydzieści metrów celów. Wiele strzał niespodziewanie skręcało w powietrzu, przelatywało obok tarcz i wbijało się w bele słomy ustawione dla bezpieczeństwa za celami. Inne spadały już po kilku metrach i wbijały się w miękką ziemię. Prowadzące strzelnicę małżeństwo wydawało się bardzo zadowolone z dotychczasowych rezultatów. Żaden porządny łucznik nie próbowałby strzelać z kiepskich łuków, które przygotowali, co oznaczało, że ich klientami byli ludzie mający bardzo słabe lub wręcz żadne pojęcie o łucznictwie.

Maddie wzięła łuk z mniej więcej równym łęczyskiem, trochę tylko wykrzywiony na jednym końcu. Przyjrzała się rozłożonym strzałom i szybko wybrała trzy niemal proste i z kompletem lotek. Sprawdziła siłę naciągu – nie przekraczała piętnastu kilogramów. Musiała celować wysoko, by zmieścić się w trzydziestometrowym dystansie. Założyła strzałę na cięciwę.

– Trzy strzały w czerwone koło, żeby wygrać nagrodę – poinformowała żona właściciela strzelnicy. Czerwone koło było w samym środku tarczy.

– Nie popisuj się – odezwał się ktoś tuż koło Maddie.

Odwróciła się i zobaczyła stojącego za nią ojca.

– Pamiętaj – ciągnął – że masz być bezradną młodą damą, a nie sokolooką łuczniczką.

Uśmiechnęła się leniwie, a potem, prawie nie celując, napięła łuk i płynnym ruchem wypuściła strzałę. Strzała utkwiła w samym środku czerwonego koła.

– Ooooo! Trafiłam! Trafiłam! – pisnęła tak, jak jej zdaniem powinna brzmieć dziewczęca ekscytacja. Upuściła łuk i zaklaskała z radości w dłonie.

Horace uniósł wzrok do nieba.

– Komediantka – powiedział cicho.

Maddie uśmiechnęła się do niego i wzięła drugą strzałę. Zorientowała się, że właściciel strzelnicy nieznacznie podmienił jedną z tych, które wybrała, na wyjątkowo krzywy egzemplarz. Jakby nigdy nic założyła strzałę i napięła łuk, trzymając go niezgrabnie i ściskając koniec strzały palcem wskazującym i kciukiem. Pozwoliła, by dłoń, którą trzymała łuk, zadrżała jakby ze zmęczenia, zmarszczyła mocno brwi i wycelowała prosto w środek tarczy, ponieważ wiedziała, że ta strzała z całą pewnością tam nie doleci.

Wystrzeliła. Strzała wyskoczyła z łuku i skręciła w powietrzu tak, że przeleciała z prawej strony tarczy i wbiła się w bele słomy za nią.

– Oooojej! Spudłowałam! – jęknęła z udawanym rozczarowaniem. Horace znowu przewrócił oczami. – Czy jest jakaś nagroda za trafienie w belę słomy? – zapytała z nadzieją.

– Trzy strzały w czerwone koło, żeby wygrać nagrodę – powtórzyła beznamiętnie żona właściciela. Jej mąż ukradkiem sięgnął po ostatnią prostą strzałę, mając nadzieję, że znowu uda mu się podmienić ją na gorszą. Maddie chwyciła ją szybko, ale udała, że to całkowity przypadek. Napięła łuk i strzeliła. Tym razem strzała wbiła się w czerwone koło tuż obok poprzedniej. Maddie spojrzała na właściciela z olśniewającym uśmiechem.

– Czy coś za to dostanę?

Mężczyzna potrząsnął głową.

– Trzy strzały we własne czerwone koło, żeby dostać nagrodę, pani – powiedział i pokazał kolejne trzy strzały. – Może jeszcze jedna próba?

Maddie potrząsnęła głową.

– To pewnie było szczęście początkującego – odparła ze słodkim uśmiechem. – Poza tym te łuki są okropnie niebezpieczne.

Stojący koło niej Horace jęknął. Jego córka rzuciła mu porozumiewawczy uśmiech, a potem oboje, ramię w ramię, ruszyli w stronę

zamku. Popołudnie było już późne, a cienie stawały się coraz dłuższe. W powietrzu czuć było odrobinę chłodu.

– Dobrze się bawisz? – zapytał Horace.

Maddie skinęła głową.

– Tak, cieszę się, że mogłam znowu wszystkich zobaczyć. Jest tu mnóstwo osób, za którymi tęskniłam. – Z szerokim uśmiechem rozejrzała się po zatłoczonym parku. Wiedziała, że za kilka dni znudzi się ograniczeniami dworskiego życia oraz swojej pozycji i zatęskni za swobodą i aktywnością życia zwiadowców. Na razie jednak była zadowolona.

– Mam wrażenie, że strzelałaś już kiedyś z łuku – odezwał się nagle głos za nią.

Odwróciła się i przeżyła miłe zaskoczenie. Był to młodzieniec po dwudziestce, wysoki i smukły, ale szeroki w barkach. Miał gładko ogoloną twarz z mocno zarysowaną, kanciastą szczęką, prosty nos i równe białe zęby wyraźnie widoczne w uśmiechu. Był niezwykle przystojny. Jego włosy miały kolor ciemnego blondu i wydawały się ostrzyżone troszeczkę krócej, niż nakazywała moda. W intensywnie niebieskich oczach lśniły psotne iskierki i zdaniem Maddie to właśnie przede wszystkim sprawiało, że wydawał się tak atrakcyjny. Zauważyła też, że miał na sobie mundur straży zamkowej – sądząc po srebrnych insygniach na prawym ramieniu, był kapitanem.

Od razu go polubiła.

– To tylko kwestia szczęścia – odparła i odwzajemniła uśmiech. – Szczęście początkującego.

Przechylił głowę na bok, a wyraz jego oczu zdradzał, że nie uwierzył w słowa dziewczyny, ale pozwolił jej wykręcić się tą wymówką.

– Skoro tak twierdzisz. – Skłonił się z szacunkiem przed Horace’em. – Dzień dobry, sir Horace – powiedział. – Jak wnoszę, to właśnie księżniczka Madelyn, na którą czekaliśmy?

– Dzień dobry, Dimonie – przywitał się Horace. – Tak, to ona. Maddie, to jest Dimon, jeden z naszych najzdolniejszych młodych oficerów. Dimonie, to księżniczka Madelyn.

Dimon stanął na baczność i lekko skłonił głowę przed Maddie. Podobało jej się, że nie wykonał zamaszystego ukłonu, z jedną nogą wysuniętą do przodu i ręką zataczającą w powietrzu półokrąg. Tego rodzaju teatralne gesty zawsze wydawały się jej podejrzane.

– Cieszę się, że mogłem poznać Waszą Wysokość – powiedział. Jego oczy nadal lśniły, jakby dzielił się z nią potajemnym żartem. Zachowywał się ze swobodną życzliwością, ale i z szacunkiem. Nie wydawał się przytłoczony jej tytułem ani obecnością jej ojca i Maddie uznała, że to się jej podoba. Widać było, że Dimon jest młodzieńcem świadomym swojej wartości.

– Możesz mówić do mnie Maddie – powiedziała i także skinęła mu głową. – Wszyscy przyjaciele tak do mnie mówią.

– W takim razie cieszę się, że zechciałaś mnie do nich zaliczyć – odpowiedział. – Mam nadzieję, że będę cię widywać częściej, dopóki z nami pozostaniesz.

– Z całą pewnością – odparła Maddie.

Horace cały czas przyglądał im się bacznie. Widać było, że przypadli sobie do gustu, ale pomyślał, że to właściwie nic dziwnego. Oboje byli bardzo atrakcyjni i młodzi. Nagle poczuł przypływ ojcowskiego niepokoju – do tej pory nie musiał się martwić o Maddie i chłopców. Było to dla niego nowe doświadczenie.

– Może Dimon znajdzie czas, żeby pod moją nieobecność zabrać cię na polowanie – podsunął.

– Na pewno znajdę czas – zapewnił młody kapitan. – Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć znowu, jak strzelasz. Tym razem z porządnego łuku.

– Ten pierwszy strzał to był całkowity przypadek – wyjaśniła Maddie. – Właściwie wolę strzelać z procy.

Dimon skinął głową z namysłem.

– Podobnie jak twoja matka – zauważył. – Słyszałem, że jest strzelcem wyborowym.

– Ale ja jestem lepsza – oznajmiła Maddie. – Z drugiej strony mam więcej czasu, żeby ćwiczyć, bo nie jestem zajęta rządzeniem.

– Mam nadzieję, że będę miał okazję podziwiać twoje umiejętności. Proszę o wybaczenie, sir – powiedział, zwracając się do Horace’a. – Od czwartej mam mieć wartę, więc muszę już wracać do zamku. Księżniczko Maddie – dodał – mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy.

– Ja również – odparła Maddie.

Dimon odwrócił się i długimi krokami ruszył w stronę zamku, szybko pokonując dystans dzielący go od bramy. Maddie popatrzyła na ojca

i dostrzegła na jego twarzy ledwie widoczny wyraz zmieszania.

– Bardzo miły chłopak – oceniła Maddie. – Skąd on się wziął? Nie przypominam go sobie.

– Dołączył do nas jakieś pół roku temu – wyjaśnił Horace. – Jest niezwykle zdolny. Zdążył już awansować dwa razy.

– Czy ma jechać z tobą i Gilanem?

– Nie – odparł Horace. – Zostanie tutaj jako dowódca garnizonu.

Maddie uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– To dobrze – stwierdziła.

ROZDZIAŁ 9

Przez następne dni Maddie miała do nadrobienia wiele zaległości. Przede wszystkim chciała się zobaczyć z dziadkiem. Mieszkał teraz w słonecznej komnacie na czwartym piętrze i przez większość dnia pozostawał w łóżku. Poprosiła dyżurnego pielęgniarza, czekającego w antyszambrze, by sprawdził, czy dziadek nie śpi i czy nie będzie mu przeszkadzać. Potem zastukała lekko do drzwi i weszła.

Była zaszokowana, jak staro wygląda Duncan. Zawsze wydawał się jej potężnym, pogodnym mężczyzną, a jego niezwykła osobowość wypełniała każde pomieszczenie, w którym się znajdował. Teraz jednak schudł tak bardzo, że dosłownie stał się cieniem dawnego siebie. Policzki miał obwisłe, a oczy głęboko zapadnięte. Jego włosy, które Maddie pamiętała jako elegancko szpakowate, były teraz białe.

Tylko jego uśmiech się nie zmienił. Był szczęśliwy, że ją widzi, ponieważ zawsze byli sobie bardzo bliscy. Maddie przysiadła na krawędzi łóżka i rozmawiała z nim przez jakąś godzinę. Duncan wypytywał ją szczegółowo o naukę i jej postępy w szeregach Korpusu Zwiadowców. Już dawno przekonała się, że całym sercem popierał jej decyzję o kontynuowaniu nauki u Willa podjętą już po pierwszym roku.

– Pewnego dnia będziesz rządzić tym krajem – powiedział. – Czas spędzony wśród zwiadowców przyniesie ci więcej korzyści niż godziny haftowania czy doskonalenia innych umiejętności, jakie przystoją damom. Musisz być zdolna prowadzić ludzi, dowodzić w czasie bitwy i planować strategie. Nic nie nauczy cię tego lepiej niż szkolenie zwiadowców.

Duncan wysoko cenił sobie Willa i Halta. Halt był oczywiście jednym z pierwszych zwiadowców, którzy dawno temu wsparli Duncana w walce z Morgarathem. Natomiast Will jeszcze jako uczeń odegrał kluczową rolę w pokrzyżowaniu ostatniego planu Morgaratha, mającego na celu przejęcie tronu.

Maddie spędziła z dziadkiem godzinę, barwnie relacjonując mu przygody, jakie przeżywała wraz z Willem – opowiadała o przechytrzonych i aresztowanych rozbójnikach, a także o hibernijskich piratach, którzy starali się wykorzystywać zachodnie wybrzeże Araluenu jako kryjówkę przed własnymi władzami i których trzeba było od czasu do czasu przepędzać. W kolejnych historiach często prezentowała samą siebie w krzywym zwierciadle i cieszyła się, widząc błysk w oku dziadka i słysząc jego głęboki śmiech.

W końcu dostrzegła, że jest już zmęczony. Kiedy raz czy dwa stłumił ziewnięcie, Maddie zrozumiała, że powinna pozwolić mu odpocząć. Pocałowała go lekko w czoło i pożegnała się. Kiedy podeszła do drzwi, Duncan zawołał ją jeszcze, więc odwróciła się. Pomachał do niej.

– Dziękuję, że przyszłaś, Maddie. Możesz wpadać, kiedy tylko zechcesz.

– Na pewno, dziadku – obiecała. Duncan zamknął oczy, a jego oddech stał się głębszy i bardziej regularny.

W królewskich apartamentach Maddie znalazła krótką wiadomość od Gilana.

Strój jeździecki. Stajnie. Godzina jedenasta.

Popatrzyła na ustawiony przy oknie zegar wodny i zobaczyła, że do wyznaczonego spotkania pozostało niecałe dziesięć minut. Szybko przebrała się w strój do jazdy konnej – stosowny naturalnie dla księżniczki Madelyn, a nie dla zwiadowczyni Maddie – i pospiesznie zbiegła po schodach, wybiegła przez główne drzwi na dziedziniec i pędem skierowała się do dużego budynku stajni.

Gilan czekał na nią w pogrążonym w półmroku wnętrzu. Zaskoczona, zobaczyła, że osiodłał zarówno Sundancera, jak i Zderzaka, a także Blaze, swoją własną klacz.

Gestem zaprosił Maddie, by dosiadła Sundancera, a sam wskoczył lekko na siodło Blaze. Zderzak, czujny i z nastawionymi uszami, podążył za nimi, gdy wyjechali kłusem ze stajni na dziedziniec.

– Dokąd jedziemy? – zapytała Maddie.

Gilan uniósł palec do ust, nakazując milczenie.

– Kiedy będziemy na zewnątrz – powiedział.

Przejechali kłusem most zwodzony, na którym kopyta każdego z trzech koni wybijały własny rytm. Za mostem Gilan skręcił na południowy zachód.

– Pomyślałem, że miałabyś ochotę pojeździć na Zderzaku – oznajmił.

Maddie potwierdzająco skinęła głową.

– Oczywiście.

Kiedy znaleźli się pomiędzy drzewami, niewidoczni od strony zamku, zachwycona Maddie przesiadła się na siodło Zderzaka. Przez ostatnie dni stęskniła się za swoim koniem.

– Jasne – rzekł Gilan. – Cóż, nie możemy przecież pozwolić, żeby ludzie zaczęli wypytywać, dlaczego jeździsz na tej zaniedbanej baryłce, skoro masz do dyspozycji świetnego konia arydzkiego. – Skinieniem głowy wskazał Sundancera, którego gładka sierść lśniła w promieniach przedpołudniowego słońca.

Zderzak parsknął z oburzeniem. *Kto niby jest zaniedbaną baryłką?!*

Gilan odwrócił się i spojrzał na niego podejrzliwie. Podobnie jak wszyscy inni zwiadowcy on także rozmawiał ze swoim koniem i wydawało mu się, że zwierzę mu odpowiada. Jednakże podobnie jak wszyscy zwiadowcy nigdy nie wspominał o tym nikomu i zastanawiał się, czy jego towarzysze i ich konie porozumiewają się w podobny sposób. Podejrzewał, że Maddie i Zderzak to robią, ale nie wypadało mu o to pytać.

– No i co? – ponagliła go Maddie. Zauważyła, że z jakiegoś powodu stracił wątek, ale nie wiedziała, co mogło odwrócić jego uwagę. Gilan szybko zebrał myśli.

– No i umówiłem się z małżeństwem farmerów, które mieszka tu niedaleko, że mogą na razie trzymać Zderzaka w swojej stodole. Tak więc będziesz mogła przyjeżdżać do nich na Sundancerze, zmieniać konie i zwiedzać okolicę na Zderzaku.

Maddie uśmiechnęła się zachwycona tym pomysłem. Wcześniej sama zastanawiała się, jak przez czas pobytu w Zamku Araluen ma się wymykać, by pojeździć na Zderzaku. Tak jak mówił Gilan, wydawałoby się podejrzane, gdyby zostawiała pozornie lepszego pod każdym względem konia arydzkiego, by jeździć na czymś, co przypominało kosmatego jucznego kuca.

– Co to za małżeństwo farmerów?

– Warwick jest tak naprawdę kimś więcej niż tylko farmerem – przyznał Gilan. – Jest jednym z moich agentów, ma oko na wszystko, co dzieje się tu w okolicy, i daje mi znać, jeśli zauważy coś podejrzanego. Jest bardzo przydatny, a jego żona, Louise, to także bystra obserwatorka. – Milczał

przez kilka sekund, po czym dodał: – Wiedzą, że należysz do Korpusu, ale na pewno nie zdradzą tego nikomu.

– To ciekawe – powiedziała Maddie. Domyślała się, że Gilan ma siatkę agentów dostarczających mu informacje, ale dopiero teraz jej podejrzenia znalazły potwierdzenie.

Pięć minut później znaleźli się przy farmie, a kiedy wjechali na dziedziniec, Warwick i Louise wybiegli, by ich powitać.

Jeśli Maddie miała nawet jakieś mgliste wyobrażenie, jak powinien wyglądać tajny agent, Warwick zdecydowanie do niego nie pasował. Był niski i krępy, po trzydziestce lub tuż przed czterdziestką, z pogodnym, przyjaznym uśmiechem, który chyba nigdy nie opuszczał jego twarzy. W kącikach oczu widać było zmarszczki od śmiechu, a czubek głowy miał kompletnie łysy, otoczony kręgiem brązowawych włosów przy uszach i z tyłu głowy. Wydawał się bardzo sprawny fizycznie i poruszał się z wyraźną lekkością. Jego przedramiona, widoczne spod krótkich rękawów lnianej koszuli, były grube i muskularne.

Żona była od niego o kilka centymetrów wyższa, smukła i piękna ciemną urodą. Spokojny, wszystkowiedzący uśmiech stale unosił kąciki jej ust. Jej ciemne oczy nie odwracały się od Maddie, tylko bacznie analizowały młodą zwiadowczynię. Dziewczyna podejrzewała, że potrzeba byłoby naprawdę wiele, by zaskoczyć Louise.

– Louise, Warwicku, to jest Maddie, zwiadowczyni, o której wam mówiłem – powiedział Gilan.

Warwick gestem zachęcił Maddie, by zsiadła z konia. Dobre wychowanie nakazywało czekać na takie zaproszenie. Maddie zeskoczyła z siodła Zderzaka, a Gilan zsiadł z grzbietu Blaze.

– Witamy na naszej farmie, Maddie – oznajmił Warwick z szerokim, przyjaznym uśmiechem. Lekko pogładził miękki nos Zderzaka. – Jak się domyślam, to jest Zderzak?

Zderzak potrząsnął łbem na dźwięk swojego imienia. Warwick roześmiał się, sięgnął do kieszeni i wyjął marchewkę, którą podał konikowi na otwartej dłoni. Zderzak schrupał marchew, a potem spojrzał na Maddie.

Już go lubię.

Maddie to wystarczyło. Najkrótszą drogą do jej serca było wkradnięcie się w łaski jej konia, a Warwick uczynił to z łatwością. Uśmiechnęła się do niego.

– Masz nowego przyjaciela – powiedziała.

Warwick skinął radośnie głową.

– Jest prześliczny. Pewnie mógłby galopować cały dzień, gdyby było trzeba.

– I jeszcze pół nocy – zgodziła się z nim Maddie.

– Rozsiodłam go i zaprowadzę do stodoły – obiecał Warwick. – Lou ma świeżo parzoną kawę. Zajrzyjcie do domu i napijcie się z nami.

– Ja z pewnością nie odmówię. – Gilan się uśmiechnął. – Lou robi świetną kawę.

Maddie przywiązała Sundancera do słupa przy drzwiach domu. Blaze oczywiście nie wymagała podobnych zabezpieczeń – czekała cierpliwie na Gilana z cuglami ciągnącymi się swobodnie po ziemi. Kiedy weszli do domu, Maddie zamrugała; po jasnym blasku słońca wydawało jej się, że znalazła się w nieprzeniknionych ciemnościach.

Była to typowa nieduża chata, której parter miał wydzielone części do gotowania, spożywania posiłków i odpoczynku. Krótka drabina prowadziła na wyższy poziom, gdzie, jak domyśliła się Maddie, znajdowała się sypialnia.

Meble były skromne, ale solidnie zrobione. Przy kominku stały dwa wygodne drewniane fotele, wykładane poduszkami, by siedzenie w nich było bardziej komfortowe. Był tu także niewielki stół z ławami po obu stronach, mogący pomieścić cztery osoby. Louise podprowadziła do niego gości i gestem zaprosiła, żeby usiedli. Podniosła dzbanek kawy stojący tuż przy ogniu i nalała im po kubku napoju. Potem podsunęła im słój miodu.

– Wiem, że wy, zwiadowcy, lubicie słodycze – powiedziała z uśmiechem.

Maddie odwzajemniła uśmiech i do parującej, aromatycznej kawy dodała solidną łyżkę miodu. Wypiła łyk. Gilan miał rację – ta kobieta parzyła wyśmienitą kawę.

Po kilku minutach dołączył do nich Warwick. Poklepał Maddie po ramieniu.

– Twój konik mieszka już sobie wygodnie, dostał wielkie wiadro owsa i świeżą wodę. Wygląda na bardzo zadowolonego.

– Możesz przyjeżdżać do niego, kiedy tylko zechcesz – dodała Louise. – Gdybyś chciała, możesz też zostawać na noc.

– Dziękuję – odparła Maddie. – Naprawdę się cieszę, że jest w dobrych rękach.

– O tak, o tak – zapewnił ją Warwick i zatarł dłonie. – Na tej farmie lubimy konie zwiadowców. – Wypił łyk kawy, którą nalała mu żona, i cmoknął z aprobatą. – Ależ kawusia! Parzenie jak marzenie – stwierdził i roześmiał się. – Zrymowałem!

– Zauważyliśmy – odpowiedziała kwaśno Louise, ale mimo to rzuciła mu spojrzenie pełne czułości.

– No dobrze, Warwicku – odezwał się Gilan. – Czy w okolicy dzieje się coś niezwykłego?

Warwick zastanowił się, zanim odpowiedział. Maddie zauważyła, że z jego twarzy zniknął swobodny uśmiech i uświadomiła sobie, że przeszli do oficjalnej części wizyty.

– Podobno znowu widziano światła w starym opactwie – powiedział. – Byłem tam kilka razy, żeby to sprawdzić, ale nigdy się nie pojawili akurat w tym czasie.

– Czy twoi informatorzy są wiarygodni? – zapytał Gilan.

Warwick poruszył się na ławie.

– Nie powiedziałbym, że są całkowicie wiarygodni – przyznał. – Ale wspominali o tym kilka razy przez ostatni miesiąc. Możliwe, że coś jest na rzeczy.

– Albo i nie – wtrąciła cynicznie Louise. – Ludzie potrafią sobie wmówić, że widzieli różne rzeczy, a światła w starym budynku mogą być po prostu złudzeniem wywołanym przez blask księżyca.

Gilan potarł podbródek.

– Niewykluczone. Albo też jacyś podróżnicy szukali tam schronienia na noc. Mimo wszystko zwróciłbym na to uwagę. Jeśli zanim wrócę, zdobędziecie jakieś potwierdzenie, że dzieje się coś dziwnego, przekażcie wiadomość Maddie.

Maddie spojrzała na niego zaskoczona. Zauważył wyraz jej twarzy i wzruszył ramionami.

– Jesteś już uczniem czwartego roku. Ufam twojej ocenie sytuacji, a Will twierdzi, że doskonale potrafisz sobie radzić w nieprzewidzianych okolicznościach. Właściwie zamierzałem poprosić cię, żebyś pod moją nieobecność miała oko na całe lenno. Może udałoby ci się pojechać na patrol ze dwa lub trzy razy w tygodniu. – Spojrzał ponownie na Warwicka. – Ale jeśli ty coś tam zobaczysz, nie próbuj sam się tam zbliżać. Nie chcę, żebyś ryzykował.

Warwick przez chwilę zachowywał całkowitą powagę, ale zaraz potem na jego twarzy pojawił się uśmiech.

– Nie chcesz, żebym ja ryzykował, ale wysłałbyś takie chucherko, żeby zbadało sprawę?

Gilan z powagą pokiwał głową.

– To „chucherko”, jak ją nazywasz, potrafiłoby pociskiem z procy wybić koniowi oko. I to zanimbyś się obejrzał.

Warwick popatrzył na Maddie z wyraźnym respektem, podobnie jak Louise. Dziewczyna poczuła, że się czerwieni.

– To może lekka przesada – przyznała. – Tak naprawdę umiałabym tylko trafić komara w głowę. W oko uczymy się celować dopiero na piątym roku.

– W to rzeczywiście łatwiej mi uwierzyć – odparła Louise z lekkim uśmiechem. – Może ktoś chciałby dolewkę kawy?

ROZDZIAŁ 10

Po drodze do domu minęli plac manewrowy. Każdy jeździec towarzyszący Horace’owi i Gilanowi miał zabrać dwa konie, by oddział mógł podróżować szybciej i nie męczyć nadmiernie wierzchowców. Tak jak mówił Horace, większość zwierząt od kilku miesięcy przebywała na pastwiskach, dlatego niepokoiły się, gdy przyszło im znowu chodzić pod siodłem i do tego nosić jeźdźców. Trzeba było od nowa wdrożyć je w konieczną dyscyplinę.

– Wygląda na to, że są prawie gotowi – zauważyła Maddie. Gilan skinął głową i popatrzył na konie, które uformowały czwórki, a potem rozciągniętą linię. Ruszyły kłusem i zaczęły przyspieszać przez cwał do wyciągniętego galopu, wciąż utrzymując się w szyku.

Kilka koni nadal próbowało wyłamać się i ciągnęło cugle, potrząsało łbami, starało się wypluć wędzidło, jednakże ogólnie rzecz biorąc, zachowywały się przyzwoicie. Ostatecznie koń kawaleryjski nie mógł być zbyt potulny. Odrobina charakteru bardzo się przydawała.

– Czyli jutro wyjeżdżacie? – zapytała Maddie. W jej głosie zabrzmiała nuta tęsknoty.

Gilan przeniósł spojrzenie z koni na swoją towarzyszkę.

– Przed południem – powiedział. – Dzięki temu uda nam się pokonać spory dystans, zanim będziemy musieli rozbić obóz na noc.

– Pewnie nie mogę jechać z wami? – zapytała trochę żałośnie. – Wiesz, że mogłabym się wam przydać.

– Owszem, przydałabyś się. I nie, nie możesz z nami jechać – odparł Gilan z uśmiechem. – Nie chciałbym, żeby twoja matka zatknęła moją głowę na pice na murach. Jesteś tutaj, żeby spędzić z nią czas, a nie po to, żeby włóczyć się z nami gdzieś na północy lenna.

– Jestem tutaj także po to, żeby spędzać czas z tatą – przypomniała Maddie, ale mówiła to bez cienia przekonania. Dobrze wiedziała, że dyskusja do niczego nie doprowadzi.

– Toteż będziesz mogła to zrobić, kiedy wrócimy. Nie sądzę, żeby to potrwało dłużej niż dwa, trzy tygodnie. Poza tym będę spokojniejszy, wiedząc, że masz tutaj oko na wszystko.

– Nie mówisz tak tylko dlatego, żeby nie było mi przykro, że zostaję?

Gilan stanowczo potrząsnął głową.

– Nie zrobiłbym czegoś takiego. Mówię całkowicie szczerze. Zaczynasz czwarty rok nauki, powinnaś być w stanie poradzić sobie ze wszystkim, co mogłoby się wydarzyć.

Nie spodziewał się wprawdzie, by miało się stać cokolwiek niezwykłego. Araluen było dobrze zorganizowanym lennem, w którym panował porządek, jak przystało na siedzibę stolicy kraju, nigdy jednak nie można było mieć całkowitej pewności. Dowodził tego chociażby incydent z trzema rabusiami.

– Nie bój się, będziesz miała tutaj mnóstwo zajęć – zapewnił ją. – A jeśli się zaczniesz nudzić, zawsze możesz poświęcić czas na poszukiwanie starych sekretnych przejść w zamku.

Maddie nastawiła uszy.

– Przejść? Jakich przejść?

Gilan wykonał nieokreślony gest ręką.

– Och, możliwe, że to tylko plotki i legendy – powiedział. – Podobno zamek jest pełen przejść i schodów ukrytych za murami. Krążyły opowieści, że dziadek Duncana miał tajemny tunel, który prowadził pod fosą. Wykorzystywał go, żeby wymykać się w sekrecie i odwiedzać swoją dziewczynę we wsi. Oczywiście, zanim się ożenił – dodał bardzo zasadniczym tonem.

Maddie nic więcej nie powiedziała, ale przez resztę drogi do domu pogrążona była w myślach. Sekretne przejścia i schody wydawały się fascynującą zagadką do rozwikłania. Gilan zauważył, że jest zaabsorbowana myślami, i uśmiechnął się. Wiedział, że wzmianka o tajnych przejściach zadziała na wyobraźnię dziewczyny. Ostatecznie była zwiadowczynią, a zwiadowcy żywo i chętnie interesowali się podobnymi tematami

Następnego dnia rano, zgodnie z przewidywaniami Gilana, niewielki oddział wreszcie wyruszył. Maddie i Cassandra uściskały Horace'a i Gilana, a potem stały przy opuszczanej kracie, podczas gdy konni i łucznicy opuszczali dwójkami zamek. Każda dwójka, mijając Cassandrę, salutowała, a ona obdarzała wszystkich promiennym uśmiechem. Maddie zwróciła uwagę na to, jak lubiana jest jej matka przez żołnierzy – prawdopodobnie dlatego, że w przeszłości także zdarzało się jej walczyć i szukać przygód. Podziwiali jej odwagę i umiejętności bojowe, a także talent taktyczny i strategiczny. Wiedzieli, że nie wysłałaby ich z zadaniem, które okazałoby się niewykonalne.

Patrzyły, jak nieduży oddział znika wśród drzew u stóp wzgórza. Jeszcze przez chwilę lekka chmurka kurzu unosiła się nad drogą, ale potem wiatr ją rozwiał i zapadła cisza.

– No cóż, już po wszystkim – powiedziała Cassandra i odwróciła się, by wejść z powrotem do donżonu.

– Pewnie jesteś już przyzwyczajona do widoku taty odjeżdżającego, by stoczyć bitwę – zauważyła Maddie, kiedy szły razem przez brukowany dziedziniec. Wiedziała, że na przestrzeni lat Horace wyjeżdżał już wiele razy, by rozprawiać się z lokalnymi buntami lub tropić bandy rozbójników i banitów.

Cassandra skinęła głową.

– Jestem przyzwyczajona, ale nigdy tego nie polubiłam.

– On potrafi o siebie zadbać – przypomniała Maddie. Wiedziała, że ojciec jest najwybitniejszym rycerzem w królestwie. Jego umiejętności i dokonania obrosły już legendą.

– Wiem. Ale zawsze jest ryzyko, że coś pójdzie nie tak… na przykład zerwie się strzemię lub poluzuje się popręg. Niektórych rzeczy nie da się przewidzieć.

Na twarzy Maddie odmalował się niepokój.

– Dzięki, mamo – powiedziała. – Właśnie popsułaś mi dzień.

Cassandra uśmiechnęła się. Jej pesymistyczne podejście wynikało głównie ze świadomości, że przez najbliższe tygodnie będzie tęsknić za Horace'em. Byli w sobie nadal zakochani. W głębi duszy wiedziała, że mąż będzie umiał o siebie zadbać, nawet jeśli zerwie się strzemię albo poluzuje się popręg.

– Nic mu nie będzie, nie martw się – rzekła uspokajająco. – Jestem po prostu trochę przygnębiona, że wyjechał. Poza tym ma Gilana, który będzie go pilnował. – Wiedziała, że musi znaleźć jakieś zajęcie dla swojej córki, dla której pałacowe życie było nudne i pełne ograniczeń, więc dodała swobodnie: – Za piętnaście minut mam trening z Maikeru. Masz ochotę przyjść i popatrzeć?

– Z przyjemnością – odparła Maddie entuzjastycznie. – Tata mówił, że jest nadzwyczajny, a ja nigdy nie widziałam szermierza z Nihon-Ja w walce.

Kiedy Cassandra po raz pierwszy odwiedziła Nihon-Ja, cesarza zafascynowało to, że zarówno ona, jak i Alyss, przyszła żona Willa, potrafiły walczyć lekkimi szablami. W Nihon-Ja nie było tradycji kobiet-wojowniczek, cesarz Shigeru zaś doszedł do wniosku, że mógłby to być dobry pomysł, gdyby się pojawiły. Cesarz podejrzewał, że nihoński styl szermierki, polegający raczej na szybkości i zwinności niż na brutalnej sile, będzie się doskonale nadawać dla kobiet.

Cassandra i Horace mieli oczywiście ogromną posiadłość w Nihon-Ja, podarowaną im w prezencie ślubnym przez cesarza, jednakże choroba Duncana sprawiła, że od wielu lat nie mieli okazji odwiedzić swoich ziem w tak daleko położonym państwie. Aby zrekompensować niemożność podróżowania, dwa lata temu cesarz, który wiedział, że Cassandra interesuje się sztukami walki, postanowił wysłać do niej Maikeru.

Maikeru był drobnym, żylastym mężczyzną bez grama tłuszczu na ciele. Miał siwe włosy i widać było, że jest po sześćdziesiątce, ale poruszał się lekko i bez trudu, a jego talent szermierski stanowił ucztę dla oczu.

– Przywiozłem dwa podarunki od cesarza Shigeru – powiedział podczas pierwszego spotkania z Cassandrą, podając jej podłużny pakunek owinięty natłuszczoną tkaniną.

Cassandra rozwinęła zawiniątko. W środku znalazła nihońską katanę, długi miecz ceniony przez wojowników Senshi z Kraju Wschodzącego Słońca. Broń schowana była w prześlicznie lakierowanej czarnej pochwie z polerowanego drewna, inkrustowanej macicą perłową. Miecz miał błękitny odcień i widoczne na powierzchni faliste linie, pokazujące miejsca, gdzie kilka żelaznych prętów zostało skutych razem, ukształtowanych i zahartowanych przez mistrza płatnerskiego. Pojedyncze ostrze było niezwykle ostre, na rękojeści zaś znajdowała się mała prostokątna garda,

która miała chronić dłonie użytkownika. Katana była trochę krótsza niż tradycyjny araluеński miecz kawaleryjski i znacznie lżejsza, ale jej ostrze było o wiele twardsze od każdego miecza w królestwie, poza noszonymi przez zwiadowców saksami oraz mieczem Horace’a – wykutym przez nihońskich płatnerzy wiele lat temu.

– Prześliczna broń – powiedziała, chowając miecz do pochwy. Potem rozejrzała się z ciekawością. W pakunku nie było niczego więcej. – Mówiłeś jednak o dwóch prezentach. Gdzie jest ten drugi?

– Ja jestem drugim prezentem – oznajmił Maikeru i z kamienną powagą skłonił głowę. – Jestem mistrzem miecza czwartej rangi i mój pan Shigeru rozkazał mi nauczyć cię walki kataną.

To całkowicie zaskoczyło Cassandrę.

– Przecież potrzeba wielu lat, by opanować sztukę walki kataną!

Maikeru znowu skłonił głowę.

– W takim razie pozostanę tutaj, dopóki jej nie opanujesz.

W ten sposób Cassandra rozpoczęła treningi pod okiem niezwykłego mistrza miecza. Uczyła się cięć i pchnięć, wybierania momentów zrobienia uniku lub wyprowadzenia ataku, a także sposobów walki z wojownikiem uzbrojonym w miecz i tarczę oraz wykorzystywania szybkości i podstępu, by pokonać silniejszego fizycznie przeciwnika. Była zdolną uczennicą.

Maikeru został serdecznie przyjęty przez Cassandrę i Horace’a, a także przez Gilana i innych wojowników w zamku. Stał się cenionym i poważanym członkiem araluеńskiego dworu, a wiele spośród dojrzałych dam dworu, w większości owdowiałych, uznało jego honorowe zachowanie, nienaganne maniery oraz formalny sposób bycia za wyjątkowo atrakcyjne. Zwłaszcza że Maikeru nie pozostawił w Nihon-Ja rodziny – jego żona zmarła wiele lat wcześniej, nie doczekał się też dzieci. Pozostawał wierny cesarzowi Shigeru, jednakże stopniowo coraz ważniejsza dla niego stawała się wysmukła księżniczka rządząca wyspiarskim państwem. Gdy rozpoczął się drugi rok jego pobytu w Araluenie, zaczął uważać to królestwo za swój dom.

Maikeru codziennie spotykał się z Cassandrą – o ile pozwalały jej na to obowiązki – by szkolić ją w posługiwaniu się kataną i doskonalić technikę walki. Teraz już tylko najznakomitsi wojownicy Nihon-Ja mogliby stanowić dla niej poważne wyzwanie.

Dzisiaj miała trenować z Dimonem, ponieważ Maikeru uznał, że powinna nauczyć się walczyć z przeciwnikiem posługującym się innym niż ona stylem. Dimon był zdolnym szermierzem, nie tak wybitnym jak Horace lub Gilan, ale stanowił dla niej wyzwanie i był dobrym partnerem do treningu, ponieważ rozumiał, że nie powinien dawać jej forów. Spotkali się w holu zbrojowni – długim i pustym pomieszczeniu na pierwszym piętrze donżonu. Wzdłuż jednej ściany ciągnęły się wysokie okna wpuszczające światło dzienne i zapewniające doskonałe oświetlenie toczonym tutaj treningowym pojedynkom. Pod przeciwległą ścianą znajdowały się zbite z desek ławy. Maddie zajęła miejsce na jednej z nich.

Jej matka włożyła pikowaną kurtkę treningową i skórzany hełm. Dimon miał na sobie podobne ubranie ochronne. Wybrał ze stojaka drewniany miecz i tarczę, a potem podszedł, by z uśmiechem przywitać się z Maddie. Cassandra była uzbrojona w drewnianą broń wystruganą w kształcie jej katany i mającą podobny ciężar i wyważenie.

– Miło cię znowu widzieć – powiedział Dimon.

Maddie odwzajemniła uśmiech. Od czasu przyjęcia w parku Dimon był stale na służbie, dlatego przez kilka dni musieli się ograniczyć wyłącznie do szybkiego powitania, gdy mijali się na korytarzu.

– Też się cieszę, że cię widzę – odparła Maddie.

– Jutro mam wolny dzień – oznajmił Dimon. – Może chciałabyś się wybrać na polowanie?

– Z przyjemnością.

Jego uśmiech zrobił się szerszy.

– Bardzo chciałbym zobaczyć, jak strzelasz z prawdziwego łuku.

– Już ci mówiłam, że wolę procę. – Spojrzała na tarczę na jego lewym ramieniu i leciutko zmarszczyła brwi. – Skoro mowa o broni, czy nie masz za dużej przewagi nad moją matką? Ona nie dostała tarczy.

– Dzięki temu ma mniej do noszenia – wyjaśnił.

Maddie odwróciła się jednak do Maikeru stojącego po drugiej stronie sali.

– Maikeru-san, moja matka nie ma tarczy! – zawołała. – To nie będzie wyrównana walka.

Obawiała się, że Cassandrze mogłoby się coś stać. Wiedziała, że Dimon jest wyśmienitym szermierzem i miała wrażenie, że ma ogromną przewagę nad cienką drewnianą kataną Cassandry.

Maikeru podszedł bliżej. Jego lekkie pantofle szurały po drewnianej podłodze, porysowanej i poznaczonej przez całe pokolenia trenujących tu wojowników, którzy nie trafili przeciwnika i uderzyli bronią o deski. Zatrzymał się kilka metrów od Maddie i lekko skłonił głowę.

– Twoja matka ma tarczę – zapewnił. – Po prostu jej nie widzisz. Jest w połowie długości miecza przed nią i istnieje dzięki ruchom katany.

Maddie zmarszczyła brwi, nic nie rozumiejąc.

Dimon, który już wcześniej trenował z Cassandrą, uśmiechnął się zachęcająco.

– Zaraz sama zobaczysz – powiedział.

– Jeśli zranisz moją mamę, nie pojadę z tobą jutro na polowanie – zapowiedziała Maddie.

Dimon potrząsnął głową.

– Gdybym zranił twoją mamę, to sam bym nigdzie jutro nie jechał.

Maikeru ruchem ręki zaprosił uczestników treningu na środek holu. Stanęli naprzeciwko siebie i zajęli odpowiednie pozycje. Dimon uniósł tarczę i podniósł miecz tak, by znajdował się powyżej niej. Cassandra stanęła naprzeciwko niego na rozstawionych nogach, z kataną uniesioną nad prawym ramieniem.

Maikeru trzymał w dłoni drewniany kij, którym zaczął stukać w podłogę, wybijając równy rytm.

– Zaczynać! – zawołał.

ROZDZIAŁ 11

Maikeru uderzał kijem o podłogę i Maddie uświa domiła sobie, że nadaje w ten sposób tempo pojedynkowi. Nagle Dimon zrobił pół kroku naprzód i wykonał pchnięcie, celując w pierś Cassandry.

Cassandra zatoczyła czubkiem miecza niewielkie kółko przed sobą w taki sposób, że pochwyciła czubek broni Dimona i odbiła go kolistym ruchem.

Dimon szybko się cofnął i znowu zaatakował. Katana poruszyła się teraz w drugą stronę i odbiła jego ostrze w przeciwnym kierunku. W następnej chwili, gdy Dimon odrobinę stracił równowagę, Cassandra skoczyła do przodu i zaatakowała trzema szybkimi cięciami. Pierwsze dwa przyjął na tarczę, a potem ledwie zdążył zablokować trzecie, poziome cięcie na wysokości uda własnym mieczem.

Trzask zderzającej się broni odbił się echem w sali. Cassandra i Dimon cofnęli się, przyjęli pozycje gotowości i uważnie obserwowali się nawzajem.

Maikeru zwiększył tempo uderzeń o podłogę.

– Zaczynać! – powiedział.

Tym razem Cassandra zaatakowała jako pierwsza. Skoczyła do przodu, a drewniane ostrze śmignęło w powietrzu. Seria szybkich trzasków towarzyszyła spotkaniu jej miecza z mieczem i tarczą Dimona. Młody wojownik cofał się i rozpaczliwie bronił przed błyskawicznie zadawanymi i bezustannie zmieniającymi kierunek ciosami Cassandry. Kobieta spychała go w głąb sali, ich stopy szurały i skrzypiały na deskach podłogi.

Ale chociaż zmuszała Dimona do wycofania się, nie była w stanie znaleźć żadnej luki w jego obronie. Miecz i tarcza blokowały jej ciosy zadawane z góry, z boku, a nawet na wysokości kolan. Czasem dosłownie w ostatniej chwili ustawiał miecz lub tarczę w odpowiedniej pozycji – mimo wszystko udawało mu się zdążyć.

Cassandra, która wiedziała, że jej najlepszą bronią jest szybkość, kontynuowała natarcie w poszukiwaniu jakiejś luki, chwili przerwy w obronie. Nie potrafiła niczego znaleźć.

– Dość! – zawołał w końcu Maikeru.

Przeciwnicy opuścili miecze i oddalili się od siebie. Oddychali ciężko nie tylko z wysiłku, lecz także z powodu napływu adrenaliny, krążącej teraz w ich żyłach. Patrzyli na siebie złowrogo. Podczas takiego treningu nie było miejsca na przyjazne gesty. Ćwiczyli, by przygotować się do prawdziwej walki, mógł bowiem przyjść czas, gdy tego rodzaju starcie stanie się sprawą życia lub śmierci. Maikeru wpoił im podstawowe zasady ćwiczeń z bronią.

– Zachowujcie się tak, jakby to była prawdziwa walka – powtarzał. – Żadnej litości. Żadnych sportowych gestów. Tylko determinacja, by zwyciężyć w starciu. Tutaj przegrana może oznaczać bolesny siniak, w prawdziwej jednak bitwie ceną będzie śmierć.

– Podejdźcie – powiedział Maikeru, wskazując podłogę przed sobą.

Wrócili z końca sali, dokąd Cassandra zepchnęła Dimona, i stanęli przed nim, by uważnie go wysłuchać. Cassandra otarła pot z czoła rękawem pikowanej kurtki. Kurtka była tak poplamiona i brudna, że Maddie zaczęła się zastanawiać, czy zbrojmistrzom w ogóle przychodzi do głowy, by ją czasem uprać.

Maikeru przez kilka sekund ze zmarszczonymi brwiami przyglądał się księżniczce, zanim się odezwał.

– Twoja szybkość jest doskonała. Nie dałaś przeciwnikowi czasu na wyprowadzenie ataku.

Dimon skinął twierdząco głową.

– Jest diabelsko szybka. Kilka razy ledwie udało mi się w porę zablokować ją mieczem lub tarczą.

Maikeru zmierzył go spojrzeniem ciemnych oczu.

– A jednak ci się to udało – zauważył. Dimon wzruszył ramionami. Mistrz miecza przeniósł wzrok na Cassandrę.

– Widzisz, pani – zaczął – szybkość jest twoją najlepszą bronią. Jednakże im dłużej trwa walka, tym bardziej się ona zmniejsza. Zaczynasz się męczyć. Twoje ręce stają się cięższe. Katana, wcześniej lekka i łatwo się poruszająca, zaczyna ciążyć tak, że bolą cię mięśnie. – Umilkł i uniósł pytająco brew.

– To bardzo trafny opis tego, co czułam – przyznała Cassandra.

Maikeru skinął głową.

– Twoja szybkość i zwinność nie są niewyczerpane – przypomniał. – Będą ci służyć tylko przez pewien czas, a potem zaczną się zmniejszać. Wtedy zaś – zaakcentował mocno te słowa – większa siła twojego przeciwnika stanie się czynnikiem dominującym.

Cassandra zmarszczyła brwi.

– Ale…

Maikeru uniósł dłoń, by ją powstrzymać.

– Kiedy walczysz z utalentowanym przeciwnikiem, takim jak Dimon-san, musisz znaleźć sposób na szybkie zakończenie starcia. Zanim przewaga, jaką dają mu jego masa i siła, stanie się decydującym czynnikiem.

– Próbowałam to zrobić – przyznała Cassandra. Maddie zauważyła, że twarz matki odrobinę poczerwieniała. Zawsze była porywcza, o czym jej córka doskonale wiedziała.

– Próbowałaś raz za razem tego samego – oznajmił Maikeru. – Skoro nie udało się za pierwszym razem, dlaczego miałoby się udać przy kolejnych podejściach?

– Przecież sam powiedziałeś, że szybkość jest moją najlepszą bronią – powiedziała Cassandra; wyraźnie zamierzała wdać się z nim w dyskusję.

Maikeru skinął głową.

– Nie jest jednak twoją jedyną bronią. Dimon-san znalazł sposób, by kontrować twoją szybkość i w efekcie sprawić, że marnowałaś siły, rozbijając się o jego obronę. W końcu zmęczyłaś się, a twoja szybkość zaczęła się zmniejszać. W takiej sytuacji musisz szukać innego, nieoczekiwanego wyjścia. Inaczej, im dłużej trwa starcie, tym bardziej pewne staje się, że zwycięży twój przeciwnik.

– Nieoczekiwanego – powtórzyła Cassandra. – Co masz na myśli?

– Pamiętaj o swoich trzech największych sprzymierzeńcach. To szybkość, zwinność i element zaskoczenia. Jeśli walczysz z takim wrogiem, musisz go zaskoczyć, zanim będzie za późno. Twoje ciosy znad głowy, z boku i ukośne nie były dostatecznie szybkie, by przebić jego obronę. Zastanów się więc nad czymś innym.

– To znaczy? – zapytała Cassandra. Dimon i Maddie przysłuchiwali się uważnie, ponieważ wyczuwali, że regentka niedługo osiągnie nowy poziom biegłości w posługiwaniu się mieczem.

– Jednym z przykładów może być cios wyprowadzony jedną ręką – powiedział Maikeru.

Cassandra otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale zamknęła je i zastanowiła się. W końcu powiedziała powoli:

– Mówiłeś przecież, że zawsze powinnam walczyć oburącz.

Zanim jeszcze skończyła, Maikeru potrząsnął głową.

– Nie ma czegoś takiego jak „zawsze”. Musisz być gotowa na zmianę, dostosowanie się, spróbowanie czegoś nowego i nieoczekiwanego.

Szybkim jak błyskawica ruchem wypuścił z ręki kij i wyciągnął z pochwy własną katanę. Następnie skoczył do przodu, trzymając broń w jednej ręce i unosząc ją ostrzem do góry. Czubek katany zatrzymał się zaledwie dwa centymetry od zaskoczonej twarzy Cassandry.

Natychmiast, jednym płynnym ruchem, Maikeru cofnął broń i schował ją do pochwy. Skłonił się, by przeprosić Cassandrę, ale ona machnęła tylko ręką i spojrzała na niego z wyraźnym zaciekawieniem.

– Używając jednej ręki, zwiększasz swój zasięg o prawie pół metra – wyjaśnił. – Już samo to wystarczy, by zaskoczyć przeciwnika, podobnie jak to, że do tej pory większość twoich ataków stanowiły cięcia, a nie pchnięcia.

Umilkł na chwilę, by sprawdzić, czy Cassandra chwyta jego myśl. Regentka skinęła głową.

– To jednak ryzykowne posunięcie, ponieważ odsłaniasz się na kontratak. Musisz więc być gotowa natychmiast odskoczyć, jeśli pchnięcie nie dojdzie celu.

Cassandra znowu skinęła głową. Wskazała miecz ukryty już w pochwie.

– Obróciłeś nadgarstek w taki sposób, że ostrze było skierowane do góry – powiedziała. – Dlaczego to zrobiłeś?

Maikeru pokiwał głową z aprobatą.

– Zauważasz detale – pochwalił. – To dobrze.

Ponownie dobył miecza, tym razem wolniej, i zademonstrował pozycję nadgarstka odwróconego w taki sposób, że tnąca część ostrza skierowana była ku górze. Ostrze katany było lekko wygięte, co sprawiało, że pchnięcie szło jednocześnie lekko w dół.

– Odwracając nadgarstek, sprawiam, że czubek katany z powodu zakrzywienia ostrza wędruje trochę w dół. W ten sposób klinga może

łatwiej przeciąć kolczugę przeciwnika. Katana jest dostatecznie ostra, by to było możliwe – dodał.

Cassandra skinęła głową i ze zmrużonymi oczami przyjrzała się lśniącemu ostrzu.

– Rozumiem – powiedziała powoli.

– Poćwicz to ze mną – polecił Maikeru. Stanął koło niej i pokazał, jak przejść od skośnego cięcia do pchnięcia, jak puścić lewą ręką rękojeść, obrócić nadgarstek i zrobić krok naprzód jednym płynnym ruchem. Cassandra powtórzyła tę sekwencję kilka razy, stopniowo poruszając się coraz szybciej i szybciej. Gdy jej ruchy stały się pewniejsze, Maikeru cofnął się, schował katanę do pochwy i zaczął uważnie obserwować swoją podopieczną. Schylił się, podniósł kij i ponownie zaczął wybijać rytm na podłodze. Potem drugą ręką wskazał w głąb sali.

– Przesuwaj się – poinstruował Cassandrę. – Przechodź do pchnięcia co trzy kroki, a potem zmień sekwencję tak, żeby przyzwyczaić się do wyprowadzania pchnięcia po dowolnym kroku.

Cassandra przesuwała się wzdłuż sali, szurając butami po deskach, a co trzy kroki robiła wykrok prawą nogą i wykonywała pchnięcie skierowane w dół i z tnącym ostrzem ku górze. Maikeru dołączył do niej na końcu sali i polecił:

– Teraz z powrotem.

Stukanie kija stało się szybsze, Cassandra zbliżała się do Dimona i Maddie. Jej katana przypominała atakującego węża. Cięcie, cięcie, zamach z boku, pchnięcie! Cięcie, cięcie, zamach z dołu, pchnięcie. Zatrzymała się przed nauczycielem, który pokiwał głową.

– Teraz niech Dimon-san z tobą poćwiczy.

Dimon wyciągnął rękę i zaprotestował:

– Przecież będę wiedział, że ona to zrobi po trzecim kroku.

Maikeru uśmiechnął się ponuro.

– Ale tylko ona będzie wiedziała, kiedy zaczną się te trzy kroki.

Dimon pokiwał głową na znak, że rozumie.

Zajęli pozycje w gotowości, a Maikeru raz jeszcze kazał im podjąć walkę. Tym razem Dimon zaatakował pierwszy, zamierzając się na Cassandrę ciosem znad głowy. Jej drewniane ostrze zadrżało, gdy odbiła jego cios w taki sposób, że miecz treningowy uderzył o deski podłogi, a Dimon stracił równowagę.

Cassandra wykorzystała okazję i przypuściła gwałtowny atak, złożony z cięć z góry, z boku i na ukos, a potem, po sześciu takich ciosach, nagle zaatakowała jedną ręką. Dimon w ostatniej chwili zdążył odskoczyć przed czubkiem jej miecza, potknął się, ale podniósł tarczę, by zablokować cios.

Cassandra ponownie zaatakowała. Tym razem czekała z wypadem cztery kroki, ale Dimon był na to przygotowany. Jego tarcza zatrzymała jej miecz i odbiła go na bok. Zanim pochylona do przodu Cassandra zdążyła się cofnąć i przygotować do riposty, jego miecz śmignął w powietrzu i uderzył ją w zewnętrzną stronę uda.

Cofnęli się. To był decydujący cios. W walce mógłby wprawdzie nie okazać się śmiertelny, ale nawet gdyby nie trafił w jedno z dużych naczyń krwionośnych, sprawiłby, że Cassandra straciłaby władzę w prawej nodze i znalazła się na łasce przeciwnika.

– Jeszcze raz – polecił Maikeru i w sali znowu zabrzmiały gwałtowne trzaski drewna uderzającego o drewno.

W pewnym momencie Cassandra znowu spróbowała pchnięcia – z takim samym rezultatem. Tarcza Dimona zablokowała jej katanę, a jego miecz śmignął i trafił ją w biodro.

Cassandra cofnęła się z policzkami płonącymi z wysiłku i frustracji. Potarła lewą dłonią biodro. Wiedziała, że wieczorem będzie tam siniak.

– To beznadziejne! – powiedziała gniewnie.

Maikeru spojrzał na nią z półuśmiechem.

– Tak myślisz?

– Wiem to! – odparła rozzłoszczona. – Tak jak powiedziałeś, pchnięcia sprawiają, że odsłaniam się na ripostę, a Dimon bez trudu ich unika. Po co mam zawracać sobie głowę bezużyteczną taktyką?

Maikeru przeniósł niewyrażające niczego spojrzenie na Dimona.

– Zauważyłeś? – Gdy młody kapitan skinął głową, Maikeru wskazał Cassandrę. – Powiedz jej.

– Sygnalizujesz pchnięcie – wyjaśnił przepraszająco Dimon. – Wiem, kiedy zamierzasz je wyprowadzić. – Urwał na chwilę, ale zaraz potem rozwinął myśl. – Tak właściwie nie wiedziałem za pierwszym razem, ale potem stało się to oczywiste.

– Co było tak piekielnie oczywiste?! – Cassandra wiedziała, że nie powinna się wyżywać na podwładnym, bo on nie mógł jej odpowiedzieć

tym samym. Jednakże jej porywczy charakter przeważył nad poczuciem uczciwości.

– Zanim wyprowadzisz pchnięcie, unosisz lekko podbródek – wyjaśnił Dimon.

Nabrała powietrza, chcąc odpowiedzieć coś gwałtownie, ale nagle uświadomiła sobie, że Dimon może mieć rację. Popatrzyła na Maikeru w poszukiwaniu potwierdzenia, a siwowłosy mistrz miecza skinął głową.

– Za każdym razem – przyznał. – To przyzwyczajenie, którego musisz się pozbyć, gdyż w przeciwnym razie może cię kosztować życie.

Cassandra zastanowiła się nad jego słowami, spojrzała na Dimona i skinęła głową.

– Dziękuję – powiedziała. – Będę musiała nad tym popracować.

ROZDZIAŁ 12

Dni mijały, a Maddie czuła, że czas zaczyna się jej dłużyć. Pojechała na polowanie z Dimonem, co okazało się miłą odskocznią od codziennej rutyny. Młody kapitan proponował jej, by strzelała z łuku, ale odmówiła. Nie wydawało jej się dobrym pomysłem, by ktokolwiek, nawet kapitan zamkowej straży, wiedział, jak potrafi radzić sobie z tą bronią. Większość młodych dam w jej wieku i z jej kręgów społecznych potrafiła strzelać z łuku, ale jej umiejętności dalece wykraczały poza to, czego można by się spodziewać, a to mogłoby z kolei prowokować pytania. Jej rola uczennicy zwiadowców musiała pozostawać w ścisłej tajemnicy, więc Maddie uznała, że najlepiej zrobi, jeśli w ogóle będzie unikać posługiwania się łukiem. Nie była pewna, czy umiałaby udawać, że strzela gorzej niż w rzeczywistości, wolała więc ograniczyć się wyłącznie do procy. Proca przynajmniej nie była powszechnie znana jako broń zwiadowców.

Dimon strzelał dobrze, ale Maddie wiedziała, że byłaby od niego znacznie lepsza, tym bardziej więc cieszyła się z podjętej decyzji. Ustrzeliła z procy dwa duże zające, a Dimon zabił młodego jelenia, którego dogonił po półgodzinnym pościgu. Jeleń miał trafić do zamkowej kuchni, podobnie jak zające, a ich mięso miało zostać podane w głównej jadalni. Maddie spodobało się, że Dimon na tym postanowił zakończyć polowanie, zamiast je kontynuować i zabijać dla przyjemności. Polował tylko dla zdobycia mięsa, nie dla sportu czy trofeów. To jej się w nim podobało. Poza tym dobrze czuła się w jego towarzystwie i spędzili na polowaniu trzy przyjemne godziny.

Jednakże pod nieobecność Horace’a i Gilana, którzy zabrali ze sobą ponad pół zamkowego garnizonu, Dimon miał niewiele wolnego czasu. Był dowódcą pozostałego oddziału i bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Maddie żałowała, że niewiele czasu mogą spędzać razem, ale doceniała, że Dimon tak sumiennie podchodzi do powierzonych mu zadań.

Także jej matka była zajęta. Nieobecność Horace’a oznaczała, że mnóstwo pracy administracyjnej, którą zazwyczaj się zajmował, spadło teraz na nią. Maddie żałowała, że nie miała więcej okazji, by popatrzeć, jak Cassandra trenuje z Dimonem i Maikeru, chociaż wiedziała, że matka zdołała znaleźć czas na kilka lekcji z mistrzem miecza.

Kilka razy Maddie pojechała też na farmę Warwicka i Louise, gdzie przesiadła się na Zderzaka i udała się na patrol. Warwick zapewniał, że od czasu, gdy była tu z Gilanem, nie zaobserwowano żadnych świateł w starym opactwie. Raz podjechała tam, żeby przyjrzeć się budowli, ale poza wystygłymi popiołami dawnego ogniska, bez wątpienia rozpalonego przez podróżników, nie było żadnych śladów świadczących o tym, że ktoś tam zaglądał w ostatnich dniach.

Araluen było o wiele spokojniejszym lennem niż Redmont, częściowo ze względu na stosunkowo duży garnizon stacjonujący w Zamku Araluen, a częściowo dlatego, że tereny te były zamieszkane już od wielu lat. W porównaniu z nim Redmont znajdowało się na obrzeżach królestwa, bliżej Morza Hibernijskiego, pełnego piratów i przemytników, a także granicy z Celtią. W lennie Redmont działo się znacznie więcej i więcej rzeczy sprawiało, że zwiadowca i jego uczennica musieli zachowywać czujność i mieli ręce pełne roboty.

W porównaniu z tym wszystkim lenno Araluen było nudne – zwłaszcza w oczach żądnej przygód dziewczyny, takiej jak Maddie. W efekcie po kilku kolejnych dniach zaczęła się robić niespokojna i nie mogła usiedzieć w miejscu. Spróbowała poszukać czegoś, czym mogłaby się zająć.

Odpowiedź znalazła w rozmowie z dziadkiem, którego odwiedzała prawie codziennie – czasem na jakąś godzinę, a czasem, jeśli był zmęczony, na kilka zaledwie minut.

– Zbadałaś już zamek? – zapytał pewnego dnia, gdy narzekała na nudę i wymuszoną bezczynność.

Wzruszyła ramionami.

– Mieszkam tu od urodzenia – przypomniała. – Chyba widziałam już wszystko, co było do zobaczenia.

Duncan uśmiechnął się i postukał palcem w bok nosa.

– Aha, ale co z tym, czego nie można zobaczyć?

Maddie zmarszczyła brwi.

– Czego nie można zobaczyć? – powtórzyła, niczego nie rozumiejąc.

– Krążą plotki, że w tych murach kryje się wiele tajemnic. Niektóre znajdują się dosłownie w samych murach.

– Tajemnic? Chodzi o przejścia?

– Tak, o przejścia. A także schody. Podobno mój dziadek miał tajne przejście, przez które mógł niezauważony wydostawać się z zamku. Był to tunel prowadzący pod fosą. – Duncan się uśmiechnął. – Zdaje się, że miał dziewczynę w wiosce i chciał się wymykać, żeby się z nią spotkać.

– Gilan coś o tym wspominał. Gdzie ono jest? – zapytała Maddie.

Duncan potrząsnął głową.

– Nie miałem czasu szukać go, kiedy byłem młodszy – przyznał. – Ale przyszło mi do głowy, że warto byłoby wiedzieć takie rzeczy. Przypuszczam, że wejścia należałoby wypatrywać w piwnicach, ale gdzie?

– Mówiłeś też o tajnych schodach – przypomniała Maddie.

– Większość starych zamków miała tajne przejścia prowadzące na wieże, zwykle w postaci wąskich schodów ukrytych w murze. Nie wydaje mi się, by Araluen miało być pod tym względem wyjątkiem. Muszą gdzieś tutaj być. – Duncan rozejrzał się po komnacie i wskazał grube kamienne ściany.

Maddie wstała i obeszła pokój, co kilka metrów stukając w ścianę. Pomyślała, że wydają się rozczarowująco solidne.

– Jak można się zabrać do szukania czegoś takiego? – zastanowiła się, mówiąc częściowo do siebie.

Duncan wzruszył ramionami, a ruch sprawił, że lekko skrzywił się z powodu bólu w chorej nodze.

– Być może warto zacząć od zamkowej biblioteki – podsunął. – Poproś o stare plany i szkice zamku. Szukaj nietypowych rzeczy.

– To znaczy?

Duncan potarł podbródek pokryty lekkim zarostem – sługa nie zdążył go jeszcze tego dnia ogolić.

– Cóż, poszukaj pomieszczeń, które powinny być takie same na wielkość, ale nie są. Ścian, które są krótsze niż w salach niżej i wyżej, albo przylegających po bokach. Zwracaj uwagę na zmienność rozmiarów. Czasem to zdradza obecność tajnej komnaty.

– A także w piwnicach i na niższych piętrach zamku – dodała Maddie.

Duncan skinął głową.

– Ja bym od tego zaczął.

Maddie została u dziadka jeszcze pół godziny. Rozmowa skierowała się na inne tematy, ale dziewczynę całkowicie pochłaniał pomysł szukania tajnych schodów i przejść. W końcu podniosła się, pocałowała czule dziadka w czoło i skierowała się do drzwi. Duncan zatrzymał ją jeszcze, gdy położyła dłoń na klamce.

– Pozdrów ode mnie mistrza Uldreda – powiedział.

Maddie obejrzała się i przechyliła głowę na bok.

– Uldreda?

– Głównego bibliotekarza. Pracuje tu od lat. Powinien wiedzieć, gdzie można znaleźć stare mapy i plany zamku

Biblioteka znajdowała się na pierwszym piętrze donżonu, w obszernej, przewiewnej przybudówce po stronie zachodniej. Wysokie okna wpuszczały słońce, które oświetlało stosy książek i zwojów, piętrzące się na półkach na wysokość dwa razy przewyższającą wzrost człowieka.

Uldred okazał się chudym i niepozornym mężczyzną z długimi, potarganymi siwymi włosami, z przodu ściętymi krótko, ale z tyłu sięgającymi do połowy pleców. Ubrany był w togę przypominającą mnisi habit, z długim kapturem i pasem z jedwabnego sznura. Maddie pomyślała, że większość znanych jej uczonych była drobnej budowy. Wyżsi i bardziej muskularni mężczyźni częściej zostawali wojownikami.

Kiedy weszła do biblioteki, Uldred siedział na antresoli, za wielkim biurkiem, na którym z boku leżały równe stosy tomów i zwojów.

– Wasza Wysokość – powitał ją z uśmiechem. – Co cię sprowadza do moich włości?

– Proszę, mów do mnie Maddie – odparła z uśmiechem. – „Wasza Wysokość” brzmi zdecydowanie zbyt oficjalnie.

Przechylił głowę, mile zaskoczony jej życzliwym i swobodnym podejściem.

– Niech zatem będzie Maddie – powiedział. – Co takiego mogę dla ciebie zrobić?

– Król mówił, że mógłbyś mi pokazać oryginalne plany i szkice zamku – odpowiedziała Maddie.

Bibliotekarz przyjrzał się jej domyślnie.

– Szukasz może tajnych przejść?

Maddie uniosła brwi ze zdziwieniem.

– Tak. Skąd to wiedziałeś?

Uldred westchnął.

– Po to właśnie większość ludzi chce przeglądać plany. Do tej pory nikt niczego nie znalazł – wyjaśnił. – Chociaż, prawdę mówiąc, niewiele osób poświęciło temu więcej czasu. Szybko zaczynali się nudzić i tylko je kartkowali. W ten sposób nie da się niczego znaleźć.

– Cóż, skoncentruję się. Czy możesz mi je dać?

Uldred potrząsnął głową.

– Mam w tym momencie za dużo pracy. Ale mogę ci pokazać, gdzie je znajdziesz, a wtedy będziesz mogła je sobie brać sama.

– To mi wystarczy – zapewniła.

– W takim razie chodź – powiedział, wstał zza biurka i poprowadził Maddie do schodów prowadzących na piętro biblioteki. Poruszał się szybko i dziewczyna musiała solidnie wyciągać nogi, żeby za nim nadążyć. Zaprowadził ją do wschodniego narożnika, zatrzymał się i wskazał regały, wypchane zwiniętymi zwojami i ogromnymi tomami oprawionymi w skórę.

– Wszystko jest tutaj – wyjaśnił. – Nie mogę, niestety, pozwolić, żebyś je wynosiła z biblioteki, ale są tu biurko i krzesło, więc możesz je przeglądać na miejscu. O, masz tu jeszcze pióro, atrament i papier, gdybyś chciała robić notatki.

Maddie podeszła do półek i przyjrzała się rzędom zwojów, niepewna, od czego ma zacząć.

– Są opisane – powiedział Uldred, widząc jej wahanie. – Na twoim miejscu zacząłbym od najniższych poziomów. Wątpię, żebyś znalazła tunel na szczycie wieży.

Maddie mruknęła coś w odpowiedzi i przyjrzała się zwojom uważniej. Zobaczyła teraz etykiety na półkach. Sięgnęła po jeden ze zwojów.

– Piwnica, poziom 1 – przeczytała na głos. – Równie dobre miejsce, jak każde inne.

– Też tak uważam – odparł Uldred i odwrócił się. – Gdybyś czegoś potrzebowała, będę przy biurku. – Zatrzymał się jeszcze. – A, i jeśli mogłabyś, włóż potem wszystko z powrotem na miejsce, dobrze?

Maddie skinęła głową, wyciągnęła z półki ciężki, zrolowany zwój i dmuchnęła, by pozbyć się kurzu. Widać było, że od dawna nikt go nie ruszał. Podeszła do wskazanego przez bibliotekarza stołu, rozwiązała wstążkę przytrzymującą zwój i rozwinęła go. Na stole znalazła sześć ołowianych obciążników, użyła czterech, by przycisnąć rogi zwoju, a potem pochyliła się nad nim.

Zajęta, nie usłyszała nawet, kiedy Uldred przeszedł szybko pomiędzy regałami i wrócił na swoje stanowisko na wysokości.

Maddie przyglądała się planowi. Początkowo nie do końca rozumiała, na co patrzy. Usiadła na krześle i zastanawiała się przez kilka minut.

– Chyba najlepiej będzie, jeśli oswoję się z tymi wszystkimi rysunkami i liczbami – powiedziała cicho do siebie. – Ostatecznie nie mogę się spodziewać podpisu: „Tutaj jest przejście”. Muszę to jakoś rozpracować.

Następne półtorej godziny poświęciła na przeglądanie map i planów, aż zapoznała się z ich stylem. Kiedy skończyła, oczy łzawiły jej z powodu długotrwałego wysiłku, a linie, liczby i notatki zaczęły się jej rozmazywać. Niechętnie zwinęła pergaminowy zwój, który studiowała, i przewiązała go wstążką. Odłożyła go na półkę, zebrała swoje notatki i wróciła między regałami do schodów prowadzących do stanowiska Uldreda. Szybko je pokonała, po czym zakasłała, by zwrócić uwagę bibliotekarza. Uldred podniósł głowę z uśmiechem.

– Skończyłaś?

Maddie potrząsnęła głową.

– Dopiero zaczynam. Wrócę jutro. Dziękuję za pomoc!

Skierowała się do wyjścia, a bibliotekarz obserwował, jak idzie szybkim krokiem między rzędami regałów.

– Cóż, to doskonale – powiedział cicho.

ROZDZIAŁ 13

Następnego dnia rano, po śniadaniu, Maddie wróciła do biblioteki i zaczekała, aż pojawi się Uldred, żeby otworzyć drzwi. Przyszedł po kilku minutach i uśmiechnął się na jej widok.

– Chcesz zacząć jak najwcześniej? – zapytał, zapytał, wyciągnął pęk kluczy otwierając ciężkie podwójne drzwi i wpuścił ją do środka.

Maddie natychmiast udała się do półek, na których przechowywane były plany, i wyciągnęła zwoje podpisane „Piwnica, poziom 1” i „Piwnica, poziom 2” – były to dwa poziomy podziemi pod donżonem. Poprzedniego wieczora, leżąc w łóżku, zastanawiała się nad swoim zadaniem i teraz miała już obmyślony plan działania.

Przygotowała pióro, atrament i plik kartek do robienia notatek. Potem położyła koło nich miarkę, którą zabrała z biurka ojca. Była to linijka z zaznaczoną podziałką, długości około trzydziestu centymetrów. Horace używał jej, by mierzyć odległości na mapach, gdy planował podróż lub wyprawę wojenną.

Maddie przyjrzała się uważnie planom wyższej piwnicy. Było to prostokątne pomieszczenie o długości trzydziestu metrów i szerokości dziesięciu. Na jego końcu znajdowały się stojaki na baryłki z winem, a także beczki, w których przechowywano suszone owoce oraz jarzyny. Wzdłuż dłuższych ścian zaznaczono po sześć wgłębień – niewielkich prostokątnych pomieszczeń, które dawniej wykorzystywane były jako cele więzienne. W innych zamkach miejsce to nazywano by lochami, byłoby duszne i kiepsko oświetlone, a po ścianach ściekałaby woda. Tutaj, jak wiedziała Maddie, podziemia były czyste i suche. Cele obecnie stały puste.

Maddie przyłożyła linijkę do dłuższego boku obrysu piwnicy i zmierzyła go. Trzydzieści metrów długości pomieszczenia odpowiadało piętnastu centymetrom na linijce. Zanotowała to, a potem zwinęła zwój, zawiązała wstążkę i sięgnęła po plany piwnicy na poziomie drugim, znajdującej się dokładnie poniżej poprzedniej.

Na pierwszy rzut oka pomieszczenie wyglądało identycznie. Maddie zmrużyła jednak oczy i zmarszczyła z namysłem czoło. Coś się nie zgadzało. Po obu stronach, tak jak poprzednio, znajdowały się identyczne prostokątne wgłębienia, w których mieściły się cele. Jednak na poziomie pierwszym po każdej stronie było ich sześć, za to w piwnicy na poziomie drugim tylko po pięć. Maddie szybko przyłożyła linijkę do dłuższego boku i zmierzyła go. Dwanaście i pół centymetra. To oznaczało, że ściana miała dwadzieścia pięć metrów długości – była o pięć metrów krótsza niż w pomieszczeniu powyżej.

– Jakim cudem nikt wcześniej tego nie zauważył? – zastanawiała się na głos. Przypomniała sobie jednak, że plany znajdowały się na oddzielnych zwojach. Najwidoczniej nikt nigdy nie porównywał ich ze sobą ani nie sprawdzał długości ścian. Lub też zrobił to i uznał po prostu, że głębsza część piwnicy jest mniejsza. Dla Maddie ten fakt miał znaczenie, ponieważ poszukiwała ukrytego przejścia.

Teraz jednak, gdy już to zauważyła, pozostawało pytanie, dlaczego piwnica na poziomie drugim była o pięć metrów krótsza od piwnicy na poziomie pierwszym?

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić – powiedziała do siebie. Zwinęła drugi plan, zawiązała i odłożyła oba zwoje na półkę. Zamierzała wrócić do biblioteki, zostawiła więc notatki, pióro i linijkę ułożone równo na biurku i pobiegła do drzwi. Zastanawiała się, czy pożegnać się z Uldredem, ale uznała, że nie ma po co. Zapytałby ją od razu, czy coś znalazła, a ona nie chciała wyjść na idiotkę, gdyby okazało się, że jej odkrycie do niczego nie doprowadzi.

Zeszła do piwnic pod donżonem.

Ponieważ w celach nie było więźniów, nie byli też potrzebni wartownicy. Jednakże pomieszczenie było jasno oświetlone pochodniami zatkniętymi w uchwytach na ścianach, a także trzema latarniami zwisającym z niskiego kamiennego sufitu. Widać było, że służba zamkowa schodzi tu codziennie rano, żeby zapalać je wszystkie. Tak jak Maddie pamiętała, piwnica była sucha i z dobrą wentylacją. Z szybu wykutego po to, by powietrze nie stawało się ciężkie i zatęchłe, czuć było lekki powiew. Oparła się plecami o ścianę na końcu pomieszczenia, a potem starannie odmierzonymi krokami przeszła na drugą stronę.

Jedną z umiejętności, jakie nabyła pod okiem Willa, było odmierzanie odległości długimi, równymi krokami. Doświadczenie i ćwiczenia mówiły jej, że dwanaście takich długich kroków w jej przypadku równa się dziesięciu metrom. Liczyła je teraz na głos, by zmierzyć długość piwnicy.

– …trzydzieści cztery, trzydzieści pięć… i pół – powiedziała, gdy jej prawa stopa oparła się o przeciwległą ścianę. To było prawie trzydzieści sześć kroków, co odpowiadało trzydziestu metrom zapisanym na planie w bibliotece. Maddie przyjrzała się ścianie, zrobionej z dużych bloków piaskowca, dopasowanych i spojonych zaprawą. Postukała w kilka z nich trzonkiem saksy. Dźwięk wskazywał, że nie ukrywają pustej przestrzeni.

– Hmmm – mruknęła i rozejrzała się po długim, niskim pomieszczeniu. Nie dostrzegła niczego nadzwyczajnego. Ściany były nagie, a jedynymi sprzętami były stojaki na wino oraz drewniane skrzynie na jarzyny stojące na drugim końcu.

– Zajrzyjmy na dół – zdecydowała i skierowała się do schodów prowadzących na niższy poziom.

Niższa piwnica była gorzej oświetlona, nie przechowywano tu także beczek wina. Była stosunkowo sucha, chociaż w powietrzu unosił się leciutki zapach stęchlizny. Powiew z szybu wentylacyjnego wyraźnie tutaj nie docierał. Maddie poświęciła kilka minut na przyjrzenie się długiemu, pogrążonemu w półmroku pomieszczeniu. Wydawało się identyczne jak sala znajdująca się powyżej.

Podeszła do ściany, oparła się o nią plecami i zaczęła mierzyć długość pomieszczenia krokami. Jej głos odbijał się echem od kamiennych murów po obu stronach. Otwarte drzwi cel były jak czarne dziury i przypominały wpatrujące się w nią oczy.

– …dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć, trzydzieści, trzydzieści jeden… i już – powiedziała, gdy dotarła pod przeciwną ścianę. Potarła podbródek.

– Prawie dokładnie dwadzieścia pięć metrów – oceniła z namysłem. – Z całą pewnością mniej niż na górze.

Odwróciła się i przeszła przez pomieszczenie jeszcze raz, mierząc długość w przeciwnym kierunku. Ponownie po trzydziestu jeden krokach palce jej stopy oparły się o ścianę. Nie było wątpliwości – piwnica była o pięć metrów krótsza od jej odpowiednika na górze. Ale dlaczego?

Maddie zdjęła jedną z wiszących latarni i podeszła do ściany naprzeciwko wejścia, żeby przyjrzeć się jej bardzo uważnie. Podobnie jak powyżej, ściana zrobiona była z dużych bloków piaskowca. Zaprawa między nimi była stara, ale nie zaczęła się jeszcze kruszyć i rozpadać z powodu wieku.

Maddie posuwała się centymetr po centymetrze, uważnie przyglądając się ścianie. Uniosła wysoko latarnię, by oświetlić kamienie, a potem przechylała ją pod kątem, żeby podświetlić ewentualne nierówności. Nic nie znalazła.

Nagle zauważyła coś na ostatnim bloku, na samym dole. Pochyliła się, żeby przyjrzeć się temu z bliska. Zobaczyła wyryte trzy słowa – a właściwie jedno słowo powtórzone trzy razy.

Sinister. Sinister. Sinister.

Litery były malutkie, a wyryto je w kamieniu zapewne jakimś ostrym narzędziem. Gdyby nie przyglądała się tak uważnie i nie podświetlała ściany z boku, by ewentualne nierówności rzuciły cienie, w ogóle by ich nie zauważyła.

– „Sinister”, czyli złowróżbny – powiedziała do siebie i wzruszyła ramionami. – Całkiem słuszne określenie lochu.

Chociaż, jak już zauważyła wcześniej, nie do końca pasowało do tego akurat lochu. Owszem, był źle oświetlony i niski, ale też suchy i wolny od szczurów. Nie było tu także żadnych narzędzi tortur, jakie zapełniały większość lochów.

Żadnego koła ani śladu łańcuchów czy dybów.

Otworzyła szerzej drzwi ostatniej celi i weszła do środka, unosząc latarnię nad głowę, by oświetlić wszystkie zakamarki. Ściany były surowe, ale suche. Pod dłuższą ścianą stała podniszczona prycza, a małe zakratowane okienko w drzwiach zrobionych z grubego, okutego drewna wpuszczało do środka trochę światła i powietrza.

Umeblowania dopełniały stołek i mały drewniany stół, na którym pozostał ogarek świecy, stary i pożółkły.

Pomyślała, że z pewnością nie jest to luksusowa kwatera, ale mogłoby być znacznie gorzej. Najgorsze, co można było powiedzieć o tym miejscu, to że na twardej drewnianej pryczy spało się zapewne dość niewygodnie.

Złowróżbne? Na pewno nie można by tak powiedzieć.

Wyszła z celi i rozejrzała się, zastanawiając się, dlaczego ktoś wyrył te słowa w kamieniu. Kto taki mógł to być?

– Więzień? – Natychmiast uznała, że to niemożliwe. Więzień siedziałby w którejś celi. Gdyby chciał wyryć wiadomość, musiałby to zrobić właśnie tam. Nie wyobrażała sobie, by jakiś strażnik więzienny pozwalał skazanym wychodzić, żeby mogli wyładować swoje emocje na ścianie.

To była zagadka. Westchnęła, próbując ją rozwikłać.

– Po prostu przestań się nad tym zastanawiać – powiedziała do siebie. Wiedziała, że to najlepszy sposób, by znaleźć rozwiązanie tego rodzaju łamigłówki. Ale, oczywiście, gdy tylko spróbowała odsunąć myśli o rozwiązaniu, te zaczęły tłoczyć się z powrotem w jej głowie.

Dlaczego wypisano tutaj te słowa?

I dlaczego ta sala była o pięć metrów krótsza niż piwnica wyżej?

Czy za kamienną ścianą kryło się jeszcze jedno pomieszczenie? A jeśli tak, jak można się było do niego dostać? Raz jeszcze przyjrzała się ścianie. Nie widziała śladu drzwi czy też innego wejścia. Zaprawa wydawała się całkiem solidna, bez żadnych widocznych szczelin.

Żołądek Maddie zaburczał głośno i przypomniał jej, że zbliża się pora południowego posiłku.

– Na głodnego nie rozwiążę zagadki – oceniła i wspięła się po schodach, by udać się do spiżarni, która znajdowała się na parterze donżonu. – Może pełny brzuch pomoże mi coś wymyślić.

Jak się okazało – nie pomógł. Rozwiązał jednak problem burczenia w brzuchu.

Po solidnym lunchu postanowiła na kilka godzin przestać myśleć o zagadce kryjącej się w piwnicach. Od dwóch dni nie widziała się ze Zderzakiem, zabrała więc swoje rzeczy z biblioteki i podziękowała Uldredowi.

– Już się poddajesz? – powiedział z uśmiechem, choć w jego głosie słychać było cień rozczarowania.

Potrząsnęła głową.

– Chcę tylko zrobić sobie przerwę. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza, żeby na spokojnie o czymś pomyśleć.

Po wyjściu z biblioteki skierowała się do stajni, a po drodze schowała do kieszeni kilka jabłek.

Pojechała na farmę, gdzie Louise powitała ją ciepło; Warwick pracował tego dnia na jednym z dalszych pól. Maddie zaprowadziła Sundancera do stajni, rozsiodłała go, szybko wyczyściła i poczęstowała jabłkiem, a potem zarzuciła siodło na grzbiet Zderzaka.

Zastanawiałem się, gdzie się podziewałaś.

– Przepraszam, byłam zajęta.

Kiedy jechali przez pola na wzgórze, na którym stało stare opactwo, Maddie pogrążona była w myślach. Raz jeszcze obejrzała budowlę, ale nic się nie zmieniło od jej ostatniej wizyty. Jeszcze przez godzinę patrolowała okolicę, nie natrafiła jednak na nic, co wzbudziłoby jej zainteresowanie lub podejrzenia. Wróciła do stodoły, nadal zamyślona, przełożyła siodło na Sundancera i ruszyła do Zamku Araluen, pomachawszy na pożegnanie Louise.

Sundancer przeszedł przez most zwodzony, stukając kopytami o deski, a Maddie skinęła głową wartownikom. W stajni chłopak stajenny wziął od niej wodze.

– Ja się nim zajmę, Wasza Wysokość – oznajmił pogodnie. Maddie chciała już zaprotestować, ale tylko wzruszyła ramionami. Jedną z zalet bycia księżniczką było to, że ludzie mieli zwyczaj wyręczać ją w tego rodzaju obowiązkach. Zostawiła więc Sundancera pod opieką chłopaka i weszła na górę, do swojego pokoju, gdzie poprosiła służące, by przygotowały jej kąpiel. Znowu przyszło jej do głowy, że w Redmont musiałaby się tym zająć sama. Wzruszyła ramionami.

– Nie prosiłam, żeby mnie tu ściągano – powiedziała sama do siebie. – A więc mogę to wykorzystywać bez wyrzutów sumienia.

Ramiona i mięśnie szyi miała zesztywniałe od siedzenia z pochyloną głową nad mapami w bibliotece. Przez pół godziny leżała w przyjemnie gorącej wodzie i czuła, jak mięśnie jej się rozluźniają, a całe ciało się odpręża. W końcu wyszła z wanny, owinęła się prześcieradłem kąpielowym, a przy okazji rozchlapała sporo letniej już teraz wody na kamienną posadzkę.

Zastanowiła się, czy powinna ją wytrzeć, ale uśmiechnęła się. W zwykłych okolicznościach tak by zrobiła, ale tutaj była księżniczką, a służba tylko czekała, by zadbać o wszystkie jej potrzeby. W ramach kompromisu przeprosiła pokojówkę, która przybiegła na jej wezwanie, by wytrzeć podłogę i opróżnić wannę.

– Ależ to żaden problem, Wasza Wysokość – powiedziała radośnie dziewczyna.

– Sama widzisz – powiedziała Maddie do siebie, żeby stłumić poczucie winy. – Ona z własnej woli chce cię obsługiwać.

Zjadła wczesny obiad w samotności, matka zajmowała się bowiem ustalaniem szczegółów zbliżającej się oficjalnej wizyty nowo powołanego ambasadora iberyjskiego, a Maddie nie chciała jej przeszkadzać. Dimon miał służbę – znowu – była więc pozostawiona samej sobie.

Nie przeszkadzało jej to, spokojnie zastanawiała się nad zagadką pięciometrowej różnicy wymiarów piwnicy i ewidentnym brakiem śladu jakiegokolwiek przejścia w kamiennej ścianie. Ostatecznie nie doszła do żadnych wniosków i postanowiła się położyć. Spędziła pracowity dzień, najpierw pochylona nad mapami i liczbami, potem w piwnicy, a wreszcie na przejażdżce na farmę Warwicka i Louise i na patrolu w opactwie.

Pod kołdrą było ciepło i przyjemnie. Maddie zostawiła otwarte okno, by nocne powietrze chłodziło komnatę, a potem podciągnęła przykrycie pod samą szyję, rozkoszując się jego ciepłem. Wyciągnęła nogi, ziewnęła dwa razy i zamknęła oczy. Jej oddech stał się głęboki i regularny.

Nagle usiadła gwałtownie na łóżku.

– „Sinister” znaczy „lewy”!

ROZDZIAŁ 14

Zbliżało się południe, gdy niewielki oddział wyjechał spomiędzy drzew na trawiastą równinę. Za sięgającą do kolan trawą, która chwiała się lekko na wietrze, kilkaset metrów w kierunku północnym, Horace dostrzegł srebrny błysk rzeki.

– To Wezel – powiedział.

Gilan skinął głową.

– A oto i nasi ludzie, których wysłaliśmy na zwiady – oznajmił i wskazał dwóch konnych, czekających na brzegu rzeki.

Horace odwrócił się na siodle i wezwał do siebie dowódcę oddziału. Porucznik przykłusował do nich natychmiast; protokół nakazywał, by w czasie marszu trzymał się na stosowną odległość od obu zwierzchników, by umożliwić im rozmowę na tyle prywatną, na ile pozwalały okoliczności. Ściągnął wodze i zasalutował.

– Poczekajcie tutaj – powiedział Horace i wskazał żołnierzy stojących w odległości kilkuset metrów. – Porozmawiamy z tropicielami i jeśli droga będzie czysta, damy wam znać, że możecie ruszać.

– Czy zatrzymamy się tutaj na postój, sir? – zapytał porucznik.

Horace przyjrzał się pozycji słońca znajdującego się niemal dokładnie nad ich głowami.

– Właściwie możemy pozwolić odpocząć koniom… i łucznikom – dodał z uśmiechem. Łucznicy maszerowali za konnymi. – Ale poczekajmy, aż dostaniemy pełny raport.

– Tak jest, sir. – Porucznik dotknął krawędzi żelaznego hełmu, a potem odwrócił się i wydał rozkazy oddziałowi. – Pozostańcie na koniach, ale możecie odpocząć.

Żołnierze rozprostowali zmęczone nogi, stając w strzemionach i rozciągając mięśnie. Towarzyszący im łucznicy z westchnieniami ulgi po prostu siadali lub kładli się na trawie. Horace i Gilan podjechali cwałem do czekających tropicieli.

– Chyba wszystko w porządku – zauważył Gilan. Gdyby tropiciele chcieli ostrzec ich przed niebezpieczeństwem, dawaliby już jakieś znaki. Oni jednak siedzieli spokojnie i czekali, aż dowódcy się do nich zbliżą. To była wyprawa Horace’a, więc Gilan jemu zostawił przepytanie obu żołnierzy.

– Gdzie są Lisy? – zapytał Horace.

Od wczesnego ranka, na podstawie informacji uzyskanych w jednej z mijanych wsi, zwiadowcy tropili niewielką grupę członków Klanu Czerwonego Lisa. Grupa liczyła sześciu mężczyzn, którzy wędrowali szybkim tempem przez zalesioną okolicę, kierując się na północ.

– Muszą mieć jakiś cel – zauważył Gilan.

Horace wydał potwierdzający pomruk – jasne, że Lisy dokądś się wybierały. Uświadomił sobie jednak, że Gilan ma na myśli to, że buntownicy zmierzają do jakiegoś konkretnego celu. Chociaż leśne drogi, którymi podróżowali, skręcały to w tę, to w tamtą stronę, w sumie konsekwentnie posuwali się na północ. Teraz drogę zagrodził im szeroki i bystry nurt rzeki Wezel. Lisy musiały więc skręcić na wschód lub na zachód, tropiciele zaś najprawdopodobniej czekali na Horace’a i Gilana, by poinformować ich, dokąd udali się śledzeni.

Starszy z dwóch żołnierzy, z insygniami kaprala na kurtce, zasalutował energicznie. Horace skinął mu głową i lekko dotknął czoła palcem wskazującym. Gilan, ukrywając uśmiech, pomyślał, że jego przyjaciel nie jest miłośnikiem musztry rodem z parad wojskowych.

– Sir – odezwał się szybko kapral. – Śledziliśmy ich aż tutaj, do rzeki. Skręcili na wschód i posuwają się wzdłuż brzegu. – Wyciągnął rękę, by wskazać kierunek.

– Czy wiedzą, że ich śledzicie?

Kapral zawahał się.

– Trudno powiedzieć, sir – przyznał. – Nie wydawało nam się, żeby zorientowali się, że ktoś za nimi jedzie. Trzymaliśmy się w sporej odległości. Oczywiście – dodał – łatwiej było ukrywać się, kiedy jechaliśmy przez las. Gdy znaleźliśmy się na otwartej przestrzeni, mogli nas zauważyć.

Horace przez kilka sekund zastanawiał się nad tą odpowiedzią. Skoro Lisy nie zaczęły uciekać, nie można było stwierdzić na pewno, czy zauważyli śledzących ich żołnierzy.

– Hmmm – odezwał się. – Ile czasu upłynęło, odkąd minęli ten punkt?

Żołnierze wymienili spojrzenia.

– Jakieś pół godziny, sir – odpowiedział kapral. – Co najmniej dwadzieścia minut. – Znowu spojrzał na swojego towarzysza. – Jak myślisz, Ned?

Drugi żołnierz skinął głową.

– Co najmniej dwadzieścia minut, sir.

Horace spojrzał na wschód, w kierunku, w którym udała się niewielka grupa Lisów, i podjął decyzję.

– W takim razie jedźcie za nimi dalej – nakazał. – Trzymajcie się jednak w sporej odległości. – Wskazał drzewa odległe o kilkaset metrów. – Możecie ukryć się w lesie.

– Tak jest, sir – odparł kapral.

Horace mówił dalej:

– My zrobimy tutaj dziesięciominutowy postój, a potem ruszymy za wami. Gdyby było coś, o czym powinniśmy wiedzieć, albo gdyby Lisy znowu zmieniły kierunek, niech jeden z was wróci, żeby nas poinformować.

– Tak jest, sir!

Horace odprawił ich machnięciem ręki.

– Dobrze, możecie jechać. Ale uważajcie na siebie. Niewykluczone, że oni kierują się do jakiegoś punktu zbornego, a w takim przypadku nie chcielibyśmy ich spłoszyć.

Tropiciele oddalili się cwałem – kopyta ich koni dudniły głucho na zielonej trawie. Horace odwrócił się w siodle, zagwizdał, a potem zamachał, dając reszcie oddziału znać, że mają do nich dołączyć. Gilan odwiązał zaczepiony na łęku siodła bukłak i pociągnął długi łyk.

– Równie dobrze możemy rozprostować nogi – rzekł Horace. Gdy dołączyli do nich jeźdźcy, za którymi szli łucznicy, zwrócił się do porucznika: – Dziesięć minut, Burton. Pozwól ludziom zsiąść z koni i poluzować popręgi. Sprawdźcie konie, czy któryś nie okulał lub nie otarł się od siodła.

Porucznik skinął głową, a potem odwrócił się i wydał rozkazy. Jeźdźcy zeskoczyli i zaczęli oglądać wierzchowce. Do standardowej procedury należało sprawdzenie, czy konie są w dobrej formie, i to przed zadbaniem o własne potrzeby. Każdy żołnierz miał także luzaka i jego również obejrzał

– chociaż było niewielkie ryzyko, że koń idący bez siodła i jeźdźca będzie wymagać jakiejś pomocy.

Tak jak poprzednio łucznicy, tak teraz i jeźdźcy wyciągnęli się po prostu na trawie tam, gdzie stali. Podróżowanie na piechotę miało także swoje zalety.

Horace popatrzył na nich z uśmiechem.

– Strasznie niezdyscyplinowani – zauważył.

Gilan spojrzał w tę samą stronę i odparł poważnie:

– Możliwe, ale w bitwie się sprawdzają.

– Miejmy nadzieję. Niedługo możemy ich potrzebować

Kiedy dobiegł końca dziesięciominutowy postój, odmierzony przez sierżanta za pomocą niewielkiej klepsydry, żołnierze podciągnęli popręgi i wsiedli na konie. Łucznicy, narzekając, podnieśli się i czekali, nie ustawiając się jeszcze w szyku. Horace podniósł prawą rękę na wysokość ramienia i wskazał kierunek, w którym mieli się udać.

– Ruszajmy, poruczniku – powiedział i niewielki oddział ruszył w dalszą drogę.

Przez kolejną godzinę poruszali się jednak w taki sposób, by łucznicy mogli dotrzymać kroku koniom. Żaden z nich nie narzekał – przyzwyczajeni byli do pieszych marszów, stopy i mięśnie mieli odpowiednio wyrobione i potrafili utrzymać właściwe tempo, tak że nie zostawali w tyle za jeźdźcami.

Jechali równolegle do rzeki. Tak jak Gilan i Horace przewidzieli jeszcze podczas narady w Zamku Araluen, stanowiła ona skuteczną barierę, której poruszająca się przed nimi grupa nie mogła sforsować.

Nagle Gilan uniósł dłoń i kolumna się zatrzymała.

– O co chodzi? – zapytał Horace. W tym momencie zobaczył, co Gilan wskazuje wyciągniętą ręką. Dwaj tropiciele zatrzymali się na brzegu rzeki i czekali na nich jakieś trzysta metrów dalej.

– Masz dobry wzrok – powiedział Horace do dowódcy Korpusu Zwiadowców.

– Coś się musiało stać. Ciekawe, dlaczego jeden z nich nie wrócił, żeby nas powiadomić – rzekł Gilan. Wkrótce sprawa się wyjaśniła.

– Uciekli nam, sir – oznajmił przepraszającym tonem kapral.

Horace zmarszczył brwi z irytacją.

– Uciekli? Jakim cudem? Mówiłem, że macie się trzymać poza zasięgiem ich wzroku, prawda?

– Tak właśnie zrobiliśmy, sir. Wydaje mi się, że od początku wiedzieli, że za nimi jedziemy, tylko się z tym nie zdradzali. Tutaj czekała na nich łódź. – Żołnierz wskazał wąską piaszczystą plażę nad rzeką. – Przewiozła ich na drugi brzeg rzeki. Nie mogliśmy nic na to poradzić, sir. Trzymaliśmy się z tyłu i zanim się obejrzeliśmy, oni byli już na pokładzie.

Horace westchnął, sfrustrowany.

– Mówi się trudno, kapralu. To nie wasza wina. Najwidoczniej zorientowali się już na samym początku.

Odwrócił się na siodle.

– Poruczniku! – zawołał i gestem zaprosił oficera, by do nich dołączył. Kiedy porucznik podjechał bliżej, Horace wskazał resztę konnych.

– Czy ktoś z twoich ludzi pochodzi z tych stron? Chciałbym wiedzieć, czy gdzieś w pobliżu możemy znaleźć bród.

Porucznik zastanowił się.

– Nie jestem pewny, sir. Większość z nich pochodzi z południa. Ale zaraz popytam.

– Nie ma potrzeby – wtrącił Gilan. – Jeden z łuczników wychowywał się w tych stronach. Zanim zaciągnął się do armii, był kłusownikiem. Powinien znać okolicę. Łuczniku Ellisie! – zawołał. – Czy możemy cię tutaj poprosić?

Ellis, przysadzisty mężczyzna po trzydziestce, podszedł pospiesznie do dowódców. Gilan z aprobatą zauważył, że zabrał ze sobą łuk. Żaden łucznik znający swój fach nigdy nie rozstawał się z bronią podczas wyprawy wojennej.

Ellis zasalutował, dotykając czoła kłykciami prawej dłoni.

– Tak jest, zwiadowco! – powiedział gładko. Gilan cieszył się szacunkiem wśród łuczników. Jako zwiadowca przewyższał ich w umiejętności posługiwania się łukiem, a oni potrafili to docenić.

– Dorastałeś w tych stronach, prawda? O ile pamiętam, byłeś kłusownikiem? – zapytał Gilan.

W jednej chwili twarz Ellisa przybrała wyraz urażonej niewinności.

– Ja, sir? Kłusownikiem, sir? Skądże, w życiu nie dotknąłem żadnego królewskiego zwierzęcia. To tylko podłe kłamstwa, które ktoś o mnie opowiadał, nic więcej.

Gilan w milczeniu wpatrywał się w mężczyznę z wyraźnie widocznym niedowierzaniem.

Ellis, mocno speszony, przestąpił z nogi na nogę i w końcu przyznał:

– No, może raz… może nawet dwa. Mogło się zdarzyć, że przypadkiem ustrzeliłem królika albo zająca. Czystym przypadkiem. A skoro już je ustrzeliłem, nie było sensu ich zostawiać, żeby sobie leżały, prawda?

– Och, dajże spokój, Ellisie. Nie obchodzi mnie, czy zdążyłeś ustrzelić przez ten czas setkę jeleni. Pytanie brzmi, jak dobrze znasz tę okolicę?

Ellis rozejrzał się, jakby rzekę, trawiastą równinę i las widział po raz pierwszy.

– Cóż, jak własną kieszeń, sir – odparł. Ulżyło mu, gdy się okazało, że jego dawniejsza nielegalna działalności nie stanowi przedmiotu zainteresowania Gilana.

– Czy są tu gdzieś w pobliżu jakieś brody?

Ellis wydął wargi i zastanowił się.

– Nie w pobliżu, sir. Najbliższy jest dwa kilometry stąd, ale dość trudny.

– Dlaczego? – wtrącił Horace.

Ellis przeniósł spojrzenie na rycerza.

– Nurt jest bystry, sir, tak jak w całej rzece, a bród dość głęboki. Woda sięga mniej więcej do piersi. – Wykonał gest prawą ręką, wskazując miejsce tuż pod kołnierzem kurtki. – Człowiek może zostać zniesiony przez wodę, zanim się obejrzy – zakończył.

– Ale gdybyś mógł trzymać się konia podczas przeprawy, nie byłoby ci łatwiej? – zapytał Horace.

Ellis zastanowił się chwilę, a potem uśmiechnął się.

– Tak, wtedy to by była łatwizna.

– Dobrze – odparł Horace. Skinął głową, by podziękować Ellisowi. – Cóż, proponuję, żebyś nas zaprowadził do tego twojego brodu. Musimy przeprawić się przez rzekę i wrócić na trop Lisów. – Popatrzył na Gilana. – Jak sądzę, będziesz w stanie go podjąć?

Gilan wzruszył ramionami.

– To nie powinno stanowić problemu.

Porucznik stojący za nimi odkaszlnął dyskretnie.

– Sir Horace?

Odwrócili się. Porucznik wskazywał odległy o kilkaset metrów las. Spomiędzy drzew wychodzili i ustawiali się w trzech szeregach uzbrojeni mężczyźni. Było ich bardzo wielu.

– Chyba mamy kłopoty – powiedział Horace.

ROZDZIAŁ 15

Przez krótką chwilę Maddie miała ochotę zrzucić kołdrę i natychmiast pobiec do piwnicy. Szybko jednak przemyślała ten pomysł.

Było zimno. W podziemiach będzie jeszcze zimniej. Będzie też ciemno i trudno będzie cokolwiek zobaczyć. Co więcej, jeśli teraz się tam wybierze, może przypadkiem wpaść na wartowników i spowodować zamieszanie. Zaczną ją wypytywać, co takiego zamierzała zrobić, a nie miała ochoty bawić się w wyjaśnienia. Podciągnęła kołdrę pod brodę.

– Jutro też jest dzień – uznała i ułożyła się wygodnie.

Następnego ranka w pośpiechu zjadła śniadanie. W spiżarni poza nią było tylko kilku zamkowych służących, którzy właśnie skończyli lub też mieli zaczynać swoją zmianę. Maddie była zadowolona, że nie spotkała nikogo, z kim wypadałoby jej podjąć rozmowę. Głowę miała wypchaną wyobrażeniami, co też może kryć się w dolnej piwnicy, i nie byłaby w tej chwili wdzięczną partnerką do jakiejkolwiek dyskusji. Wiedziała, że jej matka zwykle wstaje bardzo wcześnie, ale najprawdopodobniej jadła śniadanie w swojej komnacie lub w gabinecie.

Maddie nie do końca rozumiała, dlaczego tak bardzo jej zależało na tym, by nikomu nie powiedzieć o ewentualnym istnieniu tajnego przejścia lub ukrytych schodów. Może dlatego, że jeśli takie schody i przejścia istniały, nie bez powodu były utrzymywane w tajemnicy. Nawet zachowanie Uldreda wskazywało na to, że nie do końca wierzył w ich istnienie, był pewien, że należały do sfery baśni.

Może też nauka u zwiadowców sprawiła, że Maddie nie miała ochoty dzielić się z nikim swoimi spostrzeżeniami. Zwiadowcy byli znani ze swojej skrytości i umiejętności trzymania języka za zębami. Lubili dysponować informacjami, których nie mieli inni, wiedzieć o sprawach, o których inni nie mieli pojęcia. Ostatecznie nie było pewne, kiedy taka wiedza może im dać przewagę.

Z przyzwyczajenia, którego nabrała, żyjąc w małej chacie w lennie Redmont, zaniosła naczynia do kuchni, opłukała je w wielkiej miednicy i ułożyła w stosie do wyschnięcia. Pracująca pomywaczka popatrzyła na nią ze zdziwieniem. Nie była przyzwyczajona, by arystokraci brudzili sobie ręce tak przyziemnymi czynnościami.

– Dziękuję, Wasza Wysokość – powiedziała, ale Maddie ledwie usłyszała jej słowa, całkowicie skoncentrowana na tym, co zamierzała zrobić.

W magazynku znalazła latarnię, sprawdziła, czy w pojemniku jest olej, i skierowała się do schodów prowadzących do piwnicy. W pochwie przy pasie miała saksę, a za pasem zwiniętą i schowaną procę. Woreczek z pociskami ciążył jej na lewym biodrze. Nie przypuszczała, by broń okazała się potrzebna, ale nigdy nie można było mieć całkowitej pewności.

Także dzisiaj w górnej piwnicy nie było nikogo, co bardzo ucieszyło Maddie. Któryś ze służących przyniósł świeże pochodnie i latarnie, po czym zajął się innymi sprawami. Również w dolnej piwnicy nie zaszły żadne zmiany. Maddie podeszła do jednej z pochodni osadzonej w uchwycie na ścianie. Poprzedniego dnia zauważyła, że przechowywano tu także zapas cienkich świeczek, prawdopodobnie służących do zapalania lamp. Podniosła szybkę swojej latarni, zapaliła świeczkę od pochodni, a potem przeniosła płomyczek na knot, który wysunęła na jakiś centymetr.

Knot zapłonął natychmiast jasnym, żółtym płomieniem, nad którym uniosła się chmurka czarnego dymu. Maddie przykręciła knot, żeby palił się równiej i żeby dym zniknął. Potem zamknęła szybkę latarni dającej mocne światło dzięki wypolerowanemu metalowemu dyskowi umieszczonemu za knotem. Wzięła latarnię, rzucającą półkrąg blasku przed nią, i podeszła do ściany. Przykucnęła, by raz jeszcze przyjrzeć się słowom wyrytym tam w kamieniu.

Sinister. Sinister. Sinister.

– Lewo, lewo, lewo – mruknęła do siebie. – Albo trzy od lewej. Albo trzeci od lewej. – Wypróbowywała różne warianty, zastanawiając się, który ma najwięcej sensu. – Trzeci od lewej – zdecydowała po chwili namysłu. Położyła dłoń na kamieniu z inskrypcją i odliczyła trzy kamienie w lewo, dotykając każdego palcem wskazującym.

W kamieniu, którego dotknęła na końcu, nie było absolutnie nic szczególnego. Wyglądał pod każdym względem tak samo jak sąsiednie. Popchnęła go na próbę, kładąc całą dłoń na środku szorstkiej powierzchni.

Nic.

Spróbowała nacisnąć na krawędź, szukając miejsca, w którym wyczułaby choćby najlżejsze poruszenie. Aby stosować się nadal do instrukcji, nacisnęła najpierw z lewej strony. Potem z prawej.

Dalej nic.

Spróbowała nacisnąć na górze i na dole. Bezskutecznie. Potem wepchnęła palce w płytkie wgłębienie między tym kamieniem i następnym, by pociągnąć od góry. Potem od dołu.

Nic nawet nie drgnęło.

Przysiadła na piętach i zaczęła myśleć. Tak jak miała zwyczaj w podobnych sytuacjach, mówiła do siebie na głos.

– Lewo, lewo, lewo – powiedziała cicho. – Co jeszcze to może znaczyć?

Uświadomiła sobie, że oczywiście mogłoby chodzić o dowolny kamień w trzecim rzędzie od narożnika. Przesunęła wzrokiem w górę i w dół w poszukiwaniu jakichś pęknięć czy niedoskonałości w zaprawie, ale niczego nie zauważyła. Zamierzała spróbować szczęścia z innymi kamieniami w rzędzie, ale nagle przyszła jej do głowy jeszcze jedna możliwa interpretacja.

– Może chodzi o trzy w lewo, licząc od pierwszego kamienia, a nie od narożnika – powiedziała. Wtedy byłby to czwarty kamień od brzegu. Przeniosła uwagę na kamień po lewej stronie poprzedniego. Przysunęła bliżej latarnię, by przyjrzeć się spojeniom, zaprawie i samemu kamieniowi.

Nacisnęła go pośrodku. Nic się nie wydarzyło.

– Solidny jak skała – mruknęła.

Zniechęcona i niemal pewna, że źle zrozumiała znaczenie trzech słów wyrytych w kamieniu, powtarzała teraz poprzednią sekwencję. Machinalnie nacisnęła kamień z lewej strony.

Z wnętrza ściany dobiegło wyraźnie słyszalne metaliczne kliknięcie i po chwili blok trzech kamieni, z uruchamiającym mechanizm pośrodku, wysunął się gładko ze ściany na jakieś pół metra, po czym znieruchomiał. Maddie wsunęła palce w szeroką szczelinę po lewej stronie i pociągnęła. Drzwi, wysokie na półtora metra i szerokie na metr, obróciły się płynnie wokół centralnego zawiasu i odsłoniły ciemność.

Maddie uniosła się trochę, podniosła latarnię, żeby oświetlić mroczną przestrzeń za drzwiami, i zajrzała w głąb otworu w ścianie.

Zobaczyła kamienne mury i pomieszczenie, które mogło mieć najwyżej trzy na trzy metry. Ostrożnie przecisnęła się przez otwór, trzymając latarnię tak, by jej światło wypełniło przestrzeń i rozproszyło ciemność.

Ściany zrobiono tutaj z grubo ciosanego kamienia, w odróżnieniu od tych zewnętrznych – niewygładzonego i gorzej dopasowanego. Sklepienie było jeszcze mniej starannie ociosaną skałą i wisiało tak nisko, że Maddie ledwie mogła się wyprostować. Malutkie pomieszczenie pełne było pajęczyn.

Pod stopami miała klepisko – ubitą glinę, którą rozpoznała, gdy przyjrzała się jej uważniej. W każdej z trzech ścian widziała zarys wejścia lub też wyjścia. Jedno prowadziło na wschód, drugie na zachód, trzecie na południe. Maddie podeszła do zachodniego wyjścia i wsunęła latarnię w otwór na długość ramienia.

Zobaczyła wąski tunel szerokości najwyżej metra, idący prosto i lekko w dół. Zmarszczyła brwi i zastanowiła się nad jego orientacją. W tym kierunku była fosa – fosa i mur zewnętrzny. Poczuła ekscytację, oddech jej przyspieszył, a serce zaczęło bić mocniej.

Duncan powiedział, że jego przodek wykorzystywał tunel, żeby wymykać się z zamku i wracać do niego niepostrzeżenie. Czy to mógł być właśnie ten tunel?

Podniosła latarnię i zrobiła krok w głąb korytarza. Gdzieś tam w ciemności usłyszała przemykające małe łapki. Pomyślała, że to szczury – ich obecność nie przeszkadzała jej nadmiernie. Miała saksę i latarnię, poza tym istniała szansa, że będą trzymać się z dala od światła.

Zrobiła jeszcze krok, ale zawahała się. Uświadomiła sobie, że zostawiła za sobą szeroko otwarte tajemnicze drzwi. Gdyby ktokolwiek zszedł teraz do piwnicy, jej sekret wyszedłby na jaw. Wycofała się więc pospiesznie i popchnęła wewnętrzną krawędź drzwi – obróciły się i zatrzasnęły z takim samym jak wcześniej głośnym szczękiem.

– Może nie powinnam była tego robić – powiedziała niepewnie. Przyklękła i wymacała dolny rząd kamieni, aż znalazła czwarty od narożnika. Wcześniej popchnęła jego lewą stronę, aby wejść, czyli teraz byłaby to prawa strona. Położyła dłoń z prawej strony kamienia i nacisnęła.

KLIK!

Drzwi znowu się otworzyły, a Maddie odetchnęła z ulgą. Myśl o tym, że mogłaby tu zostać uwięziona, nie była przyjemna. Teraz jednak wiedziała,

że będzie mogła wyjść tą samą drogą, którą weszła. Opuściły ją złe przeczucia.

– Naprawdę nie było się czym przejmować – odezwała się, by zadrwić z samej siebie. – W takim razie przekonajmy się, dokąd prowadzi ten tunel. – Zamknęła drzwi i z uniesioną latarnią ostrożnie weszła do ciemnego korytarza.

Jej stopy ślizgały się na glinie. Kłąb pajęczyn musnął jej twarz, więc odsunęła je niecierpliwie na bok. Szła w głąb i czuła, że schodzi ostro w dół. Znowu usłyszała skrobanie pazurków na kamieniach, ale niczego nie zauważyła.

– One bardziej boją się ciebie niż ty ich – powiedziała. Po czym dodała pytanie: – Czy ty się ich boisz?

Tym razem nie odpowiedziała. Nie lubiła okłamywać samej siebie.

Szła, ostrożnie stawiając stopy, aż poczuła, że grunt staje się coraz bardziej miękki. Opuściła latarnię, by obejrzeć dno tunelu. Glina była wilgotna, ponieważ ściekała na nią woda, przenikająca przez sklepienie i ściany. Kiedy ramieniem dotknęła ściany – nie było tu zbyt wiele miejsca – na rękawie kurtki pozostał ślad mokrej gliny.

Powietrze było zimne i pachniało wilgocią, woda skapywała z sufitu. Maddie podniosła kołnierz kurtki, by się przed nią ochronić.

– Pewnie jestem pod fosą – powiedziała z nutą podziwu w głosie. Spróbowała sobie przypomnieć, jak szeroka jest fosa. O ile pamiętała, było to od ośmiu do dziesięciu metrów. Szła dalej, ostrożnie stawiając stopy i licząc kroki. Dno tunelu było teraz równe, nie opadało już.

Potem nagle zaczęło się unosić, prowadząc w górę, a ściekająca woda pomału zaczęła znikać. Coś zwieszało się ze sklepienia. Maddie uniosła latarnię i zobaczyła gęstą plątaninę, w której rozpoznała korzenie sporego krzewu.

– Jestem za murami – oceniła. Popatrzyła w ciemny tunel przed sobą. W mroku znikało światło jej latarni. Zaczęła się zastanawiać, jak daleko jeszcze się ciągnie to przejście.

– Jest tylko jeden sposób, by to sprawdzić – stwierdziła i ruszyła przed siebie.

ROZDZIAŁ 16

Jak myślisz, ilu ich jest? – zapytał Gilan. Horace ze zmrużonymi oczami przyglądał się wrogiemu oddziałowi.

– Co najmniej setka – odparł z gniewem wyraźnie dźwięczącym w głosie. – Ktoś nas okłamał – dodał. Kolejni zbrojni wyłaniali się spomiędzy drzew i dołączali do swoich towarzyszy.

– To już raczej stu pięćdziesięciu – zauważył Gilan. – Trzy razy więcej, niż nam powiedziano. – Zobaczył, że wróg niemal zakończył formowanie szyku. Zbrojni utworzyli dwa szeregi rozciągnięte na otwartej przestrzeni. Gilan wiedział, że kiedy ruszą do ataku, oba końce linii będą poruszać się szybciej niż jej środkowa część, co pozwoli im otoczyć mały oddział czekający nad rzeką. Odwrócił się i wydał rozkaz:

– Łucznicy, zbiórka w dwóch grupach! Tutaj!

Wskazał punkt kilka metrów przed nimi. Łucznicy podbiegli i podzielili się na dwie grupy po dziesięć osób. Gdy się poruszali, ich broń klekotała i brzęczała, ale gdy zajęli pozycje, zapadła cisza.

– Szyk luźny. Ruszajcie – powiedział cicho Gilan i pierwszy szereg zrobił dwa długie kroki do przodu. Łucznicy poruszali się jak jeden mąż. Nie przepadali za wojskową musztrą paradną i wykonywaniem rozkazów sierżanta niczym bezmyślne marionetki, ale to było co innego. To należało do ich stylu walki i ćwiczyli to wielokrotnie.

Horace skinął z aprobatą głową, gdy odwrócili się bokiem. Każdy z nich w lewej ręce trzymał w gotowości łuk, a prawą opierał na lotkach strzał w kołczanie. Rycerz popatrzył na dowódcę konnicy.

– Poruczniku, ustaw swoich ludzi po obu stronach łuczników.

Gdy porucznik wykrzyczał rozkazy, konnica podzieliła się na dwie części – połowa przejechała na lewą stronę łuczników, druga na prawą. Jeźdźcy rozstawili się w szeregu i czekali na dalsze rozkazy.

– Tarcze! – zawołał dowódca. Wszyscy konni nosili na plecach tarcze, a teraz przesunęli je na bok i zaczepili na lewej ręce. Każdy z żołnierzy

uzbrojony był w długą lancę, którą teraz trzymał pionowo, opierając jej koniec o małą skórzaną pętlę przy prawym strzemieniu. Konie, trenowane do walki, poruszały się niespokojnie, parskały i węszyły w powietrzu, wyczuwając nadchodzącą bitwę.

– Rwą się do akcji – powiedział Gilan.

Horace wzruszył ramionami.

– Tylko że konie nie potrafią liczyć – przypomniał. Tak jak zauważył wcześniej, przeciwnik miał nad nimi przewagę trzy do jednego.

– I co teraz? – zapytał Gilan.

– Pozwolimy im zaatakować – zdecydował Horace. – Nie ma sensu wyprowadzać szarży, bo po prostu zasłonią się tarczami, a my stracimy ludzi, starając się przełamać szyk. Wykorzystajmy łuczników, żeby ich trochę zniechęcić.

Gilan skinął głową. Z drugiej strony dobiegła ich seria wykrzyczanych rozkazów.

– To podejrzanie przypomina sonderlandzki – stwierdził. – Co się stało z tymi „trzydziestoma lub czterdziestoma ludźmi, głównie bandytami i opryszkami”?

– Przynajmniej nie mają konnicy – rzekł Horace. – To już coś, za co możemy być wdzięczni losowi.

Przeciwnicy mieli podłużne, zaokrąglone na rogach tarcze z drewna pokrytego utwardzoną skórą. Niektórzy uzbrojeni byli we włócznie, inni w topory, a pozostali nosili miecze. Większość włożyła stalowe hełmy, pozostałym musiały wystarczać skórzane czapki wzmacniane metalowymi okuciami.

– Powiedziałbym, że to najemnicy. Przynajmniej część z nich, może połowa. To oni dostarczyli pozostałym broń i zbroje. Tak jak mówiłem, ktoś musiał nas okłamać.

– Owszem, daliśmy sobie wcisnąć bzdurę, to pewne – zgodził się Gilan. – Jest także oczywiste, że tych sześciu, których ścigaliśmy, wiedziało, że za nimi podążamy, i złapali nas w zasadzkę.

– Nie mogę się doczekać, aż porozmawiam z tym wieśniakiem, który skierował nas na ich trop – powiedział Horace. – O ile oczywiście będzie jeszcze w tej wsi. Niewykluczone, że dołączył do swoich znajomych Lisów. Rozpoczynają atak – dodał, gdy po drugiej stronie trawiastej przestrzeni zabrzmiał ostatni rozkaz, a wrogi szereg ruszył naprzód.

– Łucznicy! – zawołał Gilan. – Po pięć strzał każdy, fale naprzemienne. Gotowi!

Rozległy się ciche szelesty, gdy dwadzieścia strzał zostało wyjętych z wyścielanych jagnięcą skórą kołczanów i nałożonych na cięciwy.

– Jeszcze nie – ostrzegł Horace.

Gilan uśmiechnął się i spojrzał na niego z ukosa.

– Wiesz, już to kiedyś robiłem.

Horace machnął pojednawczo ręką.

– Przepraszam.

Dowódca zwiadowców pozwolił, by przeciwnicy przeszli jeszcze sześć kroków, a potem zaczął wydawać rozkazy.

– Pierwszy szereg, strzelać!

Pierwszy szereg, złożony z dziesięciu ludzi, podniósł łuki, wycelował i strzelił. Łucznicy natychmiast uklękli, a zanim jeszcze strzały dosięgnęły celu, Gilan znowu zawołał:

– Drugi szereg, strzelać!

Kolejne dziesięć strzał śmignęło w górę, a pęd sprawił, że lotki zagwizdały w powietrzu.

– Pierwszy szereg, strzelać!

Pierwszy szereg wstał, gdy tylko strzały wypuszczone z drugiego szeregu znalazły się w powietrzu. Łucznicy napięli łuki i wystrzelili kolejną falę. W tym samym momencie pierwsza fala dosięgła tarcz i żołnierzy przeciwnika. Dwaj z nich upadli na ziemię. Trzej kolejni zachwiali się pod uderzeniami strzał o tarcze, a w szeregu pojawiły się luki. Właśnie wtedy spadła na nich druga fala strzał, tworząc kolejne luki.

– Drugi szereg, ostrzał stromotorowy! – rozkazał Gilan, a łucznicy z drugiego szeregu wycelowali w górę, tak że strzały wzniosły się wysoko w powietrze i spadły na tylną linię przeciwnika. Atakujący żołnierze z drugiej linii zbyt późno unieśli tarcze nad głowy. Czterech z nich upadło z wrzaskiem.

– Wybierać cele! – krzyknął Gilan. – Nie strzelać na oślep! Pierwszy szereg, strzelać!

Kolejna fala strzał uderzyła w szeregi wroga. Kolejni żołnierze upadli.

– Drugi szereg, strzelać!

Zbliżający się przeciwnicy zawahali się, a potem stanęli. Poszczególni żołnierze zaczęli kucać i chować się za tarczami, by uchronić się przed

śmiercionośnym, nieubłaganym ostrzałem. Łucznicy Horace’a i Gilana należeli do najlepszych w Araluenie. Ćwiczyli pod czujnym okiem emerytowanego zwiadowcy i jeśli nie liczyć członków samego Korpusu Zwiadowców, byli najprawdopodobniej najlepsi w królestwie.

– Pierwszy szereg, strzelać!

Świsnęły następne strzały, które wbiły się w tarcze, hełmy, a także odsłonięte ramiona i nogi. Dwa szeregi strzelające naprzemiennie sprawiały, że przeciwnik cały czas znajdował się pod gradem strzał, siejących śmierć i zadających rany. To było zbyt wiele. Jeden z żołnierzy z pierwszego szeregu, do tej pory kucający za tarczą, podniósł się i przepchnął na tyły, osłaniając się tarczą przed bezlitosnymi strzałami. Za chwilę w jego ślady poszedł drugi. Potem jeszcze trzech. A potem cały oddział rzucił się biegiem do lasu, gdzie czekał wściekły dowódca.

– Przerwać ostrzał! – zawołał Gilan i śmiercionośne strzały przestały lecieć. Jednakże było już zbyt późno, by przeciwnik mógł powrócić do poprzedniej formacji. Ludzie uciekali na oślep między drzewa, wymijając dowódców, którzy pochylali się w siodłach i próbowali okładać ich płazami mieczy.

– Nestorze! – zawołał Gilan dowódcę łuczników, który był strzelcem wyborowym. – Spróbuj może trafić tego jegomościa na czarnym koniu.

Wśród czekających na skraju lasu jeźdźców wyróżniał się dowódca wrogiego oddziału. Wykrzykiwał teraz przekleństwa i obelgi pod adresem przebiegających koło niego ludzi. Łucznik, do którego zwrócił się Gilan, z uśmiechem nałożył strzałę na cięciwę, zmrużył oczy, szacując odległość, a potem uniósł poziomo łuk, odchylił się do tyłu, naciągnął cięciwę i jednym płynnym ruchem wypuścił strzałę.

Mogli śledzić jej lot, dopóki nie zniknęła na tle jasnego nieba. Gilan, kierując się wieloletnim doświadczeniem, zaczął odliczać.

– Trzy… dwa… jeden…

Wrogi dowódca wrzasnął nagle i skręcił się w siodle, gdy strzała wbiła się w jego lewe ramię. Zaskoczony, stracił równowagę od silnego uderzenia, zachwiał się i poleciał ciężko na ziemię. Dwaj adiutanci podbiegli do niego, unieśli go i pociągnęli w bezpieczne miejsce za drzewami.

– Dobra robota, Nestorze! – zawołał Horace, a pozostali żołnierze, łucznicy i konni pogratulowali mu strzału. – Dostaniesz dzisiaj podczas

kolacji dodatkową porcję.

Horace przyjrzał się uważnie oddziałowi przeciwnika. Ludzie byli wyraźnie przestraszeni, a po zdyscyplinowanym wcześniej szyku nie pozostało nawet śladu.

– Nie sądzę, żeby znowu spróbowali.

Wyjechał przed swój oddział i zwrócił się do łuczników:

– Ilu z was potrafi jeździć konno? – zapytał. Wszyscy oprócz pięciu podnieśli ręce. – Na oklep? – dodał, ręce pozostały w górze.

– Nas tam nie stać na eleganckie siodła – odezwał się jeden z łuczników, a inni zawtórowali mu śmiechem. Po tym, jak udało im się przepędzić wroga, każdy żart mógł liczyć na przychylne przyjęcie.

– Jaki masz pomysł? – zapytał Gilan.

Horace wskazał luzaki przywiązane do liny rozpiętej między dwoma drzewami.

– Mamy dwadzieścia dodatkowych koni – powiedział. – Jeśli wszyscy będziemy jechać konno, powinniśmy wyprzedzić tę bandę – wskazał pogardliwie oddział nieprzyjaciela – i jako pierwsi dotrzeć do brodu, o którym mówił twój człowiek.

– A co z pięcioma, którzy nie umieją jeździć konno? – spytał Gilan.

Horace spojrzał na niewielki wóz, na którym jechały zapasy żywności, broni oraz namioty.

– Mogą pojechać na wozie, będzie szybciej niż piechotą. Musimy jednak wyruszyć od razu, zanim przeciwnik zdąży przegrupować swoich ludzi.

Szybko zajęli się przydzieleniem koni tym łucznikom, którzy potrafili jeździć, pozostała piątka wspięła się na wóz z zapasami.

– Twoi żołnierze są doświadczonymi jeźdźcami – zauważył Gilan. – Mogliby oddać łucznikom osiodłane konie.

Horace potrząsnął głową.

– Gdyby moi ludzie musieli walczyć, będą potrzebować siodeł i strzemion.

Gilan przytaknął, zrozumiawszy – człowiek walczący na koniu potrzebował oparcia w postaci strzemion i siodła, by skutecznie posługiwać się lancą i mieczem.

– Słusznie. Wyznacz jeszcze dwóch swoich ludzi, żeby zajęli się końmi, gdyby Lisy znowu zaatakowały. Moi łucznicy będą musieli szybko zsiąść

na ziemię i ustawić się w szyku, a nie chcielibyśmy, żeby konie w tym czasie uciekły.

Horace przekazał polecenie porucznikowi. Kiedy kilka minut później wszyscy byli już na koniach, gestem dał znak Ellisowi, by prowadził ich do brodu. Cały oddział odjechał kłusem, a potem przyspieszył do cwału, aż kopyta zadudniły głucho na trawie.

Horace obejrzał się przez ramię na Lisy, ale opatrywali rannych i wyraźnie nie mieli ochoty ruszać się spod osłony drzew. Na zielonej łące pomiędzy lasem a rzeką jedenastu ich towarzyszy leżało tam, gdzie padli.

ROZDZIAŁ 17

W tunelu było zimno i wydawało się, że ciemność pochłania światło latarni po zaledwie kilku metrach. Maddie szła lekko pochylona, ponieważ sklepienie było nisko – tylko gdzieniegdzie wypiętrzało się na co najmniej dodatkowy metr. Dno tunelu robiło się wtedy nierówne, dlatego Maddie podejrzewała, że to pozostałości po miejscach, gdzie sklepienie kiedyś się zapadło.

– Mam nadzieję, że nie zrobi tego akurat teraz, kiedy tu jestem – mruknęła do siebie. Myśl o pogrzebaniu żywcem była nieprzyjemna, do tego Maddie z ukłuciem niepokoju uświadomiła sobie, że nikt nie wie, dokąd się wybrała. Gdyby coś poszło nie tak, mogłaby tu zostać na zawsze. Może Uldred przypomniałby sobie, że mówiła coś o poszukiwaniu tajnych przejść. Zanim jednak ekipa ratunkowa mogłaby wyruszyć jej na pomoc, musieliby rozwiązać zagadkę ukrytego pomieszczenia w dolnej piwnicy, a potem znaleźć sposób na otwarcie tajnych drzwi.

Sklepienie znowu się obniżyło, a dno tunelu stało się równiejsze, dlatego Maddie odsunęła od siebie złowrogie myśli.

Marsz ciasnym tunelem był wyczerpujący. Poza blaskiem latarni nie było żadnego światła, więc Maddie nie miała punktów odniesienia pozwalających ocenić, jak daleko przeszła i ile jeszcze mogło jej pozostać do wyjścia. Poniewczasie przyszło jej do głowy, że powinna była liczyć kroki, żeby mieć przybliżone pojęcie, jaką odległość pokonała.

– Niezła z ciebie odkrywczyni – burknęła do siebie i pociągnęła nosem zdegustowana.

Przynajmniej ściany i dno tunelu były tutaj suche, w odróżnieniu od części biegnącej pod fosą. To było niezwykle nieprzyjemne doświadczenie – woda ściekała jej na głowę, a ziemia mlaskała pod jej stopami.

Nagle dotarła do kamiennej ściany, która wyłoniła się z ciemności. Potężna i nieustępliwa. Maddie poczuła rozczarowanie. Jej wędrówka zakończyła się w jakimś ślepym zaułku. Nie było żadnej potajemnej drogi

na zewnątrz. Ci, którzy wykopali tunel, musieli przeżyć podobne rozczarowanie, gdy uświadomili sobie, że nie ma sposobu, by przebić się przez granitową ścianę, na którą natrafili. Podeszła bliżej i uniosła latarnię. Okazało się, że to jednak nie koniec drogi.

Tunel skręcił w prawo, by ominąć potężny głaz, który tarasował przejście. Szczelina obok głazu była tak wąska, że Maddie musiała obrócić się bokiem i wciągnąć brzuch, żeby się przecisnąć. Zaraz jednak zrobiło się szerzej, a tunel stopniowo zakręcał, by powrócić na poprzednią trasę. Maddie poczuła przypływ większej pewności siebie. W końcu dno korytarza zaczęło się stopniowo podnosić.

Dziewczyna zatrzymała się. Miała wrażenie, że po co najmniej pół godzinie marszu w kompletnych ciemnościach zaczyna nagle coś widzieć przed sobą. Bez zastanowienia uniosła latarnię i malutki żółty płomyk przyćmił wszystko, co widziała – lub też jej się wydawało, że widzi – w głębi tunelu. Opuściła latarnię i schowała ją za siebie, by zasłonić jej blask. Jej oczy stopniowo przywykły do ciemności. I wtedy znowu to zobaczyła.

Ledwie widoczny krąg światła.

Gdy podniosła latarnię, szarawe kółeczko w oddali zniknęło. Powędrowała dalej, potykając się od czasu do czasu na nierównym dnie i zapierając się wolną ręką o zimne kamienne ściany, by ratować się przed upadkiem.

Dziesięć kroków. Teraz zaczęła je liczyć. Potem dwadzieścia. Szarawe kółko przed nią było już wyraźnie widoczne. Znowu zasłoniła latarnię, a szarość stała się jaśniejsza, niemal biała.

Krąg był też dwa razy większy niż wcześniej.

Maddie nie miała pojęcia, jak daleko się znajduje, więc szła i potykała się na nierównym gruncie, starając się nie patrzeć bezpośrednio w blask latarni. Ile razy to zrobiła, potrzebowała kilku minut, by jej wzrok na nowo przyzwyczaił się do półmroku.

Wiedziała, że musi być coraz bliżej. Szary krąg światła powiększał się z każdym jej krokiem. Stopniowo przestał przypominać idealne koło i stał się wydłużony – była to raczej szeroka szczelina niż otwór, szersza na dole niż na górze, gdzie wyraźnie się zwężała.

Maddie wiedziała, że ma przed sobą wylot tunelu, przyspieszyła więc i potknęła się raz czy dwa z powodu własnej niecierpliwości. Nagle

poczuła, że koniecznie chce się wydostać z tej mrocznej, ponurej dziury w ziemi. Chciała odetchnąć świeżym powietrzem i znowu zobaczyć słońce.

Wyjście nie otwierało się bezpośrednio na świat zewnętrzny. Tunel znowu skręcał pod kątem prostym, tym razem w prawo, by ominąć jakiś skalny występ. Maddie przecisnęła się koło skały i natrafiła na gęstą plątaninę liści i przerośniętych gałęzi, które zakrywały wejście do tunelu przed wzrokiem postronnych. Wyciągnęła saksę i zaczęła wyrąbywać przejście przez tę zaporę, ale zaraz się zatrzymała.

Uświadomiła sobie, że nie ma sensu ciąć na oślep. Jeśli to zrobi, wejście stanie się wyraźnie widoczne. Pracowała więc ostrożniej, wycinając tylko tyle gałęzi, by móc się przedostać. Potem przecisnęła się między gęstymi pnączami i wydostała się na powietrze.

Oddychając ciężko, rozejrzała się, chcąc zorientować się, gdzie jest. Była w środku jednej z niewielkich kęp drzew i krzewów rosnących w otaczającym zamek parku. Było tu dość miejsca, by zapewnić schronienie i odrobinę intymności parom, które chciałyby urządzić piknik lub spędzić trochę czasu sam na sam. Drzewa nie stanowiłyby jednak dostatecznej osłony dla ewentualnego oddziału napastników. Kilka metrów od ukrytego wejścia do tunelu ustawiono drewniany stół i ławki, jak w co najmniej tuzinie innych zacisznych miejsc w parku. Maddie zaczęła wyciągać stopy spomiędzy gałęzi i pnączy, które ją oplątały, jakby próbowały ją zatrzymać. Podeszła do stołu, żeby usiąść.

Z tego miejsca nie widziała nawet śladu wejścia do tunelu. Skalny nawis maskował je niemal całkowicie, a dzieła dopełniały splątane gałęzie.

Maddie podniosła się, podeszła do skraju kępy i nagle zobaczyła wznoszący się wysoko ponad nią Zamek Araluen. Znajdowała się co najmniej sto pięćdziesiąt metrów od zamkowej bramy. Spojrzała w kierunku niewidocznego teraz wlotu tunelu i pokiwała głową z podziwem dla dawnych budowniczych. Byli naprawdę uzdolnieni.

Odwróciła się i popatrzyła w przeciwną stronę, gdzie ponad drzewami widać było dachy pobliskiej wioski i błysk słońca na wodzie przepływającego przez osadę strumienia. Przypomniała sobie słowa Duncana, że jego przodek miał dziewczynę we wsi i wykorzystywał tunel, by wymykać się na spotkania z nią.

– Cóż, prapradziadku – powiedziała z uśmiechem. – Nie byłeś grzecznym chłopcem, prawda?

Po namyśle doszła do wniosku, że tunel zapewne służył pierwotnie poważniejszym celom niż sekretne schadzki jej prapradziadka. Być może miał stanowić drogę ucieczki w razie niebezpieczeństwa lub umożliwiać potajemne przedostanie się do zamku. Jeśli chodziło o to drugie, nie dziwiło, że jego istnienie utrzymywano w tak ścisłej tajemnicy. Zamek Araluen uchodził praktycznie za nie do zdobycia, ale tunel prowadzący pod fosą mógłby stanowić poważne zagrożenie w przypadku oblężenia. W efekcie im mniej osób wiedziało o nim, tym lepiej.

– No cóż – westchnęła Maddie. – Najlepiej będzie, jeśli już wrócę.

Myśl o tym, że ma porzucić ten przyjemny świat pełen zielonej trawy i świeżego powietrza, by znów zanurzyć się w mrocznej i dusznej ciasnocie tunelu, była zdecydowanie nieprzyjemna. Maddie podniosła pozostawioną na stole latarnię i wtedy zorientowała się, że zapomniała ją zgasić. Potrząsnęła i usłyszała chlupnięcie świadczące o tym, że zbiorniczek był już niemal pusty. Rano napełniła latarnię olejem, ale wykorzystywała ją bez umiaru, odkąd zeszła do piwnicy, a znalezienie się w kompletnej ciemności nie wydawało jej się atrakcyjną perspektywą. Popatrzyła na słońce. Minęło już południe, a w południe zmieniali się wartownicy na moście. To oznaczało, że nikt nie zacznie się zastanawiać, w jaki sposób wydostała się poza mury zamku, jeśli wróci do niego zwykłą drogą.

Podjęła już decyzję. Podniosła szybkę latarni i zdmuchnęła płomyk, a potem ruszyła po trawiastym zboczu do zamkowej bramy

Po południu, po pospiesznie zjedzonym obiedzie, zbadała dwa pozostałe tunele. Oba kończyły się w obrębie zamkowych murów. Ten prowadzący na wschód okazał się stosunkowo krótki – biegł pod zamkowym dziedzińcem do ukrytych schodów w ogromnej wartowni, w której znajdowała się maszyneria służąca do podnoszenia i opuszczania mostu zwodzonego. Wylot przejścia znajdował się w połowie wysokości ściany, tuż za potężnym kołem zębatym, które trzeba było obrócić, by poruszyć most, w przemyślnie ukrytej wnęce, niewidocznej za ciężkimi drewnianymi belkami i grubymi łańcuchami. Ktoś musiałby się tam wspiąć – a nie miałby żadnego powodu, by to robić – żeby zauważyć schody.

Trzecie przejście było zdecydowanie dłuższe. Wejście do niego było skierowane na południe i wydawało się, że tunel idzie prosto, ale bez zewnętrznego punktu odniesienia Maddie nie miała możliwości ocenić, czy nie skręca w lewo lub w prawo. Mogła tylko przejść nim do końca i zobaczyć, dokąd ją zaprowadzi.

A zaprowadził ją po kilkuset metrach do pomieszczenia mogącego mieć jakieś trzy metry kwadratowe. Pod boczną ścianą znajdowała się ustawiona prawie pionowo drabina, a może były to bardzo strome drewniane schody. Maddie podniosła wyżej latarnię i spojrzała w górę. Po pierwszych piętnastu stopniach zobaczyła drugą drabinę, ale reszta drogi kryła się w ciemności. Wypróbowała stopnie, powoli opierając się na pierwszym z nich, potem przeniosła cały ciężar ciała. Powoli i ostrożnie pokonała kilka następnych. Wydawały się całkiem solidne, zaczęła więc wspinać się szybciej. Na końcu pierwszego rzędu schodów znalazła niewielką platformę, na której mogła stanąć, by przejść na kolejną drabinę. Po dalszych próbach wytrzymałości stopni ruszyła żwawo w górę. Nad głową dostrzegła trzecią drabinę, ustawioną równolegle do pierwszej i sięgającą jeszcze wyżej. Przed nią rozciągała się ciemność. Wysokość, na jaką się wspinała, mogła świadczyć o tym, że znajduje się w zewnętrznym murze jednej z wież – najprawdopodobniej południowej.

Gdy pokonała kolejne dwa rzędy stopni, w górze dostrzegła smugę dziennego światła. Okazało się, że jest to wąska szczelina, znajdująca się na tyle wysoko, że z zewnątrz musiała być praktycznie niewidoczna. Widok z tego okienka potwierdził, że to wieża południowa. Maddie rozpoznała widoczny poniżej dziedziniec i częściowo widoczną wieżę zachodnią po prawej stronie.

Teraz, gdy mogła zorientować się w stronach świata, wiedziała już, że ukryte schody znajdowały się w południowo-zachodniej ścianie wieży i biegły równolegle do dużych spiralnych stopni, które zaczynały się w południowo-wschodnim narożniku i umożliwiały dostęp do wyższych poziomów.

Znajdowała się już wysoko nad ziemią, a oświetlenie tajnych schodów stało się lepsze, ponieważ obok co drugiego rzędu znajdowało się wąziutkie okienko.

Maddie wspięła się na samą górę, gdzie znalazła drzwi, w których wycięto malutki otwór, wyraźnie widoczny, ponieważ rzucał snop światła

na pogrążone w półmroku schody. Gdy przyłożyła do niego oko, zobaczyła dużą komnatę, która wydawała się całkiem pusta. Był w niej stół, tuzin krzeseł, a pod przeciwległą ścianą znajdował się stojak, na którym przechowywano włócznie i halabardy.

Od jej strony była klamka. Podejrzewała, że od drugiej strony klamka będzie ukryta, podobnie jak same drzwi. Położyła dłoń na poziomej rączce – miała ochotę nacisnąć ją i wejść do środka. Zawahała się jednak. Komnata sprawiała wrażenie pustej, ale dziewczyna miała ograniczone pole widzenia, więc ktoś mógłby pozostawać dla niej niewidoczny. W takim wypadku nie byłoby dobrym pomysłem, gdyby wpadła do środka, wyłaniając się ze ściany jak za sprawą czarów. Cofnęła dłoń – musiała najpierw dowiedzieć się czegoś więcej o tej komnacie. Nigdy wcześniej tu nie była, niewiele uwagi poświęcała dotąd południowej wieży.

– Muszę zebrać więcej informacji – mruknęła pod nosem. Potem, niechętnie, zeszła po wąskich schodach i wróciła tunelem do piwnicy.

Uznała, że w sumie był to niezwykle interesujący dzień.

ROZDZIAŁ 18

Tak jak Ellis ostrzegał, woda w miejscu, gdzie znajdował się bród, sięgała do piersi, a nurt rzeki był bardzo bystry. Horace i Gilan podjechali bliżej, by zbadać przeprawę. Na razie nic nie świadczyło o tym, że Lisy podążały za nimi. Wcześniejsza porażka zadała poważny cios ich morale, nie spieszyli się więc, aby znowu znaleźć się w zasięgu śmiertelnie groźnych łuczników.

– Powinniśmy najpierw przeprawić połowę łuczników i ustawić na drugim brzegu linię obrony, która na wszelki wypadek będzie osłaniała pozostałych – powiedział Gilan po kilku minutach. Rzeka w tym miejscu miała nieco ponad sto metrów szerokości, więc drugi brzeg znajdował się spokojnie w zasięgu strzału z łuku.

– Dobry pomysł – przyznał Horace. – Nie chcielibyśmy, żeby nas dopadli, kiedy będziemy brnąć przez środek rzeki. Nie zauważyłem wśród nich łuczników, a ty?

Gilan potrząsnął głową.

– Gdyby jakichś mieli, już by ich wykorzystali – powiedział. Wezwał do siebie dowódcę łuczników. – Nestorze, niech połowa twoich ludzi przeprawi się z pomocą jeźdźców i utworzy linię na drugim brzegu.

Starszy łucznik skinął głową, a potem zaczął wydawać rozkazy swoim podwładnym. Połowa łuczników zeskoczyła z koni, na których do tej pory jechali. Oddali wodze luzaków jeźdźcom, z którymi mieli się przeprawiać, i ustawili się koło konnych, przytrzymując się mocno pasów uprzęży. Oddali także żołnierzom na koniach łuki, które tamci przewiesili sobie przez ramiona.

– Dlaczego nie mogą przejechać na drugą stronę? – zapytał Horace.

Gilan odparł:

– Potrafią jeździć, ale nie są w tym aż tak dobrzy, a kierowanie koniem w takim nurcie nie będzie łatwe. Lepiej, by twoi ludzie utrzymywali konie stanowiące oparcie dla idących obok nich łuczników.

Pierwsi żołnierze skierowali już swoje wierzchowce do rzeki, a zrobili to w taki sposób, by idący koło nich łucznicy znaleźli się niżej, osłonięci ciałami zwierząt przed naporem nurtu. Zanurzali się szybko w rzece, aż woda zaczęła sięgać do kolan jeźdźców. Łucznicy przytrzymywali się kurczowo uprzęży i brnęli zanurzeni niemal po szyję w wodzie. Dwóch z nich straciło oparcie pod stopami, a ich nogi wypłynęły na powierzchnię, ale nie puścili rzemieni strzemion i z pomocą jeźdźców, którzy pochylili się, żeby ich podciągnąć, zdołali znowu stanąć na dnie.

Gilan poczekał, aż znaleźli się w połowie przeprawy. Zadowolony, że wszystko idzie zgodnie z planem, odwrócił się znowu do linii lasu odległej o kilkaset metrów. Podszedł do drugiej grupy łuczników, którzy stali w gotowości, przodem do drzew, trzymając w rękach łuki.

– Zauważyliście coś? – zapytał zastępcę dowódcy oddziału.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Na razie nie, zwiadowco.

Ukształtowanie terenu było tutaj podobne jak w miejscu, w którym doszło do pierwszego starcia z Lisami – kilkaset metrów otwartej trawiastej przestrzeni zamkniętej ścianą gęstego lasu.

– Zawołaj, gdy tylko ich wypatrzysz – polecił Gilan.

Mężczyzna skinął głową, nie odrywając spojrzenia od cienia zalegającego wśród drzew.

Gilan usłyszał za sobą trzaski bata, którym towarzyszyły głośny plusk i okrzyki zachęty. Odwrócił się i zobaczył, że wóz z zapasami właśnie wjechał do rzeki. Znajdowało się w nim też pięciu łuczników, którzy nie potrafili jeździć konno. Początkowo nurt rzeki zaczął spychać wóz, ale woźnica zaciął konie, które naparły na dyszle, i wszystko się wyprostowało. Wóz nadal się kołysał pod naporem wody i przez moment Gilanowi wydawało się, że zaraz się przewróci. Otworzył usta, by wykrzyczeć ostrzeżenie, ale pojazd był solidny, z nisko umieszczonym środkiem ciężkości, więc szybko odzyskał równowagę i przyspieszył, gdy konie pewniej ruszyły naprzód.

Nagle jedno koło zapadło się w jakiejś dziurze w dnie rzeki, wóz szarpnął się gwałtownie. Jeden z łuczników omal nie spadł do wody, na szczęście uratował go towarzysz, który zdążył wciągnąć go z powrotem na bezpieczne miejsce. Gilan usłyszał wybuch śmiechu łuczników na wozie, śmiał się nawet ten, który omal się nie wykąpał. Pokiwał głową i pomyślał,

że morale żołnierzy jest wysokie, skoro potrafią się śmiać z ledwie unikniętych nieszczęść.

Szturchnął piętami boki Blaze i pokłusował do Horace’a, który także obserwował przeprawę niewielkiego oddziału przez rzekę.

– Co planujesz zrobić, kiedy już będziemy po drugiej stronie?

Rycerz uśmiechnął się ponuro.

– Cóż, nie musimy już śledzić tych sześciu Lisów, za którymi jechaliśmy – odrzekł. – Znaleźliśmy poszukiwany przez nas główny oddział.

– I okazało się, że jest większy, niż przypuszczaliśmy – dodał Gilan. – Musimy znaleźć schronienie, jakieś miejsce nadające się do obrony.

– Zastanawiałem się, czy nie powinniśmy pojechać do tego starego fortu na wzgórzu, który widzieliśmy na mapie. To tylko trzy lub cztery kilometry stąd w dół rzeki.

– Przypuszczałem, że wpadniesz na ten pomysł. – Gilan skinął głową. – Przeprawa już niemal się zakończyła – dodał, wskazując żołnierzy przy rzece.

Pierwsi trzej konni wyjeżdżali właśnie na niski brzeg po drugiej stronie. Łucznicy wypuścili strzemiona, których się dotąd przytrzymywali, i oddalili się na miękkich nogach. Jeźdźcy oddali im łuki, a łucznicy usiedli na trawie, by wyżąć wodę z przemoczonych spodni i kurtek. Gilan obserwował, jak pozostali wydostają się na brzeg. Wóz z zapasami również znalazł się już po drugiej stronie, a łucznicy, którzy jechali na nim, zeskoczyli na ziemię i dołączyli do swoich towarzyszy.

– Zwiadowco!

Wołającym był łucznik, z którym wcześniej Gilan rozmawiał. Wskazywał oddaloną linię drzew, gdzie można było dostrzec jakieś poruszenie. Z lasu zaczęli wychodzić uzbrojeni mężczyźni.

– Jak widzę, przybyli nasi przyjaciele – powiedział.

Horace popatrzył na przeciwległy brzeg rzeki, gdzie łucznicy, którzy zdążyli się już przeprawić, dochodzili do siebie po wysiłku, jakim było brodzenie po pachy w wartkim nurcie, i starali się wysuszyć przemoczone ubrania.

– Potrzebują jeszcze paru minut, zanim będą gotowi – zauważył.

Gilan ściągnął wargi – jego przyjaciel miał rację.

– Chłopcy po tej stronie będą musieli trochę zniechęcić Lisy – oznajmił i zeskoczył z konia. – Może im w tym pomogę.

Podszedł do niedużej grupki łuczników. Było ich tutaj ośmiu – siedmiu przeprawiło się z jeźdźcami, a pięciu na wozie.

Horace odwrócił się do pozostałych konnych.

– Ustawcie się w szyku na brzegu rzeki – polecił. – Bądźcie gotowi, żeby pomóc łucznikom, kiedy zaczniemy odwrót.

Z oddali słyszał wykrzykiwane rozkazy. Lisy także zaczęły formować szyk – tym razem pojedynczy szereg.

– Łucznicy, zająć pozycje – cicho wydał rozkaz Gilan.

Łucznicy, do tej pory odpoczywający w trawie, podnieśli się i utworzyli szereg, rozstawiając się co dwa metry. Stanęli bokiem do przeciwnika, każdy z nich trzymał prawą ręką strzałę w kołczanie przy pasie, a lewą ręką łuk, opuszczony w tym momencie swobodnie. Nie było po nich widać ani śladu niepokoju. Byli pewni swoich umiejętności i wiedzieli, że za chwilę dadzą śmiercionośny odpór zbliżającym się wrogom.

Z drugiego brzegu rzeki rozległ się przenikliwy gwizd. Horace odwrócił się i zobaczył, że dwunastu łuczników, którzy zdążyli już się przeprawić, także zajęło pozycje. Ich dowódca pomachał łukiem nad głową, by dać znak, że są gotowi.

– Nestor ma swoich ludzi na pozycjach! – zawołał Horace do Gilana.

Zwiadowca machnięciem ręki potwierdził, że to usłyszał. Nie odrywał wzroku od zbliżających się zbrojnych, maszerujących teraz z większą pewnością, ponieważ nie spadał na nich grad strzał, którego się spodziewali.

Ich nastroje dodatkowo poprawiły się, gdy zobaczyli, że grupa łuczników jest o połowę mniejsza. Uznali, że ośmiu łuczników to za mało, żeby ich zatrzymać.

Nie mieli jeszcze pojęcia, jak bardzo się mylą.

Nacierającej piechocie przewodził oficer na koniu, pochylający się, by poganiać żołnierzy uderzeniami płazem miecza. Starali się od niego odsuwać, ale mimo wszystko zmuszał ich, by szli naprzód, i nie zostawiał czasu na ociąganie się czy wahanie.

Gilan pozwolił sobie na pozbawiony wesołości uśmiech.

– To nie jest dobry pomysł, zwracać na siebie uwagę podczas bitwy – zauważył. – Szczególnie, gdy w pobliżu są łucznicy. – Podniósł głos, żeby usłyszeli go łucznicy ustawieni w szeregu. – No dobrze, chłopcy, ja się

pozbędę tego szkodnika na gniadoszu. Kiedy to zrobię, możecie zaczynać. Strzelajcie szybko, ale starajcie się celować. Gotowi?

W odpowiedzi usłyszał groźny pomruk przygotowanych łuczników. Osiem dłoni wyciągnęło osiem strzał i nałożyło je na cięciwy. Gilan skinął głową z aprobatą. Pomyślał, że są doskonale wyszkoleni.

Nieprzyjacielski szereg minął punkt, który wcześniej wybrał sobie Gilan. Zwiadowca nałożył strzałę na cięciwę, uniósł łuk, wymierzył i wystrzelił niemal bez celowania.

Strzała ze świstem zatoczyła parabolę i uderzyła w sam środek piersi jeźdźca, który poleciał do tyłu przez koński zad, upadł na trawę i znieruchomiał. Najbliżsi zbrojni rozstąpili się, z lękiem patrząc na leżącego dowódcę. Żaden z nich nie zobaczył nadlatującej strzały. Żaden z nich nie zauważył, by ktoś z oddziału, do którego się zbliżali, napinał łuk.

W następnej chwili uderzyła w nich pierwsza fala strzał wystrzelonych przez łuczników czekających na brzegu rzeki. Groty wbijały się w tarcze, hełmy, a także odsłonięte ręce i nogi. Jeden mężczyzna upadł na ziemię. Dwaj inni zachwiali się z powodu siły uderzeń.

Druga fala strzał spowodowała większe straty i poczyniła luki w linii natarcia.

Zanim napastnicy się obejrzeli, spadł na nich kolejny deszcz strzał, gdy Nestor i jego ludzie na drugim brzegu włączyli się do walki, potęgując zamieszanie w szeregach wroga. Strzały spadały z wysoka jak nieprzerwany grad zaostrzonych stalowych grotów, przebijały kolczugi, dziurawiły skórzane i metalowe napierśniki i sprawiały, że zbrojni na prawo i lewo walili się na ziemię.

Jeden z sierżantów rozejrzał się i zobaczył, że karny szyk został rozerwany na kawałki, a pozostało jeszcze siedemdziesiąt metrów do miejsca, gdzie czekał na nich niewielki oddziałek łuczników. W tym tempie niewielu zbrojnych zdołałoby tam dotrzeć. Ledwie to pomyślał, żołnierz stojący koło niego padł ze strzałą sterczącą ze skórzanego hełmu.

Sierżant obejrzał się na dowódcę, bezpiecznie schowanego za drzewami i wykrzykującego stamtąd rozkazy do podwładnych.

– Ty to masz dobrze – mruknął. – Nie musisz się narażać.

Zatrzymał się i uniósł miecz nad głowę, by zatoczyć nim koło, a potem wskazał jego czubkiem za siebie.

– Wycofać się! – krzyknął głosem słyszalnym na całym polu bitwy. – Wycofać się! Zewrzeć szyki i wycofać się!

Lepiej było zarządzić odwrót teraz, gdy w oddziale pozostały jeszcze resztki dyscypliny, niż czekać, aż strzały zdziesiątkują ludzi i odbiorą im całą wolę walki.

Gilan zauważył pojedynczego człowieka wydającego rozkazy. Szereg napastników wyrównał szyk, zamykając luki pozostawione przez strzały łuczników, więc zwiadowca uniósł łuk, by zastrzelić sierżanta, który był w stanie zaprowadzić jako taką dyscyplinę wśród atakujących. Zmienił jednak zdanie – mężczyzna wyraźnie rozkazywał Lisom wycofać się, zarządzał odwrót. Możliwe, że ocalił życie niektórym z nich, utrzymując ich w szyku, ale nie było sensu teraz się go pozbywać. Jego działania były korzystne dla araluеńskiego oddziału.

Napastnicy zaczęli się wycofywać, pozostawiając w trawie liczne ofiary. Kiedy rozpoczęli odwrót, Gilan wiedział już, że nie zaatakują po raz kolejny bez namysłu.

– Przerwać ostrzał! – zawołał i kilka ostatnich strzał śmignęło w powietrzu. Ludzie Nestora przestali już strzelać, ponieważ siły Lisów znalazły się poza ich zasięgiem.

– Wracajcie na brzeg rzeki! – rozkazał. – Dołączcie do jeźdźców i przeprawcie się na drugi brzeg!

ROZDZIAŁ 19

Nowy iberyjski ambasador był chudym mężczyzną, przekraczającym wzrostem metr dziewięćdziesiąt. Miał około czterdziestu lat i gęste czarne włosy, przygładzone do tyłu za pomocą wonnej pomady. Miał też śniadą cerę, wielki zakrzywiony nos i wydatne kości policzkowe. Jego oczy były ciemne, a brwi gęste i krzaczaste, także bez śladu siwizny. Zastanawiała się też, czy to możliwe, że dyplomata farbuje włosy.

Ubrany był w kosztowną brokatową tunikę, czerwono-złotą i z wyhaftowanym po lewej stronie na piersi gryfem będącym godłem Iberii. Towarzyszyło mu tylko czterech asystentów, ponieważ został uprzedzony, że oficjalny obiad ma charakter prywatny.

– Raz jeszcze przepraszam za tak skromne przyjęcie, don Ansalvo – powiedziała Cassandra, gdy wszyscy usiedli przy stole w wielkiej jadalni. – W innych okolicznościach zaprosiłabym więcej gości na twoje powitanie, ale jak wiesz, mój mąż oraz dowódca Korpusu Zwiadowców są chwilowo nieobecni, więc zostaliśmy tylko my.

„Tylko my” oznaczało Cassandrę, Maddie, Dimona oraz lorda Anthony’ego, szambelana Zamku Araluen.

Don Ansalvo zbył przeprosiny machnięciem ręki.

– W mniejszym gronie będziemy mieli okazję lepiej się poznać – powiedział. – Poza tym któż by narzekał na udział w spotkaniu, w którym uczestniczą dwie tak piękne damy?

Eleganckim gestem dłoni wskazał Cassandrę i Maddie, jednocześnie wykonując ukłon, mimo że siedział już za stołem.

Maddie pochwyciła spojrzenie Dimona i wymownie przewróciła oczami. Kapitan ukrył uśmiech za serwetką. Maddie wiedziała, że Iberyjczycy są powszechnie znani z górnolotnych komplementów i przesadnej kurtuazji. Don Ansalvo patrzył teraz na nią, ukazując w uśmiechu nieskazitelnie białe zęby. Skłoniła głowę w podziękowaniu za jego słowa.

– Jest pan dla nas zbyt miły, don Ansalvo – odezwała się Cassandra.

Ambasador popatrzył na nią.

– Czy Wasza Wysokość może mi zdradzić, co takiego sprawiło, że sir Horace musiał opuścić zamek? – Po przybyciu został poinformowany o nieobecności Horace'a, ale nie udzielono mu dotąd żadnych wyjaśnień.

Cassandra wzruszyła ramionami.

– To drobna sprawa, ale wymagająca jego uwagi.

Don Ansalvo przechylił głowę na bok.

– Stosunkowo drobna sprawa? A o co dokładnie chodzi?

Cassandra nie miała ochoty omawiać wewnętrznej polityki Araluenu z nowym ambasadorem. Między Araluenem a Iberią panował pokój, ale Królestwo Iberii znane było z tego, że chętnie wtrąca się do problemów innych państw. Gestem poleciła odpowiedzieć Dimonowi i udała, że cała sprawa w ogóle jej nie interesuje.

– Niewielka grupka awanturników i podżegaczy próbuje podburzać ludzi – wyjaśnił młody kapitan. – Nie stanowią na razie zagrożenia, ale sir Horace uznał, że najlepiej będzie to stłumić, zanim pojawi się poważniejszym problemem.

Don Ansalvo skinął głową i odchylił się na krześle, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– Ma całkowitą rację – oznajmił wreszcie. – Wszelkie oznaki buntu należy tłumić jak najszybciej. W Iberii mamy z tym własne problemy.

– Jakie problemy, don Ansalvo? – zapytała Maddie. Zauważyła, że jej matka nie ma ochoty opowiadać o Klanie Czerwonego Lisa, i pomyślała, że w ten sposób skieruje rozmowę na inne tory.

Don Ansalvo zaszczycił ją raczej protekcjonalnym uśmiechem.

– To nic, czym powinno się niepokoić tak nadobne liczko – odparł gładko.

Maddie odwzajemniła uśmiech, chociaż musiała się do niego zmusić.

– Mimo wszystko byłabym tego bardzo ciekawa – powiedziała.

Ambasador wzruszył ramionami.

– Tak jak mówił sir Dimon, awanturnicy i podżegacze. Dwie z naszych południowych prowincji pragną oddzielić się od Iberii i utworzyć własne państwo. Oczywiście, nie możemy do tego dopuścić.

– Oczywiście – odpowiedziała sucho Maddie.

Była gotowa się założyć, że wspomniane prowincje mają żyzne grunty rolne lub bogate zasoby naturalne. Don Ansalvo przyjrzał się jej uważniej,

ale wyraźnie nie zauważył cynizmu kryjącego się w jej odpowiedzi. Z drugiej strony, jak pomyślała Maddie, był dyplomatą z wieloletnim doświadczeniem w skrywaniu własnych uczuć.

Maddie poruszyła się lekko na krześle. Chociaż miała złe przeczucia związane z powrotem do formalnych strojów, na razie bawiła się całkiem nieźle. Błękitna suknia, którą wybrała dla niej matka, była wspaniała i Maddie wiedziała, że jest jej w tej kreacji do twarzy. Chociaż suknia była odrobinę za ciasna w ramionach.

Don Ansalvo wypił łyk wina i znowu zwrócił się do Dimona. Maddie odnosiła nieodparte wrażenie, że ambasador wolał rozmawiać o ważnych sprawach z mężczyzną niż z dziewczyną taką jak ona, czy nawet z jej matką, księżniczką regentką.

– Powiedz mi, proszę, sir Dimonie, do czego dążą wasi rebelianci?

Dimon zawahał się. Wydawało się, że podobnie jak Cassandra nie ma ochoty rozmawiać o sprawach wewnętrznych Araluenu z obcokrajowcem, jednakże don Ansalvo bezpośrednio i szczerze odpowiedział na pytanie o problemy, z jakimi mierzyła się Iberia, trudno więc było nie udzielić mu nieco bardziej szczegółowych wyjaśnień. Dimon spojrzał szybko na Cassandrę, która niemal niedostrzegalnie skinęła głową.

– Istnieje mała grupka podżegaczy, którzy sprzeciwiają się prawu mówiącemu, że kobieta może zasiadać na tronie królewskim. Chcieliby powrotu do tradycji dziedziczenia tylko w linii męskiej – powiedział. Jego ton wskazywał, że nie zamierza rozwijać tego tematu.

Ambasador powoli pokiwał głową.

– Ach, oczywiście. Wasz kraj jako jeden z nielicznych dopuszcza, by kobieta zasiadała na tronie, prawda? – odrzekł z namysłem. – Mówisz, że chcieliby powrócić do dawnej tradycji. Czyli to prawo nie zawsze obowiązywało w Araluenie?

– Zmienił je mój dziadek – odparła Cassandra tonem, który powinien uciąć dalszą dyskusję.

Don Ansalvo pogładził wypomadowane wąsy.

– W Iberii to byłoby nie do pomyślenia – przyznał. – Nasi poddani nigdy by się na to nie zgodzili.

Maddie pomyślała, że na pewno nie, jeśli w czymkolwiek przypominają tego mężczyznę. Spojrzała na Dimona i ku swojemu zaskoczeniu zobaczyła, że jego twarz stężała w nieprzyjemnym wyrazie. Za moment się

opanował, a kiedy zorientował się, że Maddie na niego patrzy, uśmiechnął się do niej promiennie. Uznała, że ten wyraz niesmaku wywołało protekcjonalne podejście Iberyjczyka do wszystkiego, co araluеńskie. Cassandra przerwała strumień myśli Maddie następnym pytaniem:

– Kiedy planuje pan się wprowadzić do swojej rezydencji, don Ansalvo?

Jako ambasador don Ansalvo otrzymał okazałą posiadłość na oficjalną rezydencję. Była położona kilka kilometrów na południe od wioski rozkwitającej pod opiekuńczymi skrzydłami zamku. Pytanie Cassandry i celowa zmiana tematu wskazywały jasno, że dalsze pytania o problemy na północy byłyby niemile widziane – i zapewne pozostałyby bez odpowiedzi. Don Ansalvo był dostatecznie dobrym dyplomatą, by wiedzieć, kiedy należy się wycofać.

– Myślałem, że wyjedziemy jutro przed południem – powiedział. – O ile to odpowiada Waszej Wysokości.

– Całkowicie mi to odpowiada – odparła Cassandra. – Mamy właśnie zamiar dać wolne większości zamkowych pracowników, pozostanie więc niewielu służących.

Uniesione brwi don Ansalva sygnalizowały wyraźne pytanie, więc lord Anthony pochylił się nad stołem, by udzielić wyjaśnień.

– O tej porze roku okoliczne farmy muszą zaorać ścierniska i przygotować na zimę zapasy żywności i opału, zasolić mięso i zwieźć ostatnie plony – powiedział. – Większość służących pochodzi z pobliskich wsi, więc zazwyczaj dajemy wolne, komu tylko możemy, żeby mogli pomagać w swoich gospodarstwach. W tym roku, po wyjeździe sir Horace’a i połowy garnizonu, wystarczy nam garstka służby, nie więcej niż dwadzieścia osób. Nawet ja planuję wyjechać jutro wcześnie rano. Moja córka wraz z nowo urodzonym dzieckiem przyjeżdża z wizytą i ma się zatrzymać w naszym domu we wsi. – Anthony uśmiechnął się do Cassandry. – Księżniczka w swojej łaskawości dała mi wolne, żebym mógł spędzić z nimi trochę czasu.

– Rozumiem – odparł don Ansalvo i znowu zwrócił spojrzenie ciemnych przenikliwych oczu na Maddie. – Ale cóż ty będziesz robić, księżniczko? Czy pełna życia młoda kobieta nie zacznie się nudzić, uwięziona w niemal pustym zamku?

– Och nie – zapewniła go Maddie z doskonale udawanym entuzjazmem. – Mogę się przecież zajmować szydełkowaniem i haftowaniem. Nie ma pan

pojęcia, jak zajmujący może być haft krzyżykowy.

Don Ansalvo pociągnął dystyngowanie nosem.

– Zaiste, nie mam.

Maddie rzuciła szybkie spojrzenie na matkę i odczytała w jej oczach wyraźne ostrzeżenie.

Nie przeciągaj struny.

Maddie nadal była jednak poirytowana wcześniejszym komentarzem don Ansalva dotyczącym zasad dziedziczenia tronu Araluenu, uśmiechnęła się więc słodko.

– Don Ansalvo, wspomniał pan wcześniej, że Iberia nigdy nie zaakceptowałaby kobiety na tronie. Dlaczego pan tak twierdzi?

Ambasador usiadł wygodniej i machnął lekceważąco ręką.

– Iberyjczycy uważają, że kobiety nie zostały stworzone do rządzenia. To zadanie dla mężczyzny.

Maddie zauważyła szybkie i ostrzegawcze spojrzenie matki, ale zignorowała je. Z uśmiechem nadal przyklejonym do twarzy ciągnęła temat:

– A do czego w takim razie zostały stworzone kobiety?

– Mają niezwykle ważne zadania – oznajmił pobłażliwie ambasador. – Kobieta uczy i wychowuje. Stanowi emocjonalny rdzeń domostwa. Stwarza pogodną, pełną czułości atmosferę, niezwykle ważną dla rodziny.

– I pracuje na bosaka w kuchni? – W głosie Maddie zabrzmiała ostra nuta, ale don Ansalvo wyraźnie niczego nie zauważył. Zastanowił się nad jej słowami i skinął głową.

– Nie mamy nic przeciwko noszeniu butów, ale przygotowanie posiłków to ważna część roli kobiety i nie ma znaczenia, czy gotuje sama, czy też nadzoruje pracę służby. – Z tymi słowami skłonił głowę przed Cassandrą, ale zauważył, że Maddie wyraźnie się z nim nie zgadza, więc mówił dalej. – Jednakże kobieta nie mogłaby stanąć na czele kraju w przypadku wojny. To zadanie dla mężczyzny. Żadna kobieta nigdy mu nie sprostała.

– Moja matka w swoim czasie uczestniczyła w niejednej bitwie – przypomniała Maddie. Jej uśmiech dawno już zniknął. Cassandra gestem nakazała jej przestać, ale Maddie zaczęło ponosić, a odpowiedź don Ansalva tylko podsyciła jej gniew.

– Wiem o tym – przyznał. – Zanim podjąłem się mojej obecnej roli, przestudiowałem dotychczasowe dokonania twojej matki i uważam je za

godne podziwu. Jednakże bitwy, w których brała udział, to pomniejsze potyczki, a nie prawdziwe wojny. – Skłonił głowę przed Cassandrą. – Bez urazy, Wasza Wysokość.

– Wydaje mi się, że inwazja Temudżeinów na Skandię mogłaby się liczyć jako prawdziwa wojna. Jestem pewna, że Skandianie tak uważają – upierała się Maddie.

– Ale czy twoja matka dowodziła skandiańską armią?

Maddie zarumieniła się, uświadomiła sobie bowiem, że nieostrożnie dała się zapędzić w ślepy zaułek.

– No cóż, właściwie nie…

– Z relacji, które czytałem, wynikało, że głównodowodzącym był skandiański oberjarl Ragnak, a rolę jego głównego stratega pełnił jeden z waszych zwiadowców.

– To prawda, ale…

– Jeśli wierzyć relacjom, we wszystkich bitwach księżniczka Cassandra była wspierana przez co najmniej jednego z waszych powszechnie podziwianych zwiadowców, a także swojego męża, niezrównanego rycerza. Walka i dowodzenie armiami nie jest czymś, do czego nadawałyby się kobiety.

– Mimo to moja matka trenuje walkę mieczem – powiedziała Maddie.

Don Ansalvo przechylił głowę na bok i zastanowił się nad tą informacją.

– Ach tak. Wiele iberyjskich dam szlachetnego pochodzenia uczy się szermierki floretem lub szpadą. Pozwala to rozwinąć koordynację i wyczucie równowagi. Jednakże wydaje mi się, że kobieta uzbrojona w lekki miecz byłaby poważnie narażona na szwank, gdyby musiała stawić czoło rycerzowi w pełnej zbroi. Zgodzisz się ze mną, sir Dimonie?

Dimon, który nie spodziewał się, że zostanie wciągnięty w tę rozmowę, wyraźnie się zawahał. Nie chciał urazić ani ambasadora, ani Cassandry.

– Wydaje mi się – powiedział ostrożnie – że w takim przypadku mężczyzna miałby przewagę.

Don Ansalvo pokiwał głową z wyrazem wyższości malującym się na twarzy. Zanim Maddie zdążyła się odezwać, Cassandra pospiesznie zmieniła temat.

– Cóż, dość już rozmów o wojnach i walce – oznajmiła. – Don Ansalvo, słyszałam, że jest pan mistrzem gry na lutni.

Ambasador skłonił się lekko.

– Owszem, mam pewne umiejętności w tym zakresie.

– Może zatem zaszczyciłby nas pan jakąś pieśnią? – poprosiła.

Don Ansalvo potrząsnął skromnie głową i zamachał rękami.

– Nie, nie. Nie chciałbym pań zanudzać – wymawiał się.

Jednakże jeden z jego asystentów wyjął już spod stołu futerał, otworzył go i podał lutnię swojemu panu.

– No cóż – powiedział don Ansalvo, biorąc instrument. – Może jedna piosenka… Iberska piosenka o pięknej damie i szlachetnym rycerzu, który poległ w obronie jej honoru…

Maddie pomyślała ponuro, że rycerz sam był sobie winien. Nadal przepełniała ją złość na elokwentnego, ale protekcjonalnego Iberyjczyka. Don Ansalvo uśmiechnął się do niej z czymś, co zapewne uważał za nieodparty urok osobisty, szarpnął na próbę kilka strun i zaczął śpiewać. Maddie oparła się wygodnie na krześle.

Pomyślała, że ten wieczór będzie się jej dłużyć.

ROZDZIAŁ 20

Następnego dnia Maddie i Cassandra spacerowały po zamkowych murach. Podziwiały rozległą panoramę oraz roztaczający się wokół zamku starannie utrzymany park. Cassandra zrobiła sobie bardzo potrzebną przerwę od siedzenia przy zawalonym stosami papierów biurku.

– No cóż, udało ci się przetrwać ciężką próbę, jaką był obiad z iberyjskim ambasadorem – powiedziała.

Maddie zmarszczyła brwi.

– To nadęty, protekcjonalny dureń – oznajmiła.

Matka uśmiechnęła się.

– Cóż za wytworny język – odparła. – On wydawał się tobą zachwycony.

– On wydawał się zachwycony samym sobą – odpowiedziała Maddie. – Ale z pewnością poświęcił mnóstwo czasu na wygłaszanie śliskich komplementów pod adresem mojej „niezrównanej urody”.

Gdy don Ansalvo w końcu odłożył lutnię – nie po jednej, a po sześciu piosenkach – przez resztę wieczoru obsypywał Maddie górnolotnymi i przesadzonymi komplementami, które pełne były wyrazów zachwytu nad jej wyglądem.

– Cóż, jest dyplomatą i Iberyjczykiem. Jest takie stare powiedzenie: „Kiedy nauczysz się udawać szczerość, możesz zostać iberyjskim dyplomatą”.

Maddie wysunęła dolną wargę i wydęła usta z udawanym rozczarowaniem.

– Chcesz powiedzieć, że nie mówił tego szczerze?

Cassandra uśmiechnęła się.

– Obawiam się, że nie. Na wypadek gdybyś się nad tym zastanawiała, podpowiem, że twoje oczy tak naprawdę nie lśnią jak księżyc w pełni zawieszony nisko nad horyzontem – powiedziała, cytując jeden z bardziej wymyślnych komplementów don Ansalva.

– Teraz czuję się naprawdę zdruzgotana – oznajmiła Maddie tonem wskazującym na coś zupełnie przeciwnego. – Było mi żal Dimona. Znalazł się między młotem a kowadłem, nie uważasz?

– Owszem. Przepraszał później, że nie stanął w twojej obronie, ale niewiele mógł zrobić. Jak widzę, nieźle się z nim dogadujesz – zauważyła Cassandra z pytającą nutą w głosie.

Maddie skinęła głową.

– Tak, lubię go. Jest miłym towarzyszem.

– Wiesz, że jest twoim dalekim kuzynem, prawda?

– Dimon? – Maddie popatrzyła na matkę zaskoczona.

Cassandra kiwnęła głową.

– Bardzo dalekim, chyba w szóstym czy siódmym pokoleniu od strony twojego dziadka – wyjaśniła. – Po czterech czy pięciu pokoleniach trudno się w tym połapać.

– Czyli jesteśmy spokrewnieni. Nic dziwnego, że jest taki sympatyczny – oceniła Maddie.

– To nie jest na tyle bliskie pokrewieństwo, by stanowiło jakąkolwiek przeszkodę, gdybyś była nim… zainteresowana – odezwała się Cassandra, bacznie obserwując reakcję córki.

Maddie prychnęła pogardliwie.

– Daj spokój! Lubię go. Jest miłym towarzyszem. Ale nie jestem nim zainteresowana w sensie romantycznym!

Cassandra wzruszyła ramionami.

– Mówię tylko, na wypadek gdybyś była.

Myśl o tym, że jej córka mogłaby zainteresować się przystojnym młodzieńcem, była dla niej czymś zupełnie nowym. Nie była jeszcze pewna, czy to przyjemne uczucie.

Maddie zbyła ten pomysł machnięciem ręki i zmieniła temat.

– Powiesz mi, co cię ostatnio tak zajmuje?

Cassandra westchnęła i przeciągnęła się.

– Zapomniałam, ile roboty papierkowej wiąże się z powołaniem nowego ambasadora – przyznała. – Carlos, król Iberii, przysłał dwudziestostronicowe pismo, na które muszę odpowiedzieć ze szczegółami, odpowiednio ozdobnym dworskim stylem. Powinnam była zatrzymać lorda Anthony’ego jeszcze na kilka dni, żeby przygotował dla mnie wstępną wersję tego listu. Siedzę nad tym i siedzę.

– Dlaczego więc nie wezwiesz go z powrotem? – zapytała Maddie, chociaż podejrzewała, że jej matka nigdy by tak nie postąpiła.

Cassandra wzruszyła ramionami.

– Jego córka przyjechała z nowo narodzoną córeczką. Jest szczęśliwy, będąc w domu, z rodziną, ale jednocześnie ma teraz znacznie więcej pracy z przygotowaniem odpowiedniej ilości jedzenia i opału na zimne miesiące. A co z tobą? Czym ty się zajmujesz?

Maddie zrobiła wymijający gest ręką.

– Och, kręcę się po prostu po zamku. Byłam kilka razy na farmie Warwicka i Lou, żeby zobaczyć się ze Zderzakiem. Patroluję okolicę, na wypadek gdyby coś się zaczęło dziać. Gilan mnie o to poprosił – dodała w razie, gdyby matka uznała, że Maddie bez potrzeby wtrąca się w nie swoje sprawy.

Cassandra skinęła głową. Wiedziała o umowie z Warwickiem i Lou, wiedziała też, że są częścią siatki agentów Gilana. Została także powiadomiona, że Gilan poprosił jej córkę, by pod jego nieobecność miała oko na lenno.

– Gilan wspominał coś o starym opactwie w pobliżu farmy – powiedziała.

– Tak, podobno widziano tam jakieś światła. Albo też komuś się wydawało, że je widział. Sprawdzałam to miejsce, ale nikogo tam od dawna nie było. Jeśli już, to najprawdopodobniej byli to jacyś podróżnicy, którzy zatrzymali się na nocleg.

Maddie milczała przez chwilę, po czym szybko zmieniła temat.

– Mamo, opowiedz mi coś o południowej wieży.

Zamek Araluen miał cztery wieże, po jednej w każdym narożniku zwieńczonego blankami muru zewnętrznego. Pośrodku wznosiła się główna część zamku, donżon. Tam właśnie zlokalizowana była zasadnicza część administracyjna, znajdowały się też oficjalne jadalnie, komnaty audiencyjne, sala tronowa oraz apartamenty królewskie. Oprócz nich w donżonie urządzono komnaty dla gości i wyższych stopniem dworskich urzędników. Tam także znajdowały się gabinety Cassandry i Horace’a.

Donżon był niższy od pozostałych czterech wież, ale łączył się z nimi na wysokości czwartego piętra czterema łukowatymi mostkami, które sprawiały, że cała konstrukcja wyglądała, jakby miała zaraz wznieść się w powietrze.

– Mieszkasz tutaj od urodzenia i nie wiesz? – odparła Cassandra.

Maddie pokręciła głową.

– Kiedy byłam mała, praktycznie do niej nie zaglądałam – przyznała. – Ale byłam tam dzisiaj i wydawało mi się, że jest strasznie pusta. Na niższych piętrach nie ma żadnych komnat ani apartamentów… No, prawie żadnych. Wydaje się, że jest do niczego niepotrzebna. Może dlatego nie interesowała mnie, kiedy byłam młodsza.

– To możliwe – przyznała Cassandra. – Tak naprawdę to miejsce nazywamy naszą ostatnią deską ratunku.

Słowa te przykuły uwagę Maddie, co zauważyła Cassandra. Takie określenie wiązało się z przygodami i akcją, czyli rzeczami, które musiały podsycić ciekawość jej córki, pasjonującej się sprawami wojskowości.

– To brzmi bardzo interesująco – powiedziała z zapałem Maddie.

Cassandra rozwinęła temat.

– W przypadku, gdyby wrogowi udało się wedrzeć przez zewnętrzny mur do zamku, możemy wycofać się do donżonu, który jest dla nas przedostatnią linią obrony. Ale gdyby to także nie wystarczyło, obrońcy mogą po kamiennym moście przedostać się do południowej wieży. Ta wieża ma najwyższe walory obronne i może przetrwać długie oblężenie.

– Dlaczego?

– Na wyższe piętra wejście jest możliwe tylko po wąskich spiralnych schodach, których może bronić garstka ludzi. To jedyna droga na górę.

Maddie pomyślała, że to nieprawda, ale nic nie powiedziała.

Cassandra mówiła dalej.

– Na najwyższych dwóch piętrach przez cały czas trzymamy zapasy żywności i broni. Natomiast w wieżyczce znajduje się duża cysterna zbierająca deszczówkę, co na dłuższą metę jest jeszcze ważniejsze niż zapas jedzenia. Nawet niewielka grupa zbrojnych może się tam bronić całymi miesiącami.

Maddie z namysłem pokiwała głową.

Cassandra źle zrozumiała niepokój malujący się na twarzy córki, dodała więc uspokajająco:

– Oczywiście jest bardzo mało prawdopodobne, by kiedykolwiek miało do tego dojść. Do tej pory nikomu nie udało się wedrzeć na mury Zamku Araluen.

– Oczywiście – powtórzyła Maddie.

Pomyślała, że to wyjaśnia, dlaczego tylko na tę wieżę prowadzą ukryte schody. Gdyby wszystko inne zawiodło, obrońcy mogli uciec na poziom piwnic i wydostać się na zewnątrz tunelem pod fosą.

Cassandra odwróciła się.

– Cóż, obawiam się, że mam jeszcze coś do zrobienia.

– Nie siedź nad tym do późnej nocy.

Matka uśmiechnęła się.

– To ja powinnam tak mówić do ciebie – zauważyła i ruszyła w kierunku drzwi, by udać się do swojego gabinetu. Przypomniała sobie jednak coś jeszcze, więc obejrzała się na córkę. – A tak przy okazji, nie zniknij gdzieś jutro. Przyjeżdżają goście i chciałabym, żebyś ich poznała.

Maddie zapytała:

– Czy to kolejni elokwentni Iberyjczycy?

Cassandra roześmiała się.

– Nie, na pewno nie. Są wyjątkowo twardzi i konkretni.

– Twardzi i konkretni? Wydaje mi się, że znajdę z nimi wspólny język.

– Owszem, znajdziesz. Jestem całkiem pewna, że ich polubisz. To Skandianie.

ROZDZIAŁ 21

Ośmiu łuczników pobiegło na brzeg rzeki, gdzie czekali jeźdźcy, którzy mieli im pomóc w przeprawie przez bród. Oddali konnym łuki, by ochronić je przed zamoczeniem, a następnie uchwycili się pasów popręgów lub strzemion. Uprząż niektórych koni miała dodatkowe pasy wokół szyi, co także zapewniało pewny chwyt. Jeźdźcy zaczekali, aż ich towarzysze ustawią się odpowiednio, a potem szturchnęli konie piętami, kierując je do rzeki.

Gdy żołnierze zaczęli się przeprawiać, Gilan wycofał się tyłem na brzeg rzeki, nie odrywając czujnego wzroku od Lisów.

Tak jak się spodziewał, ich dyscyplina i wola walki zniknęły bez śladu. Przekradali się za drzewami, szukając schronienia przed śmiercionośnymi strzałami – mimo że znajdowali się już daleko poza ich zasięgiem. Dowódca, z lewą ręką na temblaku i ramieniem owiniętym zakrwawionym bandażem, bezskutecznie starał się ich poderwać do działania, drwiąc z ich tchórzostwa, grożąc wstrzymaniem zapłaty i zapowiadając, że co piąty żołnierz zostanie wychłostany.

Unikali jego wściekłego wzroku, odwracali głowy i chowali się w wysokiej trawie, fizycznie i psychicznie wyczerpani ciężką próbą, którą przed chwilą przeszli. Podzielali ocenę sytuacji dokonanej przez sierżanta, który nakazał im odwrót w bezpieczne miejsce, i od czasu do czasu rzucali gniewne spojrzenia na wrzeszczącego dowódcę. Myśleli, że łatwo mu krzyczeć i grozić, skoro czekał bezpiecznie w lesie, podczas gdy oni stanowili tarcze strzelnicze dla tych przeklętych łuczników.

Przywódca, który nie chce dzielić niewygód podróży i niebezpieczeństw bitwy ze swoimi podkomendnymi, szybko traci ich szacunek. Jednakże dowódca był zbyt tępy, żeby to zauważyć. Wydawało mu się, że szacunek da się zastąpić wrzaskami i groźbami.

Ostatecznie, dzięki groźbom ukarania wszystkich, którzy mu się sprzeciwią, zdołał przywrócić dyscyplinę w szeregach Lisów –

przynajmniej do pewnego stopnia. Zabrało mu to jednak dużo czasu i przeciwnicy zdążyli już uciec na drugą stronę rzeki

Gilan czekał na południowym brzegu, obserwując uważnie siły nieprzyjaciela, aż druga grupa łuczników znalazła się prawie w całości na przeciwległym brzegu. Wtedy, nie widząc żadnych oznak świadczących o tym, że Lisy mogłyby być gotowe do ataku, zawrócił Blaze i skierował ją do rzeki.

Klacz energicznie posuwała się naprzód, na pół idąc, a na pół płynąc. Nie miała tak długich nóg jak wysokie wierzchowce konnicy, więc woda sięgała jej prawie do wysokości siodła. Gilan był jednak doskonałym jeźdźcem i potrafił utrzymywać równowagę, gdy Blaze nierównymi ruchami parła przez bród. W końcu poczuł, że zaczynają się wynurzać w miejscu, gdzie rzeka zrobiła się płytsza.

Blaze zaczęła stąpać pewniej i po chwili wyszła na brzeg. Zatrzymała się, żeby się otrzepać. Chmura kropel wody zalśniła srebrem w blasku słońca.

Horace, który czekał na Gilana, został dokumentnie przemoczony.

– Bardzo ci dziękuję – oznajmił sarkastycznie, wycierając wodę z twarzy.

Gilan uśmiechnął się do niego pogodnie.

– Jeśli nie wiesz, że konie zawsze tak robią po wyjściu z wody, to nie moja wina.

Horace osłonił jedną ręką oczy i spojrzał na drugi brzeg rzeki.

– Żadnego śladu poruszenia?

Gilan stanął w strzemionach, by popatrzeć w tę samą stronę.

– Minie dłuższa chwila, zanim dowódca zdoła ich zmusić do jakiegoś działania – ocenił. – Nasi łucznicy dwa razy spuścili im lanie, więc nie będą się spieszyli, żeby oberwać po raz trzeci.

– Oczywiście, to się może zmienić, kiedy zobaczą, że ruszamy – zauważył Horace.

Gilan zastanowił się nad jego słowami.

– Myślisz, że będą nas ścigać?

Horace skinął głową.

– Nie widzę powodów, dla których nie mieliby tego zrobić. Po coś nas tutaj zwabili, a na razie nie udało im się osiągnąć celu.

Gilan rozejrzał się wokół. Teren wyglądał podobnie jak po drugiej stronie rzeki – pas w miarę otwartej przestrzeni szerokości jakichś stu metrów, a dalej gęsty las. Czterdzieści metrów od rzeki zobaczył rząd niskich krzaków – długi na jakieś piętnaście metrów i wysoki mniej więcej do piersi – który mógł ukryć kilku ludzi.

– Zaczekam tutaj, pod osłoną tych krzewów, z czterema łucznikami – powiedział, wskazując zarośla. – Kiedy Lisy zbiorą się na odwagę i spróbują się przeprawić, zrobimy, co w naszej mocy, żeby zmienili zdanie.

– A co się stanie, kiedy opuścicie posterunek? – zapytał Horace.

Gilan wzruszył ramionami.

– Jeśli dobrze pójdzie, w ogóle nie zauważą, kiedy znikniemy. Każę łucznikom wycofywać się pojedynczo i trzymać się przy ziemi, dopóki nie znajdą się za drzewami. Jeśli zostawisz tam dla nas konie, będziemy mieli nad nimi sporą przewagę.

Horace zastanowił się nad tym planem.

– To się powinno udać – przyznał. – Nie mają zbyt wielu wierzchowców, więc na pewno rozepną liny przez rzekę, żeby cały oddział mógł się przeprawić. To oznacza, że pierwsi ludzie będą musieli płynąć, ciągnąc za sobą liny.

– Będą wtedy łatwymi celami – zgodził się Gilan. – Jeśli ustrzelimy trzech czy czterech, reszta będzie się bała próbować przeprawy. Zanim się zorientują, że nas już nie ma, powinniśmy być daleko.

– Rozumiem, że ty się wycofasz jako ostatni?

Gilan spojrzał spokojnie.

– To oczywiste. Nie poprosiłbym nikogo, żeby został zamiast mnie. Poza tym jestem najlepszym strzelcem, więc to logiczne, że zostanę tu do ostatniej chwili.

– Tak tylko pytałem – powiedział łagodnie Horace. Na miejscu Gilana postąpiłby tak samo. Poza tym, tak jak mówił zwiadowca, było logiczne, że najlepszy strzelec będzie się wycofywał jako ostatni.

– Lepiej już ruszajcie – polecił Gilan bardziej stanowczym tonem. Wskazał drugi brzeg i odległe sylwetki poruszające się między drzewami. – Oni nie będą się ociągać w nieskończoność. – Zeskoczył z konia i szybkim krokiem podszedł do czekających łuczników. Większość z nich zdjęła

przemoczone ubrania wierzchnie i podzieliła się na dwójki, by wyżymać z nich wodę. Kiedy zwiadowca się zbliżył, łucznicy popatrzyli na niego.

– No dobrze, ubierajcie się i szykujcie się do drogi. Wsiadajcie na konie, na których jechaliście poprzednio. Nestor, Clete, Gilbert i Walt, wy zostaniecie ze mną. Macie pełne kołczany?

Dwóch łuczników skinęło głowami, pozostali dwaj pokazali kołczany – jednemu zostały trzy strzały, drugiemu pięć.

– W takim razie weźcie dodatkowe strzały z wozu. Przy okazji zabierzcie też zapas dla pozostałych. Ruszać się! – rzucił Gilan. Dwóch łuczników podbiegło do wozu, gdzie w specjalnych torbach wieziono dwa tysiące zapasowych strzał.

Kilka minut później Horace na czele oddziału wjechał pomiędzy drzewa i skręcił na zachód. Konie dla czterech łuczników, którzy zostali z Gilanem, zostały uwiązane w lesie w takim miejscu, by były niewidoczne z drugiego brzegu rzeki. Gilan podprowadził tam także Blaze i rzucił jej wodze na ziemię. Wiedział, że klacz będzie na niego czekać. Pochylony, żeby nie rzucać się w oczy, wrócił za rząd zarośli, gdzie czekali łucznicy. Gilan przykucnął pod osłoną krzaków i wyjaśnił pozostałym, jaki jest plan.

– Nie pokazujcie się przeciwnikowi – polecił. – Nie chcemy, żeby wiedzieli, że tu jesteśmy, dopóki nie zaczniemy strzelać. Potem pojedynczo przekradniecie się do lasu i pojedziecie za resztą oddziału. Starajcie się to zrobić tak, żeby nikt was nie zauważył. Chciałbym, żeby nieprzyjaciel myślał, że nadal tu jesteśmy, nawet kiedy już dawno stąd znikniemy.

Łucznicy pokiwali głowami i wymienili uśmiechy. Podobała im się koncepcja Gilana. Zazwyczaj podczas bitwy musieli stać w szeregu i wypuszczać jedną strzałę za drugą, by na wroga spadał nieprzerwany ostrzał. To była całkowicie mechaniczna walka, a oni na ogół nie widzieli nawet, jakie są efekty. Obecne potyczki były inne. Widzieli, jak ich strzały zwalają z nóg nacierających zbrojnych, widzieli popłoch i niepewność, jakie ich umiejętności siały w szeregach wroga.

Do tego na razie im samym włos nie spadł z głowy.

– Możemy usiąść sobie tu wygodnie i poczekać – powiedział Gilan. – Ja będę miał oko na naszych przyjaciół za rzeką.

Łucznicy wyciągnęli się na miękkiej trawie. Tak jak wszyscy żołnierze, potrafili wykorzystać każdą sposobność do odpoczynku. Po kilku minutach

dwóch z nich pochrapywało już cicho z głowami opartymi na plecakach. Gilan popatrzył na nich z uśmiechem.

Nestor, najstarszy z łuczników, zauważył to spojrzenie.

– Oni wszędzie potrafią zasnąć – zapewnił, uśmiechając się szeroko. – Gdybyśmy się zatrzymali na środku rzeki, pewnie i tam też by się zdrzemnęli.

Słońce grzało ich w plecy, a ubrania szybko wysychały. Nie były oczywiście jeszcze całkiem suche, ale przestały już być ciężkie. Gilan podciągnął kaptur peleryny, by ukryć w cieniu jaśniejszy owal twarzy, i przykucnął za krzakami, w których znalazł lukę na tyle dużą, by dało się obserwować przeciwległy brzeg.

Nad głową zabrzęczała mu jętka. Miał ochotę machnąć ręką i odgonić ją, ale powstrzymał się. Przeciwnik mógłby zauważyć ruch. Gdy jętka podleciała mu bliżej do twarzy, Gilan spróbował ją zdmuchnąć. Owad zignorował jego wysiłki.

Mijały minuty, a stłumione odgłosy oddalającego się oddziału Horace’a – brzęczenie uprzęży, szczęk broni i stukot końskich kopyt na trawie – stopniowo ucichły. Jętka stała się bardziej natrętna, a Gilan poczuł, że jego powieki wbrew woli robią się coraz cięższe. Potrząsnął głową i zmienił pozycję na mniej wygodną, przyklękając na jedno kolano. Clete i Walt nadal pochrapywali.

Nagle zobaczył ruch po drugiej stronie rzeki. Uniósł się lekko, żeby się przyjrzeć, chociaż nadal pozostawał ukryty za krzakami.

Jakiś tuzin mężczyzn wyłonił się spomiędzy drzew i skierował się do brzegu. Szli ostrożnie, jakby się spodziewali, że lada moment zostaną zasypani gradem strzał. Ponieważ tak się nie stało, nabrali większej śmiałości. Początkowo poruszali się przygarbieni, ale teraz wyprostowali się już i przyspieszyli kroku. Gilan ze swojej kryjówki widział, że trzej z nich niosą ciężkie zwoje lin na ramionach. Skinął głową do Nestora i wskazał jego dwóch śpiących towarzyszy. Starszy łucznik potrząsnął nimi lekko. Jako doświadczeni żołnierze obudzili się bez zbędnego hałasu i natychmiast byli gotowi do działania.

– Zbliżają się – poinformował szeptem Gilan. – Przygotujcie się.

Czterej łucznicy powoli zmienili pozycje, tak że teraz klęczeli na jednym kolanie za zasłaniającymi ich krzakami. Każdy z nich wyciągnął strzałę z kołczanu i nałożył ją na cięciwę. Patrzyli wyczekująco na zwiadowcę,

teraz częściowo już tylko ukrytego w zaroślach, ponieważ przesunął się do przodu, żeby mieć lepszy widok.

– Jeszcze nie – powiedział cicho.

Trzej mężczyźni niosący liny zatrzymali się na brzegu rzeki. Rzucili liny na ziemię i zaczęli przywiązywać ich końce do naturalnych punktów zaczepienia – silnych młodych drzewek lub mocno osadzonych w ziemi głazów.

Potem rozebrali się do bielizny i obwiązali się linami w pasie.

– Zamierzają przepłynąć na drugi brzeg – odezwał się szeptem Gilan. – Poczekamy, aż będą w połowie drogi, i zaczniemy strzelać.

Trzej mężczyźni z linami weszli do wody, obserwowani przez swoich towarzyszy kucających za tarczami na brzegu rzeki. Jeden z brodzących krzyknął zaskoczony, gdy poczuł nieoczekiwanie silny nurt. Zaraz jednak odzyskał równowagę i ruszył dalej.

Po kilku metrach zanurzyli się już do ramion i musieli zacząć płynąć. Gdy tylko ich stopy oderwały się od dna, nurt zaczął ich szybko znosić w dół rzeki. Byli jednak dobrymi pływakami i Gilan widział, że pokonują rzekę w szybkim tempie. Przyjrzał się pierwszemu z mężczyzn, którzy weszli do wody. Najwyraźniej najlepiej z całej trójki umiał pływać i wyprzedzał pozostałych o kilka metrów.

– Ja zajmę się tym najbliżej – zdecydował Gilan i powoli wstał. – Wy celujcie w pozostałych.

Czterej łucznicy także wstali. Ich głowy i ramiona znajdowały się teraz ponad krzakami, ale nie zostali jeszcze zauważeni. Jak łatwo zgadnąć, mężczyźni na drugim brzegu obserwowali pływaków i po trochu popuszczali liny, w miarę jak ich towarzysze walczyli z nurtem. To, że do tej pory nie natrafili na żadne przeszkody, dało im złudne poczucie bezpieczeństwa.

Gilan podniósł łuk i wycelował w pierwszego pływaka. Wiedział, że pozostali łucznicy także wybrali cele.

– Teraz – powiedział cicho i wypuścił strzałę.

ROZDZIAŁ 22

Następnego poranka Maddie wyruszyła na Sundan cerze w stronę gospodarstwa Warwicka. Przed wyjazdem odwiedziła matkę i upewniła się, że goście ze Skandii nie dotrą przed południem.

– Ale to oznacza, że musisz wrócić na wpół do dwunastej – ostrzegła ją Cassandra. – Chciałabym wybrać się nad rzekę, by ich przywitać.

Maddie obiecała, że wróci wcześniej, i poszła osiodłać konia.

Przejeżdżając pod kratą bramy i przez most zwodzony, kiwała przyjaźnie głową strażnikom, którzy stawali na baczność i salutowali. Kiedy znalazła się w parku, zmusiła konia do spokojnego cwału. Cieszyła się wiatrem we włosach, a jej arydzki wierzchowiec pędził poprzez równo przystrzyżoną trawę, bijąc kopytami o miękką ziemię. Dopiero w lesie zwolniła do kłusu; drzewa rosły zbyt blisko siebie i szybka jazda była możliwa tylko od czasu do czasu.

Jadąc, pogwizdywała, a Sundancer – wyczuwając jej pogodny nastrój – uniósł łeb i zarzucił grzywą. Pochyliła się i poklepała go po szyi. Sundancer był świetnym koniem, ale w dobry humor wprawiała ją świadomość, że zobaczy Zderzaka. Nie odwiedzała gospodarstwa od kilku dni i tęskniła za swoim kudłatym towarzyszem.

– Gdyby nie on, byłbyś moim ulubionym koniem – oznajmiła. Na dźwięk jej głosu Sundancer ponownie zarzucił grzywą, jednak w odróżnieniu od Zderzaka nic nie odpowiedział.

Kiedy wjechała na podwórze, Warwick pracował w stodole, gdzie reperował skórzane pasy pługu. Potężne wrota zostawił otwarte, by wpuścić światło do wnętrza. Natychmiast wyszedł, by się przywitać. Dziewczyna zeskoczyła z konia i przywiązała go do słupa przy drzwiach zagrody.

– Dzień dobry, Maddie! – wykrzyknął radośnie. – Przyjechałaś do Zderzaka, prawda?

– Zgadza się, Warwick. I oczywiście do ciebie – odparła, uśmiechając się, więc zrewanżował się jej tym samym. Przy siodle miała starannie

złożoną i związaną pelerynę zwiadowcy. Odpięła ją teraz, rozwinęła i zarzuciła na ramiona. Samo włożenie jej sprawiło, że poczuła się lepiej i pewniej. Peleryna była symbolem tego, kim się stała i czym zajmowała się na co dzień.

– Pomyślałam, że rozejrzę się po okolicy – poinformowała go. – Coś się działo?

Warwick skrzywił się z namysłem.

– Nie jestem pewien – odpowiedział. – Barnaby Coddling z gospodarstwa Coddlingów utrzymuje, że poprzedniej nocy po opactwie kręcili się jacyś ludzie. Ale on często zmyśla. Kiedy usłyszy, że coś się wydarzyło, zaraz upiera się, że to widział. Lubi bajać ten cały Barnaby.

– Chyba jednak powinnam się tam rozejrzeć – oceniła Maddie. Poluzowała popręg przy siodle Sundancera i ruszyła w stronę stajni, by osiodłać Zderzaka. – Oporządzisz mojego konia?

– Z przyjemnością. – Warwick kiwnął głową. Odstawił narzędzia i ruszył ku cierpliwie czekającemu arydzkiemu ogierowi. Kiedy potarł jego aksamitny pysk, Sundancer powąchał płaszcz mężczyzny, potem wsadził pod niego nos, szukając jabłka, które ten zawsze nosił przy sobie z myślą o głodnych koniach. Warwick zaśmiał się i podał owoc rumakowi.

Tymczasem w stodole Zderzak zarżał na powitanie Maddie. Z uszami postawionymi na sztorc rozglądał się czujnie, unosząc łeb ponad drzwiczkami przegrody. Ściągnęła z kołka ogłowie i przerzuciła mu siodło przez grzbiet.

Gdzie byłaś? – zapytał. Kiedy zostawiała go na zbyt długo samego, stawał się drażliwy. Poklepała go po szyi.

– Miałam ręce pełne roboty – odpowiedziała miękko, wskakując na siodło. – Opowiem ci po drodze.

No cóż, wszystko pięknie, ale ja naprawdę się o ciebie martwiłem. Kiedy nie ma mnie w pobliżu, coś może ci się przytrafić.

– Sundancer się mną opiekuje – przypomniała.

Zarżał głośno, potrząsając grzywą.

Sundancer? Ta przerasowiona chabeta? Co by zrobił, gdybyś wpadła w kłopoty?

– Sundancer ma wzorowy rodowód – zauważyła.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

Wszystkie konie czystej krwi mają ciągoty do histeryzowania. Dla swojego dobra – i twojego zresztą też – powinny się mniej ekscytować.

W koniach zwiadowców płynęła krew wielu różnych ras. Hodowcy z Korpusu dobierali je ze względu na określone cechy – jedne z uwagi na szybkość, inne wytrzymałość czy inteligencję – i łączyli ich zalety w kudłatych konikach, które dostarczali zwiadowcom. W rezultacie konie pokroju Zderzaka, zwłaszcza te pyskate, patrzyły z góry na przymioty tak zwanych czystokrwistych.

Maddie westchnęła.

– Nie dziwię się, że niektórzy ludzie mylą konie z osłami.

Zderzak potrząsnął łbem i zamilkł. Uśmiechnęła się do siebie. W końcu udało jej się podejść go w pojedynku słownym. Szykowała ten żart od dłuższego czasu, szukając tylko sposobności, by go wykorzystać.

– Mówiłaś coś? – zapytał Warwick, kiedy wyszli na zewnątrz.

Pokręciła głową.

– Tylko do siebie. To jeden z moich złych nawyków.

Mężczyzna pokiwał głową ze zrozumieniem.

– Pierwsza oznaka szaleństwa – dodał wesoło. Podejrzewał, że zwiadowcy rozmawiają z końmi. Kilka razy słyszał Gilana, ale nie pozwoliłby sobie na sugestię, że się tego domyśla.

– Rozejrzę się po opactwie – powiedziała Maddie. Warwick pomachał jej na pożegnanie, więc zmusiła konia do kłusu i opuściła farmę, zanurzając się w otaczającym ją lesie. Dopiero w połowie drogi Zderzak przestał się dąsać i znów się do niej odezwał. Był gadatliwym konikiem i nie potrafił zbyt długo milczeć, nawet jeśli udawał, że czuje się obrażony.

Co spodziewasz się tu znaleźć?, zapytał, kiedy pokonywali jeden ze stromych szlaków.

– Prawdopodobnie nic – przyznała. – Podobno kręcili się tu jacyś ludzie, ale Warwick nie do końca w to wierzy.

Ziemia wokół opactwa, piętrowego kamiennego budynku z dzwonnicą na tyłach, została oczyszczona z drzew, co pozostawiło otwartą przestrzeń o rozmiarach trzydzieści na pięćdziesiąt metrów. Opactwo stało na wzgórzu, gdzie wiał silniejszy wiatr, a czubki drzew pochylały się i kołysały. Wśród nich rosło kilka sosen i kiedy bryza przechodziła przez ich gałęzie, szumiały prawie jak morskie fale.

Maddie lekko pociągnęła za wodze i Zderzak zatrzymał się. Rozejrzała się dookoła. Odniosła wrażenie, że od ostatniego jej pobytu nic się tu nie zmieniło.

– Nie widzę żadnych śladów – powiedziała. Jednak ziemia była ubita i kamienista, a poprzedniej nocy padało. Deszcz w połączeniu z wiatrem i tak usunąłby wszelkie ślady, nie licząc tych w budynku. Maddie zeskoczyła z siodła. Kiedy jej stopy dotknęły ziemi i przejęły ciężar ciała, jęknęła cicho, czując przeciągłe kłucie w biodrze.

– Zostań tu – rzekła do konia. Nastawił uszu, jednak nie odpowiedział.

Choć nie spodziewała się kłopotów, była na nie przygotowana. Tak ją wyszkolono. Dla pewności wyjęła łuk z przypiętego do siodła skórzanego pokrowca, sięgnęła również po kołczan i umocowała go u pasa. Broń trzymała w gospodarstwie, podobnie jak konia. Relatywnie mocny łuk refleksyjny oraz kołczan pełen strzał z grotami penetrującymi wzbudziłby na Zamku Araluen niepotrzebne zainteresowanie.

Wsunęła strzałę w cięciwę i ostrożnie ruszyła w stronę opactwa. Podwójne drzwi były zamknięte, choć lewe ich skrzydło odstawało na kilka centymetrów od sąsiedniego. Maddie próbowała sobie przypomnieć, czy odstawało również podczas poprzedniej jej wizyty, ale nie pamiętała.

– Niezły z ciebie zwiadowca – mruknęła do siebie. Z reguły surowo się oceniała. Wysunęła lewą nogę, umieściła stopę przy lekko odchylonych drzwiach, po czym mocno je pchnęła. Zardzewiałe zawiasy głośno zaskrzypiały i skrzydło otworzyło się na oścież. Sztywność nienaoliwionego mechanizmu sprawiła, że zatrzymało się, zanim uderzyło w futrynę. Przejście było jednak na tyle duże, by mogła wślizgnąć się do środka.

Zaczekała, nasłuchując jakichkolwiek odgłosów. Serce zaczęło jej mocniej bić, szybciej też oddychała. Wchodząc do środka, zdemaskowałaby się. Jej sylwetka byłaby wyraźnie widoczna na tle światła padającego z zewnątrz. Stanowiłaby łatwy cel dla każdego człowieka znajdującego się w budynku.

O ile jakiś człowiek by się tam znajdował.

Szybko wsunęła się za drzwi i momentalnie skręciła w prawo, by usunąć się z przejścia. Stała na jego tle nie więcej niż sekundę, zanim zniknęła w półmroku wypełniającym stary budynek.

Nic się nie poruszyło, poza kilkoma suchymi liśćmi, które zawirowały na progu wraz z wiatrem wdzierającym się za nią do środka. Po chwili jej wzrok przyzwyczaił się do ciemności. Rozejrzała się dookoła, wypatrując zagrożenia. Niczego nie zauważyła.

Budynek składał się z pojedynczego pomieszczenia z niewielką galerią dla chóru przy tylnej ścianie. Nad nią wznosiła się dzwonnica. Stara, rachityczna drewniana drabina umożliwiała wejście na podwyższenie znajdujące się dobre trzy metry nad podłogą. Wysokie łukowe sklepienie zapewniało dodatkową przestrzeń. Na każdej z bocznych ścian było okno.

Drzwi wejściowe usytuowane były pośrodku jednej z dłuższych ścian, więc Maddie widziała zarówno galerię, jak i ołtarz z kazalnicą. Niegdyś stało przed nią kilka rzędów ław, jednak przynajmniej połowę z nich w przeciągu lat zabrali miejscowi. Wykonano je z drewna na tyle dobrej jakości, że pozostawienie ich tutaj, by zgniły, wydawało się bezsensowne. Gdyby odwiedziła okoliczne gospodarstwa, z pewnością dowiedziałaby się, że ławy zamieniły się w domowe meble – ławki, krzesła czy ramy łóżek.

Drzwi lekko zaskrzypiały, kiedy mocniejszy podmuch wiatru pchnął je kilka centymetrów. Zardzewiałe zawiasy mu w tym nie przeszkodziły. Kiedy Maddie uświadomiła sobie, że wstrzymuje oddech, powoli wypuściła powietrze z płuc. Opuściła łuk i zluzowała cięciwę.

I w tym momencie zobaczyła pysk lisa.

Na pierwszy rzut oka wydawał się jedynie kilkoma przypadkowymi zadrapaniami na ubitym klepisku. Potem jednak uświadomiła sobie, że zadrapania łączą się w konkretny kształt. Kiedy podeszła bliżej, rozpoznała go – dostrzegła bowiem charakterystyczny zarys lisiej maski. Widniał na podłodze pomiędzy dwoma rzędami ławek i jak się domyślała, został wydrapany na twardej ziemi końcem patyka albo jakimś metalowym ostrzem. Prawdopodobnie artysta siedział bezczynnie na ławie i postanowił rozerwać się, czekając na rozpoczęcie spotkania – jeśli to właśnie o nie chodziło.

Jednego była pewna – podczas poprzedniej wizyty nie widziała tego lisiego pyska.

– A więc… – intensywnie rozmyślała na głos – …wygląda na to, że rzeczywiście coś się tutaj dzieje.

Obejrzała resztę podłogi, ale nie zauważyła żadnych innych śladów. A jednak pysk narysowany na ziemi stanowił wystarczającą wskazówkę.

Zdradzał, kto tu był. Mało prawdopodobne, by człowiek ten nie należał do Klanu Czerwonego Lisa. Will lubił powtarzać: „Nie wierzę w przypadki”.

Upewniwszy się, że nie ma żadnych innych śladów, Maddie wycofała się do drzwi i po wyjściu na zewnątrz zostawiła je tak, jak je zastała po przyjeździe.

Zaciekawiony Zderzak uniósł łeb.

Znalazłaś coś?

– Tak. Wygląda na to, że Barnaby Coddling nie zmyślał – odpowiedziała. – Będziemy musieli tutaj wrócić. I w ogóle mieć oko na to miejsce.

Koń zarzucił ogonem, odganiając zbłąkaną muchę.

Maddie machinalnie pogłaskała go po szyi. Zastanawiała się. Nie miała pojęcia, kiedy Lisy znów się tu spotkają, a to oznaczało, że musiała objąć opactwo stałym nadzorem, czyli każdej nocy wymykać się z zamku.

– Zamierzam przenieść cię bliżej tunelu – oświadczyła. – Znajdę ci miejsce gdzieś na skraju lasu.

W najbliższych dniach czekało ją obserwowanie opactwa, a nie miała ochoty każdej nocy wędrować tam na piechotę. Nie mogła też codziennie wyjeżdżać na Sundancerze i potem zmieniać konia w gospodarstwie, tak jak dzisiaj. Ktoś z pewnością zauważyłby, że wyjeżdża i przyjeżdża. A jeśli ludzie zorientowaliby się, że każdej nocy znika na długie godziny, zaczęliby zadawać pytania. Zwłaszcza jej matka.

– Na razie nie mogę jej niczego wyjaśnić – odpowiedziała samej sobie. – Mam jedynie przeczucie, że dzieje się tutaj coś podejrzanego.

Wróciła do gospodarstwa. Warwick naprawił już pług i właśnie wymieniał ułamany zawias przy bramie padoku.

– Czy ty kiedykolwiek odpoczywasz? – zapytała.

Z uśmiechem pokręcił głową.

– Farmer nie wie, co to dzień wolny – powiedział. – Natknęłaś się na coś w opactwie?

Opowiedziała mu o lisim pysku namalowanym na podłodze.

Kiedy go opisywała, z namysłem pocierał podbródek.

– Nigdy wcześniej go nie widziałem – przyznał. – Dlaczego ktoś miałby tam coś rysować?

Wzruszyła ramionami.

– Podejrzewam, że czekał na kogoś i zabijał w ten sposób czas. W każdym razie przez kilka następnych nocy zamierzam trzymać tam

wartę. Znajdę dla Zderzaka miejsce bliżej zamku. Mógłbyś pożyczyć mi wiadro i końską derkę? – Spojrzała w niebo usiane gonionymi przez wiatr białymi chmurami. Deszcz najwyraźniej przeszedł bokiem. – I worek owsa, o ile jakiś masz – dodała.

Warwick skinął głową i poszedł do stodoły po potrzebne jej rzeczy.

– Chcesz, bym pojechał z tobą popilnować opactwa? – zapytał po powrocie.

Pokręciła przecząco głową.

– Lepiej zajmę się tym sama. Dwie osoby to dwa razy większa szansa, że nas zobaczą. Poza tym potrafię nie rzucać się w oczy.

Wskoczyła na grzbiet Zderzaka i pochyliwszy się, odwiązała wodze Sundancera.

– Powinnam już wracać i poznać tych całych Skandian – powiedziała.

ROZDZIAŁ 23

Maddie wjechała na Zderzaku do lasu i prowadząc Sundancera za sobą, ruszyła w stronę zamku. W ciągu kilku dni, kiedy objeżdżała okolicę, jej uwagę zwróciło miejsce, w którym koń mógłby pozostać niezauważony.

Była to niewielka polanka położona jakieś dwadzieścia metrów od granicy lasu, poniżej Zamku Araluen. Miała może osiem metrów średnicy, a przed wzrokiem przejeżdżających w pobliżu ludzi skutecznie skrywały ją gęsto rosnące drzewa. A gdyby pogoda się zepsuła, zapewniłyby koniowi schronienie – choć akurat Zderzak był wytrzymałym zwierzęciem, przywykłym do przebywania na świeżym powietrzu. Maddie nie chciała jednak narażać go na niepotrzebne niewygody, dlatego poprosiła Warwicka o derkę.

Kiedy dotarli na wypatrzone przez nią wcześniej miejsce, zeskoczyła na ziemię. Przywiązała Sundancera do jednego z konarów i poprowadziła Zderzaka pomiędzy krzewy okalające drzewa, odchylając grubsze gałęzie na bok. Kiedy zniknęli arydzkiemu wałachowi z oczu, ten zarżał zaniepokojony.

– Wrócę. Nie bój się! – zawołała dziewczyna.

Konie czystej krwi… – Zderzak pokręcił nosem. - *Te to są rozhisteryzowane!*

Maddie zignorowała uwagę swojego kudłacza, rozglądając się po polanie. Dla konia było to idealne miejsce, szybko więc go rozkulbaczyła, siodło i uzdę zaś zawiesiła na pobliskiej gałęzi. Ściągnęła cięciwę z łuku i kołczan z paska, po czym wsunęła je do impregnowanego pokrowca przyczepionego do siodła. Zarzuciła Zderzakowi derkę na grzbiet, a następnie związała paski wokół jego nóg i pod brzuchem.

– Powinno być ci wygodnie – powiedziała. Spojrzał na nią z ukosa, więc wskazała wąski przesmyk pomiędzy drzewami rosnącymi po przeciwnej względem zamku stronie polanki.

– Jakieś pięć metrów stąd płynie strumień – poinformowała. Oboje słyszeli łagodny szum i bulgotanie wody. – Zostawię ci trochę owsa. Nie zjedz od razu całego.

Zderzak parsknął. Takie napomnienie było poniżej jego godności. Maddie wsypała połowę owsa do wiadra i postawiła je pod drzewem. Wiedziała, że koń został nauczony jeść oszczędnie i nie spałaszuje wszystkich zapasów zaraz po jej odejściu. Nie trzeba było go też uwiązywać – zostanie na polance, a nawet jeśli się oddali, to tylko po to, by się napić. Jeśli ktoś będzie przejeżdżał obok, zachowa spokój i przeczeka w bezruchu. Nie chciała go tu zostawiać, mógł przecież nocować w ciepłej stodole Warwicka, tyle że nie miała innego wyjścia.

– Wrócę jutro w nocy – obiecała. Omówiła z Warwickiem plan obserwowania opactwa i doszli do wniosku, że jest mało prawdopodobne, by Lisy powróciły tam już najbliższej nocy – czyli wkrótce po ostatniej wizycie. Zazwyczaj oznaki ich aktywności w opactwie dzieliło przynajmniej pięć czy sześć dni. I tyle pewnie minie, zanim znów się pojawią. Na wszelki wypadek wolała jednak zacząć obserwację już kolejnej nocy.

– Dla pewności zajrzę tam dziś wieczorem – zaproponował Warwick, na co się zgodziła.

Poklepała Zderzaka po szyi, a konik odpowiedział czułym szturchnięciem łbem w jej ramię. Potem zniknęła wśród drzew, odwiązała wodze Sundancera i wskoczyła na siodło.

– Postaraj się nie pokazywać! – zawołała jeszcze do Zderzaka, który w odpowiedzi zarżał, co przetłumaczyła sobie jako: „Powiedz mi coś, czego jeszcze nie wiem”. Potem dotknęła boków Sundancera piętami i wynurzyła się spomiędzy drzew na otwarty teren. Kiedy znalazła się w parku, szturchnęła konia po raz kolejny, zmuszając go do cwałowania pod górę.

Może nie jest Zderzakiem, pomyślała, ale to wciąż wspaniały koń. Miał płynny, niezwykle lekki chód i wyjątkową prędkość. Przeszła w galop, więc wyciągnął się, pokonując teren długimi, miarowymi skokami. Jego kopyta prawie nie uderzały o ziemię. Zbliżając się do zamku, zauważyła matkę na czarnym wałachu, czekającą pod murami nieopodal mostu zwodzonego. Towarzyszyli jej Dimon i jeszcze jeden jeździec, stojący kilka metrów dalej.

Znalazłszy się tuż obok matki, Maddie szarpnęła za wodze i Sundancer zatrzymał się, rozrzucając wokół grudki błota zmieszanego z trawą. Zaśmiała się z czystej radości towarzyszącej galopowaniu pod górę.

Cassandra spojrzała znacząco na słońce znajdujące się niemalże nad ich głowami.

– Prawie się spóźniłaś.

Maddie uśmiechnęła się.

– Co oznacza, że jestem na czas. Albo nawet ciut za wcześnie – zauważyła.

Cassandra wzruszyła ramionami i odwróciła się w stronę chłopca stajennego prowadzącego przez most zwodzony trzy konie. Kiedy wręczył wodze towarzyszowi Dimona, Maddie dostrzegła, że były już osiodłane. Do tego były to konie wyraźnie starsze i potulne.

Młody kapitan zobaczył zaciekawione spojrzenie dziewczyny.

– Są dla Skandian – wyjaśnił, odpowiadając na niezadane pytanie.

– Nie mogliście znaleźć jakichś bardziej żwawych? – zapytała. Jeden z wierzchowców, jabłkowity siwek, wyglądał tak, jakby miał zaraz zasnąć.

– Skandianie nie są dobrymi jeźdźcami – odparła matka. – Wsiadają na konie tylko wtedy, kiedy muszą, ale starają się tego unikać.

– Jedziesz z nami? – Maddie zwróciła się do Dimona.

Kiwnął głową.

– Oczywiście. Nie mogę pozwolić, by księżniczka nie miała ochrony. Choć wolałbym wziąć ze sobą pół mojego oddziału.

– Was dwoje całkowicie nam wystarczy – odparła beztrosko Cassandra. – Bądź co bądź jestem uzbrojona – dodała, klepiąc gładkie drewno przypiętej do pasa pochwy, skrywającej katanę. – Obie mamy też proce – przypomniała. Podobnie jak córka, na wszystkie wyprawy zabierała tę broń wraz z woreczkiem pełnym pocisków.

Zamilkła na chwilę, by się upewnić, czy żołnierz należycie przygotował konie do drogi. Potem wskazała północny-wschód, gdzie leżała rzeka Semath.

– Zbierajmy się – powiedziała.

Ruszyli niezbyt szybkim kłusem, za którym stare wierzchowce mogły jeszcze nadążyć. W połowie zbocza skręcili na wschód i podążając szerokim końskim traktem, wjechali pomiędzy drzewa. Te po piętnastu minutach jazdy zaczęły się przerzedzać i wkrótce kłusowali już przez

otwarty, trawiasty teren, z rzadka porośnięty wyższą roślinnością. Przed nimi srebrzyła się rzeka. Szeroka i leniwa wiła się aż do położonego piętnaście kilometrów dalej wybrzeża. Na południu z kolei przecinała malowniczą wioskę pozostającą pod opieką Zamku Araluen, po czym znikała wśród równin porośniętych lasami.

Przy solidnie wyglądającym pomoście ściągnęli wodze. Cassandra stanęła w strzemionach i spojrzała w dół rzeki. Pół kilometra od nich widoczne było zakole. Na razie nigdzie nie dostrzegli wilczego okrętu – Maddie podejrzewała, że Skandianie przypłyną właśnie tego typu jednostką.

– Tam są – odezwał się Dimon. Niewielki, lecz zgrabny statek wyłonił się nagle zza zakrętu rzeki. Płynął ze znaczną prędkością, choć wiatr nie należał do silnych. Maddie była zaskoczona, widząc, że to nie wilczy okręt, a przynajmniej nie taki, jaki znała z rysunków.

Jednostka była mniejsza, niż Maddie się spodziewała, i na każdej z burt miała zaledwie cztery wiosła zamiast dziesięciu czy piętnastu. Trójkątny żagiel wisiał wzdłuż linii kadłuba, a nie w poprzek, jak ustawiano te kwadratowe. Obserwowała, jak statek dopływa do północnego brzegu rzeki i skręca w ich stronę. Zaskoczona zauważyła, że kiedy dziób się obrócił, trójkątny żagiel stracił swój napięty kształt i zsunął się w dół przysadzistego masztu. Po stronie zawietrznej pojawił się kolejny żagiel, pochwycił wiatr i wygiął się w gładki, opływowy kształt. Jednostka, która straciła odrobinę prędkości podczas tego manewru, po raz kolejny przyspieszyła. Pod jej stępką utworzyła się charakterystyczna biała fala.

Na stewie rufowej powiewała długa flaga. Maddie skrzywiła się. Dostrzegła na niej drapieżnego ptaka goniącego za zwierzyną.

– To twoje godło – powiedziała nieco zgorszona.

Ku jej zaskoczeniu matka uśmiechnęła się.

– Tak. Erak miał ją na pokładzie „Wilczego Wichru”, kiedy wiózł mnie, Willa i Halta do domu. Hal kontynuuje tę tradycję, zawieszając tę flagę na „Czapli” przy każdej wizycie w naszych stronach. Jak widzisz, to zuchwała banda – dodała z uśmiechem na ustach. Najwyraźniej nie miała nic przeciwko temu, że jej prywatne symbole wykorzystuje jakiś uzurpator.

– Hal? – zdziwiła się Maddie. Znała jedynie Eraka, który był oberjarlem, władcą Skandian. Wszyscy wiedzieli, kim jest.

– Hal Mikkelson. To jeden z ich najlepszych kapitanów, nazywają ich skirlami. Wybitny nawigator oraz budowniczy statków. Sam zaprojektował tę jednostkę. Gilan żeglował nim, kiedy starali się pozbyć renegatów uprzykrzających nam życie jakiś czas temu.

Maddie zmarszczyła nos.

– Raczej mały, nie?

– Owszem, jest mały. Ale według Gilana jest też szybki i niezwykle zwrotny. Podobno to dzięki kształtowi żagla.

Dimon z zaciekawieniem obserwował płynącą jednostkę.

– A więc to jest słynna drużyna „Czapli” – powiedział do siebie.

– Dlaczego drużyna? – zapytała Maddie. – I czemu akurat jest słynna?

– Skandianie trenują w dziesięcio- lub dwunastoosobowych grupach – wyjaśnił Dimon. – Uczą się żyć razem, walczyć razem i wspólnie żeglować. Po ukończeniu szkolenia taka grupa staje się częścią jednej załogi. Zostają ze sobą na całe życie.

– A ci akurat są słynni – wtrąciła Cassandra. – Przepłynęli z jednego końca znanego nam świata na drugi. Ścigali pirata o imieniu Zavac aż do rzeki Dan położonej na wschodnim krańcu Morza Spokojnego. Człowiek ten wykradł cenne artefakty z ich stolicy, Hallasholm, jednak dogonili go, zatopili mu statek, a jego samego zabili. Potem walczyli jeszcze na wschodnim wybrzeżu Arydii i pokonali wyznawców groźnego kultu oraz uratowali grupę młodych Araluеńczyków, których łowcy niewolników zamierzali sprzedać w Socorro.

– Podobno nawet odkryli nowy ląd położony daleko na zachodzie. Choć prawdopodobnie to tylko bajki – dodał Dimon.

Maddie wychwyciła w jego ostatnich słowach lekceważący ton. Najwyraźniej nie był skory do wyśpiewywania hymnów pochwalnych pod adresem Skandian.

Spojrzała na zbliżający się niewielki, ale piękny stateczek. Usłyszała rozkaz wykrzyczany przez sternika, po którym żagiel nagle zsunął się z masztu, a załoga rzuciła się, by go zwinąć. Jednostka lekko skręciła, ustawiając się równolegle do brzegu i powoli wytracając prędkość. Niemal się zatrzymała, gdy dotarła do pomostu. Wysoka postać wyskoczyła na brzeg, zarzuciła cumę na knecht i owinęła ją dwukrotnie wokół wyślizganego drewnianego kołka. Potem stanęła mocno na nogach i zatrzymała statek. Ten otarł się dziobem o pomost, jednak siłę uderzenia

przejęły wiszące na obu burtach ochraniacze z trzciny. Kolejny członek załogi zeskoczył na brzeg, by w podobny sposób zabezpieczyć rufę. W zaledwie pół minuty jednostka została bezpiecznie przycumowana.

– Chodźmy – powiedziała Cassandra, uśmiechając się szeroko. – Powinniśmy się przywitać.

Zeskoczyła z siodła i ruszyła w stronę gości. Maddie pospieszyła za nią. Dimon zawahał się, po czym spojrzał na swojego towarzysza.

– Pilnuj koni – rozkazał, zsiadł z wierzchowca i podążył za kobietami.

– Stig! – zawołała Cassandra. Rozpostarła ramiona, by uściskać wysokiego mężczyznę, który jako pierwszy stanął na brzegu. – Witaj w Araluenie! – Mężczyzna zamknął ją w pełnym entuzjazmu niedźwiedzim uścisku, unosząc lekko do góry. Dimon ruszył do przodu, ale zatrzymał się, słysząc perlisty, radosny śmiech księżniczki.

– Postaw mnie na ziemię, ty wielka małpo! – wołała. W końcu Skandianin jej posłuchał. Cassandra odwróciła się i spojrzała na Maddie.

– Stig, to moja córka. Maddie, to jest Stig.

Dziewczyna z zainteresowaniem przyglądała się nieznajomemu. Był wysoki, szeroki w barkach, o atletycznej budowie ciała. Jego ruchy przypominały jej ojca – były pełne gracji i jednocześnie spokoju. Śmiało mógł uchodzić za przystojnego, nie sposób było temu zaprzeczyć. Miał błyszczące błękitne oczy, regularne rysy twarzy oraz zgrabnie przyciętą jasną bródkę i wąsik. Jego jasne włosy były krótko ostrzyżone. Uścisnął dłoń dziewczyny i uśmiechnął się, widząc na jej twarzy wyraz nieufności. Maddie obawiała się, że mężczyzna również i ją może zamknąć w niedźwiedzim uścisku, choć przez moment pomyślała, że to wcale nie musiałoby być nieprzyjemne.

Cassandra kontynuowała prezentację:

– Stig, to jest Dimon, kapitan mojej straży.

Skandianin podszedł bliżej i z uśmiechem wyciągnął dłoń. Ku zaskoczeniu Maddie Dimon wyraźnie zawahał się, jednak w końcu uścisnął dłoń Skandianina.

– Miło mi cię poznać – powiedział radośnie Stig.

– Witaj w Araluenie – odrzekł nieco sztywno Dimon.

Maddie nie miała czasu na przemyślenie jego dziwnej reakcji, gdyż Cassandra zwróciła jej uwagę na dwóch Skandian zbliżających się od strony pomostu.

– A to kolejni moi przyjaciele: Hal Mikkelson, skirl „Czapli”, oraz Thorn, największy łobuz, jakiego kiedykolwiek mógłbyś poznać.

ROZDZIAŁ 24

Gilan w ostatniej chwili zmienił cel. Zabijanie nieuzbrojonego, niczego niepodejrzewającego człowieka, choćby nawet wroga, było wbrew jego naturze.

Płynącego należało jednak jakoś zatrzymać, tyle że nie bardzo było w co go trafić. Nad powierzchnię wody wystawały jedynie głowa mężczyzny oraz ramiona. Gilan wybrał prawy bark, wycelował i wypuścił strzałę.

Usłyszał, że pozostałe cztery łuki odzywają się niemal w tym samym momencie. Jego strzała poleciała płaskim torem i trafiła pierwszego płynącego w prawy bark. Mężczyzna wydał przeraźliwy okrzyk i niemal od razu się zatrzymał. Zniknął pod wodą, wynurzył się dobry metr dalej, wrzeszcząc z bólu i uderzeniami lewej dłoni zamieniając wodę w pianę. Jego towarzysze stojący na brzegu przez kilka sekund patrzyli na niego przerażeni, potem, ponieważ wciąż krzyczał, zaczęli szarpać za linę, ciągnąc ją do brzegu. Mężczyzna odwrócił się na plecy i mocno kopiąc stopami, próbował jak najszybciej do nich dotrzeć.

Pozostali łucznicy nie mieli luksusu decydowania, czy chcą jedynie zranić swoje cele. Gilan był znakomitym strzelcem i potrafił oddać pewny strzał prosto w ramię płynącego, jego towarzysze musieliby liczyć na szczęście, zwłaszcza że płynący stanowili kiepskie cele. W efekcie jeden z Lisów oberwał w klatkę piersiową, gdy strzała śmignęła pod wodę i ugodziła go dobrych dwadzieścia centymetrów niżej. Krzyknął tylko raz, rozsunął ręce i zatonął w ciszy. Towarzysze trzymający jego linę próbowali wprawdzie go ratować, dlatego wypłynął na powierzchnię kilka metrów dalej, ale leżał bezwładnie na plecach i nie ruszał się.

Trzeci płynący krzyknął przerażony, gdyż trzy strzały spadły tuż obok niego, jedna tak blisko, że rozorała mu ramię ostrym jak brzytwa grotem i krew natychmiast zaczęła barwić wodę dookoła niego. Słysząc jego przeraźliwe wrzaski, towarzysze zaczęli ciągnąć go do brzegu najszybciej, jak to było możliwe. Otoczyła go całkiem spora fala. Prąd rzeki nacierał na

jego przemieszczające się ciało, a woda wlewała mu się do ust. Zaczął dławić się i kasłać.

– Przestańcie strzelać – zarządził cicho Gilan. – Cofnijcie się.

Marnowanie strzał nie miało sensu. Płynący już zawrócili, wróg po raz kolejny znalazł się w rozsypce. Mężczyźni ciągnący liny pokrzykiwali na swoich towarzyszy, by osłaniali ich tarczami – tamci tej prośby nie chcieli spełniać, woleli sami kryć się za osłoną.

Gilan dostrzegł w tym szansę na dalsze podkopanie morale przeciwnika, więc posłał strzałę w grupę stojącą na brzegu. Celował w jednego z mężczyzn przy linach. Strzała trafiła w nogę. Mężczyzna przewrócił się, złapał obiema rękami za ranę i błagał towarzyszy o pomoc. Zignorowali go, dalej ciągnąc pływaka w stronę brzegu. Kiedy dotarł na płyciznę, dwóch ludzi podbiegło do niego, schwyciło za ramiona i zaczęło ciągnąć w stronę linii drzew, nie zwracając uwagi na jego pełne bólu okrzyki.

Mężczyzna trafiony w pierś został dociągnięty na płyciznę, najwyraźniej był już martwy. Nie próbował się podnieść, a jego kończyny poruszały się lekko, kołysane nurtem. Jego towarzysze po chwili wahania odcięli linę i popędzili ku drzewom. Jeden z nich zatrzymał się jednak, by pomóc rannemu w nogę koledze. Prąd wody chwycił tymczasem martwego pływaka i odepchnął od brzegu, po czym poniósł w dół rzeki. Obrócił go przy tym, więc mężczyzna unosił się teraz na wodzie twarzą w dół. Wkrótce zniknął im z oczu za łagodnym zakrętem.

Trzeci z płynących, z krwią tryskającą z rany, stanął wreszcie na własnych nogach i samodzielnie dotarł na płyciznę. Wdrapał się na brzeg i nie czekając na pomoc towarzyszy, popędził jak szalony w stronę schronienia. Gilan posłał strzałę koło jego ucha, chcąc zmusić go do szybszej ucieczki. Ku jego zaskoczeniu ranny odnalazł dodatkowe pokłady energii i znacznie przyspieszył.

Wtedy stało się to, co musiało się stać. Ciągnąca się za nimi lina zaczepiła się o jakiś niski pieniek i napięła się, powalając go na ziemię. Szarpał się jak obłąkany i wrzeszczał ze strachu. Próbował odciąć linę, a gdy w końcu się uwolnił, zerwał się na równe nogi i znów rzucił się do ucieczki.

Obserwujący go łucznicy zaśmiali się. Gilan nie spuszczał oka z drużyny znajdującej się na przeciwległym brzegu. Skryci za tarczami powoli zaczynali się wycofywać. Nie mieli pojęcia, skąd nadleciały strzały. Żaden

z nich nawet nie zerknął w stronę kępy krzaków, za którą się skryli łucznicy. Obserwowali tylko brzeg naprzeciwko siebie.

Dał im kilka minut, gdyż wycofywali się bardzo powoli. Tak jak poprzednio, kiedy strzały przestały nadlatywać, nabrali pewności siebie i nieco się wyprostowali. Wciąż jednak trzymali tarcze przed sobą. Cofali się, ale jakby nieco szybciej.

– Walt, Gilbert, zbierajcie się – polecił Gilan. – Trzymajcie się nisko i starajcie się nie wychodzić zza krzaków. Kiedy dotrzecie do koni, przez pierwszych dwadzieścia metrów prowadźcie je. Nie galopujcie, bo mogliby was usłyszeć.

Dwóch łuczników pomrukami potwierdziło rozkaz. W kucki, kołysząc się niczym kaczki, opuścili kryjówkę. Nie podnieśli się, dopóki nie dotarli do drzew. Kiedy Gilan upewnił się, że odjechali, ponownie spojrzał na przeciwległy brzeg.

Wrogowie kręcili się wokół rannych pływaków, których doprowadzili już do linii drzew. Trafiony przez niego mężczyzna był widać w gorszym stanie, bo położyli go na ziemi, a kilku sanitariuszy zbierało dla niego ściółkę. Tak jak poprzednio, ich dowódca wściekał się, ale kiedy po paru minutach wyczuł milczącą wrogość swoich ludzi, nieco się pohamował i zaczął zachowywać się bardziej pojednawczo.

Nestor, starszy łucznik, stanął obok Gilana. Zaśmiał się cicho.

– Sądzisz, że znów spróbują, zwiadowco? – zapytał.

Gilan wzruszył ramionami.

– Nie wiem tylko, w jaki sposób. Jeśli wodą, to wystrzelamy ich jak kaczki, ale oni o tym wiedzą. Niełatwo mu będzie przekonać ludzi do podjęcia kolejnej próby. Jedyne, co przychodzi mi do głowy, to przeprawa przez rzekę w zbroi.

– Potopią się, jeśli spróbują – odpowiedział Nestor.

Gilan znów wzruszył ramionami.

– Ale ciężki napierśnik i hełm pomogłyby im się utrzymać na nogach – odparł. – Gdyby nie zostali zniesieni przez nurt, mieliby szansę…

Nestor poklepał się po kołczanie. Zwieńczone piórami lotki jego strzał zaszeleściły, kiedy ich dotknął. Wyciągnął jedną, zakończoną przetopionym i utwardzonym, przypominającym szpilkę grotem.

– Przynajmniej do czasu, kiedy podziurawimy ich napierśniki tymi ślicznotkami – rzekł. Groty typu bodkin zaprojektowano właśnie po to, by

przebijały pancerze. Łucznicy nosili w swoich kołczanach zarówno takie strzały, jak i zakończone piłkowanymi grotami przypominającymi liście.

– Racja – zgodził się Gilan. – Mogą nie wiedzieć, że mamy strzały penetrujące. Dotąd jeszcze ich nie użyliśmy.

– Przeżyją kolejny paskudny szok, prawda? – dodał Nestor. Pomysł ponownego zaskoczenia wroga bardzo go ucieszył.

Gilan nadal obserwował przeciwników. Rozgardiasz wynikający z ratowania rannych pływaków należał już do przeszłości, teraz toczyła się tam jakaś ożywiona dyskusja. Zwiadowca słyszał niewyraźne komentarze i podniesione, pełne wściekłości głosy, choć nie potrafił rozróżnić słów. O czymkolwiek dyskutowano, zorganizowanie kolejnej przeprawy przez bród musiało potrwać.

– Nestorze – odezwał się. – Ty i Clete też możecie już ruszać. Pamiętajcie, nie pokazujcie się, dopóki nie dotrzecie do drzew. Kiedy wskoczycie na konie, nie spieszcie się.

Jego towarzysz pociągnął nosem.

– Jeśli można, wolałbym zostać z tobą, zwiadowco.

Gilan uśmiechnął się, widać było, że starszy żołnierz dobrze się tu bawił. Mimo to postanowił go odprawić.

– Doceniam twoją propozycję, ale lepiej będzie, jeśli i ty ruszysz w dalszą drogę. Jeszcze przez jakiś czas utrzymam ten fort.

– Nie wątpię – przyznał Nestor. Znał umiejętności Gilana. Wiedział, że zwiadowca był lepszym – i to znacznie – strzelcem od niego czy któregokolwiek z jego ludzi. Do tego był szybki. Potrafił celnie posłać deszcz strzał we wroga tak, by ten myślał, iż ma do czynienia z trzema czy czterema łucznikami.

– W porządku, Clete – odparł, odwracając się do ostatniego ze swoich ludzi. – Zbierajmy się stąd. Tylko ostrożnie.

Również oni wyszli z krzaków zgięci wpół, by nikt ich nie wypatrzył. Gilan śledził ich wzrokiem, po czym wrócił do obserwowania Lisów. Wciąż rozmawiali. Poruszali się niepewnie. Pomyślał, że przez jakiś czas nie będą stanowić zagrożenia, więc spokojnie usiadł. Zastanawiał się, co zrobią dalej.

Kiedy wreszcie zabrali się do działania, jego wcześniejsze wypowiedziane żartem podejrzenia potwierdziły się. Pięciu mężczyzn ukrytych za pośpiesznie skonstruowanymi drewnianymi zaporami

wysokości dorosłego człowieka ruszyło w stronę brzegu rzeki. Wśród nich był człowiek w hełmie i metalowym napierśniku, niosący mniejszą, okrągłą tarczę. Był krępy i przysadzisty, a pancerz dodatkowo go poszerzał. Gilan podejrzewał, że pod spodem ma jeszcze kolczugę. Wyciągnął bodkina z kołczanu i zaczekał.

Grupka zatrzymała się kilka metrów od brzegu rzeki. Jeden z mężczyzn pospiesznie obwiązał opancerzonego w pasie i wrócił za prowizoryczną drewnianą zaporę, a kolejny z Lisów przez cały czas trzymał się blisko niego, osłaniając go długą tarczą.

Potem tarczownik podprowadził mężczyznę w pancerzu aż do wody, z niepokojem jednak obserwując odległy brzeg. Starał się wypatrzeć jakikolwiek ruch, wskazówkę, że za chwilę zaczną do nich strzelać. Potem, kiedy człowiek w zbroi zanurzył się i zaczął przeć przed siebie, tarczownik wycofał się we względnie bezpieczne miejsce, czyli za drewnianą zaporę.

Opancerzony pływak uniósł swą niewielką tarczę, zasłaniając nią głowę i górną część ciała. Nagle znieruchomiał, sprawdzając chyba siłę spychającego go nurtu, a potem niepewnie przesunął się kilka kroków do przodu.

Podejrzenia Gilana okazały się prawidłowe. Ciężar zbroi oraz hełmu pomogły mężczyźnie oprzeć się wartkiej rzece, ale przewagę tę częściowo niwelowało nierówne dno. Co najmniej trzy razy na odcinku pierwszych dziesięciu metrów mężczyzna musiał zatrzymać się, by odzyskać równowagę. Choć wartki prąd starał się go przewrócić, za każdym razem ruszał jednak dalej, powoli, ostrożnie stawiając każdy krok.

– Uważaj, jak idziesz – szepnął Gilan. – Jeśli się przewrócisz, będą musieli cię szybko wyciągnąć.

Trzy kolejne kroki. Mężczyzna zakołysał się, ale utrzymał się na nogach. Posuwał się dalej. Był już w jednej trzeciej rzeki, wciąż zasłaniając tarczą twarz i górną część ciała. Gilan pokiwał z podziwem głową. Pomyślał, że to odważny człowiek, a do tego całkiem inteligentny. W odróżnieniu od swoich poprzedników nie stał się zbyt pewny siebie, widząc brak reakcji przeciwnika. Poruszał się z rozwagą, w każdej chwili spodziewając się gradu strzał.

Był już w połowie drogi.

Co jakiś czas stawiał jednak źle nogę i opuszczał wtedy na moment tarczę, próbując odzyskać równowagę. Gilan nie potrafił jednak

przewidzieć, kiedy to się wydarzy, nigdy też nie miał dostatecznie dużo czasu, by zdążyć wypuścić strzałę. Mężczyzna zbyt szybko ponownie się zasłaniał.

Był już w trzech czwartych rzeki.

W tym miejscu rzeka była płytsza, więc przykucnął, by woda nadal sięgała mu szyi. Okrągłą tarczą ciągle zasłaniał twarz i barki.

Jego kompani po przeciwnej stronie rzeki zauważyli, że zbliża się do brzegu, nie napotykając na jakikolwiek opór, i zaczęli pokrzykiwać zachęcająco. Reszta ukrytych wśród drzew Lisów dołączyła do tego chóru, wiwatując i głośno gwiżdżąc.

Mężczyzna był już na płyciźnie, wciąż kryjąc się za tarczą i idąc w kucki. Gilan sięgnął po drugą strzałę. Trzymał ją luźno pomiędzy palcami dłoni, w której miał łuk. Potem uniósł się z ziemi, wycelował i strzelił.

Mężczyzna wchodził już na brzeg. Woda lała się z niego, wyciekając spod metalowego napierśnika. Pochylił się nisko, a tarczę niósł przed sobą.

Pierwsza strzała Gilana trafiła w nią i odepchnęła na bok.

Druga leciała już, kiedy pierwsza uderzyła w cel. Mężczyzna próbował jeszcze się zasłonić, przyciągając tarczę do siebie, strzała jednak okazała się szybsza. Uderzyła w nieosłonięty napierśnik z tak wielkim impetem, na jaki tylko pozwalał łuk. Pancerz nie zdołał oprzeć się utwardzonemu stalowemu szpikulcowi posłanemu z niewielkiej odległości. Przepuścił go, pozwalając rozorać ciało.

Mężczyzna zatoczył się w stronę rzeki. Kiedy woda sięgnęła jego łydek, potknął się i runął na płyciznę. Okrzyki radości nagle urwały się. Lisy obserwowały, jak ich towarzysz nieruchomieje tuż przy brzegu rzeki.

Również Gilan nie spuszczał z niego wzroku. Do dna przygniatały tamtego pancerz, hełm i tarcza. Prąd nie uniósł go tak jak przednich śmiałków. Istniało więc ryzyko, że dzięki swojemu ciężarowi przytrzyma linę na miejscu i ułatwi kolejnemu pływakowi przekroczenie rzeki.

Gilan wiedział, co musi w tej sytuacji zrobić. Posłał sześć strzał w stronę ludzi stojących na przeciwnym brzegu. Spadły na nich po kolei, jedna po drugiej, uderzając w zbroje i odsłonięte kończyny. To okazało się dla nich zbyt wielką próbą odwagi. Już dwukrotnie zostali zasypani strzałami. Stchórzyli i rzucili się do ucieczki.

Zwiadowca wiedział, że przez chwilę skupią na sobie uwagę towarzyszy kryjących się w lesie, przemknął więc do końca rzędu krzaków i wybiegł na

otwartą przestrzeń, wyciągając po drodze saksę. Pochylił się nad ciałem opancerzonego mężczyzny i przeciął linę przywiązaną do górnej części jego ciała. Jej luźny koniec odpłynął z nurtem. Usatysfakcjonowany, Gilan odwrócił się i zniknął w zaroślach. Zaczekał chwilę, po czym ruszył za Horace’em i resztą drużyny.

Pomyślał, że minie trochę czasu, zanim Lisy podejmą kolejną próbę przekroczenia rzeki.

ROZDZIAŁ 25

Hal Mikkelson nie przypominał członka swojej za łogi, Stiga. Był od niego niższy i drobniejszy, choć niewątpliwie także dobrze umięśniony i silny. Długie, jasnobrązowe włosy miał odgarnięte z twarzy i związane w schludny kucyk. Był też starannie ogolony i, co Maddie zauważyła nie bez zainteresowania, okazał się bardzo przystojny. Jego brązowe oczy patrzyły przyjaźnie, kiedy wyciągnął do niej dłoń.

– Księżniczko Madelyn.

Dostrzegała zaskoczenie jej stanowczym uściskiem.

– Mów mi Maddie – poprosiła.

Kiwnął głową, zadowolony z takiego braku formalności. Skandianie nie przywiązywali wagi do tego typu detali. Usłyszała chrząknięcie Dimona. Domyśliła się, że kapitanowi nie spodobał się swobodny sposób bycia Hala. Skirl z szerokim uśmiechem na twarzy odwrócił się w stronę Cassandry. Wypuścił dłoń Maddie i ruszył, by uściskać jej matkę. Dimon znowu poruszył się niespokojnie.

– Cassandro – powiedział Hal. – Miło cię widzieć.

– Ciebie też, Halu. Zbyt wiele czasu minęło – odpowiedziała. Kiedy uwolniła się z jego uścisku, delikatnie dotknęła ramienia Maddie i wskazała trzeciego ze Skandian.

– To jest Thorn – przedstawiła go i na chwilę zamilkła. – Nie jestem pewna, czy kiedykolwiek poznałam twoje nazwisko, Thornie.

Mężczyzna nie przypominał nikogo, kogo Maddie znała. Był starszy od dwóch poprzednich, wysoki i potężnie zbudowany – uznała, że jest podobny do niedźwiedzia – choć składał się głównie z mięśni, a nie tłuszczu. Szpakowate włosy, czy też raczej szalone kołtuny, splótł w dwa luźne warkocze. Brody i wąsów też chyba dawno nie czesał. Zresztą wąsy były nierówne, po jednej stronie dłuższe o dobrych kilka centymetrów niż po drugiej; kilka dni wcześniej, smołując spoinę na pokładzie, niechcący

zabrudził sobie ich prawą stronę, a ponieważ nie mógł ich później wyczyścić, wyciągnął saksę i po prostu je przyciął.

Ubrany był w wąskie spodnie oraz buty z foczej skóry, które skandiańscy żeglarze bardzo sobie cenili. Górną część ciała zasłaniała mu kamizelka z owczej skóry. A przynajmniej Maddie wydawało się, że była to skóra. Kiedyś. Teraz pokrywały ją różnokolorowe łaty przyszyte bez ładu i składu w miejscach, w których akurat były potrzebne. Przyglądając się kamizelce, dziewczyna doszła do wniosku, że więcej jest na niej łat niż oryginalnego materiału.

Mężczyzna miał niebieskie oczy o odległym spojrzeniu. Wyglądał, jakby patrzył na świat z ciągłym rozbawieniem. Maddie od razu go polubiła.

Najbardziej charakterystyczną jego cechą była jednak prawa dłoń, a ściślej mówiąc, jej brak. Ręka kończyła się na wysokości przedramienia, dalej została zastąpiona przez drewnianą protezę zakończoną metalowym hakiem. Wymachiwał nią właśnie, odpowiadając na niezadane pytanie Cassandry.

– Nazywam się Thorn Hakoręki, Wasza Książęca Mość – wyjaśnił z szerokim uśmiechem. Jego lekceważący stosunek do protokołu oraz tytułów królewskich był nawet silniejszy niż u pozostałych Skandian.

– Właściwie to częściej nazywamy go Młotorękim – dodał Stig.

Maddie zmarszczyła brwi. Hak był potężny, ale nie przypominał młota.

– Młotorękim? – zapytała.

– Kiedy idziemy w bój, zamienia hak na potężną maczugę, którą wystrugał mu Hal – wyjaśnił mężczyzna. – Idealnie pasuje do jego ramienia i pozwala mu rozwalać hełmy, tarcze i zbroje. – Jego uśmiech zrobił się jeszcze szerszy. – Na polu bitwy jest koszmarem przeciwników.

– Jest koszmarem przez cały czas, nie tylko w bitwie – wtrącił Hal. Wszyscy trzej Skandianie, podobnie jak i Cassandra, roześmiali się głośno. Potem Hal wskazał statek zacumowany kilka metrów dalej.

– Chodźcie poznać resztę załogi – powiedział. – Ucieszą się, mogąc cię ponownie zobaczyć, księżniczko – dodał do Cassandry.

Przeszli przez pomost. Hal pomógł księżniczce przeskoczyć przez reling i stanąć na pokładzie. Stig podał dłoń Maddie, ale nawet tego nie zauważyła. Bez większych problemów pokonała przestrzeń dzielącą pomost od relingu i po chwili znalazła się na statku.

Thorn wnikliwie jej się przyjrzał. Pomyślał, że nie jest klasyczną, mizdrzącą się, rozchichotaną księżniczką, jakiej można się było spodziewać. Nic dziwnego, była przecież córką Cassandry. I podobnie jak jej matka była szczupła i wysportowana, co poznał po jej ruchach. Zauważył jednak, że lekko kuleje. Bystrym wzrokiem wypatrzył procę ukrytą za paskiem oraz sakiewkę z ołowianymi pociskami. Dostrzegł też saksę w pochwie – broń niepasującą do młodej damy z dworu.

Innymi słowy, fascynująca postać. A kiedy poznała pozostałych członków załogi i zaczęła z nimi rozmawiać, uwagę Thorna zwróciły jej rezon i pewność siebie. Dziewczyna nie była ani onieśmielona, ani oczarowana grupką twardych, sprawdzonych w bojach mężczyzn. W ich towarzystwie czuła się wręcz jak ryba w wodzie. Załoga „Czapli” też dobrze na nią zareagowała, traktując jak równą sobie, choć jednocześnie czuli, że należy jej się szacunek.

I wtedy Thorn pomyślał, że księżniczka jest ciekawszą osobą, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka.

Cassandra z wyraźnym zaskoczeniem rozejrzała się po statku.

– A gdzie Lydia? Już nie pływa z wami?

Stig uśmiechnął się smutno.

– Wciąż jest Czaplą – odpowiedział. – Ale Agata… Starsza kobieta, która zaopiekowała się nią po jej przyjeździe do Hallasholm, poważnie się rozchorowała. Od początku była dla Lydii jak zastępcza matka. Uzdrowiciele nie dają staruszce zbyt wiele czasu, dlatego Lydia postanowiła zostać przy niej i zrezygnowała z tej wyprawy.

– Wielka szkoda – powiedział potężny mężczyzna z dziwnymi łatkami z żółwich skorup na oczach. Przedstawili go jako Ingvara. – Wszyscy za nią tęsknimy.

Cassandra spojrzała na córkę, wyraźnie zawiedziona.

– To przykre. Naprawdę chciałam, byś ją poznała. To niesamowita kobieta, równie wojownicza co reszta tej zbieraniny.

Wykonała szeroki gest, wskazując całą załogę. Uśmiechem złagodziła swoje słowa, a kilku mężczyzn mruknęło potwierdzająco.

Thorn zmarszczył czoło. Dlaczego Cassandrze zależało, by jej córka poznała taką wojowniczkę jak Lydia? Znów przyjrzał się podopiecznej Ingvara. Właśnie pokazywał jej, jak działa Zadymiarz, potężna balista

znajdująca się na pokładzie „Czapli”. Maddie podziwiała broń w sposób, jaki określiłby zawodowym zainteresowaniem.

Po raz kolejny powtórzył sobie, że dziewczyna jest zdecydowanie kimś ciekawszym, niż się to wydaje na pierwszy rzut oka.

Cassandra wróciła na pomost, więc Stig, Hal i Thorn wyszli za nią na brzeg. Maddie uśmiechnęła się do Ingvara na pożegnanie. Ciemne żółwie skorupy na jego oczach początkowo ją dekoncentrowały, przyzwyczaiła się jednak do nich i teraz mężczyzna wydawał jej się niezwykle sympatyczny.

– Przygotowałyśmy ucztę w parku przed zamkiem – powiedziała Cassandra, prowadząc mężczyzn w stronę koni. Odwróciła się, by raz jeszcze spojrzeć na statek. – Oczywiście cała załoga może do nas dołączyć.

Hal pokręcił głową.

– To miło z twojej strony, ale chłopaki muszą zostać na pokładzie. Po drodze natknęliśmy się na burzę i statek potrzebuje paru niezbędnych napraw, przeplecenia lin i wymiany takielunku.

– W takim razie przyślę im jedzenie tutaj – zadecydowała Cassandra.

– Byle dużo! – zawołał Ingvar i wszyscy zaczęli się śmiać.

Potem dosiedli koni. Hal i Stig czuli się na nich swobodnie, ale Thorn wydawał się lekko niepewny. Ściskał w lewej ręce wodze i nieufnie spoglądał na ospałego konika, którego mu zaproponowano.

– Nie lubisz jeździć konno? – zapytała z uśmiechem Maddie.

– Nie ufam niczemu, co nie ma steru i rumpla – odpowiedział kudłaty wilk morski. – Poza tym nigdy nie potrafię znaleźć kotwicy, kiedy chcę się zatrzymać.

– Trudniej będzie ci ruszyć, niż jechać – stwierdziła, bowiem Skandianin dostał konia, który wyglądał, jakby miał zasnąć w połowie drogi.

– Mnie to odpowiada – przyznał Thorn przez zaciśnięte zęby.

Zazwyczaj Araluеńczycy cwałowali na wzgórze, na którym stał zamek, teraz jednak z szacunku dla gości utrzymali spacerowe tempo.

– „Czapla” wydaje się w dobrym stanie – powiedziała Cassandra do Hala.

Uśmiechnął się smutno.

– Tak, ale teraz wymaga to naprawdę dużo pracy. Obawiam się, że odczuwa już swoje lata. Wkrótce będę musiał wybudować nowy statek, ale na razie nie mogę znieść myśli o rozstaniu z nią. Kto wie, może to jej ostatnia podróż…

– A skoro o tym mowa, co sprowadza cię tym razem? Z wiadomości, którą otrzymałam, zrozumiałam jedynie, że chodzi o łuczników, których wam wysłaliśmy.

W traktacie zaaranżowanym przez Willa wiele lat temu Araluеńczycy zobowiązali się wysyłać co roku do Skandii stu łuczników, którzy chronili miejscowych przed Temudżeinami. W zamian za to Erak gwarantował królowi wilczy okręt, służący do przewożenia wiadomości oraz ułatwiający pacyfikowanie przemytników i piratów, grasujących wzdłuż wybrzeża. Częścią traktatu była też obietnica: oberjarl zobowiązał się oszczędzać ich wyspę podczas swoich najazdów.

– Erak zastanawia się, czy w tym roku moglibyście zwiększyć liczbę łuczników – powiedział Hal. – Przydałoby nam się kolejnych dwudziestu ludzi.

Cassandra uniosła brwi.

– Pewnie da się to zrobić – stwierdziła. – Spodziewacie się kłopotów?

Wierzchowiec Hala potknął się o wystający korzeń. Mężczyzna natychmiast puścił wodze i obiema rękami złapał się łęku siodła. Cassandra uśmiechnęła się i dała mu chwilę na uspokojenie się.

– Koń ma cztery nogi. Czemu nie potrafi iść prosto? – zapytał.

– Wy, Skandianie, fascynujecie mnie. Bez większych problemów potraficie spacerować po statku kołyszącym się na czterometrowych falach, wystarczy jednak, że koń kichnie, a już obawiacie się upadku.

– Statkowi można zaufać – odpowiedział. – A kobyły bywają paskudne. I do tego gryzą – dodał mrocznym tonem.

Przysłuchująca mu się Maddie zastanawiała się, jaka historia kryje się za tym stwierdzeniem.

– Odpowiadając na twoje pytanie – kontynuował Hal. – Jesteśmy trochę zaniepokojeni działaniami Temudżeinów. Od kilku miesięcy węszą w pobliżu granicy. Erak uważa, że mogą coś planować. Ich chan wciąż nie wybaczył nam, że uwięziliśmy go wiele lat temu.

Cassandra spojrzała wyraźnie zaciekawiona.

– Nie wiedziałam o tym.

Uśmiechnął się.

– To niezła historia – powiedział. – W każdym razie przez jakiś czas siedzieli cicho, a teraz znów zaczęli nas niepokoić i Erakowi przydaliby się

dodatkowi łucznicy. W zamian oferuje dostawę drewna oraz skór. Mam prawo negocjować dokładne ilości.

– Jestem przekonana, że dogadamy szczegóły – odparła Cassandra. – Ale będziemy musieli zaczekać, aż Horace wróci ze swoimi ludźmi.

Tym razem to Hal wyglądał na zawiedzionego.

– To jego tu nie ma?

Pokręciła głową.

– Wyruszył na północ, ścigając uciążliwą bandę zwaną Klanem Czerwonego Lisa – odpowiedziała. – Powinien wrócić za jakieś dziesięć dni.

– Szkoda – rzekł Hal. – Do tego czasu pewnie nas już tu nie będzie. A właśnie – dodał. – Kiedy kilka tygodni temu mijaliśmy Przylądek Schronienia, widzieliśmy sonderlanadzki statek wypełniony po brzegi żołnierzami. Płynęli na południe. Tobie się nie naprzykrzają, prawda?

– Nic o tym nie wiem. – Cassandra pokręciła głową.

Jadący tuż obok nich Dimon pospieszył z odpowiedzią.

– Prawdopodobnie płynęli do Iberii – wyjaśnił. – Jedliśmy w tym tygodniu obiad z ich ambasadorem. Wspominał, że wezwali sonderlandzkich najemników, by stłumić bunt w jednej z prowincji.

Hal pokiwał głową.

– Nie macie więc się czym martwić – uspokoił ich. – W każdym razie, kiedy dogadamy się co do zmian w traktacie i zaopatrzymy statek, wyruszymy w drogę powrotną.

– A skoro o zaopatrzeniu mowa – przypomniała sobie Cassandra. – Jutro chcieliśmy wyruszyć na polowanie. W lasach roi się od jeleni, nie brakuje też dzików. Nad jeziorem są zaś kaczki i gęsi.

– Edvin się ucieszy. Zawsze nie posiada się z radości, kiedy może wypełnić spiżarnię świeżym mięsem.

– Ingvar też się ucieszy – wtrącił Stig. – Uwielbia jeść.

ROZDZIAŁ 26

Kiedy Gilan oddalił się od brzegu rzeki, zmusił Blaze do równego galopu. Resztę swojej drużyny dogonił, gdy znajdowali się już kilkaset metrów od starego fortu na wzgórzu.

– Coś wydarzyło się przy brodzie? – zapytał Horace, kiedy Gilan podjechał do niego i ściągnął wodze.

– Nic nieoczekiwanego. Trzy Lisy próbowały przekroczyć rzekę, ale ich powystrzelaliśmy. Zrozumieli, jak bardzo są bezbronni podczas przeprawy. W końcu wysłali samotnego śmiałka w zbroi. Próbował przeciągnąć linę i nawet dotarł do brzegu, ale nie dalej.

– Zabiłeś go?

Gilan obdarzył go spokojnym spojrzeniem.

– Wolałbyś, żebym wręczył mu bukiet żonkili?

– Jak sądzisz, co teraz zrobią?

Zwiadowca umilkł. Sam zastanawiał się nad tym, kiedy gonił połączone siły konnicy i łuczników.

– Sądzę, że poczekają, aż zapadnie zmrok – odpowiedział. – Po ciemku wybicie ich nie będzie takie łatwe.

Horace spojrzał na zachodzące słońce.

– To daje nam przynajmniej kolejną godzinę przewagi – powiedział. – O której wschodzi księżyc?

– Myślę, że pomiędzy szóstą a siódmą. To też ich opóźni. Księżyc daje dostatecznie dużo światła strzelającemu.

– O ile byłoby komu do nich strzelać – dodał Horace.

Gilan pokiwał głową.

– No tak, o ile byłoby komu do nich strzelać – zgodził się, po czym wskazał starą budowlę wznoszącą się na wzgórzu przed nimi. – Przyjrzyjmy się temu fortowi.

Budowla wzniesiona została w tym akurat miejscu z uwagi na korzystne ukształtowanie terenu. Fort stał na niskim wzgórzu o stromych zboczach,

po których wiła się spiralna ścieżka prowadząca aż na szczyt, gdzie stał drewniany mur obronny – rodzaj palisady złożonej z wysokich na dwa metry bali. Wewnątrz musiało znajdować się podwyższenie dla obrońców.

Zbocza wzgórza porastała wysoka trawa, z pewnością utrudniająca wspinanie się, zwłaszcza żołnierzom pod bronią i w zbrojach. Gilan wyobraził sobie ludzi ześlizgujących się i staczających podczas próby wdrapania się na szczyt, a przy tym wystawionych na strzały, włócznie, kamienie i inne pociski miotane z fortyfikacji.

Horace kazał konnym i łucznikom zostać na dole. Zamierzał wspiąć się z Gilanem na górę i rozejrzeć się po fortyfikacjach. Wysłał też dwóch żołnierzy na drogę prowadzącą od rzeki, by w porę uprzedzili go o ewentualnym zbliżającym się pościgu Klanu Czerwonego Lisa. Potem ruszył konno w górę wąską, wijącą się ścieżką.

Nawet ta droga była stroma i trudna. Miała trzy metry szerokości, była z ubitej ziemi, a biegła spiralnie dookoła wzgórza. W nieregularnych odstępach ustawiono na niej zapory z drewna i kamieni, mające dodatkowo opóźnić atakujących. Ci prędzej czy później ominęliby je, ale zmarnowaliby trochę czasu.

Przy pierwszej takiej przeszkodzie Gilan i Horace zeskoczyli z koni i pchnęli ciężki, gnijący panel służący jako brama.

– Może powinniśmy wystawić tu straże? – zapytał Gilan.

Jego towarzysz pokręcił głową.

– Nie mamy dość ludzi. Lepiej zająć miejsce na szczycie i zmusić buntowników do wspinaczki, a potem ich zepchnąć.

Ruszyli dalej, przechodząc na tylną część wzgórza, a potem wracając na przód, wciąż pod górę. Po drodze minęli kolejne dwie barykady. Po raz kolejny zatoczyli koło i dotarli do końca szlaku. Sam szczyt został wyrównany, więc stanęli przed wysoką na półtora metra ziemną ścianą, ciągnącą się dookoła wzgórza. Znajdująca się powyżej palisada miała kolejne dwa metry wysokości. Wbudowano w nią ciężką bramę.

Zeskoczyli z koni. Horace przywiązał swojego wierzchowca do pobliskiego krzaka, po czym wraz z Gilanem zaczął wspinać się na wał, przytrzymując się rękami. Podczas pierwszej próby zsunęli się. Potem Gilan wyciągnął saksę i wbił ją w twardą ziemię, tworząc w ten sposób punkt podparcia. Horace poszedł w jego ślady i wreszcie przedostali się

o poziom wyżej, tuż pod palisadę wzniesioną na trawiastej półce szerokiej na dwa metry.

Przyjrzeli się bramie. Drewno było stare i pokrzywione, ale wydawało się solidne. Z pewnością nie zaczynało gnić.

– Dobra jakość – ocenił z uznaniem Horace. – Przetrwa lata. No i zatrzyma Lisy.

– Tak samo jak i nas – dodał Gilan.

Horace rozejrzał się, szukając innego wejścia, choć domyślał się, że żadnego nie znajdzie. Potem podszedł do drewnianej ściany, obrócił się do niej plecami i złożył dłonie na wysokości uda.

– Chodź, podsadzę cię.

Gilan przerzucił łuk na szyję i przesunął na plecy przytwierdzony do paska kołczan, po czym przeszedł kilka kroków i stanął na połączonych dłoniach Horace’a.

Kiedy wyprostował kolano, Horace dźwignął go w górę. Dzięki wspólnemu wysiłkowi zwiadowca wybił się i dosięgnął szczytu ściany. Zdołał wdrapać się na palisadę i zawisł na niej, uważnie studiując biegnący wewnątrz drewniany podest. Ponieważ wyglądał on solidnie, Gilan przetoczył się i wylądował na starych deskach.

– Wszystko w porządku?! – zawołał z dołu Horace.

Gilan podniósł się i wyjrzał zza przeszkody.

– Jasne. – Uśmiechnął się. – Zejdę na dół i usunę belkę.

– Tylko ostrożnie – ostrzegł go Horace. – Drewno w środku może nie być tak mocne jak te ściany.

Zwiadowca machnął dłonią i przeszedł kładką do schodów prowadzących do wnętrza fortu. Zatrzymał się na ich szczycie, by dokładnie się rozejrzeć. Drewniana ściana otaczała okrągły plac o średnicy około czterdziestu metrów. Pomyślał, że nie ma tu zbyt dużo miejsca, ale dzięki temu łatwiej będzie bronić się niewielkimi siłami. Wewnątrz znajdowały się trzy większe chaty oraz jedna mniejsza. Zbudowano je z drewna, ale były w zdecydowanie gorszym stanie niż palisada. Strzechy, którymi je pokryto, dawno już przegniły. Budynki mocno podupadły, nachylały się i zapadały do wewnątrz. Odnosiło się wrażenie, że wystarczy je porządnie pchnąć, by się przewróciły.

Gilan przez chwilę przyglądał się schodom. Sprawdził, czy wytrzymają jego ciężar, po czym zaryzykował i ruszył do przodu. Poruszały się pod

jego stopami, a dwa stopnie zatrzeszczały niebezpiecznie, ale jakoś zdołał dotrzeć na dół.

– Będzie trzeba je naprawić – mruknął. Mimo to ulżyło mu, bo były w niezłym stanie. Najwyraźniej najważniejsze części fortu, te służące bezpośrednio do obrony, wykonano z solidniejszego drewna. Co innego służące do spania chaty.

Podszedł do bramy. Ciężka drewniana belka tkwiła w dwóch potężnych żelaznych klamrach. Uniósł ją i odciągnął na bok. Położył dłoń na uchwycie drzwi i szarpnął. Drgnęły z chrzęstem, potem jednak stare zawiasy zaskrzypiały z protestem i znieruchomiały.

– Pchnij je! – zawołał do Horace’a. Poczuł, jak potężny wojownik napiera całym ciężarem ciała, i sam podwoił wysiłki. Zawiasy niechętnie poddały się i drzwi otworzyły się do połowy. Potem jednak zatrzymały się.

– Trzeba je naoliwić – powiedział Gilan.

Horace wszedł do środka i rozejrzał się uważnie po całym forcie.

– Chaty wyglądają kiepsko – stwierdził, a Gilan kiwnął głową.

– Tak, są do niczego. Za to ściany i podest sprawiają wrażenie solidnych. Schody wymagają wzmocnienia, ale wydają się w porządku. Moim zdaniem fort przyda się do naszych celów.

Horacy oparł się ramieniem o drzwi i po raz kolejny mocno je pchnął. Przesunęły się jeszcze o metr i znów znieruchomiały.

– Tak jak mówiłeś, potrzebują oliwy.

Gilan wzruszył ramionami.

– A musimy je szerzej otwierać?

Horace znów pchnął drzwi. Tym razem ustąpiły zaledwie kilka centymetrów.

– Trzeba przecież wprowadzić konie do środka – przypomniał.

Gilan wydął usta. W ogóle wyleciało mu to z głowy. Potem naszła go kolejna myśl.

– Ale jak wciągniemy je po tej pionowej ścianie?

– Pchając je, ciągnąc i dźwigając – odpowiedział Horace. – A jeśli to zawiedzie, usypiemy dla nich rampę.

Odsunął kwestię bramy na później i wszedł do wnętrza fortu. Wyciągnął miecz i niedbale nim zakręcił.

Gilan uniósł brwi.

– Chyba nie sądzisz, że ktoś tutaj się kryje?

Horace skinął głową.

– Nie zaszkodzi sprawdzić – powiedział i zatrzymał się przy mniejszej z chat. Jej ściany zapadły się, a deski pokrywające dach w większości pospadały. Drzwi, wygięte i pełne dziur, wisiały niebezpiecznie na jednym zawiasie. Oparł o nie stopę i mocno popchnął. Rozległo się skrzypienie starego drewna i jęk puszczających kołków. Po chwili cała przednia ściana zawaliła się w chmurze drzazg i pyłu.

– To była kwatera dowódcy – zażartował Gilan.

Horace pociągnął z pogardą nosem.

– Mnie wystarczy namiot – powiedział. – Zresztą wszystkim nam będzie musiał wystarczyć.

Kolejnych dziesięć minut poświęcili na zbadanie wnętrza fortu – choć niewiele było w nim do zobaczenia. W rogu, nieopodal bramy znaleźli studnię otoczoną niewysoką kamienną cembrowiną i przykrytą okrągłą drewnianą klapą. Gilan odsunął pokrywę na bok i wrzucił do środka kamień. Po chwili dał się słyszeć plusk. Horace nachylił się nad ciemną otchłanią i pociągnął nosem. Nie wyczuł zapachu zgnilizny. Zauważył za to stary drewniany kubeł wiszący na postrzępionym sznurze. Ostrożnie spuścił go na dół, ponieważ wiedział, że sznur w każdej chwili może się zerwać. W końcu poczuł, że kubeł dotyka wody, i delikatnie poruszył nim, by go napełnić. Potem wyciągnął na górę, powąchał, wreszcie spróbował wypełniającej go do połowy cieczy.

– Woda jest czysta – stwierdził.

– To dobrze – odpowiedział Gilan. Zajrzał do wnętrza studni i przez chwilę wydawało mu się, że widzi niewielki krąg światła odbijający się od czarnej tafli wody. Cofnął się. W pobliżu dostrzegł cztery duże beczki. Zajrzał do nich, lecz okazały się puste.

– Do czego mogły służyć?

Horace wzruszył ramionami.

– Może do gromadzenia zapasów wody w różnych punktach wokół ścian – zasugerował, po czym odstawił kubeł i ponownie rozejrzał się dookoła, usatysfakcjonowany tym, co znalazł w forcie.

– Rozbijemy tu namioty – zadecydował. – Najpierw jednak sprowadźmy pozostałych.

Gilan uśmiechnął się.

– Nie krępuj się – zachęcił go. – Zostanę tu i popilnuję.

– Innymi słowy, nie masz ochoty schodzić stromą ścieżką, a potem ponownie wspinać się pod górę.

Gilan zatarł ręce.

– Ty jesteś dowódcą. Do ciebie należy dowodzenie oddziałami – odpowiedział.

Horace wywrócił oczyma.

– Jak zauważyłeś, jestem dowódcą. Mógłbym rozkazać ci zejść po nich, a sam odpocząć.

– Znasz nas, zwiadowców – stwierdził Gilan. – Jesteśmy koszmarni, jeśli chodzi o wykonywanie rozkazów.

Ale Horace już zmierzał w stronę bramy.

ROZDZIAŁ 27

Następnego poranka, kiedy tylko słońce pojawiło się nad szczytami drzew rosnących pod wzgórzem, myśliwi stawili się na dziedzińcu Zamku Araluen. Trzej Skandianie czekali już, gdy Maddie i Cassandra wyłoniły się z donżonu.

Towarzyszył im Dimon. Zabrał ze sobą łuk myśliwski – porządną broń, ale nie tak potężną i nośną jak te używane przez łuczników stacjonujących na zamku czy też zwiadowców. Księżniczki zdecydowały się na proce, a każda z nich miała przy pasku sakiewkę wypełnioną ołowianymi pociskami. Maddie na wszelki wypadek przerzuciła sobie przez ramię łuk o sile naciągu dwudziestu kilogramów, a więc znacznie mniejszej niż broń refleksyjna, której używała u zwiadowców. Nie miał takiego zasięgu czy siły uderzenia, powinien jednak sprawdzić się na polowaniu. Dziewczyna wiedziała, że proca z niektórymi zwierzętami sobie nie poradzi.

Dimon uśmiechnął się, kiedy ją zobaczył.

– Co zamierzasz z tego ustrzelić? – zapytał. Znał przecież umiejętności Maddie, a przynajmniej wydawało mu się, że je zna.

Dziewczyna w odpowiedzi wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie wiadomo. Może mi się poszczęści.

Dimon pokręcił głową.

– Nie sądzę, by tyle szczęścia w ogóle istniało na świecie.

Stig i Thorn mieli ze sobą potężne włócznie, a Hal zarzucił na plecy kuszę. Cassandra zadbała, by ze statku przynieśli mu ją służący, którzy dostarczyli też posiłek załodze „Czapli”.

– Dzień dobry, panowie – odezwała się pogodnym tonem, więc odpowiedzieli jej chórem. – Mam nadzieję, że dobrze wam się spało?

Stig skrzywił się z uśmiechem.

– Kiedy po długiej podróży schodzę na ląd, nie jest mi łatwo przyzwyczaić się do łóżek, które się nie kołyszą.

Hal przytaknął.

– Tak samo jest z utrzymywaniem równowagi na lądzie. Bo kiedy jesteśmy na wodzie, mamy wrażenie, że pokład w ogóle się nie kołysze – dodał. – Tak więc będziemy się zataczać jak pijani jeszcze przynajmniej przez dzień lub dwa.

– Czemu tak się dzieje? – zdziwiła się Maddie. Nie miała żadnego doświadczenia w żeglowaniu i uznała ich uwagi za interesujące.

Mężczyźni wzruszyli ramionami.

– Tego nie wie nikt – stwierdził Stig. – Po prostu tak jest. Podejrzewam, że przyzwyczailiśmy się do kołysania i kiedy ustaje, wydaje nam się, że nadal trwa.

Siódmym uczestnikiem wyprawy miał być Ulwyn, posiwiały stary leśniczy, który od ponad trzydziestu lat polował w lasach otaczających zamek. Tym razem miał pełnić rolę przewodnika, wyszukiwać i podążać po śladach pozostawionych przez zwierzynę – jelenie, króliki i zające, wreszcie ptactwo łowne. Wziął łuk, a za pas wsunął pochwę z nożem myśliwskim o długim ostrzu. Towarzyszył mu jego pies, Dougal, dość zaniedbana bestia o nieustalonym rodowodzie, która na widok przybyłych radośnie wywiesiła język. Dougal również się starzał i tylna łapa mu sztywniała, ale zachował entuzjazm do zabawy w tropienie, wystawianie i przynoszenie zwierzyny. Ulwyn znał Cassandrę od dziecka i był jej całkowicie oddany. Kiedy dołączył do grupy, skinął jej głową na powitanie.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość – powiedział.

Cassandra uśmiechnęła się do niego, po czym pochyliła się, by podrapać Dougala za oklapniętym uchem.

– Dzień dobry, Ulwyn. Wierzę, że uda ci się coś dla nas wypatrzyć.

Leśniczy skłonił się.

– Tak właśnie będzie, pani. Ruszymy nad jezioro, gdzie na pewno znajdziemy gęsi i kaczki. – Kiwnął głową w stronę procy wetkniętej za jej pasek. – Tą waszą miotawką na pewno upolujecie kilka sztuk. Potem ruszymy w stronę Wzgórza Wartownika. Parę dni temu widziano tam jelenie.

– Kto je widział? – zaciekawiła się Maddie.

Mężczyzna uśmiechnął się znacząco.

– No, ja, młoda damo – odpowiedział.

Dziewczyna pokiwała głową. Spodziewała się, że Ulwyn dzień przed polowaniem wyruszy do lasu, by wyszukać najlepsze miejsca.

Teraz rozejrzał się dookoła, starając upewnić się, czy wszyscy są już gotowi.

– Ruszamy?

Ze względu na Skandian zrezygnowali z koni. Przeszli przez most zwodzony i ruszyli w dół wzgórza. Leśniczy prowadził ich w stronę lasu. Rosa wciąż zdobiła trawę, a kiedy Maddie odwróciła się, zobaczyła ciemne ślady, które zostawiali, strząsając z niej wilgoć. Po chwili minęli kępę drzew, skrywającą wejście do tunelu prowadzącego pod fosą. Maddie ukradkiem przyjrzała się towarzyszom. Była ciekawa, czy dostrzegą tu coś niezwykłego, ale nikt się nie zorientował. Ludzie przez lata mijali ukryte to przejście i nigdy niczego nie zauważyli.

Ulwyn poprowadził ich nieco w prawo, więc się uspokoiła, że nie natkną się na Zderzaka. Wątpiła, by ktokolwiek zauważył jego obecność, choć w przypadku Ulwyna pewności mieć nie mogła. Podobnie jak i Dougala.

Drgnęła, kiedy nagle usłyszała terkot procy Cassandry i świst wyrzuconego z niej kamienia. Dobrych dziesięć metrów przed nią zza kępki trawy poderwał się szarak. Nie zdążył jeszcze nabrać prędkości, kiedy ołowiany pocisk uderzył go i powalił na ziemię.

– Nie śpij! – skarciła ją matka.

Maddie ułożyła dłonie w geście uznania.

– Dobry rzut – pochwaliła, Skandianie zaś przytaknęli jej chórem.

Zadowolona Cassandra uśmiechnęła się.

– Nawet przy mojej technice? – zapytała.

Dziewczyna pokręciła głową i posłała jej zmęczony uśmiech. Stosowały zupełnie inne metody rzucania pociskami i Maddie zawsze powtarzała, że metoda matki jest mniej efektywna i dużo wolniejsza. Teraz Cassandra była wyraźnie zadowolona, że zdołała zaliczyć trafienie przed córką.

Ulwyn włożył szaraka do swojego wora na upolowaną zwierzynę i wszedł pomiędzy drzewa.

– Co jest nie tak z techniką Cassandry? – zapytał Hal.

Maddie pokręciła nosem.

– Właściwie wszystko. Jej brak nadrabia olbrzymią dozą szczęścia.

– Heh! – prychnęła matka i uśmiechnęła się z wyższością.

Maddie pokazała jej język. Pomyślała, że przekonają się o wszystkim, kiedy dotrą nad jezioro.

Ale ku jej rozczarowaniu, kiedy wystrzeliły w stronę dwóch wzbijających się w niebo kaczek, jej pocisk zaledwie otarł się o ogon jednej z nich, strącając może kilka piór, podczas gdy ptak matki, trafiony w pierś, spadł jak kamień w wody jeziora. Dougal pomimo sztywnej tylnej nogi dał susa w toń i zaczął przebierać łapami, by dotrzeć do strąconej kaczki.

– Heh! – powtórzyła Cassandra, kiedy upuścił ją u jej stóp.

Maddie poczerwieniała, ale nie odezwała się. Ulwyn po raz kolejny wrzucił upolowaną zwierzynę do wora.

Thorn z rozbawieniem obserwował rywalizację kobiet.

– A więc – zwrócił się do dziewczyny – twoja matka, by cisnąć kamień, kręci procą dwa lub trzy razy w poziomie. Ty tak nie robisz. Pozwalasz procy opaść za ramię, po czym dajesz krok do przodu i unosisz ją nad głowę. Dopiero wtedy zwalniasz pocisk – dodał i spojrzał na Hala, który interesował się mechaniką broni. – Czy Lydia w podobny sposób nie używa atlatlu?

Mężczyzna zgodził się.

– Tyle że nim nie kręci – zastrzegł.

Maddie słuchała ich uważnie. Nie wiedziała, czy przypadkiem nie drwią sobie z niej, dlatego ponownie pokraśniała na policzkach.

– Mój sposób jest bardziej wydajny – dodała, próbując zabrzmieć obiektywnie. – Wirowanie to jedynie strata czasu. Poza tym daje zwierzynie okazję do ucieczki. A przeciwnikowi możliwość zaatakowania jako pierwszemu.

– Rozumiem – odpowiedział uroczystym tonem Hal.

– A mimo to ja mam już kaczkę i szaraka w worku – przypomniała Cassandra. – A ty całą tą swoją lepszą metodą upolowałaś dotąd… ile to? Ach, no tak. Nic!

– Dzień jeszcze nie dobiegł końca, matko – odpowiedziała Maddie.

Oddalili się od jeziora – pozostałe kaczki i gęsi poderwały się do lotu i z pewnością trochę by potrwało, zanim znów usiadłyby na wodzie. Podążali w stronę Wzgórza Wartownika i wkrótce Maddie zorientowała się, że jeleń rzeczywiście niedawno tamtędy przechodził. Nie dała po sobie poznać, że zauważyła jego tropy – to nie pasowałoby do księżniczki. Nie miała jednak wątpliwości, że Ulwyn je zauważył i z zadowoleniem pokiwał głową.

Najwyraźniej jednak nie dostrzegł jeszcze czegoś. Pomyślała, że powinien o tym wiedzieć, więc wskazała kilka długich nacięć w korze

drzewa, tuż nad ziemią.

– A to jakie zwierzę zrobiło, Ulwynie? – zapytała niewinnie.

– Och, spostrzegawcza jesteś, moja pani – odpowiedział. Ukląkł na jednym kolanie i dotknął śladów. Nawet z miejsca, w którym stała, Maddie wyraźnie widziała, że soki na uszkodzonym drzewie dawno już wyschły. Ślady musiały powstać przed wieloma godzinami.

Ulwyn spojrzał na nią.

– Widziałem je wczoraj, kiedy się tu rozglądałem – odpowiedział. – To robota dzika, pani.

Otworzyła oczy ze zdumienia.

– Dzikiego dzika? – zapytała jednym tchem.

Stary myśliwy uśmiechnął się ponuro.

– Nie mamy udomowionych, lady Madelyn. Podejrzewam jednak, że dawno już umknął – dodał uspokajająco.

Ale dziewczyna widziała coś, czego mężczyzna najwyraźniej nie dostrzegł. Na sąsiednim drzewie widniało kilka kolejnych nacięć, a z paru soki wciąż jeszcze kapały.

– A te? – zapytała.

Ulwyn spojrzał i zmarszczył czoło.

– Hmmm – powiedział z namysłem. – Te musiały powstać dzisiaj. I to niedawno – dodał, po czym uniósł głos, by wszyscy go słyszeli. – Miejcie oczy szeroko otwarte. Lepiej, żebyśmy zobaczyli go, zanim on zobaczy nas.

Thorn przysłuchiwał się rozmowie młodej księżniczki i myśliwego. Nie dał się zwieść jej udawanej ignorancji. Pomyślał, że doskonale wiedziała, co oznaczają te ślady. I chciała, by mieli baczenie na to zwierzę.

Nagle Maddie odwróciła się. Zauważyła, że Thorn ją obserwuje, więc mężczyzna uśmiechnął się i postukał palcem w bok swojego nosa. Zmarszczyła czoło, podejrzewając, że przejrzał jej grę, po czym pokręciła głową i odwróciła się.

Szli pomiędzy drzewami. Maddie wiedziała, że w każdej chwili mogą napotkać dzika, a w takiej sytuacji proca na niewiele się przyda, więc wsunęła ją sobie za pasek. Zamiast tego nałożyła strzałę na cięciwę i trzymała luźno łuk, by w razie potrzeby wystrzelić. Dimon zauważył to i po raz kolejny uśmiechnął się, kręcąc głową.

Podążali po okręgu, by wrócić nad jezioro, gdy kaczki znowu usiądą na wodzie. W pewnym momencie Hal zauważył jelonka i strzelił do niego

z kuszy. To był dobry strzał. Zwierzę podskoczyło, przebiegło może sześć kroków, po czym padło martwe na ziemię. Ulwyn szybko je wypatroszył, a Thorn i Stig związali racice grubym pędem i postanowili je nieść.

Maddie oceniła, że są w połowie drogi do jeziora, kiedy Dougal nagle zaczął szczekać jak szalony i popędził w stronę gęstych zarośli po przeciwnej stronie polany, którą właśnie przemierzali. Myśliwi zatrzymali się, zaniepokojeni jego gwałtowną reakcją. Nagle usłyszeli, że coś ciężkiego i dużego przedziera się przez krzaki, miażdżąc gałęzie. Chwilę później dobiegł ich rozjuszony, ostrzegawczy kwik.

– To dzik! – zawołał Ulwyn i zaczął wołać pobudzonego niemal do szaleństwa psa. – Dougal! Wracaj tutaj! Do nogi!

Ale Dougal nie zwracał na niego uwagi. Wsunął łeb w gęste krzaki i ujadał bez opamiętania. Dobiegające z chaszczy odgłosy przybrały na sile, po czym nagle Dougal podkulił ogon i rzucił się do ucieczki. Kudłaty ciemny kształt wystrzelił zza krzaka.

Pies spróbował uniku, ale sztywna tylna łapa nie posłuchała się go i runął na ziemię. Odyniec był już przy nim. Trafił łbem w żebra. Pies zapiszczał z przerażenia i bólu. Siła uderzenia odrzuciła go na kilka metrów.

Myśliwi wkroczyli do akcji. Stig i Thorn upuścili tuszę jelenia i z uniesionymi włóczniami ruszyli do przodu. Hal sięgnął po kuszę, Dimon zaś umieścił strzałę na cięciwie. Przerażony Ulwyn lękał się, że coś stało się psu. Na szczęście dzik na razie nie użył kłów.

Odyniec znów ruszył do ataku. Dougal niezdarnie uskoczył na bok, unikając ostrych szabli. Kiedy zwierzęta tańczyły wokół siebie, jedno nacierając i kwicząc, drugie usuwając się mu z drogi, żaden z myśliwych nie miał możliwości oddania czystego strzału.

Oprócz Maddie.

Przez trzy lata uczyła się, jak rozpoznawać i wykorzystywać nagłe okazje. I taka właśnie się nadarzyła. Dougal odskoczył, a dzik zawahał się, cofnął i przysiadł na zadzie, szykując się do ostatecznego ataku. Dziewczyna naciągnęła cięciwę, wycelowała i jednym płynnym ruchem wypuściła strzałę. Ta pomknęła przez polankę i uderzyła w cel. Weszła głęboko w ciało dzika, po lewej stronie, docierając do serca.

Bestia zakwiczała raz, stanęła na tylnych nogach, po czym przewróciła się na trawę. Jej biegi sterczały sztywno nad ziemią.

Maddie wydała przerażony pisk i upuściła łuk na ziemię. Kiedy pozostali uświadomili sobie, skąd nadleciała strzała, natychmiast obrócili się w jej stronę. Stała przed nimi, cała drżąc. Rękami zasłaniała oczy.

– Co się stało? Co się stało? Trafiłam go? – powtarzała oszołomiona.

Jej towarzysze odetchnęli z ulgą. Spojrzeli na martwego dzika i napięcie zaczęło z nich schodzić.

– Trafiłaś, jak trzeba, pani – odpowiedział Ulwyn.

– Zabiłaś go! – Stig i Hal powtórzyli jego słowa uznania. Dimon wciąż nie mógł w to uwierzyć.

Maddie opuściła ręce, odsłaniając szeroko otwarte oczy. Spojrzała zaskoczona na myśliwego.

– Naprawdę? – powiedziała tonem sugerującym zaskoczenie. – Ale miałam przecież zamknięte oczy.

– Tak właśnie było – dodał ktoś za nią. – Miała je zamknięte przez cały czas.

To był Thorn. Księżniczka uświadomiła sobie, że stary Skandianin przez cały czas stał tuż za nią i najprawdopodobniej dobrze widział, co się wydarzyło. Musiał zauważyć, z jakim spokojem sięgnęła po łuk, oraz udawane przerażenie, kiedy upuściła broń na ziemię. Ich spojrzenia spotkały się. Dimon klęknął obok odyńca i pokręcił głową.

– Jeśli o mnie chodzi, to najszczęśliwszy strzał, jaki kiedykolwiek widziałem – stwierdził.

Kiedy Maddie patrzyła na starego wilka morskiego, ten przymknął na chwilę oko, mrugając w znaczący sposób. „Skoro nie chcesz, by wiedzieli, to nic nie powiem” – przekazał

Zatoczyli koło, powracając na brzeg jeziora. Dimon i Hal nieśli dzika, a Stig i Thorn jelenia. Zabranie kolejnych dużych zwierząt przyszłoby im z trudem.

Zresztą Hal z uznaniem patrzył na pokot.

– Edvin będzie zadowolony – powiedział. – Mięsa wystarczy nam na powrót do domu.

Nad jeziorem zawartość myśliwskiego wora powiększyła się. Cassandra upolowała trzy kolejne kaczki, Maddie zaś gęś oraz krzyżówkę. Dougal, nieco utemperowany przez dzika, przyniósł im ptaki do nóg.

– Kolację mamy zapewnioną – stwierdziła Cassandra i uśmiechnęła się z satysfakcją. Tej nocy w refektarzu przylegającym do kuchni zjedli pieczone kaczki i gęś. Zaproszono resztę załogi „Czapli" i przyjęcie nabrało uroczystego, radosnego charakteru, lekko tylko zepsutego przez Dimona, który szybko oddalił się, wymawiając się obowiązkami. Maddie po raz kolejny zauważyła, że w towarzystwie Skandian czuł się niekomfortowo. Zastanawiała się nad tym przez kilka minut, potem jednak o sprawie zapomniała. Hal i jego załoga byli wspaniałymi kompanami – hałaśliwymi i wesołymi, gotowymi dzielić się wieloma ekscytującymi opowieściami. Jeśli Dimon wolał się dąsać w ich towarzystwie… cóż, jego problem.

Rozprawiali się właśnie z budyniem figowym, kiedy pojawił się służący i wyszeptał parę słów do Cassandry. Wysłuchała go, po czym wskazała Hala. Służący ruszył wzdłuż stołu w stronę miejsca, gdzie czekał już na niego skirl.

– Kapitanie Hal, przybył do pana posłaniec. To Skandianin. Mówi, że sprawa pilna.

Mówiąc to, wskazał drzwi prowadzące na klatkę schodową, za którymi stała jakaś ledwie widoczna postać. Hal spojrzał pytająco na Cassandrę, która skinęła głową. Popatrzył na czekającego człowieka.

– Wchodź – polecił. Poznał przybysza, kiedy ten wyłonił się z mroku i stanął w pełnym świetle. – Czy to ty, Stenie Engelsonie?

– Tak, Halu. To ja.

Hal zwrócił się w stronę Cassandry.

– Sten jest pierwszym oficerem na „Wolfbiterze".

– „Wolfbiter"? – zdziwiła się księżniczka. – Czy to nie…

– Dostarczony wam statek, zgadza się – powiedział Hal. – Obowiązki skirla pełni na nim Lodowy Jern. Widzieliśmy się z nim dwa dni temu, kiedy mijaliśmy patrolowane przez niego ujście Semath – dodał, po czym znów zwrócił się do Stena: – Coś się stało? – Nagle uświadomił sobie, że mężczyzny by tu nie było, gdyby coś się nie wydarzyło.

– Statek jest uszkodzony, Halu – usłyszał w odpowiedzi. – Wpadł na skały na południe od rzeki. Uniosła go potężna fala i rzuciła z ogromną siłą. Jern zdołał doprowadzić go na plażę, ale prawdopodobnie ma zmiażdżony

kil. Chce, żebyś go obejrzał, zanim podejmie decyzję o porzuceniu jednostki.

Stig nachylił się w stronę Maddie.

– Hal jest nie tylko skirlem, lecz także znakomitym szkutnikiem. Najlepiej oceni, czy statek da się jeszcze naprawić – szepnął.

Hal potarł brodę.

– Najlepiej będzie, jeśli rzeczywiście mu się przyjrzę – powiedział, po czym spojrzał na Cassandrę. – Chcielibyśmy wyruszyć od razu, moja pani. Dzięki temu uda nam się wykorzystać odpływ. Nie chciałbym, by ta jednostka pozostawała niesprawna dłużej, niż to konieczne.

Księżniczka kiwnęła głową.

– Ani ja, zwłaszcza pamiętając o Klanie Czerwonego Lisa – powiedziała. – Kiedy wrócisz?

Hal zawahał się i uniósł wzrok, jakby analizował sytuację.

– Za tydzień, może dziesięć dni. Jeśli trzeba będzie porzucić statek, będę zmuszony przywieźć tu jego załogę. Wówczas przydałyby się nam zapasy na drogę powrotną. A przy okazji dogadalibyśmy szczegóły dotyczące łuczników – dodał po namyśle.

– Przygotuję papiery do podpisania. Każę też oporządzić oraz zasolić dzika i jelenia.

Hal podziękował jej skinieniem głowy, po czym spojrzał na swoją załogę.

– No dobra, chłopaki, zbierajmy się. Odpływ nie będzie na nas czekać, a wiosłować pod prąd nie jest łatwo.

Rozległ się rumor ław odsuwanych od stołów. Załoga „Czapli” ruszyła w stronę drzwi.

Stig zatrzymał się jednak w połowie drogi, sięgnął po nogę pieczonej gęsi, oderwał zębami spory kęs mięsa i uśmiechnął się do Maddie.

– Nie należy marnować jedzenia – powiedział.

Hal uśmiechnął się kpiąco.

– Ty nigdy go nie marnujesz. Ruszajmy!

ROZDZIAŁ 28

Ciągnąc, pchając i przeklinając, wprowadzili konie na górną część wzgórza, a potem do fortu. Dla wozu z zapasami ziemny wał okazał się jednak przeszkodą nie do pokonania. Był zbyt wysoki i zbyt stromy, a Horace nie miał ochoty tracić czasu na budowanie rampy. Koniec końców rozładowali wóz i zostawili go na ścieżce.

– Jeśli Lisy spróbują nas zaatakować, będziemy mogli zepchnąć go ze zbocza, wprost na nich – powiedział.

Kiedy poszedł po żołnierzy, Gilan odkrył, do czego służyły beczki. Wzdłuż frontowej ściany palisady wykopano cztery dreny, dwa po każdej stronie bramy, oddzielone od siebie o dobrych pięć metrów. Na próbę wylał wiadro wody do jednego z kanałów. Po chwili zobaczył, jak jej strumień wylewa się z nasypu wprost na ścieżkę.

– Jeśli napełnimy je wodą, w odpowiednim momencie zaleją trawiaste podejście poniżej ostatniej części ścieżki – wyjaśnił Horace’owi. – Przeciwnikowi będzie jeszcze trudniej się wspinać.

Mężczyzna skinął głową, uśmiechając się na myśl o pomysłowości dawnych inżynierów. Przesunął beczki tak, by stały bezpośrednio przy czterech drenach, po czym kazał je swoim ludziom napełnić. Początkowo stare, przesuszone deski obficie przeciekały, potem jednak napęczniały i z beczek ciekła jedynie wąska strużka wody.

Wkrótce zapadła noc i żołnierze rozpalili ogniska. Na wozie z zapasami wieźli obrok dla koni. Gdyby oszczędzali, mieliby zapasy na tydzień. Konie oczywiście byłyby głodne i straciłyby nieco sił, ucierpiałaby też ich wytrzymałość. Istniało jednak bardzo małe prawdopodobieństwo, że podczas pobytu w forcie poprowadzą je do szarży.

Horace wystawił wartowników dookoła murów i polecił, żeby go obudzili, jeśli ujrzą lub usłyszą nadciągającego przeciwnika. Nie spodziewał się jednak tego.

– Jeśli się nie myliłeś – zwrócił się do Gilana, kiedy zasiedli przy niewielkim ognisku z kubkami gorącej kawy – to zaczekali z przeprawą do wieczora. Podejrzewam, że rozłożą się na noc na łące przy brzegu. Nie będą chcieli przedzierać się po ciemku przez las, gdzie może czekać na nich kolejna zasadzka.

– Może to właśnie powinniśmy zrobić – zasugerował Gilan, lecz Horace pokręcił głową.

– Nocne bitwy są zbyt ryzykowne. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać. Pewnie przerzedzilibyśmy ich siły, ale sami stracilibyśmy wielu ludzi. A nie mamy ich pod dostatkiem.

– Więc siedzimy i czekamy.

– Czekamy. Zobaczymy, co chodzi Lisom po głowach.

– Myślisz, że zaatakują? – zapytał Gilan.

Horace spojrzał z namysłem w ogień.

– Tak sądzę. Przynajmniej raz będą chcieli sprawdzić nasze umiejętności. Ale jeśli spróbują, poniosą spore straty. Podejrzewam, że wtedy się wycofają i otoczą wzgórze. Nie mamy dostatecznie wielu ludzi, by przeprowadzić kontruderzenie, więc nie wydostaniemy się stąd.

– Co oznacza, że utkniemy tutaj, o ile nie nadejdzie pomoc?

– Zaczynam się obawiać, że od początku to właśnie planowali.

Gilan zmarszczył czoło.

– Dlaczego tak sądzisz?

– Jest ich znacznie więcej, niż się spodziewaliśmy – wyjaśnił Horace. – I są lepiej zorganizowani, niż sądziliśmy. Lepiej uzbrojeni. Może chodziło im właśnie o to, by wyciągnąć nas z Zamku Araluen i osłabić garnizon?

Gilan napił się kawy i zamyślił się nad jego słowami.

– To ma sens – powiedział po dłuższej chwili. – Ale Araluen to twardy orzech do zgryzienia, nawet pozbawiony połowy sił. Dimon jest dobrym dowódcą, a i Cassandra walczy od lat. Zdołają się utrzymać w razie ataku.

– Też tak sądzę – zgodził się Horace, ale nie wydawał się zadowolony. – A tymczasem my utknęliśmy tutaj, na szczycie wzgórza, daleko od nich.

Przez kilka minut żaden z nich się nie odzywał.

– I nikt nie wie, że tu jesteśmy – dodał po chwili Horace

Wroga kolumna pojawiła się godzinę po świcie. Horace i Gilan zajęli miejsca na podeście ciągnącym się dookoła palisady i spoglądali w dół wzgórza na rozciągający się poniżej płaski teren. Lisy wyłaniały się z lasu rzędami i ustawiały na porośniętym trawą przedpolu.

– Jest ich nieco mniej, niż było – zauważył Gilan.

– Wciąż ponad stu trzydziestu – mruknął Horace. – Przewyższają nas liczebnie. Wychodzi więcej niż trzech na jednego.

Na czoło oddziału wyjechali trzej oficerowie i zatrzymali się u podstawy wzgórza. W środkowym mężczyźnie Gilan rozpoznał dowódcę, którego widział dzień wcześniej, biały bandaż i temblak na prawym ręku wyróżniały go w świetle porannego słońca. Mężczyzna ponaglił konia i zrobił kilka kroków po spiralnej ścieżce prowadzącej na szczyt. Zdrową dłonią osłonił oczy i wpatrywał się w górujący nad nimi fort.

– Myślisz, że wie, że tu jesteśmy? – zapytał zwiadowca, choć właściwie nie oczekiwał odpowiedzi.

Horace gestem dłoni wskazał dym z ognisk, siwy słup wznoszący się pewnie w spokojnym, porannym wietrze.

– Och, dobrze o tym wie – odpowiedział. Rozejrzał się po forcie i upewnił, czy wartownicy stoją przy wszystkich czterech ścianach, gotowi nie spuszczać oka z dowódcy sił wroga oraz jadących tuż za nim dwóch oficerów.

Trzej jeźdźcy powoli zbliżali się, pochylając na siodłach do przodu, by zrównoważyć stromiznę. Po chwili zniknęli mu z oczu za pierwszym zakrętem ścieżki.

– Dobrze ich widzisz, sierżancie?! – zawołał Horace do wartownika przy zachodniej ścianie.

Mężczyzna odpowiedział machnięciem ręki.

– Tak jest, sir. Wciąż jadą.

Kilka minut później jego towarzysz po północnej stronie wzgórza uniósł dłoń.

– Wróg w zasięgu wzroku, sir. Wciąż w drodze!

Później, ponieważ trzej jeźdźcy kontynuowali wspinaczkę, podobne ostrzeżenie dotarło do nich znad wschodniej ściany. Na każdej stacjonowało teraz po pięciu ludzi, trzech zwykłych żołnierzy i dwóch łuczników. Kiedy wróg znów się pojawił, jeden z nich, stojący po wschodniej stronie, uniósł dłoń.

– Spróbować strzału, sir? – zapytał.

Gilan kazał mu zachować spokój. Dowódca wroga znajdował się już w odległości wystrzału z łuku, z pewnością więc spodziewał się zagrożenia i trzymał tarczę w pogotowiu. W każdej chwili mógł odbić nią nadlatujące pociski.

– Oszczędzaj strzały! – zawołał Gilan.

Lekko zawiedziony łucznik wzruszył ramionami.

Gilan spojrzał na Horace’a.

– Szkoda, że nie ma tu Maddie z tą jej procą. Ołowiany pocisk uderzający w hełm z pewnością dałby mu do myślenia.

Jego towarzysz mruknął niezrozumiale. Cieszył się, że Maddie nie wyruszyła z nimi. Sytuacja robiła się niebezpieczna, a nie chciał, by jego córka niepotrzebnie ryzykowała.

– Za chwilę ich zobaczycie, sir! – zawołał wartownik ze wschodniego krańca ściany i kilka sekund później trzech jeźdźców wyłoniło się zza zakrętu. Znajdowali się już na drugim okrążeniu ścieżki. Jeszcze jedna runda dookoła wzgórza i będą tuż pod szczytem.

– Przygotuj się na strzał ostrzegawczy. Tuż nad uchem – rozkazał Horace.

Gilan wysunął się do przodu i wyciągnął strzałę z kołczanu.

– Wystarczy tego! – zawołał Horace.

Chwilę później Gilan naciągnął i zwolnił cięciwę. Strzała pofrunęła w dół, mijając o mniej niż pół metra twarz dowódcy Lisów. Błyskawicznie szarpnął wodze i zatrzymał konia. Tak jak Gilan przewidział, jego długa, trójkątna tarcza natychmiast znalazła się po prawej stronie – stronie fortu – zasłaniając niemal całe jego ciało, w tym nogi. Na głowie miał osłaniający twarz hełm. Niezdarnie wyciągnął lewą rękę, tę, w której trzymał wodze, i uniósł przyłbicę.

– Macie tylko jedną szansę, by się poddać! – zawołał. Miał zadziwiająco wysoki głos, choć mógł to być efekt stresu, jaki z pewnością odczuwał. – Tylko jedną szansę!

– A potem? – zapytał Horace.

Mężczyzna wskazał oddziały zgromadzone pod wzgórzem.

– Nie macie szans uciec! – dodał. – Mamy przewagę liczebną! Trzy do jednego! Utknęliście na tym wzgórzu!

– I bardzo nam się tutaj podoba – odpowiedział Horace, choć pamiętając jego wcześniejsze obawy, trudno było uznać to za prawdę. – Skoro masz tak wielu ludzi, dlaczego nie przyjdziesz tutaj i nas stąd nie wykurzysz?

Liczył na to, że uda mu się sprowokować wroga do ataku. Wzgórze stanowiło znakomitą pozycję obronną, a łucznicy Gilana z pewnością zdziesiątkowaliby atakujących.

– Mam pytanie! – zawołał dowódca Lisów, nawet nie ukrywając wściekłości. – Jak sądzisz, co się dzieje na Zamku Araluen, kiedy tak tu sobie siedzisz i kręcisz palcami?

Horace spochmurniał. Właśnie tego się obawiał. Znalazł się tutaj i miał związane ręce, tymczasem zamek narażony był na ataki. Nie zamierzał jednak robić tego, czego wróg oczekiwał. Nie chciał dyskutować o swoim położeniu.

– Też mam pytanie! – zawołał w odpowiedzi. – W jaki sposób zamierzasz zjechać na dół?

Oszołomiony jeździec zamilkł na sekundę lub dwie.

– Łucznicy, naprzód – szepnął Gilan do dwóch strzelców z południowej ściany.

Obaj podeszli do krawędzi palisady. Znajdujący się poniżej jeździec zobaczył nagle dwie głowy, które pojawiły się nad drewnianą ścianą, i ręce trzymające łuki w pogotowiu. Koń zarżał, wyczuwając jego strach, i próbował się cofnąć. Mężczyzna powstrzymał go jednak przekleństwem, po czym spojrzał na Horace’a.

– Nie możesz mnie zabić! Przyjechałem tutaj pertraktować!

Rycerz uśmiechnął się ponuro.

– Nie zapraszałem cię. I nie widzę białej flagi! Mam pełne prawo kazać moim ludziom strzelać.

Dowódca Lisów, odzyskawszy kontrolę nad koniem, nerwowo wycofywał się w dół ścieżki. Gdyby się odwrócił, tarcza znalazłaby się po stronie zbocza, ułatwiając tym samym ostrzał z fortu. Mógłby oczywiście przerzucić ją na lewą stronę, ale prawą rękę miał obandażowaną, co spowolniłoby i utrudniło manewr.

Gilan wiedział, że Horace nie rozkazałby swoim ludziom strzelać do bezbronnego mężczyzny. Nawet do wroga.

– Być może zabicie go oszczędziłoby nam kłopotów – zasugerował ostrożnie.

Horace pokręcił głową.

– Ktoś inny przejąłby dowództwo. I być może nawet wiedziałby, co robi.

– Więc puścimy go? – zapytał Gilan. Był uczniem Halta i podobnie jak on nie miał złudzeń co do honoru czy uczciwego traktowania wrogów. Halt zawsze powtarzał, że jeśli zagoniło się wroga w kozi róg, należy to wykorzystać.

Horace posłał mu znaczące spojrzenie. Doskonale wiedział, o czym Gilan myśli, ale nie zamierzał zmieniać swoich przekonań.

– Puścimy go. Przynajmniej na razie – dodał po chwili.

ROZDZIAŁ 29

Po wyjeździe hałaśliwych i rozrywkowych Skandian życie na zamku wróciło do dawnego spokojnego rytmu. Maddie żałowała, że nie zostali dłużej. Przybysze wnieśli w zatęchłe mury odrobinę świeżego powietrza.

Czekało ją jednak zadanie do wykonania, dlatego następnego wieczora wyruszyła do starego opactwa.

Zaczekała, aż ruch panujący na zamku uspokoi się, po czym zakradła się do podziemi. Tak jak poprzednio zabrała ze sobą latarnię. Wzięła również procę i saksę, a na swój codzienny strój składający się z bezrękawnika, spodni i wysokich butów, zarzuciła pelerynę zwiadowcy. Wślizgnęła się do ukrytej izby na samym końcu piwnicy i zatrzymała się, by zapalić latarnię od jednej ze stojących tam lamp. Upewniła się, czy zdoła otworzyć drzwi, kiedy następnego dnia rano wróci, a następnie starannie je za sobą zamknęła.

Potem, trzymając latarnię wysoko nad głową, zaczęła schodzić po pochyłej, nierównej ścieżce prowadzącej poza mury. Wiedziała już, czego się spodziewać, dlatego nie zwracała uwagi na wodę, która spływała po ścianach na odcinku pod fosą.

Chwilę później wyczuła, że tunel wznosi się w górę, a ziemia znów robi się sucha. Wycięła saksą zwisające z sufitu splątane korzenie. Zamierzała przechodzić tędy w kolejne noce, a nie lubiła, kiedy nagle coś wyłaniało się z ciemności i chwytało ją za twarz czy włosy.

O tej porze na niebie świeciły jedynie gwiazdy, więc zbliżając się do wyjścia, nie widziała charakterystycznego kręgu światła. Na zewnątrz niemal od razu wpadła na kępę krzaków. Chwilę wcześniej zgasiła lampę, by nie rzucać się w oczy niczym latarnia morska. Zamaskowała krzakami wyjście, uniemożliwiając wypatrzenie go z zewnątrz, po czym ruszyła w dół wzgórza ku miejscu, gdzie zostawiła Zderzaka.

Nie zapomniała o strażnikach patrolujących na murach i na wszelki wypadek poruszała się bardzo ostrożnie. Pochylona, wykorzystywała każdą możliwą osłonę. Poprawiła pelerynę maskującą i starannie nasunęła kaptur na głowę.

W panującym mroku – księżyc jeszcze nie wzeszedł – było mało prawdopodobne, by ktoś zauważył niewyraźną postać powoli przemieszczającą się przez sięgającą kolan trawę parku. Mimo wszystko, kiedy dotarła do linii drzew i zniknęła w spowijającym je cieniu, odetchnęła z ulgą. Dopiero wtedy się wyprostowała i pomaszerowała na ukrytą polanę, na której czekał Zderzak. Nastawiał uszu, więc najwyraźniej słyszał, że się zbliża. Został jednak tak wyszkolony, by nie reagować, zanim Maddie nie odezwie się jako pierwsza.

– Cieszysz się, że mnie widzisz? – zapytała, pocierając jego jedwabisty nos i podając mu marchewkę. Wiedział, że ją przyniesie. Cicho zarżał i z przyjemnością schrupał smakołyk. Maddie rozejrzała się po polance. Worek z obrokiem wciąż wisiał na gałęzi, więc zajrzała do niego. Był jeszcze w połowie pełny, lecz wiadro z wodą okazało się niemal puste. Postanowiła napełnić je po powrocie. Zderzak mógł wprawdzie przejść się nad strumień, by ugasić pragnienie, jednak wolała tego uniknąć.

Osiodłała go i wskoczyła na grzbiet. Z pokrowca przytwierdzonego do siodła wyjęła łuk i sprawdziła, w jakim jest stanie. Cięciwa wciąż była napięta i nie strzępiła się, a w drzewce nie wdała się wilgoć. Zadowolona z wyników inspekcji, wsunęła łuk z powrotem na miejsce. Potem lekko dotknęła piętami boków Zderzaka i ruszyli krętym szlakiem przed siebie.

Zeskoczyła z konia jakieś dwadzieścia metrów przed polaną otaczającą opactwo. Zostawiła wierzchowca i po cichu zaczęła skradać się pomiędzy drzewami.

Wokół nikogo nie było widać. Rozejrzała się na wszystkie strony, uważnie nasłuchując. Starała się zorientować, czy ktoś znajduje się wewnątrz budynku.

Nic.

Wróciła do Zderzaka i dotknęła palcem ust, po czym wskazała ziemię pod jego kopytami. Przekaz był jasny: nie hałasuj i nie tup. Kiwnął łbem, więc odwróciła się i zaczęła się skradać.

Opactwo dzieliło od skraju lasu piętnaście metrów otwartej przestrzeni. Czuła pokusę, by pokonać dystans bardzo powoli, ale niczemu by to nie

służyło. Niespieszne ruchy nie ukryłyby jej przed potencjalnym strażnikiem.

Uważając, by nie hałasować, przebiegła przez podwórze i zatrzymała się przy drzwiach. Zauważyła, że są zamknięte, choć przecież zostawiła je lekko uchylone. Mogła to być wprawdzie sprawka wiatru, choć szczerze w to wątpiła. Bardziej prawdopodobne, że ktoś zamknął za sobą drzwi. A to by oznaczało, że informacje Warwicka były prawdziwe. Opactwo odwiedzali jacyś ludzie.

Pytanie, czy teraz też byli w środku?

Pomyślała, że może się tego dowiedzieć tylko w jeden sposób. Pochyliła się i pchnęła drzwi lewą ręką, prawą zaciskając na rękojeści saksy.

Łatwo ustąpiły, najwyraźniej ktoś je naoliwił. A więc zamierzali korzystać z budynku również w przyszłości. Maddie pozwoliła, by drzwi zostały otwarte. Cofnęła się i czekała, czy wywoła to jakąkolwiek reakcję.

Znów nic.

Wyciągnęła saksę, przeszła przez próg i przesunęła się na bok, by nie stać w wejściu. Wewnątrz nie usłyszała żadnego dźwięku. Żadnego głosu. Żadnego pospiesznego szurania stóp kogoś, kto próbowałby się ukryć. Zaczekała, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, po czym rozejrzała się, przeszukując wnętrze krok po kroku.

Nie zobaczyła nikogo.

Świadoma, że wciąż wstrzymuje oddech, powoli wypuściła powietrze z płuc i schowała saksę do pochwy.

Stary farmer, który doniósł im o pojawiających się tu ludziach, utrzymywał, że widział ich koło północy. Obserwacje Warwicka także to potwierdziły. Oznaczało to, że ktoś mógłby się tu pojawić najwcześniej za godzinę. Przeszła na koniec kościoła i wdrapała się na skrzypiące schody prowadzące na emporę, czyli galerię dla chóru. Stamtąd widziała cały budynek, pozostając jednocześnie w ukryciu.

Usiadła na podłodze obok pierwszej ławki, tuż za balustradą wykonaną z solidnego drewna. Wyciągnęła się na tyle wygodnie, na ile było to możliwe, i postanowiła czekać. Księżyc już się pojawił, a jego światło wpadało do środka przez okno tuż obok empory

Maddie drgnęła i obudziła się. Uświadomiła sobie, że zasnęła. Spojrzała w okno. Po księżycu nie było już śladu, choć niedawno przecież wszedł. Nie spała wtedy, obserwowała bladosrebrzyste światło wlewające się przez okno do wnętrza starego kościółka. Ostrożnie uniosła głowę i upewniła się, że opactwo wciąż jest puste.

– Niezły z ciebie zwiadowca – powiedziała sama do siebie. Will z pewnością wygłosiłby jakiś jadowity komentarz, gdyby dowiedział się, że zasnęła na czatach.

Przez kamienną ścianę naprzeciwko okna antresoli ciągnęło się pęknięcie nie szersze niż na strzałę. Spojrzała przez nie i wreszcie zobaczyła wpadający do wnętrza wąski promyk księżycowego światła. Najwyraźniej księżyc wszedł, przesunął się nad kościołem i teraz zachodził po jego drugiej stronie. Musiała spać co najmniej dwie godziny!

Nie miała jednak wątpliwości, że kiedy spała, nie pojawił się nikt z Klanu Czerwonego Lisa.

– Nie jestem taka głupia, by przespać spotkanie grupki ludzi – powiedziała. Niewiele ją to pocieszyło; zasnęła, kiedy powinna stać na czatach.

Podniosła się i rozciągnęła zdrętwiałe kończyny. Spała z głową ułożoną pod dziwnym kątem, bez choćby prowizorycznej poduszki, więc teraz rozbolał ją kark. Poruszyła barkami, próbując pozbyć się sztywności. Nie pomogło.

Zeszła po schodkach na dół i ruszyła w stronę drzwi. Po raz ostatni sprawdziła, czy budynek jest pusty, lecz nie natrafiła na żaden ślad sugerujący, że ktoś zaglądał do niego w ciągu kilku ostatnich godzin. Wewnątrz nie zmieniło się nic, a rysunek przestawiający pysk lisa wciąż znajdował się na swoim miejscu. Zerknęła w stronę drzwi, lecz nie zauważyła, by ktoś naruszył leżący tam kurz i piasek. Nie zobaczyła też żadnych odcisków stóp.

– Poszczęściło ci się – mruknęła. Choć wiedziała, że nikogo nie ma w pobliżu, przed opuszczeniem kościółka rozejrzała się uważnie dookoła. Przebiegła przez polankę i skryła się wśród drzew, gdzie czekał już na nią Zderzak.

Zasnęłaś, prawda? – zapytał. Nie wiedziała, jakim cudem się domyślił.

– Dałam odpocząć oczom. Na kilka minut.

Heh!

Wiedziała, że nie oszuka swojego konia, więc nie odezwała się. Pozwoliła mu po raz kolejny odnieść moralne zwycięstwo. Wdrapała się na siodło i popatrzyła w stronę domu. Dłużej mitrężyć czasu na czatach nie zamierzała. Według raportów w opactwie widywano obcych tuż przed północą, a teraz było już znacznie później.

– Musimy wrócić tu jutro. I kolejnej nocy, jeśli okaże się to konieczne.

Tyle razy, ile będzie trzeba, żebyś się porządnie wyspała.

Postanowiła go zignorować.

ROZDZIAŁ 30

Przez dwie kolejne noce Maddie trzymała straż w opactwie, ale w tym czasie nie natknęła się na żaden ślad obecności Klanu Czerwonego Lisa ani też na dowód czyichkolwiek wizyt w lesie otaczającym stary budynek. Nie znalazła zupełnie nic.

Zastanawiała się, czy powinna powiedzieć Cassandrze o swoich podejrzeniach, ale nie zdecydowała się na to. W każdym razie jeszcze nie teraz.

Nie była pewna, dlaczego nie chciała porozmawiać z matką. Prawdopodobnie księżniczka zainteresowałaby się, w jaki sposób jej córka bez wiedzy strażników wymyka się nocą z zamku i w rezultacie Maddie musiałaby opowiedzieć jej o tunelu pod fosą, a Cassandra z pewnością zakazałaby jej korzystania z niego. Zresztą gdyby dowiedziała się o przejściu i je zbadała, dowiedzieliby się o nim i inni. A Maddie nie była jeszcze na to gotowa.

Wciąż pamiętała o incydencie, do którego doszło osiemnaście miesięcy wcześniej. Podejrzewała wtedy, że w lesie nieopodal Redmont rabusie zrobili sobie kryjówkę. Podniosła alarm i sprowadziła strażników z zamku, a tymczasem podejrzani okazali się niewinnymi kotlarzami. Nie chciała ryzykować kolejnej takiej wpadki. Chciała mieć pewność, zanim ściągnie na miejsce innych ludzi.

Musiała mieć coś konkretnego do zaraportowania.

Czwartej nocy Maddie czekała w pokoju, aż w zamku zapadnie cisza. Tym razem jednak trwało to nieco dłużej niż zwykle. Przede wszystkim Cassandra podczas tradycyjnej wieczornej kawy nabrała ochoty na rozmowy. Potem, z nieznanych powodów, zapanowało poruszenie. Ludzie krążyli po schodach i po dostępnych dla wszystkich salach. Kiedy zamieszanie wreszcie trochę się uspokoiło, Maddie zeszła po cichu do podziemi i po raz kolejny przeszła przez tunel

Spóźniłaś się – powitał ją oskarżycielsko Zderzak, kiedy weszła na polankę.

– Zasnęłam – wyjaśniła. – Ty masz łatwiej, bo jeśli masz ochotę, możesz spać za dnia.

Sen jest przeceniany – odpowiedział. Maddie pomyślała, że jej koń sporo rzeczy uważa za przeceniane.

– Tylko przez tych, którzy mogą spać za dnia – ucięła. Osiodłała Zderzaka i żwawym kłusem ruszyli, próbując nadrobić stracony czas. Znali już drogę i mogli jechać swobodniej. Kiedy dotarli do opactwa, zsiadła z konia i zostawiła go wśród drzew. Nie musiała wydawać żadnych poleceń. Znał plan.

Uważaj na siebie – rzucił. Wyczuł, że Maddie powoli przyzwyczaja się do myśli, że w opactwie nic się nie dzieje, a to mogło źle się dla niej skończyć.

– Postaram się – odpowiedziała i przemknęła niczym duch pomiędzy drzewami aż na skraj polany, na której stał stary kamienny kościół. Tak jak poprzednio zatrzymała się i przez chwilę nasłuchiwała, po czym po cichu podbiegła do wejścia. Gdy poprzedniej nocy zamykała drzwi, umieściła liść przy węgarku. Wciąż był na swoim miejscu, podpowiadając jej, że pod jej nieobecność nikt nie wszedł do budynku. Otworzyła drzwi i wślizgnęła się do środka.

Nie musiała się zatrzymywać, by pozwolić oczom przyzwyczaić się do ciemności. Doskonale znała już wnętrze kościółka i szybko podbiegła do schodów prowadzących na galerię.

Tak jak podczas poprzednich trzech nocy usiadła na podłodze tuż przy pierwszej ławie, oddzielona od nawy głównej litą dębową balustradą. Podczas poprzedniej warty wywierciła w niej czubkiem saksy niewielki otwór, dzięki temu mogła widzieć, co dzieje się w kościele, bez ujawniania swojej obecności.

Poprawiła się i zajęła niezbyt wygodną pozycję, gdyż podłokietnik ławy wbijał jej się w plecy. Ale dzięki temu była pewna, że nawet siedząc bez ruchu przez kilka godzin, na pewno nie zaśnie. Sprawdziła pozycję księżyca. Tej nocy był znacznie wyżej niż zwykle, świecił przez okno na

galerii pod dość stromym kątem. Zapewne nie minie wiele czasu, aż przesunie się na drugą stronę budynku i zacznie świecić przez…

Nagle usłyszała, że na dole otwierają się drzwi. Ktoś wszedł do środka!

ROZDZIAŁ 31

Choć Maddie wiedziała, że osoby znajdujące się na parterze kościółka nie dostrzegą jej za drewnianą balustradą, instynktownie się schyliła. Słyszała co najmniej kilka głosów mówiących konspiracyjnym szeptem. Słyszała też szuranie wielu stóp po podłodze.

Przyłożyła oko do otworu, który przezornie wywierciła w drewnianej desce z przodu balustrady. Ostrożnie uniosła głowę, by znaleźć optymalny kąt do obserwacji. Kiedy wreszcie jej się to udało, zorientowała się, że kościół powoli wypełnia się ludźmi.

Weszli – piętnastu, a może nawet dwudziestu – i zajęli miejsca w czterech pierwszych ławach stojących przed drewnianą kazalnicą, z której opat czytał święte słowa, kiedy gmach pełnił jeszcze funkcję kościoła. Ostatnie trzy rzędy ławek na szczęście pozostawili puste. Maddie ulżyło. Ogarnęła ją bowiem panika, kiedy nagle uświadomiła sobie, że tajemnicze zgromadzenie może zająć nie tylko dolną część kościoła, lecz także emporę. Choć to, pomyślała, byłoby co najmniej dziwne.

Na dole zebrani rozmawiali, lecz nie rozpoznawała nawet pojedynczych słów. Miała nadzieję, że są to na razie jedynie niezobowiązujące pogawędki. Co jakiś czas słyszała czyjś stłumiony śmiech, co sugerowało, że rozmawiający dzielą się wiadomościami z ostatnich dni.

Jej przyklejone do judasza oko zaczęło łzawić. W końcu zmuszała je do olbrzymiego wysiłku, próbując przyjrzeć się ludziom poniżej. Cofnęła się, otarła je wierzchem dłoni i kilka razy mrugnęła. Potem ponownie przylgnęła do niewielkiego otworu, wybierając inny kąt. Chciała widzieć więcej.

Zadrżała, nagle bowiem na dole błysnęło jasne światło. Przechyliła się i spojrzała na człowieka, który uderzał krzesiwem o stal, sypiąc iskry na niewielką stertę drewna. Potem dmuchnął i tuż przed nim zakwitły niskie języki żółtego ognia. Nieśpiesznie powiększyły się, przenosząc się na kolejne szczapy. W końcu zapalono od nich nasączoną oliwą pochodnię.

Przez chwilę nic się nie działo, potem płomienie przeskoczyły na łuczywo. Żółte światło wypełniło opactwo, a ludzie zgromadzeni wokół człowieka z pochodnią zaczęli szeptać, wyraźnie zadowoleni.

Od pierwszej głowni zapalono kolejne. W opactwie robiło się coraz jaśniej, a cienie układały się na ścianach w groteskowe kształty. Maddie znacznie wyraźniej widziała teraz zgromadzonych poniżej ludzi.

Wszyscy byli mężczyznami – a przynajmniej tylko mężczyzn widziała. Mieli na sobie zwyczajne stroje – spodnie, kamizelki, płaszcze. I wszyscy byli uzbrojeni w różnego rodzaju miecze, długie noże, topory i włócznie.

Na głowach nosili dziwne czapki i dopiero po kilku minutach uświadomiła sobie, że wykonano je z lisiego futra – a dokładniej z lisich pysków.

Otwory na oczy były ciemne i puste, ale uszy i kufy tkwiły na swoich miejscach, jak u prawdziwych zwierząt. Mężczyźni wyglądali z góry jak gromada lisów. Efekt był do tego stopnia groteskowy, że Maddie zadrżała.

Nie miała już wątpliwości – zakradła się na spotkanie tajemniczego Klanu Czerwonego Lisa.

Ostatnia wchodząca osoba zamknęła drzwi, by nie wpuszczać do środka chłodnego wiatru. Nagle jednak otworzyły się na oścież i rozmowy umilkły, pogrążając kościół w pełnej wyczekiwania ciszy. Usłyszała odgłos butów stukających o kamienną posadzkę. Ktoś wszedł do środka. Przechyliła głowę, próbując zobaczyć wejście oraz samego nowo przybyłego, jednak judasz nie pozwalał jej na to.

Zdecydowała się jednak zaryzykować, w końcu wyższą część opactwa w porównaniu do oświetlonego pochodniami dołu spowijały ciemności. Ostrożnie uniosła głowę nad balustradę, by rzucić okiem.

Wysoka postać ubrana w sięgającą kostek, obszytą futrem czerwoną pelerynę zmierzała w stronę kazalnicy. Twarz była skryta pod kapturem, więc Maddie nie potrafiła jej rozpoznać. W tym człowieku było jednak coś znajomego – w tym, jak kroczył, jednak potem stanął. To Will nauczył ją zwracać uwagę na język ciała oraz sposób, w jaki zachowuje się każdy człowiek.

To najtrudniej zmodyfikować – mówił. *Możesz zmienić swój wygląd czy ubranie. Ale sposób, w jaki się poruszasz, łatwo cię zdemaskuje*. Pokazał jej również proste wybiegi mogące zaradzić temu problemowi, takie jak włożenie kamienia do jednego buta albo podwyższenie zelówki w celu

zmiany sposobu chodzenia. Czasami wystarczało wręcz pochylić barki lub trzymać głowę pod innym kątem niż zazwyczaj.

Musisz być tego szczególnie świadoma – mówił. *Masz przecież sztywność w biodrze, którą widać, gdy chodzisz lub stoisz.*

Maddie uważnie przyglądała się przybyszowi. Kogoś jej przypominał. Poruszał się z gracją, z pewnością był też wojownikiem, bo wyraźnie widziała długi miecz w pochwie wiszącej przy jego lewej nodze. Dostrzegła także rękojeść sterczącą ku przodowi zza peleryny. W miejscu, w którym stykała się z jej połą, widać było kawałek futerału.

Maddie powoli przykucnęła – gwałtowny ruch mógłby przyciągnąć czyjąś uwagę. Mężczyzna stał teraz dokładnie naprzeciwko niej, więc mogła obserwować go przez judasza. Zajął miejsce za kazalnicą. Jego kaptur poruszał się, co oznaczało, że przyglądał się zebranej publiczności. Po jakiejś minucie wykonał dyskretny gest do kogoś przebywającego w kościele, najwyraźniej dając mu znak, że czas rozpocząć spotkanie.

Z dołu, jakby spod Maddie, rozległ się głęboki głos.

– Wszyscy wstać. Niech żyje *Vulpus Rutilus!*

Vulpus Rutilus. Wiedziała, że słowa te pochodzą ze starożytnego języka toskańskiego. Zanim dołączyła do Korpusu Zwiadowców, uczyła się go na zamku i nienawidziła każdej minuty tych zajęć.

Teraz jednak przypomniała sobie znaczenie tej frazy.

Vulpus Rutilus. Czerwony Lis. Najwyraźniej taki właśnie tytuł nosił przywódca klanu. Rozległo się szuranie stóp i mężczyźni zaczęli podnosić się z miejsc. Kiedy wstawali, człowiek stojący przy katedrze nie poruszył się. Nagle zgromadzeni zawołali głośnym chórem:

– Niech żyje *Vulpus Rutilus!* Niech żyje przywódca Klanu Czerwonego Lisa!

Usłyszała jakiś dziwny odgłos i przez otwór zobaczyła, że wszyscy zebrani unoszą prawe ręce przed siebie, na wysokość ramienia, w tradycyjnym toskańskim pozdrowieniu wojskowym. W odpowiedzi przywódca także uniósł dłoń.

– Niech żyją członkowie klanu. Niech żyją Czerwone Lisy!

Jego głos tłumił kaptur, ale i tak Maddie zamarło serce. Miała wrażenie, że go rozpoznała. Zresztą po paru chwilach ściągnął kaptur i w świetle pochodni zobaczyła jego twarz. Teraz już miała pewność, z kim ma do czynienia.

Vulpus Rutilus, przywódca Klanu Czerwonego Lisa, to Dimon, zaufany dowódca straży jej matki!

Oszołomiona odkryciem, oderwała się od judasza i opadła na wąską przestrzeń pomiędzy balustradą a pierwszym rzędem ławek. Oparła się o kamienną ścianę. Gdzieś z daleka dobiegły ją jakieś szmery. To Lisy po raz kolejny zajmowały miejsca siedzące. Zebrani czekali, aż ich przywódca przemówi.

Jak Dimon mógł dopuścić się zdrady? Przecież był zaufanym oficerem zamkowej straży! Podobno nawet należał też do ich dalekich krewnych!

Maddie miała głęboko wpojone zasady lojalności i honoru, dlatego nie mogła zrozumieć, dlaczego ktoś taki jak Dimon okazał się nielojalny – przecież w ten sposób okrył hańbą swoje stanowisko oraz obowiązki.

Zaczął mówić i wtedy zrozumiała wszystko.

– Od kilku tygodni spotykamy się tutaj z ludźmi przybywającymi ze wszystkich stron królestwa. Nadchodzi jednak czas działania. Jutro przeprowadzimy atak na Zamek Araluen. – Wśród zgromadzonych rozszedł się pomruk zaskoczenia. Najwyraźniej nie spodziewali się tego. Maddie znów przyłożyła oko do niewielkiego otworu wywierconego w balustradzie i zobaczyła, że Dimon unosi ręce, by ich uciszyć. Szum rozmów zaczął cichnąć.

– Wiem, wiem. To szybciej, niż planowaliśmy. Ale nadarzyła się okazja do przeprowadzenia ataku i sądzę, że jesteśmy gotowi ją wykorzystać.

Spojrzał na twarze zebranych. Upewnił się, że go słuchają, po czym mówił dalej:

– Plan wywabienia z zamku sir Horace’a oraz dowódcy zwiadowców Gilana okazał się skuteczniejszy, niż się spodziewaliśmy – oświadczył.

Serce zamarło Maddie w piersi. Plan wywabienia ich? A więc dwóch najbardziej doświadczonych i cenionych doradców Cassandry wyprowadzono w pole wraz z połową garnizonu, by przypadkiem nie odegrali żadnej roli w obronie zamku przed Klanem Czerwonego Lisa!

– W tej chwili utknęli w potrzasku w starym forcie na północnym brzegu rzeki Wezel. Nasi sojusznicy z Sonderlandu otoczyli ich i skutecznie wyłączyli z gry.

– Lordzie Vulpusie, na jak długo najemnicy zdołają ich zatrzymać? – rozległ się czyjś głos. Słychać w nim było szacunek. Dimon skinął głową, doceniając rozsądne pytanie.

– Na dowolnie długo. Ale znając sir Horace’a oraz jego kompana, jestem przekonany, że spróbują się przebić. Jeśli zdecydują się na to, zostaną pokonani przez nasze liczniejsze przecież siły. Zginą. Błędem byłoby jednak ich lekceważenie. Istnieje nikła szansa, że przeżyją, dlatego chcę jak najszybciej zająć Zamek Araluen. Wiemy, że to twierdza nie do zdobycia. Rozbiją się o jej mury, kiedy my bezpiecznie już ukryjemy się w środku.

Przerwał, pozwalając, by jego wzrok błądził po pomieszczeniu.

– Oczywiście – odezwał się po chwili – nie będziemy musieli zdobywać zamku. Dostaniecie się do niego przebrani za żołnierzy garnizonu. Na zewnątrz mam dla was i dla waszych ludzi mundury. Ustawicie się w szeregi i pod moim dowództwem po prostu wmaszerujecie za mury. Nikt nie będzie próbował was zatrzymać. Kiedy znajdziemy się w środku, zyskamy przewagę liczebną. Zabijemy ich, w tym oczywiście regentkę, i przejmiemy władzę. Potem rozsiejemy plotki, że pomimo naszych wysiłków księżniczka została zamordowana przez zabójców z Klanu Czerwonego Lisa. Na zamku, jeśli zajdzie taka potrzeba, pozostanę w masce, by jego załoga oraz służba nie rozpoznali mnie. Po usunięciu Duncana i jego najbliższej rodziny będę pierwszy w kolejce do tronu. Jak wiecie, pochodzę z królewskiego rodu. To odległe pokrewieństwo, ale całkowicie legalne i mogę je udowodnić. Co najważniejsze, z naszego punktu widzenia, jestem męskim dziedzicem. Ludzie mnie zaakceptują. Zobaczą we mnie bohaterskiego pogromcę Czerwonych Lisów. A kiedy już zdobędę władzę, uchylę prawa wprowadzone przez mojego poprzednika i ustanowię zasadę męskiej sukcesji tronu Araluenu. Wyłącznie męskiej sukcesji – podkreślił ponuro. Rozległ się stłumiony pomruk poparcia.

– A co będzie, jeśli przeciwstawi ci się Korpus Zwiadowców? – To był ten sam głos, który odezwał się wcześniej. Maddie zrozumiała, że rozmowa została starannie zaplanowana, by wzbudzić, a następnie skutecznie rozwiać jakiekolwiek wątpliwości dotyczące planu Dimona.

– Niby dlaczego? Nie wiedzą o moich związkach z Klanem, a przecież będę prawomocnym dziedzicem tronu. Nikt nie wyjawi im naszej tajemnicy. Po prostu ogłosimy, że zostałem uwięziony razem z grupą lojalnych ludzi w jednej z części zamku, po pewnym jednak czasie udało nam się uwolnić i pokonaliśmy członków Klanu Czerwonego Lisa. Niestety, przybyliśmy za późno, by uratować Cassandrę.

– Pozostaje jeszcze młoda księżniczka. – To był nowy głos i kilka innych go poparło, potakując.

– Madelyn? To roztrzepane młode dziewczę. Przebywa z matką. Spodziewam się, że spotka ją ten sam los.

Maddie uśmiechnęła się ponuro i bezwiednie dotknęła ręką procy ukrytej za paskiem. Przez chwilę, sprowokowana jego lekceważącą opinią o niej, miała ochotę podnieść się z kryjówki i umieścić ołowiany pocisk dokładnie pomiędzy zdradzieckimi oczami Dimona. Rozsądek jednak zwyciężył. Nie pomogłoby to sprawie.

– A co z królem?! – zawołał ktoś inny.

Dimon machnął pogardliwie dłonią.

– Jest schorowany i słaby. Niewiele życia mu zostało.

Łzy napłynęły Maddie do oczu. Pełen pogardy opis jej dziadka i okrutne słowa Dimona uraziły ją. Przysięgła sobie, że przywódca Czerwonych Lisów jeszcze za to zapłaci.

– Słyszeliśmy, że w zamku byli Skandianie. Czy mogą nam przeszkodzić? – zapytał kolejny głos.

Dimon pokręcił głową.

– Już ich tam nie ma – odpowiedział. – Właśnie dlatego chcę działać. Wyjechali przynajmniej na tydzień, może dziesięć dni. Mogliby pomóc Cassandrze, ale jeśli od razu wkroczymy do akcji, zajmiemy zamek przed ich powrotem. A oni, podobnie jak Horace i Gilan, nie będą mieli pojęcia, kto tak naprawdę stoi za śmiercią księżniczki.

Maddie niemal bezwiednie pokiwała głową. To wyjaśniało jego niechęć wobec załogi „Czapli”. Widział w nich przeszkodę. Tuzin twardych, doświadczonych w boju Skandian pod dowództwem zdolnego przywódcy mógł być zagrożeniem dla tak starannie przygotowanego planu.

– Czy są jeszcze jakieś pytania? – zapytał Dimon. Rozejrzał się, szukając chętnych. Nie usłyszał nikogo. – W takim razie kończmy spotkanie. Zbierzemy się jutro w południe w lesie pod Zamkiem Araluen. Na zewnątrz odbierzecie mundury. Wejdziemy w nich na wzgórze, przekroczymy most zwodzony i znajdziemy się na dziedzińcu. Zabijemy wszystkich, którzy będą stawiali opór.

Rozległo się szuranie. Dziewczyna ostrożnie podniosła się z podłogi, by raz jeszcze rzucić okiem na spiskowców. Pomyślała, że byłoby dobrze,

gdyby jutro mogła rozpoznać choć kilka twarzy. Dimona oczywiście znała, ale przydałoby się zidentyfikować też innych prowodyrów spisku.

Wstała, by wyjrzeć za balustradę, i położyła dłoń na drewnianej poręczy.

Stare, nadgniłe drewno przeżarły korniki, więc kiedy oparła się na nim, pękło z trzaskiem. Ponad dwadzieścia par oczu zwróciło się w stronę, z której dobiegł dźwięk. Maddie błyskawicznie opadła na ziemię. W ułamku sekundy zapomniała o przebytym szkoleniu, o tym, że powinna poruszać się powoli. Gwałtowny ruch zdradził jej obecność.

Usłyszała krzyk Dimona:

– Galeria! Ktoś tam jest! Łapcie go!

ROZDZIAŁ 32

W starym forcie na wzgórzu spędzili trzy dni, zanim Klan Czerwonego Lisa postanowił ich zaatakować.

Godzinę po świcie Gilan patrolował palisadę, tak jak to miał w zwyczaju każdego poranka. Nagle usłyszał gwizdki i trąbki dobiegające z obozu wroga. Oddziały Lisów rozbiły namioty u stóp wzgórza. Teraz wybiegali z nich żołnierze i ustawiali się na otwartej przestrzeni pomiędzy ich obozem a początkiem ścieżki prowadzącej na szczyt.

– Wreszcie się ruszyli – rozległ się głos tuż za nim.

Gilan odwrócił się i zobaczył, że dołączył do niego Horace.

– Na to wygląda – odpowiedział. Rozejrzał się po podeście i zauważył stojącą kilka metrów dalej grupę łuczników obserwujących z zainteresowaniem przygotowania prowadzone poniżej. Wśród nich był starszy łucznik.

– Nestorze! – zawołał, a kiedy mężczyzna podniósł wzrok, dodał: – Podejdź tutaj.

Szpakowaty mężczyzna sprawnie podbiegł, dotykając palcami czoła.

– Wygląda na to, że wreszcie się namyślili – powiedział. Wszyscy z garnizonu stacjonującego w forcie zastanawiali się, kiedy Lisy znajdą dość odwagi, by podjąć decyzję o szturmie.

– Rzeczywiście. Przygotuj ludzi, Nestorze. Podejrzewam, że wróg wybierze spiralną ścieżkę i dopiero w pobliżu szczytu spróbują wspinaczki przez porośnięte trawą zbocze.

Nestor pokiwał głową. Doszedł do tego samego wniosku.

– Problem polega na tym, że do tego czasu nie będziemy wiedzieli, którą część fortu zaatakują – kontynuował Gilan.

– Największy sens miałby szturm na bramę – stwierdził starszy łucznik, wskazując kciukiem wejście tuż przed nimi. – Podejście przez trawę jest w tym miejscu najkrótsze, poza tym po innych stronach nie przebiją się przez ścianę.

– Prawdopodobnie masz rację. Ale umieść po pięciu łuczników po każdej ze stron fortu. Chociażby po to, by mieć na nich oko. Jeśli postanowią ruszyć od innej strony, będą stanowili łatwy cel. Pięciu ludzi zdoła ich zatrzymać aż do pojawienia się wsparcia. A jeśli zaatakują od frontu, tak jak się spodziewamy, ludzie z pozostałych ścian zdążą nas wesprzeć.

– Zaraz się tym zajmę – odpowiedział Nestor i po raz kolejny dotknął palcami czoła. Odwrócił się i z miejsca zaczął wykrzykiwać rozkazy do swoich ludzi na górze i na podwórzu poniżej, by zmobilizować niewielką grupkę podwładnych.

– To dobry pomysł – ocenił Horace. Uważnie słuchał, jak Gilan wydaje rozkazy. – Dorzucę ci po dwóch ludzi na każdej ze ścian.

Odwrócił się i odszedł, by przywołać kapitana dowodzącego oddziałem konnicy. Kiedy wiadomość o zbliżającym się ataku rozeszła się po garnizonie, podwórze wypełniło się ludźmi zdążającymi na swoje stanowiska na ścianach lub zakładającymi pancerze i szykującymi broń. Można było wręcz odczuć ulgę, że oto wreszcie zbliża się starcie. Wyczekiwanie na atak już od dwóch dni nadwyrężało nerwy żołnierzy.

Gilan uśmiechnął się ponuro, przypominając sobie stare powiedzenie: „Czekanie na walkę jest gorsze od niej samej”.

Sprawdził własny sprzęt i upewnił się, że w kołczanie nie brakuje strzał, a saksa i nóż tkwią luźno w pochwach. Potem postawił łuk na desce i blokując gryf stopą, wygiął łęczysko. Naciągnął cięciwę tak, by znalazła się w górnej szczerbince. Potem napiął ją raz czy dwa, żeby się upewnić, czy cięciwa właściwie leży i czy jest w dostatecznie dobrym stanie, nie strzępi się ani nie pęka.

Takie zachowanie było machinalne i całkowicie niepotrzebne. Zwiadowców uczono, by dbali o swój sprzęt i przez cały czas utrzymywali broń w idealnym stanie. Wciąż jednak pamiętał, jak lata temu Halt powiedział: „Właśnie wtedy, kiedy nie sprawdzisz, coś pójdzie źle”.

Zadowolony z przygotowań, po raz kolejny podszedł do palisady. Usłyszał odgłos biegnących stóp i poczuł wibracje desek podestu. Kiedy rozejrzał się, zobaczył grupkę łuczników oraz żołnierzy biegnących na stanowiska na trzech pozostałych ścianach i zajmujących miejsca umożliwiające objęcie wzrokiem możliwie szerokiego obszaru.

Na południowej ścianie, gdzie stał, znajdowało się największe skupisko obrońców. Pięciu łuczników oraz on – gotowi zapewnić odpowiednio

zabójczą chmurę strzał – wraz żołnierzami konnicy tworzyli silną linię defensywną ustawioną wzdłuż palisady. Gilan zobaczył Horace'a wydającego swoim sześciu ludziom rozkaz, by wylali wodę z beczek do drenów przy bramie. Mężczyźni pobiegli wykonać polecenie dowódcy i po kilku minutach strumienie wody chlusnęły z ukrytych rur pod ścieżką i zalały trawę porastającą strome zbocze.

– To powinno ich spowolnić – powiedział z uśmiechem Horace, kiedy dołączył do Gilana.

Na dole rozległ się sygnał odegrany na trąbce, a dwa pierwsze szeregi oddziałów wroga skręciły w prawo i ruszyły na początek spiralnej ścieżki. Gilan zauważył, że niosą wykonane z drewna tarcze o długości ciała, a grupę pośrodku kolumny obciążono długimi drabinami wykonanymi z równo przyciętych podrostów ze szczeblami przytwierdzonymi za pomocą skórzanych rzemieni i pnączy. A zatem to konieczność przygotowania drabin oraz nowych tarcz przyczyniła się do opóźnienia ataku. Najwyraźniej wrogowie odrobili lekcję dotyczącą zabójczej skuteczności araluеńskich łuczników.

Gilan naliczył pięć drabin i oszacował ich zasięg. Wyglądały na dostatecznie długie, by sięgnąć ściany fortu. Rozejrzał się po podeście. Horace zorganizował ludzi, którzy przez dwa ostatnie dni zbierali kamienie i rozkładali je co kilka metrów, przygotowując do użycia.

Przyjrzał się mężczyznom stojącym na pozostałych trzech ścianach. Pomyślał, że ich liczebność jest przygnębiająco niska. Jeśli atakujący będą sprawnie dowodzeni i odpowiednio zawzięci, mają sporą szansę, aby przedostać się do wnętrza fortu. Wszystko zależy od tego, gdzie skupi się atak. Obrońcy nie mieli dość ludzi, by obstawić wszystkie cztery ściany.

– Ilu ich jest, jak sądzisz? – zapytał Horace'a, który zmrużonymi oczami obserwował kolumnę.

– Może osiemdziesięciu – odpowiedział. – Nie poświęcili wszystkich swoich sił.

– Nie ma też z nimi ich dowódcy – dodał Gilan. Nigdzie nie widział oficera z ramieniem na temblaku, który kilka dni temu był taki pyskaty. Atakujących prowadził człowiek młodszy – bardziej wojownik niż mówca. Siedział na koniu i zachęcał go do wspinaczki po nierównej, stromej ścieżce, rzucając co chwila spojrzenia na obrońców nad sobą. Także i on czekał na atak, który prędzej czy później musiał nastąpić.

Pierwsi nacierający zniknęli już za wzgórzem, reszta podążała za nimi. W ich kolumnie tworzyły się luki, gdyż wspinaczka po nierównym szlaku była trudna – zwłaszcza dla niosących drabiny.

Spiralny szlak wił się zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

– Są w zasięgu wzroku. Wciąż trzymają się szlaku – poinformował dowódca z zachodniej ściany, kiedy ogon kolumny zniknął Gilanowi z oczu.

Parę minut później północna ściana powtórzyła ostrzeżenie. Gilan kiwnął głową. Napastnicy wciąż znajdowali się parę poziomów od szczytu oraz stromych, śliskich stoków porośniętych trawą. Jeszcze za wcześnie, by opuścili ścieżkę.

– Widzę ich. Wciąż idą! – To był meldunek ze wschodniej ściany.

Wkrótce kolumna znowu pojawiła się, okrążywszy wzgórze. Znajdowała się na kolejnym poziomie spiralnego szlaku, którym niestrudzenie podążała. Dowódca zwiadowców wyczuł, że ktoś się zbliża. To był Nestor.

– Spróbować paru strzał? – zapytał.

Gilan rozważył ten pomysł, po czym pokręcił głową.

– Oszczędzajcie je – powiedział. – Kiedy znajdą się na kolejnym poziomie, uderzymy w nich od góry pojedynczą salwą, a potem zasypiemy kolejnymi.

Nestor zgodził się z decyzją. On też widział sens w czekaniu, aż wróg znajdzie się w zasięgu łuczników, a następnie zasypaniu go gradem pocisków. Przeciwnik będzie wtedy przygotowywał się mentalnie do ataku na wzgórze i widok padających towarzyszy przeszytych strzałami z pewnością przyniesie demoralizujący efekt – także dlatego, że już od kilku minut będą się spodziewać takiego ostrzału.

Kolumna ponownie schowała się za wzgórze i po chwili rozległy się ostrzeżenia z pozostałych trzech ścian. Kiedy maszerujący pojawili się po raz kolejny, znajdowali się już na przedostatnim poziomie ścieżki, tuż pod bramą.

– Strzelcy, na miejsca! – zawołał Gilan i pięciu łuczników rozstawionych na południowej ścianie podbiegło do palisady, zakładając strzały na cięciwy. Gilan poszedł w ich ślady.

– Żołnierze, na miejsca! – huknął Horace i jego ludzie podeszli do przodu, a każdy trzymał w górze długą lancę. Choć tę broń zaprojektowano, by posługiwać się nią z siodła, pozwalała także odpierać ludzi wspinających

się po drabinach i przekłuwać ich żelaznymi szpicami, zanim zdążą użyć swojej broni krótkiego zasięgu – toporów, mieczy i kijów.

Szturmujący zawahali się. Nagle wysoka ściana tuż nad nimi wypełniła się uzbrojonymi wojownikami. Wczesne słońce mieniło się w stalowych grotach ich lanc i na hełmach noszonych przez konnicę.

– Łucznicy! – zawołał Gilan. – Jedna od góry, potem cztery szybkie proste. Gotowi!

Sześć łuków jęknęło cicho, kiedy strzelcy naciągnęli cięciwy, celując w skupisko atakujących. Ci zauważyli ruch i podnieśli tarcze, by się zasłonić.

– Celujcie w szpary! – dodał Gilan. – Już!

Puszczone cięciwy brzęknęły nieprzyjemnie i kilka sekund później sześć strzał uderzyło w ludzi kulących się na stoku poniżej. Dwie trafiły w luki wykonanej na poczekaniu zapory, a dwóch przeciwników zatoczyło się i przewróciło na skraj ścieżki, po czym stoczyli się po pokrytym trawą zboczu. Reszta strzał wbiła się w tarcze, ale siła uderzenia zachwiała trzymającymi je mężczyznami. Gdyby ustawiono tę formację w sposób prawidłowy, uzyskaliby wsparcie ze strony dwóch czy trzech szeregów stojących za ich plecami, pomagających im utrzymać szyk. Tu jednak znajdowali się na nierównym, pochyłym zboczu i kilku siłą rzeczy cofnęło się, otwierając zaporę na serię kolejnych pocisków, posłanych jeden po drugim ze ściany tuż nad nimi. Kolejni szturmujący zaczęli krzyczeć z bólu i zataczać się, chwytając za okrutne strzały, które ich przebiły.

– Sformować ścianę!

To był ten oficer na koniu, którego Gilan wcześniej zauważył. Poganiał konia, próbując przedostać się przez tłum ludzi. Gilan wystrzelił w jego kierunku, ale doświadczony wojownik trzymał tarczę na odpowiedniej wysokości. Był w stanie odbić wszystkie nadlatujące strzały!

– Twarzami w stronę szczytu! – rozkazał i atakujący wysłuchali jego polecenia. – Naprzód! – wrzasnął. Głos drżał mu z wysiłku.

Jego ludzie zaczęli wspinać się po trawiastym zboczu, lecz ślizgali się i potykali na mokrej, zdradzieckiej trawie. Wielu zostało podziurawionych przez stojących na górze łuczników. Mimo to brnęli dalej, szukając raz po raz oparcia dla stóp. W końcu oficer, widząc to, wykazał godny podziwu talent do improwizacji.

– Dajcie drabiny! – zawołał, wskazując zbocze toporem o ciężkim ostrzu. Mężczyźni niosący drabiny przez moment szamotali się na ścieżce i po chwili, już pod jego przewodnictwem, ułożyli drabiny na stoku. Atakujący mieli wreszcie o co oprzeć stopy i zaczęli wspinać się po szczeblach w czterech różnych punktach, gromadząc się na wąskiej ścieżce tuż pod bramą. Sama ich liczba świadczyła o tym, że coraz więcej ludzi wdrapywało się na górę. Łucznicy stracili wcześniejszą precyzję i zaczęli strzelać nieco na oślep, by jak najszybciej sięgać po strzały, napinać cięciwy i je zwalniać. Zbyt wiele strzał trafiało jednak w uniesione wysoko tarcze.

Na próżno Gilan szukał możliwości oddania czystego strzału w mężczyznę dowodzącego atakiem. Ten zsiadł z konia i skrywał się za osłoną w kształcie latawca oraz ludźmi kłębiącymi się dookoła niego.

Atakujący dotarli na najwyższy poziom i wciągnęli za sobą drabiny. Gilan wyjrzał za palisadę, lecz zobaczył jedynie dach z tarcz chroniący ukrytych pod nim mężczyzn.

Potem drabina uderzyła o palisadę kilka metrów od niego i jeden z Lisów zaczął się po niej wspinać. Drabina drżała pod uderzeniami jego stóp. Był już w połowie drogi, kiedy z góry wychylił się żołnierz i dźgnął go lancą, posyłając na znajdujący się poniżej dach utworzony z tarcz. Natychmiast kolejny człowiek ruszył na drabinę, a trzeci stanął u jej podstawy, szykując się, by pójść w jego ślady. Gilan wychylił się i zestrzelił wspinającego się. Kolejny był już w drodze.

Teraz zwiadowca widział już cztery drabiny oparte o ścianę palisady. Nie miał czasu rozglądać się za piątą, gdyż atakujący, ignorując deszcz kamieni i pocisków, tłoczyli się na pozostałych, po dotarciu na szczyt palisady wymachując bronią. Obrońcy desperacko dźgali i spychali ich, próbując zrzucić na dół. Atakujący zaczynali zyskiwać przewagę.

– Potrzebujemy więcej ludzi! – zawołał Horace, po czym wskazał dłonią pozostałe trzy ściany. – Ściągnij tu resztę łuczników.

Gilan kiwnął głową i popędził wzdłuż podestu, krzycząc do swoich ludzi, by dołączyli do obrońców nad bramą. Rzucali się w tamtą stronę, zwiększając liczbę siłujących się i spychających wrogów z drabin. Wyjrzał za ścianę i zobaczył znajomą postać wspinającą się po drabinie. To był dowódca przeciwników. Tarczę trzymał wysoko, próbując się nią zasłonić. W drugiej ręce dzierżył potężny topór. Był zwinny i bez trudu chwytał

równowagę. Prawie nie musiał przytrzymywać się szczebli. Kroki stawiał lekko. Gilan odrzucił łuk i sięgnął po miecz. Nagle poczuł, że ktoś odpycha go na bok. Horace zajął jego miejsce.

– Niech wejdzie – powiedział. – Chcę, by zobaczyli, jak pada.

Okrągły puklerz nasunął na lewę ramię, choć namalowany na nim liść dębu był wygięty i porysowany od wrogich ciosów. Czekał, aż dowódca Lisów wdrapie się na palisadę. Miecz, wiele lat temu wykonany przez płatnerzy z Nihon-Ja, leżał już na jego prawym ramieniu.

Dowódca Lisów nagle zrobił wypad tuż nad palisadą, posyłając jedynym uderzeniem topora dwóch z obrońców w powietrze. Tuż pod nim kolejni atakujący szykowali się do wskoczenia na ścianę, kiedy tylko zwolni im miejsce.

Kiedy Gilan go obserwował, kątem oba zauważył ruch na zachodniej ścianie. Teraz już wiedział, co się stało z piątą drabiną. Wystawała nad blanki zachodniej ściany i atakujący wspinali się po niej, spychając dwóch żołnierzy, którzy zostali tam, kiedy przerzucił swoich ludzi na stronę południową.

Trzech Lisów stało już na podeście, a kolejni wspinali się za nimi, kiedy zwiadowca przesunął się na bok, by mieć ich na widoku. Założył strzałę na cięciwę. Z niemal nonszalancką łatwością naciągnął ją, spojrzał przed siebie i wystrzelił, a potem posłał kolejną strzałę, i kolejną.

W ciągu kilku sekund napastnicy leżeli bez życia na podeście. Kiedy czwarty wspinający się po drabinie pojawił się nad ścianą, jego też trafiła strzała i odepchnęła do tyłu. Piąty ostrożnie wyjrzał zza krawędzi palisady, zobaczył swoich martwych towarzyszy i natychmiast zniknął. Dwaj obrońcy rzucili się do przodu, odsunęli drabinę od ściany, a potem pchnęli na bok, zwalając ją na ziemię. Gilan odetchnął z ulgą. Niewiele brakowało!

W tym samym czasie Horace ruszył na spotkanie z dowódcą szturmujących. Mężczyzna zamachnął się toporem na tyle mocno, że skróciłby o głowę stojącego naprzeciwko niego wojownika.

Gdyby tylko trafił.

Horace uniósł tarczę i przechylił ją tak, by odbiła uderzenie, zamiast je zablokować. Topornik nie napotkał więc spodziewanego oporu, co wytrąciło go z równowagi. Teraz to Horace dał krok do przodu, uniósł miecz i wyprowadził pionowe cięcie. Przeciwnik zdołał zasłonić się tarczą, ale siła uderzenia sprawiła, że zachwiał się, zatoczył i uderzył o ścianę.

Horace ruszył do przodu, próbując wykorzystać przewagę, i wtedy mężczyzna ponownie zamachnął się toporem.

Horace'a znów uratował puklerz, odbijając ciężką broń i posyłając ją z brzdękiem na ziemię pod podestem. Krótka zwłoka pozwoliła jednak dowódcy Lisów wyciągnąć miecz. Odzyskawszy punkt oparcia pod stopami, z furią zaatakował przeciwnika. Rozległ się szczęk metalu uderzającego o metal, gdy spotkały się dwa ostrza. Dowódca Lisów skrzywił się zaskoczony, gdyż jego broń napotkała nieruchomą zaporę. Szok wywołany uderzeniem przebiegł przez całe jego ramię i jego ostrze osunęło się tylko odrobinę, co dało tak doświadczonemu żołnierzowi jak Horace zabójczą przewagę.

Jego miecz wystrzelił niczym atakująca żmija. Utwardzona i ostra jak brzytwa klinga przecięła kolczugę, jakby jej nie było. Mężczyzna wyprostował się i po raz kolejny zatoczył na ścianę. Horace uwolnił swój miecz i staranował przeciwnika tarczą. Dowódca Lisów poleciał do tyłu, przetoczył się przez szparę pomiędzy dwoma krenelażami i spadł prosto na żołnierzy wspinających się za nim po drabinie.

Zgromadzeni pod ścianą jęknęli z rozpaczy. Gdy zobaczyli swojego najlepszego wojownika, a zarazem dowódcę pokonanego z tak dziecinną łatwością, z miejsca stracili chęć do walki. Jeśli jemu nie udało się wejść po drabinie, jakie szanse mieli oni?

Lisy zaczęły odstępować od ściany, zostawiając oparte o nią drabiny, które obrońcy natychmiast zwalali. Atakujący zaczęli zsuwać się wzdłuż porośniętego zbocza na niższe piętro szlaku. Biegli, ześlizgiwali się, staczali po trawie zmoczonej teraz nie tylko wodą, lecz także krwią. W ciągu kilku minut ich odwrót zamienił się w paniczną ucieczkę.

Zachęceni łucznicy znów sięgnęli po łuki i zaczęli wystrzeliwać przeciwników zsuwających się w dół zbocza. Gilan ze znużeniem pokręcił głową. To była rzeź.

– Przestańcie strzelać! – zawołał. – Oszczędzajcie strzały!

Odwrócił się do Horace'a, który czyścił swój miecz kawałkiem materiału.

– Niewiele brakowało – odetchnął.

Horace początkowo nie odpowiedział, obserwując pierzchające wojsko oraz liczne ciała leżące na ziemi u podstawy wzgórza.

– Być może. Ale nie sądzę, by szybko znów tego spróbowali.

ROZDZIAŁ 33

W kościele pod kryjówką Maddie wybuchło istne pandemonium. Lisy rzuciły się w stronę schodów prowadzących na emporę. Zapanował rejwach, wszyscy krzyczeli jednocześnie. Dimon wrzeszczał, a w jego głosie słychać było napięcie.

– Na górze! Na galerii! Łapcie go!

Maddie uświadomiła sobie ze zgrozą, że ma odciętą drogę ucieczki. Nie miała szans dopaść drzwi wyjściowych, zważywszy ilu mężczyzn wdzierało się już na schody.

Zbyt wielu próbowało jednocześnie wdrapać się na górę, co dało jej odrobinę czasu. Poza tym nie wzięli pod uwagę tego, że drewno było stare i spróchniałe. Nagle rozległ się trzask i dwa schodki puściły, posyłając czterech wdzierających się na dół. Ci, spadając, zepchnęli kolejnych i przez chwilę u podstawy schodów kłębiły się stłoczone ciała.

Potem jeden z nich, bardziej rozgarnięty chyba od pozostałych, przejął kontrolę nad sytuacją. Odepchnął próbujących się pozbierać towarzyszy, sięgnął do poręczy schodów i ostrożnie podciągnął ponad dwa pęknięte szczeble.

– Spokojnie! – zawołał. – Pojedynczo! Poruszajcie się powoli!

Maddie usłyszała miarowe kroki na schodach. Zdesperowana, rozejrzała się w poszukiwaniu drogi ucieczki. Przez chwilę rozważała opuszczenie się z balustrady i zeskoczenie do nawy głównej, odrzuciła jednak ten pomysł. Na dole wciąż kłębili się ludzie. Z pewnością momentalnie by ją złapali.

Alternatywą było okienko, zamknięte jednak i wykonane z niewielkich kawałków szkła pomalowanych na różne kolory i ułożonych tak, by dzięki padającemu na nie zewnętrznemu światłu rzucały na podłogę wzory. Teraz jednak, przy oświetlonym wnętrzu kościoła, wydawało się ciemne i niepokojące. Poszczególne części witraża utrzymywały ołowiane ramki, konstrukcja była jednak stara i Maddie miała nadzieję, że ramki są już

delikatne i słabe. W przeciwnym razie poraniłaby się, gdyby próbowała się przez nie przebić – a to właśnie planowała zrobić.

Nie miała czasu na zastanawianie się. To była jedyna droga ucieczki, a już widziała głowy i ramiona pierwszych ścigających ją mężczyzn, pojawiające się tuż nad podłogą, w miejscu, gdzie schody sięgały antresoli.

Poderwała się na nogi, sięgnęła po pelerynę i pobiegła jak najszybciej w stronę okna. W ostatniej chwili pochyliła głowę, osłaniając ją złożonymi rękoma i płaszczem, po czym rzuciła się prosto w okienko. Gdzieś za sobą usłyszała mężczyznę, który stał na szczycie schodów i wykrzykiwał ostrzeżenie swoim towarzyszom na dole.

Potem uderzyła w taflę witraża.

Pajęczyna ołowianych pasków przytrzymujących szkło okazała się tak stara i krucha, jak Maddie się spodziewała. Przebiła się przez nią z rozdzierającym trzaskiem, posyłając deszcz szkła i okruchów ołowiu prosto w ciemną noc.

Od ziemi dzieliły ją trzy metry i podczas lotu czuła, że się obraca. Schowała głowę i skręciła się, dzięki czemu uderzyła o ziemię barkiem, przetoczyła się, by zaabsorbować siłę uderzenia. Mimo to upadek pozbawił ją tchu. Kilka sekund zajęło jej podniesienie się z ziemi i odzyskanie oddechu. Tuż nad nią z rozwalonego okna wychylał się człowiek, który jako pierwszy wspinał się po schodach i krzyczał, by ci na dole odcięli jej drogę.

Drzwi znajdowały się pięć metrów od niej. Zanim Maddie nabrała powietrza w płuca, czterech mężczyzn otworzyło je na oścież. Zawahali się, gdyż po wyjściu z wnętrza oświetlonego pochodniami opactwa ich oczy nie były przyzwyczajone do ciemności. Nagle jeden z nich zauważył ją.

– Tam jest!

Stali pomiędzy nią a miejscem, w którym zostawiła Zderzaka. Maddie nie miała wyboru. Odwróciła się i biegiem rzuciła się w stronę tylnej części opactwa. Ruszyli za nią. Obrana droga oddalała ją coraz bardziej od konia, ale nie miała innej możliwości. Kiedy wbiegała za budynek, słyszała mężczyznę w oknie wykrzykującego kolejne instrukcje, ale nie rozumiała słów. Zagłuszał je szum krwi w uszach oraz jej własny ciężki oddech.

Zatrzymała się i oparła się o kamienną ścianę. Próbowała zagwizdać na Zderzaka, ale suchość w ustach i urwany oddech nie pozwolił jej na wydanie choćby cichego dźwięku. W tym momencie uświadomiła sobie, co

krzyczał mężczyzna w oknie – trzech kolejnych Lisów wyłoniło się przed nią zza ściany. Musiał więc ich posłać, by odcięli jej drogę!

Po tej stronie kościół niemal przylegał do lasu i jedynie wąska przestrzeń dzieliła kamienne ściany od gęsto rosnących drzew i krzewów. Maddie nie zdołałaby przedostać się przez nie, miała więc do dyspozycji pas o szerokości zaledwie pięciu metrów. Wyciągnęła saksę, by zabrać kilku ludzi ze sobą. Nie liczyła jednak na to, że pokona trzech zbliżających się mężczyzn oraz czterech kolejnych, nadbiegających od tyłu.

Blokujący jej drogę zawahali się, po czym ruszyli w jej stronę. Dwóch z nich trzymało miecze, trzeci zaś uzbrojony był w gruby kij. Maddie rozsunęła stopy i przygotowała saksę, choć wiedziała, że nie zdoła obronić się przed trzema napastnikami jednocześnie, zwłaszcza dysponującymi bronią o dłuższym zasięgu niż jej własna.

Nagle jakiś kudłaty kształt wyłonił się zza kościoła tuż za Lisami. Pierwszy z mężczyzn, kiedy usłyszał dudniące o ziemię kopyta, zaczął się odwracać, ale w tym momencie Zderzak wpadł na niego i posłał go w powietrze. W ten sam sposób poradził sobie z drugim mężczyzną, uderzając go z głuchym łoskotem. Lis przewrócił się i znieruchomiał.

Trzeci, który miał przy sobie kij, odwrócił się i przykucnął, wymachując nim w stronę konia. Zderzak zatańczył dookoła niego, potem nagle odwrócił się z gracją, zaparł się przednimi kopytami o ziemię i kopnął tylnymi, trafiając przeciwnika z głośnym BUM! Siła uderzenia poderwała mężczyznę i rzuciła na kamienną ścianę kościoła. Zsunął się po nieociosanych kamieniach i legł bez zmysłów na ziemi. Zderzak wyglądał na wyjątkowo zadowolonego z siebie. Podbiegł do miejsca, w którym Maddie opierała się o ścianę. Jej ramiona unosiły się, gdyż wciąż usiłowała napełnić zmęczone płuca.

– Dobry konik! Dobry konik – wyszeptała, kiedy stanął tuż obok niej. Potem złapała za łęk, jednak nie miała dostatecznie dużo sił, by wdrapać mu się na grzbiet.

– Tam jest!

Czterech ścigających ją mężczyzn pojawiło się w zasięgu wzroku. Spodziewając się zasadzki, zrezygnowali z szybkiego pościgu, pewni, że ich kompani odcięli jej już drogę. Teraz, widząc ją opartą o krępego konia, ruszyli do przodu z nową energią.

– Biegnij – rozkazała Zderzakowi. Odwrócił się i ruszył z kopyta tak szybko, jak potrafią to tylko konie zwiadowców. Maddie uniosła stopy i zacisnęła dłonie na łęku, zwisając z jego boku, kiedy galopował wąskim przesmykiem oddzielającym kościół od lasu.

Dwóch kolejnych ludzi pojawiło się przed nimi, lecz konik po prostu roztrącił ich na boki, tak jak wcześniej tamtych. Krzyknęli z zaskoczenia i bólu, przewracając się na ziemię. Kilku innych próbowało go zatrzymać, widząc jednak, co stało się z ich towarzyszami, uskoczyli na bok. Zauważyli jedynie, że pozbawiony jeźdźca koń w rzeczywistości wiózł ich ofiarę, trzymającą się desperacko siodła.

Lepiej wskocz mi na grzbiet.

– Próbuję, uwierz mi – odpowiedziała Maddie. Oceniła jego prędkość oraz rytm ruchów, po czym pozwoliła stopom dotknąć ziemi i odbiła się, zginając kolana i równocześnie podciągając się na rękach.

Przetoczyła się na grzbiet konia i trzymając się siodła, zdołała przerzucić nogę na drugą stronę. Stopy odnalazły strzemiona. Usiadła wygodnie. Wodze znajdowały się gdzieś na końskiej szyi, nie miała jednak czasu ich szukać. Złapała się grzywy Zderzaka i się pochyliła. Opuścili polanę i wpadli pomiędzy drzewa.

Maddie mgliście zarejestrowała fakt, że pędzą na południe, oddalając się od zamku. Nie mogła nic na to poradzić. Gdzieś za plecami słyszała Dimona, który krzyczał na swoich ludzi, by ruszyli za nią w pościg.

Pomyślała, że później będzie się martwić o zamek. Na razie musi uciec Lisom.

Nie starała się kierować Zderzakiem. Wierzyła, że dzięki instynktowi i doskonałemu wzrokowi przeprowadzi ich przez ciasno rosnące drzewa, nawet na moment nie zwalniając. Chłostały ją nisko pochylone gałęzie. Dwie trafiły dziewczynę w twarz i sprawiły, że z oczu pociekły jej łzy. Schowała się za szyją wierzchowca i trzymała się go kurczowo, gdy w pełnym galopie omijał przeszkody. Biegł szybciej, niż miałaby odwagę mu nakazać. W końcu odnalazła wodze, które obijały mu się o szyję. Schwyciła je jednak luźno, nie chcąc zmuszać konia do skręcenia w jedną czy drugą stronę, zadowolona z tego, że sam wybiera drogę.

Zarżał z wdzięcznością. *Nie spadnij, a wywiozę nas stąd.*

Za sobą słyszała ścigających ją ludzi wykrzykujących coś do siebie oraz tętent kopyt pędzących przez las koni. Żaden z ich wierzchowców nie miał

jednak tak pewnych nóg i tak doskonałego wzroku jak Zderzak. Od czasu do czasu docierały do niej odgłosy zderzeń i pełne bólu krzyki tych, którzy wpadli na drzewa. Dźwięki oddalały się coraz bardziej i w końcu Maddie lekko pociągnęła wodze, by spowolnić pędzącego z oszałamiającą prędkością konia.

– Już dobrze – szepnęła. – Zostawiliśmy ich w tyle.

Zderzak przeszedł z szaleńczego galopu w szybki kłus. Maddie mogła wreszcie zobaczyć wyraźnie otaczające ich drzewa. Wyprostowała się i zaczęła obserwować ziemię. W końcu zobaczyła to, czego szukała – wąską ścieżkę wydeptaną przez dzikie zwierzęta, prowadzącą pomiędzy drzewami na południe.

– Pojedziemy tędy – zadecydowała i szturchnęła konia kolanem, wskazując kierunek. Parsknął i zareagował, skręcając na szlak i ocierając się bokiem o niskie zarośla.

Gdzieś z tyłu wciąż jeszcze słychać było okrzyki oraz tętent kopyt, jednak niezbyt już blisko. Maddie westchnęła z ulgą.

– Pojedziemy na południe, dopóki ich nie zgubimy. Potem zatoczymy koło, ominiemy ich i wrócimy na zamek – powiedziała. Koń parsknął po raz kolejny, koncentrując się na wąskim szlaku.

Dimon powiedział swoim ludziom, że zaatakują zamek następnego dnia. Oznaczało to, że Maddie koniecznie musiała wrócić tam jeszcze tej nocy i ostrzec matkę. Dzięki temu zdołałyby pokrzyżować jego śmiały plan wprowadzenia ludzi przez most zwodzony. Uświadomiła sobie też, że kapitan nie domyślił się, iż to ona ukryła się na galerii. Kilkakrotnie kazał swoim ludziom łapać „go”. Być może nawet doszedł, do wniosku, że to jakiś wędrowny włóczęga zatrzymał się na noc w opactwie – choć obecność konia temu przeczyła.

Była teraz w części lenna, którego nigdy wcześniej nie odwiedzała. Teren powoli się podnosił. Drzewa rosły coraz dalej od siebie, a po obu stronach szlaku wznosiły się niewielkie pagórki. Ich zbocza robiły się coraz bardziej strome i wysokie. Nagle dziewczyna zrozumiała, że wjechali do doliny – początkowo szerokiej, stopniowo jednak zwężającej się, ponieważ strome wzgórza po bokach wyraźnie zbliżały się do siebie.

Zderzak nagle zatrzymał się i spojrzał na wprost. Drogę zagradzała im pionowa skała. Maddie skręciła w prawo i pogalopowała wzdłuż niej, szukając możliwości ominięcia przeszkody. Niestety, skała łączyła się ze

stromymi zboczami doliny, zamykając drogę. Zdesperowana Maddie zawróciła, ale po lewej stronie było tak samo – ściany doliny przypominały odwróconą literę U. Były zbyt wysokie, by się na nie wspiąć.

Serce jej zamarło, kiedy uświadomiła sobie, że znalazła się w ślepej dolinie. Można ją było opuścić jedynie jedną drogą – tą, którą przyjechała.

Zawróciła Zderzaka, ale kiedy spojrzała przed siebie, w oddali pomiędzy drzewami zobaczyła światła pochodni. Dimon i jego ludzie dotarli już do wejścia do doliny.

Znalazła się w pułapce.

ROZDZIAŁ 34

Szereg szukaczy rozstawił się u szerokiego wejścia do doliny. Co trzeci czy czwarty niósł pochodnię. Migoczące światła lśniły pomiędzy drzewami. Posuwały się w górę.

Maddie uświadomiła sobie, że ci ludzie mają ją za wszelką cenę odnaleźć. Podążali za nią ścieżką pozostawioną przez zwierzęta i kiedy szukała wyjścia z zaułka, po prostu ją dogonili. Szli teraz pieszo, zostawiwszy konie wśród drzew. Powoli maszerowali w głąb coraz węższej doliny, uważnie obserwując ziemię w poszukiwaniu jakiegokolwiek śladu.

Zaniepokojona dziewczyna zagryzła wargi. Starała się ocenić sytuację. Przy odrobinie szczęścia mogłaby przemknąć przez ich kordon. Choć mieli pochodnie, w dolinie panowały ciemności, a teren był nierówny. Wokół rosło mnóstwo krzaków, w których mogłaby się ukryć. Ale bez Zderzaka. Jego nie zdołałaby schować.

Podjęła decyzję i zsunęła się z siodła. Poklepała konia po szyi. Odwrócił łeb, by na nią spojrzeć.

– Będziesz musiał przebić się przez ich linię – powiedziała.

Zderzak lekceważąco potrząsnął grzywą.

Dam radę. Wskakuj na siodło i ruszamy.

– Pojedziesz sam, ja ominę ich pieszo. Nic ci nie zrobią, kiedy się zorientują, że mnie z tobą nie ma.

Zderzak zaczął niespokojnie przebierać kopytami. Pomysł rozdzielenia się wyraźnie nie przypadł mu do gustu. Uważał, że ma obowiązek chronić swoją panią. Maddie jednak wiedziała, że tak będzie najbezpieczniej. Jeśli wypadliby razem na uzbrojonych mężczyzn, istniałoby spore ryzyko, że zabiliby lub ranili jej konia – a ją samą pochwycili. Wówczas nie zdołałaby poinformować Cassandry o planowanym ataku na Zamek Araluen.

Teraz było to dla niej najważniejsze zadanie.

Rozdzielając się, oboje ryzykowali, ale ryzyko było dużo mniejsze, niż gdyby zostali razem. Istniała też szansa, że Zderzak odciągnie uwagę

prześladowców i pozwoli przemknąć jej przez kordon poszukiwawczy.

Maddie poklepała go po karku.

– Zaufaj mi – powiedziała. – Tak będzie najlepiej. Kiedy się przedostaniesz przez ich linię, skieruj się do lasu w pobliżu wejścia do tunelu. Tam się spotkamy.

Koń znów niespokojnie potrząsnął grzywą. Maddie spojrzała w dół i zobaczyła zbliżające się pochodnie. Musiała ruszać. Dolina robiła się coraz węższa, a tym samym odległości pomiędzy szukaczami malały. To oznaczało, że coraz łatwiej będzie im ją zobaczyć. Poklepała konia lekko po zadzie.

– Ruszaj – rozkazała. Przysiadł na tylnych nogach, unosząc przednie dobry metr nad ziemię, a potem pobiegł kłusem przed siebie. Na ukos, ku lewej stronie doliny. – Dobry konik – szepnęła. Z pewnością skupi uwagę ludzi na tej właśnie części niecki. Owinęła się peleryną i skulona zaczęła biec w prawo.

Zarośla sięgały jej do pasa. Bez trudu prześlizgiwała się przez nie, a peleryna pomagała jej wtopić się w otoczenie. Choć pochylała się, głowa wystawała jej nad linię krzaków. Wiedziała, że zbliżający się ludzie mogą ją zauważyć.

Kiedy dostrzegli Zderzaka, usłyszała ostrzegawcze okrzyki. Szukający odruchowo zwrócili się w stronę konia i zaczęli się do niego zbliżać. Maddie zorientowała się, że skupili na nim całą swoją uwagę, popędziła więc w stronę wyjścia z doliny, wciąż jednak nisko pochylona.

– Zostawcie go! To tylko jego koń! – usłyszała nagle głos. Mężczyźni wycofali się, pozwalając krępemu zwierzęciu ominąć ich. Potem rozległy się kolejne okrzyki, jeden z nich, należący do Dimona, skutecznie się przez nie przebił.

– Teraz idzie pieszo. Pewnie będzie próbował ukryć się w górnej części doliny. Nie może uciec. Ustawcie się w szeregu i do przodu!

Najwyraźniej ścigający ją byli obeznani z ukształtowaniem terenu. Słowa Dimona były potwierdzeniem, że dobrze zna tę ślepą dolinę i że spodziewa się, iż uciekinier ukrywa się gdzieś przed nimi. Nie podejrzewał jednak, że mógł zawrócić w ich stronę, próbując prześlizgnąć się przez kordon. Niewielu ludzi zdecydowałoby się podjąć tak odważną próbę, a Dimon nie wiedział, że ściga zwiadowcę.

Jego ludzie znów zaczęli oddalać się od siebie; wcześniej zgromadzili się w miejscu, w którym Zderzak przegalopował obok nich. Maddie miała nadzieję, że zdoła ich ominąć, zanim wrócą na pozycje, szybko jednak zorientowała się, że to niemożliwe. Szereg odtworzono niezwykle sprawnie; znajdowała się teraz zaledwie dwadzieścia metrów od idących. Oceniła, że stoi dokładnie pomiędzy dwoma szukaczami oddalonymi od siebie o pięć metrów. Nagle jednak ukształtowanie terenu zmusiło ich do skrętu w lewo, więc jeden z nich mógł minąć ją w odległości zaledwie metra. Cisza i całkowity bezruch miały być jej najlepszymi sojusznikami. Powoli opuściła się na ziemię i położyła, przykrywając peleryną całe ciało.

Szczęście jej nie sprzyjało. W miejscu, w którym się wyciągnęła, zarośla rosły nie tak gęsto jak w innych częściach doliny. Nie ruszała się, a jednak czuła się całkowicie odsłonięta. Słyszała, jak najbliższy z szukaczy z chrzęstem przedziera się przez niskie krzaki rosnące naprzeciwko niej. Na szczęście nie miał pochodni, którą niósł człowiek idący po jego prawej stronie. Maddie leżała z twarzą przyciśniętą do ziemi. Blask światła stawał się coraz jaśniejszy. Zbliżali się do niej.

Z pewnością ją zobaczą. Wzdrygnęła się w myślach. Z całych sił starała się nie drgnąć. Wstrzymała oddech, zasłonięta peleryną pokrytą nieregularnym, szarozielonym wzorem, który wtapiał ją w otoczenie.

Zaufaj pelerynie.

Słynne motto zwiadowców krążyło jej po głowie. Bała się, że usłyszą głośne bicie jej serca. Tuż obok jej głowy trzasnęły gałęzie zmiażdżone stopą idącego. Pomyślała, że mężczyzna musi znajdować się jakieś pół metra od niej. Nagle poszukiwacz znieruchomiał. Usłyszała nad sobą przekleństwo, a potem trzaśnięcie. Dosłownie nad głową.

– Co się dzieje? – dobiegł ją głos z prawej strony. To mężczyzna niosący pochodnię odezwał się do towarzysza.

– Komar – odpowiedział głos obok niej. – Ale dopadłem go – dodał.

– To się ciesz. – W głosie człowieka z pochodnią dosłyszała sarkazm. – A teraz ruszaj się. Zostajemy z tyłu.

A potem, nieoczekiwanie, Maddie poczuła ostry ból w lewym nadgarstku. Ciężki but stanął na nim, wgniatając go w twarde, kamieniste podłoże. Stało się to tak nagle, tak niespodziewanie i tak zabolało, że dziewczyna prawie krzyknęła. Niemal wyrwała dłoń spod buta. Naszło ją również silne uczucie déjʃ vu. Przypomniała sobie sytuację mającą miejsce

zaledwie kilka tygodni wcześniej, podczas zaliczenia. Zagryzła wargi, powstrzymała pchający się jej na usta okrzyk bólu i wykorzystała całą siłę woli, by pozostawić dłoń na miejscu. Bez ruchu.

Znajdujący się tuż nad nią człowiek potknął się i zaklął.

– Co znowu? – Głos mężczyzny niosącego pochodnię wyrażał zniecierpliwienie.

– Potknąłem się o korzeń – wyjaśnił szukacz. – Poświeć tu trochę.

Maddie poczuła, jak skóra cierpnie jej ze strachu. Teraz z pewnością ją znajdą. Ale słysząc poirytowaną odpowiedź, odetchnęła z ulgą.

– Po co? Już się o niego potknąłeś. Teraz chcesz go sobie obejrzeć? Ruszaj się. Wstrzymujemy cały szereg!

– Och, odczep się ode mnie – mruknął mężczyzna. Nacisk na nadgarstek Maddie ustąpił, kiedy tamten uniósł stopę i ruszył dalej. Maddie wyraźnie słyszała chrzęst jego butów oraz szelest towarzyszący przedzieraniu się przez niskie krzaki. Odgłosy powoli oddalały się i dziewczyna uświadomiła sobie, że ją minęli.

Znalazła się za tyralierą szukaczy.

Wciąż leżała nieruchomo. Czekała, wytężając słuch, czy przypadkiem za pierwszą linią nie idzie kolejna. Było cicho. Nic dziwnego, nie mieli umiejętności zwiadowców, którzy szukali jej podczas Zgromadzenia. Była to przecież grupa zorganizowana na poczekaniu i pomysł puszczenia pojedynczych szukaczy tuż za pierwszym szeregiem nikomu nawet nie przyszedł do głowy.

Mimo to leżała w ciszy, pozwalając im się oddalić. Coraz słabiej docierały do niej odgłosy rozmów – choć słyszała, że mężczyzna, który na nią nadepnął, wciąż skarżył się i narzekał. Uświadomiła sobie, że miała szczęście, iż to właśnie on znalazł się najbliżej niej. Najwyraźniej nie był odpowiednio zmotywowany i bardziej interesowało go narzekanie na sytuację niż przykładanie się do poszukiwań. Pomyślała, że bardziej sumienny człowiek pewnie by ją zauważył.

Teraz musiała wybrać odpowiednią chwilę, by ruszyć dalej. Niedługo szukający dotrą do końca doliny i zaczną wracać tą samą drogą. Do tego czasu powinna być już daleko stąd.

Nie mogła jednak ruszyć się zbyt wcześnie. Zmusiła się, by policzyć do pięćdziesięciu, po czym ostrożnie podniosła się na kolana, tak by jej głowa znalazła się tuż nad sąsiednim krzakiem. Rozejrzała się po dolinie.

Zobaczyła szereg szukaczy, łatwo rozpoznawalny dzięki blaskowi niesionych przez nich pochodni.

Na dole, po lewej stronie, pomiędzy drzewami, dostrzegła kolejne pochodnie. Nie poruszały się, za to od czasu do czasu przysłaniał je jakiś potężny ciemny kształt. Przez chwilę nasłuchiwała. Usłyszała pojedyncze parsknięcia oraz stukot kopyt. A więc znajdowali się tam ludzie, którzy mieli pilnować koni należących do szukaczy.

Skierowała się w prawo i pomimo bólu w udach zaczęła przedzierać się w kucki przez krzaki. Ten sposób chodzenia ćwiczyła długimi godzinami. Nerwy miała napięte jak postronki, ponieważ w każdej chwili spodziewała się okrzyku, który oznaczałby, że została zauważona. Ale płynność ruchów oraz zdobyte umiejętności sprzyjały jej. Prześlizgnęła się po cichu pomiędzy drzewami u wylotu doliny. Zerknęła przez ramię i zobaczyła falującą linię pochodni wyraźnie zbliżającą się do końca doliny.

Pomyślała, że pora uciekać. Spojrzała w gwiazdy, by zorientować się w swojej pozycji, i ruszyła biegiem pomiędzy drzewami, kierując się na północ. Kiedy spoglądała w niebo, widziała już pierwszy poblask nadchodzącego świtu. Miała ochotę przyspieszyć, ale wiedziała, że chcąc dobiec jak najdalej, powinna utrzymać równe tempo. Uparcie przedzierała się przez zarośla, gdyż wiedziała, że ściga się z czasem.

Gdzieś za sobą usłyszała dźwięk trąbki. Lisy musiały dotrzeć do końca doliny i Dimon, nie znalazłszy jej, ogłaszał odwrót. Kilka minut później usłyszała głuchy tętent kopyt. Lisy wróciły do koni i pogalopowały w stronę zamku. Nie miała szans ich dogonić. Źródło dźwięku minęło ją i powoli ucichło.

Biegła dalej. Zależało jej, by dotrzeć do tunelu, zanim Dimon wróci na zamek.

Po kilku minutach zorientowała się, że się zgubiła. Znów znajdowała się wśród drzew i nie widziała gwiazd, ale nawet gdyby je zobaczyła, też pewnie nie wiedziałaby, gdzie się znajduje. Uciekając z opactwa, pozwoliła Zderzakowi pędzić, gdzie go oczy poniosą. Kluczył między drzewami, a potem skręcił na ścieżkę wydeptaną przez zwierzęta, która chaotycznie zmieniała kierunek.

Wydawało jej się, że opactwo leży gdzieś po prawej stronie. Postanowiła wrócić tam. Wiedziałaby wtedy, w którym kierunku ma iść. Zatrzymała się, zastanawiając się nad kolejnym ruchem. Instynkt podpowiadał jej, że

zamek leży przed nią, nieco na lewo. Kusiło ją, by posłuchać instynktu. Wiedziała jednak, że najpierw musi ustalić swoją pozycję, odnaleźć jakieś znajome miejsce i dopiero wtedy ruszyć w dalszą drogę. A jedynym tego typu miejscem było opactwo. W przeciwnym razie mogłaby błąkać się po lesie bez końca.

W ponurym nastroju przypomniała sobie stary dowcip o podróżniku, który zapytał starego chłopa o drogę do miasta. „No cóż, odpowiedział chłop, gdybym tam się wybierał, na pewno nie zaczynałbym stąd”.

Znalazła się w trudnej sytuacji. Aby dostać się do zamku, musiała znaleźć jakieś znane sobie miejsce. Żałowała, że nie jest w stanie utrzymać tempa Dimona oraz jego konnych i po prostu podążać ich śladem. Znali okolicę i z pewnością wiedzieli, którędy wrócić na zamek.

– Od samego życzenia sobie czegoś niczego się nie osiągnie – powiedziała. Było to ulubione powiedzonko Willa, który nauczył się go od Halta.

Zwiesiła ponuro głowę i skręciła w prawo, by poszukać opactwa. Była załamana, uświadomiła sobie bowiem, że przegrała właśnie wyścig do Zamku Araluen.

ROZDZIAŁ 35

Kiedy zobaczyła górującą nad wierzchołkami drzew wieżę opactwa, odetchnęła z ulgą. Kilka minut później dotarła na polanę, gdzie stał rozpadający się kamienny budynek. Zbliżała się ostrożnie, nie mając pewności, czy wróg nie czai się w pobliżu.

Wokół panowała cisza, więc rozejrzała się uważnie. Uchylone drzwi bez ruchu wisiały na zawiasach, widziała też dziurę po witrażu oraz popękane kawałki szkła i ołowiu leżące na ziemi tuż pod nim, pamiątki po jej gwałtownej ucieczce.

Po raz kolejny odetchnęła z ulgą. Znajdowała się w znanym sobie miejscu, z którego potrafiła już wrócić do domu. Spojrzała na słońce wschodzące nad wierzchołkami drzew i poczuła ukłucie niepokoju. Znała codzienne zwyczaje na Zamku Araluen. Most opuszczano, a kratę w bramie podnoszono pomiędzy godziną ósmą a dziewiątą. Zaraz po tym, jak garnizon upewnił się, że w okolicy nie pojawił się wróg. Sądząc po słońcu, chwila ta właśnie nadeszła. Wkrótce potężne koła zębate zaczną się obracać, a most połączy obie strony fosy.

Dimon zapowiedział swoim ludziom, że ruszą w samo południe. Wtedy też mieli zaatakować zamek. Skoro ich sekret się wydał, pewnie nie będą tracić czasu. Maddie podejrzewała, że Lisy ukrywały się już w lesie pod wzgórzem, zakładając mundury i upodabniając się do żołnierzy garnizonu.

– Cóż zrobić – powiedziała do siebie, zawróciła i ruszyła biegiem przez las. Tak jak poprzednio, nie pędziła jednak na złamanie karku. Starała się utrzymać stałe tempo i miarowo pokonywać kilometry. Miała nadzieję, że Dimon się spóźni i Maddie dotrze do tunelu dostatecznie wcześnie, by podnieść alarm.

Nieświadomie zaczęła liczyć kroki, by zmierzyć przebyty dystans. Doszła do stu i zaczęła od nowa. Niema intonacja zgrała się z rytmem jej stóp miękko uderzających o leśne poszycie.

Jej umysł wciąż analizował słowa Dimona z minionej nocy – zwłaszcza groźbę skierowaną pod adresem Cassandry. Bez najmniejszych skrupułów chciał zabić jej matkę. Zamierzał przejąć tron i nie mógł zostawić przy życiu żadnego pretendenta. Nikogo, kto byłby w stanie pokrzyżować jego plany albo wzmocnić ruch oporu przeciwko jego władzy. Chciał zabić również jej dziadka. Na samą myśl o zagrożeniu, jakie kapitan straży stanowił dla tego bezbronnego starego człowieka, Maddie poczuła narastającą wściekłość.

Dimon zamierzał podawać się za pogromcę Klanu Czerwonego Lisa i utrzymywać, że rozprawił się z buntownikami zbyt późno dla Cassandry i jej rodziny. Czy Horace i Gilan uwierzyliby w jego słowa? Z żalem stwierdziła, że to możliwe. Nie mieliby podstaw, by podejrzewać o zdradę kapitana, który nieraz potwierdził swoją wartość jako lojalny oficer i obrońca księżniczki. Ojciec Maddie byłby załamany śmiercią żony i córki, ale nie widziałby powodów, by nie wierzyć temu człowiekowi.

Pomyślała, że Gilan mógłby postąpić podobnie. Przysięgał wierność koronie, więc pewnie służyłby potem Dimonowi jako dowódca Korpusu Zwiadowców. Obaj nie byliby szczęśliwi, ale zaakceptowaliby nową sytuację.

– Nie pozwolę na to – przyrzekła sobie Maddie. Była w opactwie i dowiedziała się o zdradzie Dimona, czego on jednak nie wiedział. Spodziewał się, że zastanie ją w zamku z Cassandrą. I że będzie jedynie kolejną nieskomplikowaną przeszkodą do usunięcia. Po raz pierwszy zrozumiała, dlaczego tak ważne było utrzymywanie w sekrecie jej szkolenia. Wcześniej uważała to za pomysł melodramatyczny i całkowicie niepotrzebny, chociaż nie zamierzała się sprzeciwiać. Miała świadomość, że gdyby odmówiła dochowania tajemnicy, zakończyłaby naukę przed czasem. Czasami całe to zamieszanie z przebieraniem się, zamianą koni i tożsamości utrudniało jej życie, teraz była za nie wdzięczna losowi.

Biegnąc wśród drzew, wróciła do liczenia kroków. Bała się, że dotrze za późno. Musiała jednak spróbować

Cassandra ćwiczyła z Maikeru. Po raz pierwszy od wielu dni znalazła czas, by popracować nad fechtunkiem, i cieszyła się każdą chwilą fizycznego i psychicznego wysiłku. Posłała służącego do Dimona. Chciała, by zapytał, czy dołączy do niej. Mężczyzna wrócił jednak z informacją, że dowódcy straży najprawdopodobniej nie ma na zamku.

– To dziwne – zadumała się. – Ciekawe, co robi… – dodała, ale po chwili zapomniała o sprawie. W końcu mimo ograniczonej liczebności garnizonu Dimon miał sporo obowiązków. Między innymi musiał wystawiać straże i nadzorować codzienne zajęcia ludzi pozostających pod jego rozkazami. Nie mogła spodziewać się, że w każdej chwili będzie gotowy rzucić wszystko i stawić się na jej wezwanie.

Drewniany miecz ćwiczebny Maikeru uderzył ją boleśnie w ramię.

– Skup się na ćwiczeniach – skarcił ją nauczyciel. – Rozkojarzony umysł stanowi zagrożenie. Musisz się skoncentrować. Zacznij od nowa.

Potarła ramię i ukłoniła się, przepraszając za nieuwagę. Potem przyjęła pozycję bojową i ruszyła na niego, uderzając to z lewej, to z prawej, w sekwencji góra, dół, dół i góra. Wreszcie, po ostatnim cięciu, gładko odwróciła miecz i skoczyła do przodu, wysuwając prawą nogę i wyprowadzając pchnięcie ręką.

Miecz Maikeru w ostatniej chwili odbił atak. Mężczyzna cofnął się i dał znak, że wymiana dobiegła końca, po czym opuścił broń. Kiwnął z uznaniem głową.

– To było dobre, pani – stwierdził poważnym tonem. – Pozbyłaś się ruchu sygnalizującego, że zamierzasz zastosować pchnięcie. Podejrzewam, że sporo ćwiczyłaś.

– A jednak udało ci się sparować uderzenie – odpowiedziała zasmucona.

Usta mistrza miecza wygięły się w skromnym uśmiechu.

– Studiuję sztukę walki kataną od czterdziestu lat, pani – powiedział. – Pchnięcie jednak dosięgłoby większości twoich przeciwników.

Cassandra odchrząknęła. Wiedziała, że miał rację, ale lubiła rywalizację. Choć raz chciała pokonać nauczyciela w pojedynku. Roześmiała się, gdyż „choć raz” z pewnością by jej nie wystarczyło. Gdyby zwyciężyła, chciałaby to powtórzyć.

Niechętnie ściągnęła rękawiczki. Świetnie bawiła się podczas treningu, ale nie mogła na zbyt długo porzucać spraw urzędowych. Poczuła, że deski podłogowe zadrżały pod jej stopami. Usłyszała też niskie dudnienie,

oznaczające, że potężne tryby mostu zwodzonego właśnie zaczęły się kręcić. To utwierdziło ją w przekonaniu, że pora wrócić do prawdziwej pracy.

– Musi być po ósmej. Czas, bym siadła za biurkiem.

Maikeru przyjrzał się jej z namysłem.

– Pracujesz zbyt ciężko, pani – stwierdził. Jego zdaniem wyglądała na zmęczoną, dostrzegł też kilka siwych kosmyków w jej jasnych włosach.

Zaśmiała się.

– Praca sama się nie zrobi.

Maikeru umieścił oba miecze ćwiczebne na stelażu pod ścianą, potem zebrał kamizelki i rękawice.

– Żadnych wieści z północy?

Pokręciła głową.

– Jak dotąd nic – odpowiedziała. – Podejrzewamy, że wrócą w ciągu kilku dni. Najwyraźniej misja zajęła im więcej czasu, niż się spodziewaliśmy.

Drzwi otworzyły się i do sali ćwiczeń wpadł młody goniec, wyraźnie podenerwowany obecnością regentki oraz jej tajemniczego instruktora. Załoga zamku opowiadała sobie niezwykłe historie o tym poważnym nihońskim wojowniku i jego niecodziennych umiejętnościach posługiwania się kataną. Nie wszystkie z tych opowieści były przesadzone.

– Co się dzieje, Richardzie? – Cassandra uśmiechnęła się, próbując nieco go ośmielić.

– Wasza Wysokość… – zaczął, zwracając się do niej, choć jego oczy wciąż rzucały spojrzenia w stronę Maikeru, jak gdyby oczekiwał, że mężczyzna za chwilę da popis fechtunku. – Sierżant mówi, że do zamku zbliżają się jacyś ludzie.

– Ludzie? – zapytała zaniepokojona Cassandra. – Czy zostaliśmy zaatakowani?

Richard uśmiechnął się uspokajająco.

– Nie, nie, pani. Przepraszam, że zaniepokoiłem Waszą Wysokość. To żołnierze z zamkowego garnizonu.

Twarz księżniczki pojaśniała. Spojrzała na Maikeru.

– To Horace i Gilan – ucieszyła się. – Wrócili!

Ale Richard pokręcił głową. Miał poważną minę.

– Nie sądzę, moja pani – odpowiedział i przykrością zauważył, że księżniczka sztywnieje, a radość znika z jej twarzy. – Nadchodzą z południa. Prowadzi ich kapitan Dimon – dodał wyjaśniająco.

– Dimon? – powtórzyła zaskoczona Cassandra. – Dlaczego zabrał ludzi na południe?

Richard wzruszył ramionami. Nie znał odpowiedzi na to pytanie. Cassandra uświadomiła sobie, że nie powinien jej nawet znać. W końcu był tylko gońcem przekazującym informacje.

– Pójdę sama im się przyjrzeć – zadecydowała.

Chłopak odsunął się na bok. Minęła go, a Maikeru ruszył za nią, jego miękkie buty na kamiennych płytach podłogi były ledwie słyszalne. Richard, trochę zły na siebie, że nie potrafił odpowiedzieć na pytanie księżniczki, pobiegł za nimi.

Przeszli przez dziedziniec pomiędzy wieżą a zewnętrznym murem i zaczęli wspinać się po schodach prowadzących pod blanki. Cassandra wbiegła po kamiennych stopniach na punkt obserwacyjny umieszczony tuż nad mostem zwodzonym. Sierżant odwrócił się, słysząc, że księżniczka nadchodzi. Przywitał ją i wskazał ręką las rosnący na południu.

– Tam – rzucił.

Cassandra podeszła do przerwy w blankach i zerknęła w dół wzgórza. Stosunkowo duży oddział maszerował przez park w stronę zamku. Tworzący go ludzie wyglądali jak strażnicy z Zamku Araluen – nosili czerwone opończe nałożone na kolczugi i błyszczące spiczaste hełmy z czepcami kolczymi zwisającymi z tyłu, by chronić kark. Nieśli też czerwone tarcze z wymalowanym żółtym znakiem X. Poranne słońce odbijało się w grotach ich długich włóczni. Prowadził ich oficer na koniu i choć z daleka trudno było dostrzec rysy jego twarzy, Cassandra była przekonana, że rozpoznaje w nim Dimona. Z pewnością jeździec dosiadał jego kasztana, a na tarczy miał jego herb, charakterystyczny łeb sowy.

– Wyglądają jak nasi ludzie – powiedziała. – Ale skąd się tam wzięli?

Szybko rozejrzała się dookoła. Dostrzegła co najmniej pół tuzina żołnierzy na blankach oraz kolejnych trzech na podwórzu poniżej. Razem dziewięciu. Kilku kolejnych znajdowało się zapewne w koszarach, odpoczywając po zejściu z nocnej służby.

Do obrony zamku Horace zostawił jej dwudziestu pięciu żołnierzy – mało, ale wystarczająco dużo, biorąc pod uwagę grubość murów oraz

systemów obronnych. Teraz jednak widziała blisko trzydziestu ludzi maszerujących w stronę mostu. Skąd się wzięli? Dlaczego prowadził ich Dimon?

O ile w ogóle to był Dimon. Każdy mógł nieść tarczę z jego symbolem, a koń, choć wyglądał jak jego, mógł być innym kasztanem. Cassandra zawahała się. Nagle poczuła, że jest w tym coś niepokojącego. Spojrzała na sierżanta, ale tego typu sytuacje przekraczały jego kompetencje. Był po prostu człowiekiem, który wykonywał rozkazy. Co innego Maikeru. Dysponował chłodnym, analitycznym umysłem i nie zawsze widział tylko to, co spodziewał się zobaczyć.

– Maikeru, co o tym sądzisz?

Stary mistrz miecza oczekiwał tego pytania.

– Nie mamy aż tak wielu ludzi. Poza tym to może być Dimon-san, ale nie musi.

Sierżant spojrzał na nich z przerażoną miną. Zakładał, że zbliżający się oddział to prawdziwi zamkowi strażnicy.

– Pani? – odezwał się niepewnie. – Co mam robić?

Cassandra podjęła decyzję.

– Podnieść most zwodzony – rozkazała. – Jeśli się mylimy, wpuścimy ich później.

Na to było już jednak za późno. Jeździec dowodzący grupą przyspieszył i właśnie zbliżał się do fosy. Strażnicy ruszyli w jego stronę. Chcieli go zatrzymać, lecz zawahali się, widząc znajomą twarz.

I to był błąd. Jeździec wyciągnął broń. Ciął w lewo i w prawo, zabijając ich na miejscu, a następnie pogalopował do ciężkiego, przypominającego fort gmachu wartowni. Tam właśnie znajdowały się mechanizmy mostu oraz opuszczanej bramy. Towarzyszący mu żołnierze zaczęli biec, by jak najszybciej sforsować most. Lada chwila mieli znaleźć się na dziedzińcu.

Cassandra odwróciła się w stronę strażnika.

– Bij na alarm – rozkazała. – Poślij po żołnierzy do koszar i ściągnij wszystkich do donżonu – dodała, biegnąc w kierunku schodów. Po drodze krzyknęła do ludzi na dziedzińcu, by szykowali się do obrony.

Sierżant zawahał się. Nie był pewien, co powinien zrobić. Maikeru podszedł do niego.

– Rób to, co rozkazała – rzucił. – Zostaliśmy zaatakowani!

ROZDZIAŁ 36

Cassandra przebiegła przez dziedziniec w stronę donżonu. Zatrzymała się przy jego drzwiach i zaczęła zaganiać ludzi do budynku. Jednocześnie niecierpliwe zerkała w stronę wartowni wznoszącej się nad bramą, skąd dobiegały odgłosy walki. Na co dzień mostem i kratą zajmowało się sześciu ludzi. Teraz walczyli oni o życie, próbując powstrzymać napastników, którzy dosłownie wlewali się przez most do środka.

Ich walka mogła skończyć się tylko w jeden sposób. Atakujących było więcej, a obrońcy stracili swój największy atut – osłonę potężnych murów Zamku Araluen.

Ich desperacka próba opóźnienia ataku mogła jednak dać Cassandrze i reszcie uszczuplonego garnizonu czas niezbędny do ukrycia się. Żołnierze z koszar, ostrzeżeni przez dzwon bijący na alarm, wybiegli na dziedziniec. Kiedy ostatni z nich znalazł się w donżonie, księżniczka także schowała się do środka i zatrzasnęła za sobą drzwi. Dała znak, by zaryglować je belką.

Sierżant i jeden z żołnierzy unieśli masywną dębową kłodę i wsunęli ją w metalowe klamry. Powinna zatrzymać napastników na dobrych kilka minut. Tyle właśnie czasu zajmie im zorganizowanie tarana i uszkodzenie belki, a następnie zniszczenie drzwi.

Donżon stanowił centrum administracyjne i mieszkalne zamku. Nie został zaprojektowany, by bronić przebywających w jego wnętrzu ludzi przed atakiem wroga, zwłaszcza takiego, który przedostał się już przez mury. Tę funkcję pełniła południowa wieża.

Cassandra spojrzała na dwóch żołnierzy garnizonu. Wyglądali na zaskoczonych i przestraszonych tym, co się wydarzyło.

– Wy dwaj! – huknęła. Stanęli na baczność. – Wynieście mojego ojca z pokoju i zabierzcie go do południowej wieży. Wykonać!

– Tak jest! – odpowiedzieli. Kiedy otrzymali konkretne zadanie, zapomnieli o przerażeniu i pobiegli w stronę schodów. Duncan zajmował

komnatę na czwartym piętrze. Musieli przenieść go przez kamienny most łukowy, a następnie na najwyższe piętro wieży.

Pojawiło się kilku służących. Byli wyraźnie niepewni, zastanawiali się, co się właściwie dzieje. Wśród nich księżniczka zobaczyła Ingrid, służącą Maddie.

– Przyprowadź moją córkę – rzuciła.

Ingrid pokręciła głową ze zmartwioną miną.

– Wasza Wysokość, dopiero co byłam w jej pokoju – odpowiedziała. – Nie zastałam jej. Wsunęła podgłówek pod koce, żeby wyglądało, jakby spała w łóżku. Obawiam się, że wyruszyła na patrol poza teren zamku.

Ingrid jako jedna z niewielu osób była wtajemniczona w to, że Maddie jest zwiadowcą. Dobrze wiedziała, że dziewczyna co noc opuszcza zamek, choć nie znała powodu. Nie wiedziała też, w jaki sposób. Jako służąca nie miała prawa zadawać pytań swojej pani, ale zdawała sobie sprawę, że Maddie potrafi przemieszczać się tak, by nikt jej nie widział.

Zaniepokojona Cassandra zawahała się. Potem uświadomiła sobie, że skoro Maddie nie ma w zamku, to pewnie jest bezpieczna, przynajmniej przez jakiś czas. Podjęła decyzję.

– Dołącz do pozostałych i idźcie na czwarte piętro. Wycofujemy się do południowej wieży – rozkazała. Ingrid kiwnęła głową i odbiegła, choć na jej twarzy malował się niepokój o księżniczkę.

Cassandra usłyszała ludzi łomoczących w zabarykadowane drzwi. Próbowali dostać się do środka. Na razie mieli jedynie zwykłą broń, a topory i miecze były bezużyteczne wobec okutych żelazem dębowych desek. Wiedziała jednak, że szybko znajdą coś cięższego i wykorzystają to jako taran, a wtedy sytuacja się zmieni.

Nagle usłyszała czyjś głos wykrzykujący za drzwiami polecenia.

– Wy czterej! Biegnijcie po ławę i przynieście ją tutaj. Musimy rozwalić te drzwi!

Przypomniała sobie, że na zewnątrz, pod ścianą, stała ciężka drewniana ława. Całkiem nieźle sprawdziłaby się jako prowizoryczny taran. Łomotanie toporów, mieczy i pięści ustało. Kilka chwil później usłyszała kroki, potem coś ciężkiego uderzyło w drzwi. Zadrżały w posadach. Z łuku pod sufitem zaczęła sypać się pokryta farbą zaprawa. Po chwili znów usłyszała Dimona.

– Gotowi? Raz, dwa, trzy!

BANG! Rozległo się kolejne potężne uderzenie. Z belek u góry posypał się pył. Tym razem Cassandra była pewna, że jeden z potężnych zawiasów drgnął o centymetr czy nawet dwa.

Poczuła, że czyjaś dłoń chwyta ją za rękaw. Maikeru.

– Pani, powinniśmy iść. Te drzwi długo nie wytrzymają.

Mężczyźni na zewnątrz znów wzięli rozbieg. Cóż, rzeczywiście skupiła się na nich, a Maikeru miał rację. Drzwi długo nie wytrzymają.

BANG!

Kolejne głuche uderzenie. I po raz kolejny zawias się poruszył. Cassandra zobaczyła szpary tworzące się między kamieniami, w miejscu, gdzie sworznie przytrzymywały go przy ościeżnicy. Szybko jednak puszczały. Co prawda widziała też trzy kolejne zawiasy, które dotąd nawet nie drgnęły, ale wiedziała, że kiedy jeden puści, pozostałe szybko się poddadzą.

Odwróciła się i przeliczyła ludzi, którzy razem z nią ukrywali się w donżonie. Tuzin. Czekali na rozkazy, więc wskazała schody.

– Czwarte piętro! – zawołała. – A potem do południowej wieży!

BANG!

Ława po raz kolejny uderzyła w drzwi. Odgłos poniósł się echem po przepastnym holu wejściowym. Cassandra, nie czekając ani chwili dłużej, poprowadziła grupę do szerokich schodów. Klatki schodowe w donżonie nie zostały zaprojektowane do celów obronnych. Były szerokie i łatwo dostępne, w dodatku znajdowały się pośrodku każdego piętra. Kiedy dotrą do południowej wieży, będą wchodzić po spiralnej klatce schodowej położonej w południowo-wschodnim rogu budynku, z sekcjami, które można było usunąć i w ten sposób opóźnić atak napastników.

Kiedy wspinali się na górę, odgłos łomoczącej ławy oddalał się, ale nawet gdy dotarli na czwarte piętro, wciąż go słyszeli. Nagle doszedł nowy, rozdzierający dźwięk, który świadczył o tym, że drzwi powoli puszczają.

– Nie zatrzymujcie się! – zawołała do swoich ludzi i wskazała most łukowy prowadzący do południowej wieży. Upewniła się, że usłyszeli jej rozkaz, po czym zajrzała do własnych komnat. Wyciągnęła kilka ubrań i wrzuciła je do torby, sięgnęła też po katanę. Wsunęła broń do lakierowanej drewnianej pochwy, którą przypięła tak, by rękojeść znajdowała się pod jej prawą dłonią. Starannie zwinięta proca leżała na biurku. Wsunęła ją sobie za pasek, po przeciwnej stronie niż miecz. Chwyciła również sakiewkę

z irchy z ołowianymi pociskami. Przerzuciła ją sobie przez ramię i po raz ostatni rozejrzała się po pomieszczeniu. Miała tu zbyt wiele rzeczy i zbyt mało czasu, by wybrać właściwe. W końcu zostawiła je wszystkie i pobiegła w stronę drzwi, które prowadziły na mostek. Maikeru i sierżant z blanków czekali już na nią. Mężczyzna był zdenerwowany – wyraźnie martwił się o jej bezpieczeństwo. Wskazała most, więc niechętnie odwrócił się i ruszył do południowej wieży.

Dopiero wtedy Cassandra uśmiechnęła się blado do Maikeru.

– Za tobą, sensei – odpowiedziała, używając słowa oznaczającego nauczyciela w języku nihońskim.

Potrząsnął głową.

– Ty pierwsza, pani. Cesarz Shigeru nakazał mi dbać o twoje bezpieczeństwo.

Właśnie miała mu odpowiedzieć, kiedy przerwał im głos dochodzący ze schodów prowadzących na dół.

– Cassandro! Nie ruszaj się!

Odwróciła się, uniosła wzrok i serce jej zamarło. Zobaczyła Dimona z zakrwawionym mieczem w dłoni i plamami krwi na kubraku, wchodzącego na ostatnie, czwarte piętro donżonu. Jeszcze przed chwilą była pewna, że widziała uzurpatora wjeżdżającego na koniu przez most, a lojalny sługa oraz kapitan straży nie zdradził jej. Teraz straciła wszelką nadzieję.

Maikeru przesunął się i stanął pomiędzy nią a zdrajcą. Wyciągnął katanę z pochwy. Stal zaszeleściła o drewno.

Księżniczka wyciągnęła własny miecz i stanęła u jego boku, by lepiej widzieć Dimona. Zatrzymał się pięć metrów od niej, najwyraźniej obawiając się starego mistrza miecza z Nihon-Ja. Zerknął za siebie. Dwóch jego ludzi pojawiło się na schodach.

– Dimonie! – odezwała się z bólem w głosie. – Co ty robisz? Dlaczego?

Jego oczy były zimne jak lód.

– Ponieważ to mnie należy się tron – rzucił ze złością. – Przez lata twoja rodzina odmawiała mi praw przysługujących z tytułu urodzenia. Zmieniliście zasady, by koronę mogła odziedziczyć kobieta. Zostałem odsunięty na bok. Od kiedy tutaj przybyłem, musiałem przed tobą klękać, uśmiechać się i udawać, że wszystko jest w porządku. „Tak, pani. Nie, pani. Czy jest coś, co mógłbym zrobić dla ciebie, pani?”. Cóż, nic nie jest

w porządku! Mam już dość kłaniania się i służenia tobie i twojej córce. Moje uzasadnione roszczenia do tronu były dotąd ignorowane, zbywane, dławione.

– Uzasadnione roszczenia? Nie masz żadnych uzasadnionych roszczeń. Jestem prawowitą dziedziczką, a po mnie tron odziedziczy Maddie!

– Jestem jedynym męskim potomkiem rodziny królewskiej! A to oznacza, że to ja jestem prawowitym dziedzicem! – krzyknął Dimon. Gromadzone latami wściekłość i frustracja wylały się wreszcie na zewnątrz. – Może i jestem waszym odległym krewnym, ale jednak krewnym. I jedynym mężczyzną. Jedynym mężczyzną! Pradawne prawo mówi, że to ja powinienem odziedziczyć koronę. Korona należy się jedynemu żyjącemu męskiemu potomkowi władcy!

Zaskoczona Cassandra rozłożyła szeroko ramiona.

– Ale to prawo zmieniono wiele lat temu. Jeszcze mój dziadek je zmienił.

– Nie miał do tego prawa! – zawołał Dimon. – Zrobił to, by chronić własne interesy, by zapewnić swojej rodzinie prawa do tronu. Chciał mieć pewność, że po Duncanie na tronie zasiądziesz właśnie ty!

– To absurdalne! Zmienił to prawo, kiedy mnie nie było jeszcze na świecie. Skąd miałby wiedzieć…

Dimon pełnym furii machnięciem dłoni odrzucił ten argument.

– Zadbał o to, by jego rodzina pozostała u władzy. Gdyby Duncan miał syna, proszę bardzo. Ale gdyby miał córkę – powiedział, wskazując ją mieczem – jego rodzina nadal będzie zasiadać na tronie. Prawo męskiej sukcesji obowiązywało od setek lat, może nawet tysięcy. Nie powinien go zmieniać. To było dobre prawo, które sprawdziło się na przestrzeni wieków.

– To było niesprawiedliwe prawo i dlatego właśnie je zmienił – rzekła z mocą Cassandra. Dimon zaśmiał się szyderczo.

– Wiedziałem, że to powiesz. To przecież leży w twoim interesie. Powiesz wszystko, by mieć pewność, że ty i ten twój bachor utrzymacie władzę.

Kiedy wspomniał o Maddie, wskazał znajdujący się za Cassandrą most. Dzięki temu domyśliła się, że kapitan nie ma bladego pojęcia, gdzie znajduje się jej córka. Jego słowa i ten właśnie gest sugerowały, że dziewczyna wraz z jej ludźmi zmierza do południowej wieży. A przecież gdyby udało mu się schwytać Maddie, z pewnością przechwalałby się tym.

Ba, groziłby zabiciem jej, jeśli Cassandra się nie podda. Kiedy to zrozumiała, iskierka nadziei zaczęła tlić się w jej sercu.

– A teraz opuść miecz i poddaj się – powiedział Dimon. – Zadbam o to, by cię dobrze traktowano.

Cassandra zaśmiała się gorzko, widząc, że kłamie z taką łatwością.

– Nie pozwolisz mi przeżyć – powiedziała. – Pragniesz tronu, więc musisz mnie zabić. Nie możesz sobie pozwolić na zachowanie przy życiu innego dziedzica.

Jego twarz drgnęła i wtedy dostrzegła w jego oczach, że ma rację. Zabiłby ją, podobnie jak Madelyn, byle tylko umocnić swoje prawa do tronu. Wtedy ją oświeciło. Nikt nie będzie wiedział, że Dimon sięgnął po tron siłą. Jedynym świadkiem tego, co tu zajdzie, pozostanie sam zamek. Gdy osiągnie swój cel, wszyscy jej ludzie zginą, on zaś zrzuci winę na Klan Czerwonego Lisa i powie, że ich przepędził – niestety, zbyt późno dla Cassandry, Maddie i Duncana.

– Pani – szepnął Maikeru. – Musisz już iść. Zajmę się tym kundlem.

Zawahała się. Nauczyciel miał rację. Powinna biec do południowej wieży, póki jeszcze miała na to szansę. Poczuła jednak nagły przypływ złości. Zapragnęła osobiście zabić Dimona. Chciała poczuć, jak jej miecz rozcina zdrajcę.

– Z drogi, staruchu! – Głos Dimona był pełen pogardy, ale jego właściciel nie ruszył w stronę mistrza miecza. Bez wątpienia obawiał się jego umiejętności i szybkości oraz błyszczącej, ostrej jak brzytwa katany. Maikeru nie odrywał wzroku od zdradzieckiego dowódcy straży. Przemówił ponownie, wciąż bez śladu emocji.

– Musisz iść, pani. Chcę wykonać zadanie, które cesarz przydzielił mi, gdy mnie tutaj wysyłał.

Cassandra ze smutkiem uświadomiła sobie, że Maikeru ma rację.

Schowała broń do pochwy, odwróciła się w stronę wieży i ruszyła przez most. Obejrzała się przez ramię. Maikeru ustawił się pośrodku mostu, blokując napastnikom drogę.

– Cassandro! Nie ruszaj się! Ostrzegam! – zawołał Dimon wściekłym głosem.

– Pies taki jak ty nie powinien odzywać się do mojej pani – powiedział spokojnie Maikeru. Jego opanowanie zadziałało na Dimona jak płachta na

byka. Skoczył do przodu, kręcąc mieczem na boki, a następnie uderzając pod kątem.

Cios został odparowany przez lśniącą katanę. Wzmocnione ostrze szczęknęło o miecz Dimona i zostawiło głęboką bruzdę na jego stali. Maikeru odepchnął broń przeciwnika na bok i z zadziwiającą szybkością wyprowadził krótkie, kontrujące cięcie.

Dimon zablokował je tarczą, ale Maikeru momentalnie dodał serię oszałamiających ciosów, wymachując kataną w lewo i w prawo tuż nad głową Dimona. Jednym z nich trafił w hełm i przyciął wystający z niego sowi pióropusz. Przeciwnik zachwiał się, więc mistrz miecza wyprowadził kolejny cios pod jego lewym ramieniem, tuż nad krawędzią tarczy. Przeciął kolczugę i wytoczył krew.

Cięcie było płytkie, ale Dimona przestraszyła łatwość, z jaką Maikeru przełamał jego obronę. Odskoczył i spojrzał na swoich ludzi.

– Zabijcie go – warknął.

Obaj ruszyli do przodu, ale zawahali się. Na wąskim moście było miejsce tylko dla jednego atakującego. Pierwszy z mężczyzn wysunął się więc do przodu i opuścił miecz, zataczając nim koła. Przymrużył oczy. Wykonał wypad na przeciwnika, licząc na to, że złapie Maikeru na wykroku.

Jego miecz został natychmiast odbity. Mężczyzna zachwiał się i wówczas katana przecięła jego szyję. Upadł, wydając zdławiony okrzyk. Jego towarzysz obserwował to z przerażeniem. Swój błąd uświadomił sobie dopiero wtedy, kiedy Maikeru go zaatakował. Po raz kolejny zabójcza stal dosięgła celu i przecięła zarówno kolczugę, jak i ciało. Po chwili również i ten drugi upadł bez życia na most.

Mistrz miecza uśmiechnął się ponuro do Dimona.

– Chcesz znowu spróbować? – zapytał zachęcająco.

Dimon rozejrzał się. Kolejni jego ludzie pojawiali się na schodach. Zauważył dwóch z krótkimi łukami przerzuconymi przez ramię.

– Hej, wy dwaj! – zawołał. – Chodźcie tutaj!

Obaj podbiegli do niego, ściągając po drodze broń. Maikeru zmrużył oczy. To zmieniało postać rzeczy. Spojrzał za siebie i zobaczył, że Cassandra jest już na końcu mostu. Patrzyła na niego.

– Uciekaj! – zawołał. – Uciekaj, szybko! – Z ulgą stwierdził, że odwraca się i wbiega do wieży, zamykając za sobą ciężkie drzwi. Pomyślał, że teraz

powinna być już bezpieczna. Spełnił obowiązek, który nałożył na niego cesarz.

– Zastrzelcie go! – rozkazał Dimon, wskazując mieczem drobnego mężczyznę blokującego mu drogę. Pierwszy z żołnierzy założył strzałę, naciągnął cięciwę i puścił. Ledwie widoczna poleciała prosto w Maikeru, który spokojnie odbił ją mieczem na bok. Zaskoczony Dimon pokręcił głową. Nigdy jeszcze nie spotkał człowieka o tak doskonałym refleksie.

– Strzelajcie jednocześnie – rozkazał.

Oba łuki zabrzmiały niemal w tym samym momencie. Maikeru odbił mieczem jedną strzałę, jednak druga wbiła mu się w klatkę piersiową, wysoko po prawej stronie. Zatoczył się pod impetem uderzenia i opadł na balustradę mostu, wciąż ściskając w dłoni katanę, której ostrze skierowało się jednak ku dołowi.

Mężczyźni wystrzelili po raz kolejny. Tym razem obie strzały trafiły w cel, zadając śmiertelne rany.

Stary mistrz miecza opadł na kolana, wciąż przytrzymując się kamiennej balustrady mostu. Nie puścił katany. Widział, jak wysoka postać ostrożnie zbliża się do niego. Zdrajca wydawał mu się jedynie ciemnym kształtem, gdyż wzrok zaczynał odmawiać mu posłuszeństwa. Cassandra była bezpieczna. Przynajmniej na razie. Spojrzał na górującą nad nim postać.

– Przegrałeś – wyszeptał i umarł.

ROZDZIAŁ 37

W południowej wieży Cassandra wyraźnie usłyszała triumfalne wycie ścigających ją mężczyzn i domyśliła się, że Maikeru właśnie stracił życie.

Szybko przekręciła klucz w zamku ciężkich drzwi odgradzających ją od mostu i ruszyła do spiralnych schodów umiejscowionych w południowo-wschodniej części wieży. Sierżant już na nią czekał, ponaglając ją gestem dłoni. Gdzieś zza pleców dobiegł ją tupot stóp biegnących po moście, a potem walenie broni i pięści o drzwi.

Zaczęła biec. Sierżant ściskał w dłoni miecz. Puścił regentkę przed sobą wąskim korytarzem. Po chwili zaczęli wspinać się na kolejne piętro.

Klatka schodowa była wąska, miała zaledwie dwa i pół metra średnicy, a schody wiły się w jej wnętrzu spiralnie ku górze. Zbudowano ją w sposób typowy dla zamków z tych czasów. Skręcające w prawą stronę stopnie zmuszały wbiegającego po nich praworęcznego napastnika do odsłonięcia się, gdyby chciał użyć broni. W tym samym czasie stojący wyżej obrońca mógł wygodnie ustawić się do niego prawym ramieniem, co dawało mu znaczącą przewagę.

Cassandra przeskakiwała po dwa stopnie. Poruszała się na tyle lekko, że zostawiła sierżanta za sobą. Mężczyzna niezdarnie parł w górę, sapiąc ze zmęczenia. Nagle zaczął krzyczeć.

– Księżniczka! Przepuśćcie księżniczkę!

Przez chwilę Cassandra zastanawiała się, po co tak się wydziera, zwłaszcza że ciężko dyszał i wyraźnie tracił w ten sposób siły. Za kolejnym jednak zakrętem stanęła twarzą w twarz z trzema żołnierzami czekającymi w pogotowiu z obnażoną bronią. Sierżant chciał ich po prostu uprzedzić, że zbliżają się do nich sojusznicy, inaczej mogliby zaatakować bez ostrzeżenia. Mężczyźni uśmiechnęli się do niej i odsunęli, pozwalając przejść. Cassandra słyszała za sobą ciężkie kroki sierżanta. Zaczekała na

niego. Kiedy się z nią zrównał, miał czerwoną twarz i ledwo oddychał. Kazała mu iść przodem.

– Ruszaj się! – zawołała, po czym odezwała się do stojącej obok trójki. – Wy też chodźcie z nami.

Poprowadziła ich w górę. Ponieważ schody szły spiralnie, lekko zakręciło się jej w głowie. Idący przed nią sierżant zwalniał, więc znów huknęła na niego, by się nie ociągał. Gdzieś z dołu echo przyniosło rozdzierający trzask – to drzwi na most wreszcie ustąpiły. Potem na schodach rozległ się tupot wielu stóp.

Oceniła, że minęli kolejne dwa piętra. Jeszcze dwa, i dotrą na górę. Bezpieczne schronienie na szczycie wieży dawały ósme i dziewiąte piętro. Tymczasem na siódmym zobaczyli trzymetrowe drewniane schody łączące kamienne stopnie na górze i na dole. Powyżej czekało dwóch kolejnych mężczyzn. Cassandra minęła ich wraz z sierżantem i trzema towarzyszącymi żołnierzami, a następnie odwróciła się i skinęła głową na czekających.

– Podciągajcie – rozkazała.

Schody można było podnieść, ponieważ przez bloczki znajdujące się pod sufitem przełożono umocowane do nich liny. Mężczyźni chwycili za nie i pociągnęli. Drewniana konstrukcja uniosła się w powietrze i nagle znalazła się pod sufitem. W miejscu, w którym jeszcze niedawno się znajdowała, ziała teraz trzymetrowa otchłań sięgająca siedmiu pięter w dół.

– To ich zatrzyma – stwierdziła regentka, słysząc z dołu odgłosy biegnących i pokrzykujących napastników. Odległe, ale wciąż się zbliżające. Jeden z żołnierzy odpowiedzialnych za podniesienie drewnianej części schodów miał przy sobie łuk. Należał do zamkowych łuczników, co poznała po mundurze. Wskazała przeciwny kraniec dziury pozostałej po schodach.

– Jeśli ktoś się tam pojawi, strzelaj – rozkazała.

– Tak jest! – Mężczyzna kiwnął głową, wyciągnął strzałę z kołczana przy pasku i umieścił na cięciwie. Przygotował się, obracając się bokiem i rozstawiając nogi. Na razie nie napinał jeszcze cięciwy. Gdyby ktoś wyłonił się tuż zza rogu, znalazłby się sześć metrów od niego. Na naciągnięcie łuku, wypuszczenie strzały i trafienie w cel łucznik potrzebował zaledwie paru sekund.

Cassandra ruszyła w górę i po chwili stanęła przed drzwiami prowadzącymi na ósme piętro. Weszła do środka. Dziesięciu mężczyzn znajdujących się w obszernym pomieszczeniu odwróciło się w jej stronę, przezornie unosząc broń. Na jej widok uspokoili się, schowali miecze i sztylety. Kiwnęła im na powitanie i rozejrzała się z niepokojem dookoła, szukając Maddie. Córki nigdzie nie było. Pomyślała, że mogła ukryć się na wyższym piętrze, choć było to mało prawdopodobne.

– Czy ktokolwiek widział księżniczkę Madelyn? – zapytała.

Odpowiedziały jej puste spojrzenia i przeczące ruchy głowami. Nikt nie widział księżniczki. Cassandra rozejrzała się w poszukiwaniu Ingrid. Spojrzała, ale służąca także pokręciła głową. Cassandra zaniepokoiła się. Co będzie, jeśli Dimon schwyta Maddie? Z pewnością wykorzysta ją jako kartę przetargową. Będzie próbował zmusić Cassandrę do poddania się. Wiedziała jednak, że poczucie obowiązku nigdy jej na to nie pozwoli. A to oznaczało, że Madelyn…

– Może gdzieś się ukryła, pani – zaryzykował sierżant, zanim zdążyła dokończyć myśl. – To duży zamek.

W sumie miał rację. W zamku było wiele kryjówek, a Maddie właśnie tu się wychowała. Doskonale znała każdy kąt. Choć Cassandra nieraz myślała o niej jako o małym dziecku, w rzeczywistości już czwarty rok uczyła się u zwiadowców, a to oznaczało, że była groźnym przeciwnikiem. Potrafiła używać broni i dobrze się kryć. Została nauczona myśleć, planować, oceniać sytuację. Z całą pewnością nie przypominała roztrzepanego dziewczątka, za jakie uważali ją ludzie pokroju Dimona.

Cassandra uświadomiła sobie, że powinna zrobić coś, co poinformowałoby Maddie o sytuacji na zamku. Przywołała do siebie Ingrid.

– Wejdź na górę i wywieś moją chorągiew na maszcie – powiedziała. – Ale do góry nogami – dodała.

Ingrid nie kryła zaskoczenia.

– Do góry nogami?

Cassandra kiwnęła głową.

– To sygnał alarmowy. Jeśli Maddie to zobaczy, będzie wiedziała, że ukryliśmy się w południowej wieży – wyjaśniła. – I że coś jest nie tak – dodała. Kiedy służąca pospieszyła wykonać polecenie, księżniczka zwiesiła ramiona. To wszystko, co mogła zrobić dla swojej córki. Oby tylko dziewczyna zauważyła flagę.

Zmusiła się do odepchnięcia na bok czarnych myśli. Musiała zająć się obroną wieży. Nad Maddie zastanowi się później, kiedy znajdzie spokojniejszą chwilę. Zerknęła na sierżanta, który czekał na rozkazy, i wskazała grupkę obserwujących ją ludzi.

– Tylko tylu ich mamy?

Mężczyzna rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Osiemnastu ludzi, Wasza Wysokość. Niektórzy zdołali wydostać się z wartowni i dotrzeć dołem do wieży, kiedy kapitan Dimon szturmował donżon.

Kiwnęła głową. Osiemnastu ludzi. Niezbyt duże siły, ale prawdopodobnie wystarczające, by utrzymać wieżę.

– Ilu mamy łuczników?

– Sześciu, pani – odpowiedział jeden z mężczyzn w komnacie, sam będący łucznikiem i mający na pagonach oznaczenie rangi kaprala. Sierżant oczywiście nie zdążył przeliczyć ludzi, dotarł przecież na wieżę parę chwil przed nią.

Cassandra z namysłem zagryzła wargi. W ich sytuacji łucznicy nie na wiele się zdawali. Wolałaby mieć do dyspozycji więcej zbrojnych, zdolnych do walki na schodach. Z drugiej strony także łucznicy mogli się przydać. Bądź co bądź byli to wyszkoleni żołnierze.

– Sprawdźmy nasze zapasy – zadecydowała. Sierżant zaprowadził ją do magazynów umieszczonych na dwóch najwyższych kondygnacjach południowej wieży.

Na ósmym piętrze znajdowały się spiżarnia i zbrojownia. Na stojakach pod ścianami stały dziesiątki włóczni i toporów o długich drzewcach, jako że były najbardziej użyteczne do obrony podczas ataku z dołu. Do tego dochodziło kilka tuzinów tarcz wiszących na kołkach oraz odpowiadająca im liczba kolczug i hełmów. Cassandra naliczyła też piętnaście łuków oraz trzy duże drewniane tuby wypełnione strzałami. Musiało być ich blisko pięćset.

Nieco dalej znalazła zapasy żywności: suszone oraz solone mięso, beczki warzyw i marynat, worki zbóż piętrzące się na wysokość dwóch metrów. Kiwnęła z uznaniem głową. Jedzenia, niezbędnego przecież obrońcom, nie brakowało.

Minęli spiżarnię i dotarli do dormitorium dla mężczyzn. Stały tam rzędy łóżek, stołów i ławek dla żołnierzy odpoczywających po służbie, a także

urządzenia sanitarne oraz toalety wystające poza ścianę wieży, by w ten sposób pozbywać się nieczystości. Cassandra zmarszczyła nos. Nie było to najelegantsze rozwiązanie kwestii naturalnych potrzeb, ale z pewnością efektywne.

Pomyślała, że o żywność i broń nie muszą się martwić. Ale była jeszcze jedna ważna potrzeba - woda.

– Zobaczmy, co z wodą – powiedziała i skierowała się do schodów prowadzących na dziewiąte piętro.

Ósme i dziewiąte piętro łączyła centralna klatka schodowa, w całości drewniana i przypominająca szeroką, stromą drabinę. Ją także można było podnieść, gdyby atakujący dotarli aż tutaj.

Wdrapali się na górę. To było najwyższe piętro, piętro dowódcy – poziom administracyjny. Wzdłuż zakrzywionej ściany ciągnęło się sześć sypialni.

Z boku stały stojaki z bronią, natomiast otwarta przestrzeń pośrodku przeznaczona była na centrum dowodzenia. Teraz zajmował ją stół z dwunastoma krzesłami. Można więc było urządzić tu naradę wojenną, zjeść coś lub odpocząć, gdyby zaszła taka potrzeba. Dalej znajdowała się kuchnia, oczywiście dobrze wentylowana, by dym z pieca i otwartego paleniska z kratą miał dokąd uciekać.

Cassandra nieraz studiowała układ południowej wieży i na przestrzeni lat wiele razy ją odwiedzała. Zawsze sprawdzała, czy zapasy są stale odświeżane, a rzeczy zepsute lub zwyczajnie stare bezzwłocznie usuwane. Wskazała drewnianą drabinę znajdującą się po prawej stronie.

– Zapas wody jest jeszcze wyżej – powiedziała i ruszyła jako pierwsza, wspinając się na strome szczeble i odsuwając na bok klapę u góry.

Wieżę wieńczyła ostro zakończona iglica pokryta dachówką. Wewnątrz stożkowej konstrukcji znajdowały się dwie duże kamienne cysterny, do których z boku przylegały schody. Cassandra weszła kawałek wyżej i otworzyła drewnianą pokrywę zbiornika. Zajrzała do środka. Woda sięgała zaledwie kilka centymetrów poniżej jego górnej krawędzi. Nabrała odrobinę dłonią i spróbowała. Była świeża i słodka.

Z drugą cysterną sprawa wyglądała identycznie – również i ona była niemal pełna dobrej, czystej wody. Oba zbiorniki zasilała spływająca z dachu deszczówka. Oczywiście opróżniano je regularnie i później

ponownie napełniano, by woda się nie zastała. Ponieważ w tej części kraju nie brakowało deszczu, utrzymanie zapasów nie stanowiło problemu.

Kiedy księżniczka zeszła na dół, ponownie znalazła się przy schodach prowadzących na niższe piętro. Czekał na nią żołnierz, najwyraźniej mający jej coś do przekazania.

– Co się dzieje? – zapytała, unosząc brew.

– Król, Wasza Wysokość – odpowiedział. Rozpoznała w nim jednego z ludzi, których poprosiła o sprowadzenie jej ojca do wieży. Wskazał jedną z komnat ciągnących się wzdłuż ściany. – Umieściliśmy go tutaj, pani. Ma dobre łóżko, a pomieszczenie jest przytulne i przewiewne. Całkiem wygodne.

– Dziękuję. – Ruszyła w stronę wskazanych jej drzwi. – Zamienię z nim kilka słów – dodała, ale zatrzymała się, widząc jego niepewną minę. – Coś nie tak?

Pokręcił głową.

– Nie, nie, pani. Nic mu nie jest. Ale teraz śpi i może lepiej go nie budzić.

Z wdzięcznością dotknęła jego ramienia. Dobrze było widzieć oddanie i miłość, jakimi obdarzali jej ojca służący mu ludzie. I z niesmakiem pomyślała, że w przypadku Dimona jest całkiem inaczej.

– Dziękuję – powtórzyła. – Miej na niego oko i daj znać, kiedy się obudzi.

Zasalutował w odpowiedzi.

– Zrobię tak, jak mówisz, pani.

Ponieważ cofnął się i zajął miejsce obok drzwi, Cassandra odwróciła się do sierżanta.

– A tak przy okazji, jak się nazywasz? Nie mogę przecież wciąż nazywać cię sierżantem!

Mężczyzna uśmiechnął się.

– Mnie to nie przeszkadza, Wasza Wysokość. Ale matka dała mi na chrzcie Merlon, więc tak zazwyczaj na mnie wołają.

– Niech więc będzie Merlon – powiedziała Cassandra. Usiadła na jednym z ciężkich drewnianych krzeseł stojących przy stole i gestem dłoni zaprosiła, by również zajął miejsce. Posłuchał, choć czuł się skrępowany, zachowując się tak swobodnie w obecności regentki.

– No cóż, Merlonie, jesteśmy w dobrej sytuacji. Mamy mnóstwo jedzenia, wody i broni. Możemy siedzieć tu bez końca, a przynajmniej do

powrotu mojego męża i dowódcy zwiadowców.

– Tak, pani. Jak sądzisz, kiedy to nastąpi?

Zawahała się przez chwilę. Dla morale jej ludzi nie byłoby dobrze, gdyby dowiedzieli się, że nie ma pojęcia, co zatrzymało Horace’a.

– Pewnie nie więcej niż za tydzień – odpowiedziała, starając się, by zabrzmiało to przekonująco. Nie chciała wzbudzać nadmiernych nadziei. Merlon wiedział już, że są bezpieczni, więc perspektywa tygodniowego oczekiwania nie brzmiała aż tak przerażająco. Przed dalszą dyskusją o miejscu pobytu Horace’a uratował ją jeden z łuczników, który wspiął się po schodach. Najwyraźniej szukał jej.

– Tutaj! – zawołała, ponieważ rozglądał się z zaciekawieniem po całym piętrze. Mężczyzna odwrócił się i podszedł do niej.

– Chodzi o kapitana Dimona, pani – powiedział. – Stoi na schodach i domaga się negocjacji.

ROZDZIAŁ 38

Chodź ze mną, Merlonie – poleciła Cassandra. – Powinieneś wiedzieć, co ten zdrajca ma do powiedzenia.

Zeszli po drabinie na ósme piętro i stanęli przy potężnych drzwiach dzielących ich od spiralnej klatki schodowej. Łucznik, który poinformował ją o pojawieniu się Dimona, nie odstępował ich na krok. Rozpoznała w nim jednego z ludzi, których zostawiła na schodach z rozkazem strzelania do każdego, kto się pojawi. Uśmiechnęła się ponuro. Zapewne kapitan, zanim wyłonił się zza ściany, zawołał, że się zbliża i chce pertraktować, dzięki temu uniknął losu przypadkowej ofiary.

Dotarli na miejsce, lecz nikogo nie było. Cassandra spojrzała pytająco na żołnierzy stojących na straży.

– Gdzie on jest?

Jeden z nich wskazał kciukiem przed siebie.

– Tam, pani. Zaraz za rogiem – wyjaśnił i wyszczerzył się. – Nie sądzę, by nam ufał.

Uśmiechnęła się.

– Nie jest głupi – powiedziała. Zawołała go. Jej głos odbił się echem od położonych niżej kamiennych ścian i sufitu.

– Dimonie! Jesteś tam?!

Po dłuższej chwili ciszy rozpoznała głos kapitana. Brzmiał, jakby rzeczywiście był niedaleko. Prawdopodobnie stał tuż za rogiem.

– Cassandro? Mam białą flagę…

Kiedy usłyszała te słowa, zza półokrągłej kamiennej ściany wysunął się kij, z którego zwisała biała szmata. Trzymający ją człowiek zamachał kilka razy, prawdopodobnie po to, by wszyscy ją zobaczyli.

– Widzę!

Po kolejnej chwili ciszy Dimon odezwał się ponownie.

– Będziesz ją honorować? – zapytał niepewnym tonem.

Cassandra poczuła się obrażona sugestią, że mogłaby pogwałcić chwilowy rozejm. Potem jednak uświadomiła sobie, że Dimon bez wątpienia mógłby się do tego posunąć. A skoro on mógłby, to pewnie podejrzewał, że również i ją na to stać.

– Tak! – zawołała poirytowana. – Jesteś bezpieczny. Nie będziemy strzelać. Choć Bóg jeden wie dlaczego…

– Potrzebuję twojego słowa!

Teraz irytacja w jej głosie stała się znacznie wyraźniejsza.

– Masz je. Przestań się czaić i wychodź!

Dimon powoli wyłonił się zza zakrętu. W prawej ręce trzymał białą flagę. Stanął na środku schodów i spojrzał w górę. Lewą ręką przysłonił oczy. Na schodach panował półmrok, a żadne z nich nie miało pochodni.

– Nie widzę cię zbyt dobrze! – zawołał.

– Ja za to widzę cię doskonale – odpowiedziała Cassandra. – Mów, co masz do powiedzenia.

– Mam dla ciebie propozycję. Poddaj się, a daruję ci życie. I Madelyn także.

Księżniczka poczuła ulgę, kiedy wypowiedział ostatnie zdanie. Spodziewała się, że rozmowa będzie dotyczyć Madelyn – że Dimon oświadczy, iż złapał ją i zamierza w ten sposób zmusić Cassandrę do poddania się. Najwyraźniej jednak sądził, że dziewczyna także ukryła się w wieży. A to oznaczało, że była bezpieczna. Przynajmniej na razie.

– Po prostu nas puścisz, tak? – zapytała, nawet nie ukrywając niedowierzania.

– Tego nie powiedziałem. Zostaniecie moimi jeńcami aż do dnia, w którym będę mógł wygnać was z kraju. No i będę potrzebował twojej przysięgi, że nie spróbujesz wrócić i odebrać mi mojego tronu.

– Tronu mojego ojca, to chciałeś powiedzieć – odparła, a ponieważ nie odpowiedział, zaczęła mówić dalej: – Skąd ta nagła wspaniałomyślność, Dimonie?

– Ponieważ wiem, że i tak dostanę to, czego chcę. Moi sojusznicy domagają się powrotu dawnych zasad dziedziczenia. Kiedy zasiądę na tronie, przywrócę je. Naszym zdaniem kobieta u władzy przeczy zdrowemu rozsądkowi i tradycji. A także prawu boskiemu.

– Zastanawiałam się, kiedy o tym wspomnisz – oznajmiła Cassandra sarkastycznym tonem.

– Oferuję ci życie. Przekonasz się, że dobrze o ciebie zadbamy. Razem z Madelyn możesz przenieść się do Gallii albo Toscanoy. Oczywiście nie do Skandii – dodał. – Erak i jego ludzie mogą nie być zadowoleni, że zostałaś zrzucona z tronu.

– A nie zapominasz o czymś? – zapytała. – To cudowny plan, ale nie sądzę, by mój mąż przystał na niego, kiedy wróci z północy. Ani Gilan. Wątpię, byś długo utrzymał się na tronie, kiedy dowiedzą się, że nas wygnałeś.

Dimon opuścił wzrok i zawahał się.

– Przykro mi to mówić, Cassandro, ale Horace nie żyje. Tak samo jak Gilan – powiedział ze współczuciem.

Księżniczka miała wrażenie, że lodowata ręka zacisnęła się na jej sercu. Nie była w stanie uwierzyć w świat bez jej męża – bez silnego, potężnego, radosnego Horace'a. Był dla niej oparciem. Był człowiekiem uprzejmym, łagodnym i troskliwym. I nigdy nie przegrał żadnej bitwy. Nie mógł zginąć. Tak samo Gilan ze swoim wiecznym uśmiechem i niezawodną przyjaźnią. Jak niby mieliby umrzeć?

– Nie wierzę ci! – zawołała.

Dimon pokręcił głową.

– Przykro mi to mówić. Naprawdę. Bardzo lubiłem Horace'a. Ale ta grupka buntowników, z którą miał się rozprawić, okazała się armią liczącą stu pięćdziesięciu żołnierzy. Stoczyli wielką bitwę dwa dni temu. Horace i Gilan polegli razem z większością swoich ludzi.

Pozwolił jej zastanowić się nad swoimi słowami.

– Nie trzymaj się fałszywej nadziei, że wrócą, by cię uratować. Oni nie wrócą, Cassandro. Lepszej propozycji nie dostaniesz.

Cassandra milczała, wiedząc, że gdyby teraz przemówiła, niepewność w głosie zdradziłaby jej wątpliwości. Wiedziała, że musi brzmieć pewnie.

– Potrzebuję czasu, by się nad tym zastanowić – powiedziała w końcu.

Dimon odpowiedział od razu, czując, że zyskał przewagę.

– Byle nie za długo. Jak wspomniałem, lepszej propozycji nie dostaniesz. Będzie obowiązywać przez jeden dzień. Potem pozbędziemy się was z tej wieży.

– Spróbuj tylko – rzuciła. Znalazła się na pewniejszym gruncie i dlatego jej głos brzmiał znacznie bardziej stanowczo. – Mamy tu jedzenie, broń

i wodę. Możemy zaszyć się tutaj na długie miesiące. Pomrzecie ze starości, próbując zdobyć tę wieżę.

– Zawsze możemy was stamtąd wykurzyć – zagroził.

Roześmiała się. Tym razem jej reakcja była szczera.

– Nie masz pojęcia o konstrukcji tej wieży, prawda? – zapytała. – Zbudowano ją głównie z kamienia. Nie ma drewnianej konstrukcji nośnej. A kamień nie płonie.

– Podłogi są z drewna – zauważył. – Spłoną bez większych problemów.

Wyczuła, że strażnik na nią patrzy. Odpowiedziała na jego pytające spojrzenie i uspokajająco pokręciła głową.

– Jak już powiedziałam, nie masz pojęcia o konstrukcji tej wieży. Na dachu mamy dwa potężne zbiorniki z wodą. Z jednego z nich wychodzą rury prowadzące na niższe poziomy. A sama podłoga zrobiona jest z twardego drewna, które niełatwo zajmie się ogniem. Jeśli mimo to będziesz próbować je podpalić, zalejemy je wodą.

Dimon odpowiedział, ale już bez pewności w głosie.

– W ten sposób zużyjecie swoje zapasy wody do picia.

– Deszcz, Dimonie. Cysterny wypełnia deszczówka spływająca z dachu. A jak wiesz, w tej części kraju pada dosyć często. Dwie lub trzy noce porządnego deszczu napełnią oba zbiorniki.

Kapitan spojrzał na nią. Złość zaczynała malować się na jego twarzy. Wiedział, że południowa wieża jest nie do zdobycia – niewielka grupka ludzi mogła utrzymywać ją bez końca – a nie miał czasu na prowadzenie przeciągającego się oblężenia.

Horace i Gilan wciąż żyli, nawet jeśli znajdowali się w starym forcie na wzgórzu nieopodal rzeki Wezel. Wiedział, że sytuacja wkrótce może się zmienić. Jego ludzi ogarniał coraz większy niepokój. Posłańcy donieśli mu, że stracił wielu żołnierzy – zostali odparci i ponieśli spore straty podczas ataku na oddział Horace’a. Prędzej czy później zaczną dezerterować. Najemnicy walczą wyłącznie dla zysku, a niewiele można zyskać, oblegając doświadczonego przeciwnika w dobrze bronionym forcie.

Miał nadzieję, że oszuka Cassandrę – że kobieta spanikuje i podda się, słysząc, że jej mąż nie żyje. Oczywiście nie zamierzał honorować obietnicy dotyczącej wygnania. Gdy tylko księżniczka i Maddie znajdą się w jego rękach, natychmiast je zabije.

Odezwał się po raz kolejny, próbując brzmieć pewniej, niż się czuł.

– Daję ci dzień na rozważenie mojej oferty. Tylko jeden dzień. Potem, jeśli nadal będziesz mnie zwodzić, poniesiesz tego konsekwencje.

– Dostaniesz moją odpowiedź jutro o tej samej porze.

Nie zdołał się powstrzymać od jeszcze jednej uwagi.

– Jeśli jesteś tak mądra, jak sama twierdzisz, to ją przyjmiesz. – Potem szybko schował się za ścianą. Cassandra usłyszała, jak schodzi po schodach.

Spojrzała na Merlona i uniosła brwi. Wydęła policzki, po czym wypuściła powietrze z płuc. Czuła się wyczerpana.

– Cóż, przynajmniej wiemy jedno. Nie ma Maddie – szepnęła.

Merlon pogładził się z rozmysłem po brodzie.

– To prawda – przytaknął. Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien zadawać to pytanie, ale w końcu się zdecydował. – Uwierzyłaś mu, pani? W to, co mówił o sir Horace'u. Sądzisz, że on nie żyje?

Pokręciła głową.

– Nie wiem, Merlonie. To by wyjaśniało, dlaczego z północy nie dotarły do nas żadne wieści. Ale…

– Ale co, pani?

– Ale Horace to człowiek, którego niełatwo zabić. W przeszłości wielu ludzi próbowało i żaden nie wyszedł na tym dobrze.

– Więc sądzisz, że jednak żyje?

– Tak właśnie sądzę – przyznała. – Myślę, że poczułabym, gdyby umarł.

Kiedy wypowiedziała te słowa, pożałowała, że nie jest ich pewna.

ROZDZIAŁ 39

Dookoła wieży na wysokości dziewiątego piętra ciągnął się balkon, z którego roztaczał się widok na ziemie wokół zamku. Cassandra krążyła po nim, zerkając raz po raz na położony niżej park i widoczny w oddali las. Zastanawiała się nad sytuacją. Od jej rozmowy z Dimonem minęło kilka godzin.

Spoglądając bezpośrednio w dół, widziała dziedziniec. Kręcili się po nim mężczyźni, chodzący pomiędzy donżonem, wartownią i czasami również stajniami. Na blankach dostrzegła strażników stojących na warcie.

Wszystko wydawało się całkowicie normalne, tyle że strażnicy i ludzie na dziedzińcu nie należeli do zamkowego garnizonu. Byli poplecznikami Dimona, których przed atakiem z zewnątrz chroniły teraz masywne fortyfikacje Zamku Araluen. Nawet gdyby Horace i Gilan nadciągnęli ze swoim oddziałem, nie mieliby szans na dostanie się do środka.

Cassandra oparła się o wykonaną z nieociosanych kamieni ścianę balkonu i westchnęła gorzko. Znalazła się w impasie. Chwilowo była bezpieczna, podobnie jak jej ludzie, nic też nie groziło im w możliwej do przewidzenia przyszłości. Ale nie mieli szans wydostać się na zewnątrz ani wykurzyć z zamku napastników. Wróg przeważał liczebnie, żyli więc wyłącznie dzięki starannie zaplanowanym systemom obronnym południowej wieży.

No i co się działo z Maddie? To pytanie wciąż dręczyło Cassandrę. Ingrid uważała, że dziewczyna wyruszyła poza zamek. Ale gdzie teraz była? Co robiła? Cassandra zastanawiała się, jak mogłaby skontaktować się z córką. Gdyby rzeczywiście znajdowała się gdzieś na zewnątrz, a regentce udałoby się przesłać jej wiadomość, mogłaby wyruszyć na północ i poinformować Horace’a o sytuacji. Zderzak przebywał poza zamkiem, na niewielkiej farmie, gdzie Gilan znalazł mu stajnię. Gdyby jej córka miała do dyspozycji swojego konia, w ciągu trzech dni znalazłaby się nad Wezel.

Gdyby, gdyby, gdyby, myślała Cassandra. Nawet jeśli Maddie uda się dotrzeć nad tę rzekę, to co z tego?

Horace być może już nie żyje. W najlepszym wypadku – jeśli w słowach Dimona była choćby odrobina prawdy – utknął w forcie na wzgórzu, otoczony przez przeważające siły wroga. Jakim cudem miałby wydostać się z tej pułapki? A nawet gdyby, to wciąż pozostawał problem wdarcia się do Zamku Araluen.

Dobrze byłoby mieć męża przy sobie. Już sama świadomość jego obecności działała na nią uspokajająco. Poza tym, gdyby Horace wrócił, mógłby zebrać armię z okolicznych wsi. W czasie wojny relatywnie niewielki garnizon powiększano o zaciąg z pobliskich gospodarstw i wiosek lenna. Zmobilizowanie ludzi z pewnością zajęłoby trochę czasu – może tydzień czy dwa – ale byłaby to siła, z którą Dimon musiałby się liczyć.

I tu znów powrócił problem, nad którym już się zastanawiała. Niezależnie od tego, jak wielu ludzi Horace zdołałby zgromadzić, jak dostałby się do zamku? Nie udało się to żadnemu atakującemu i to nie tylko za jej życia. Nawet Morgarath, kiedy zbuntował się przeciwko jej ojcu, ominął tę fortecę. Zaśmiała się gorzko, gdyż dostrzegła ironię w całej tej sytuacji. Utknęła wraz ze swoimi ludźmi w wieży, ale była raczej bezpieczna i nie musiała obawiać się ataku siepaczy Dimona. Oni z kolei mogli na długo utknąć na zamku, ale byliby raczej bezpieczni i nie musieliby obawiać się ataku wojsk Horace’a.

Do tego jeszcze pozostawało podstawowe pytanie: gdzie jest Maddie? Scenariusz, który właśnie sobie nakreśliła Cassandra, zakładał możliwość skontaktowania się z dziewczyną. Tymczasem nie wiedziała, czy to w ogóle jest możliwe. Usłyszała kroki za sobą i odwróciła się. Zobaczyła jednego z łuczników, który wyłonił się zza zaokrąglonej ściany wieży, podbiegł do niej i zasalutował.

– Wasza Wysokość, sierżant Merlon prosi, żebyś natychmiast przyszła – powiedział naglącym tonem.

Ruszyła w stronę drzwi prowadzących do wnętrza wieży.

– Co się dzieje? – zapytała. Była zaskoczona. Dimon dał jej dzień na rozważenie oferty. Przyjęła, że do końca tego terminu nie będzie próbował żadnych sztuczek. Jego oferta sugerowała czasowy rozejm. Potem jednak uświadomiła sobie, nie po raz pierwszy zresztą, że nie można mu ufać.

– Merlon nie jest pewien, pani. Ale coś dzieje się na dole. Słyszeliśmy jakieś ruchy. I sporo szeptów – brzmi to, jakby dźwigali coś ciężkiego na górę.

Zbiegła po drabinie na niższe piętro i skręciła na schody. Merlon i czterech żołnierzy, samych łuczników, stali na klatce schodowej, chowając się za zakrętem nieopodal dziury. Kiedy Cassandra podeszła bliżej, sierżant rozejrzał się i przytknął palec do ust.

– Co się dzieje, Merlonie? – szepnęła.

Wskazał schody znajdujące się po drugiej stronie.

– Posłuchaj, pani – odpowiedział.

Wyszła zza chroniącej ją ściany i wyciągnęła szyję, by lepiej słyszeć. Odgłos cichych rozmów niósł się w powietrzu, odbijając się echem od zaokrąglonych kamiennych ścian. Nie była w stanie zrozumieć słów, ale wyczuła w nich pośpiech. Od czasu do czasu któryś z głosów unosił się, co kończyło się uciszającymi syknięciami. Wróciła do kryjówki, po czym ponownie wyjrzała zza ściany i zerknęła w dół.

– Tam coś się dzieje, pani. Oni coś planują – powiedział Merlon tuż nad jej uchem.

Kiwnęła głową i zmarszczyła brwi. To było oczywiste. Tylko co strzeliło im do głowy? Uniosła dłoń, by zapobiec dalszym komentarzom sierżanta. Rozległ się inny, bardziej oczywisty odgłos.

Brzmiał, jakby coś ciężkiego i drewnianego ciągnięto po kamiennych schodach. Teraz już całkiem wyraźnie słyszała powolne, starannie stawiane kroki, a także mężczyzn stękających co jakiś czas z wysiłku. Odwróciła się do łuczników.

– Szykujcie się.

Pokiwali głowami. Strzały mieli już na cięciwach.

Cassandra znów wyszła zza ściany, ignorując ostrzegawczy pomruk Merlona. Na schodach poniżej nikogo nie zobaczyła. Widziała jedynie dziurę z ziejącą mrokiem otchłanią. Za nią trzy, może cztery schody. I nic więcej.

Odgłos ciągnięcia czy też pchania nie ucichł, raczej z każdą minutą robił się coraz głośniejszy. Potem ustał i Cassandra usłyszała szepty. Pochwyciła wzrok jednego z łuczników i wskazała mu drzwi, które otworzyły się na ósmym piętrze.

– Ściągnij więcej ludzi – powiedziała. – I sześć halabard.

Mężczyzna pobiegł wykonać rozkaz. Znów spojrzała w stronę schodów. Odgłos ciągnięcia i szurania powrócił, tym razem znacznie bliżej. Po chwili zobaczyła, co jest jego źródłem.

Na klatce schodowej, tuż za dziurą, pojawiła się prostokątna drewniana płyta, przypominająca litą ścianę. Stojący za nią mężczyźni pchali ją na górę. Płytę tworzyły deski przybite do drewnianej ramy, a konstrukcja wypełniała całą przestrzeń pomiędzy ścianami schodów. Miała około półtora metra wysokości, a w jej podstawie znajdował się otwór średnicy może dwudziestu centymetrów. Pracujący przy niej ludzie pchali ją i dźwigali jednocześnie, ustawiając pod odpowiednim kątem, by dało się ją wnieść na schody. Przez większość czasu pozostawali w ukryciu, choć niekiedy tuż nad płytą na chwilę pojawiała się czyjaś głowa.

– Kiedy tylko kogoś zobaczycie, strzelajcie – szepnęła księżniczka do trzech łuczników.

Kiwnęli głowami. Czyjaś głowa znów pojawiła się nad płytą, a jej właściciel usiłował zobaczyć, co dzieje się przed nimi. Jeden z łuczników momentalnie nałożył strzałę, naciągnął i puścił. Głowa jednak zniknęła i strzała śmignęła przez korytarz. Odbiła się od kamiennej ściany z metalowym brzdękiem. Cassandra usłyszała przekleństwo człowieka, który dosłownie otarł się o śmierć.

Zmarszczyła czoło. Płyta mogła ochronić ludzi Dimona przed halabardami i strzałami, ale nie mogła zastąpić brakujących schodów. Była na to za krótka. Przyjrzała się jej uważnie, wytężając wzrok, i zauważyła zawiasy. Potem dostrzegła zarys drzwi pośrodku płyty, szerokich może na metr. Najwyraźniej po ustawieniu płyty ukryci za nią ludzie mogli je otworzyć… tylko po co?

Płyta zatrzymała się metr od krawędzi dziury. Jeden mężczyzn pchających po prawej stronie okazał się wyjątkowo beztroski. Czubek jego ukrytej pod hełmem głowy wystawał znad świeżo wzniesionej tarczy. Stanowił jednak kiepski cel dla łuczników, gdyż strzały z pewnością odbiłyby się od hełmu.

Ale proca to już inna sprawa. Wsunęła pocisk do miseczki i zaczęła kręcić nią nad głową. Wyszła na otwartą przestrzeń i rzuciła. Rozległo się głośne, rezonujące KLANG, gdy ołowiana kulka uderzyła w metalowy hełm. Mężczyzna zatoczył się i runął na plecy, starczając się ze schodów z koszmarnym łomotem. Usłyszała pełne przerażenia głosy.

– Trzymajcie się nisko, na Boga. Ona ma procę!

Nikt inny nie pojawił się ponad płytą. Potem znów usłyszeli szuranie i z otworu u jej spodu zaczęła wysuwać się drewniana kładka metrowej szerokości, mająca sięgnąć na drugą stronę dziury.

– Zepchnijcie ją! – rozkazała i jej ludzie skoczyli do przodu z halabardami w garści, gotowi spełnić rozkaz. Spóźnili się jednak.

Brzeg prowizorycznej kładki dotarł już do ich krawędzi dziury i mocno oparł się na niej. Cassandra zauważyła niewielką belkę przybitą po przeciwnej stronie przeprawy. Przylegała do krawędzi schodów i przytrzymywała ją na miejscu bez względu na to, jak bardzo próbowali ją zepchnąć.

Merlon dotknął jej ramienia.

– Dym, pani – powiedział. – Czuję dym.

Pociągnęła nosem. Miał rację. Z dolnych pięter unosił się zapach jakby palonej smoły. Zmarszczyła brwi. Schody były z kamienia. Nie dało się ich spalić. Więc co…

W odpowiedzi przez szczyt płyty przetoczył się jakiś przedmiot, ciągnąc za sobą cienką nitkę dymu. Przeleciał przez dziurę i spadł tuż obok miejsca, w którym stali. Potem jeszcze jeden i kolejny.

Były to gliniane dzbanki wypełnione mieszaniną oleju i paku węglowego, zaopatrzone w lonty. Kiedy rozbijały się o kamienne schody, ogień z knotów przeskakiwał na łatwopalną substancję i chmura duszącego, czarnego dymu wypełniała klatkę schodową. Ludzie Cassandry zaczęli kaszleć, ona sama poczuła, że łzy napływają jej do oczu.

– Będą chcieli przeprawić się pod osłoną dymu – ostrzegła. – Szykujcie się.

Spojrzała na Merlona, stojącego tuż obok niej z jedną z nieefektywnych halabard. Nieefektywnych w przypadku kładki, ale nie przeciwko ludziom, którzy mogli próbować ją przekroczyć.

– Otworzyć drzwi – rozkazała. – Musimy pozbyć się tego dymu

Przez załzawione, bolące oczy niezbyt wyraźnie widziała, że drzwiczki w płycie zaczęły się otwierać. Szpara za nimi robiła się coraz większa. Sięgnęła po kolejny pocisk i znów zaczęła kręcić procą nad swoją głową. Przez zasłonę z łez zobaczyła człowieka wychodzącego zza drzwi i stającego na pomoście. Górną część jego ciała zasłaniała tarcza. W prawej dłoni trzymał włócznię.

ROZDZIAŁ 40

Napastnik posuwał się po kładce. Cassandra zmieniła punkt, w który mierzyła, zakręciła procą po raz kolejny, gdy przeciwnik stąpał już nad otchłanią. W końcu wypuściła pocisk.

Z nieprzyjemnym trzaskiem uderzył go w lewe kolano, miażdżąc kość i ścięgno. Noga ugięła się pod mężczyzną, który osunął się na bok i wypuścił włócznię. Zawisł na krawędzi siedmiopiętrowej przepaści, czepiając się nieheblowanych desek i próbując utrzymać się za wszelką cenę.

Spadł.

Z koszmarnym wrzaskiem poleciał w przepaść pod prowizoryczną kładką i zniknął w ciemnościach, krzycząc aż do momentu, w którym rozległo się dalekie, głuche uderzenie.

Wtedy krzyk ucichł.

Drzwi w płycie zatrzasnęły się po raz kolejny. Stojący w nich człowiek widział, co spotkało jego towarzysza, i nie chciał ponosić takiego ryzyka. Cassandra usłyszała podniesiony głos wykrzykujący rozkazy. Wiedziała, że to Dimon.

– Więcej bomb dymnych! Przynieście tu więcej tych dzbanków! Jeśli nie będą nas widzieć, nie będą mogli nas zestrzelić!

Dym w górnej części schodów powoli się rozwiewał, choć obrońców wciąż piekły oczy. Otwarcie drzwi wywołało przeciąg, który wyciągał gęste, dławiące chmury na zewnątrz.

Po chwili ciszy Cassandra usłyszała odgłos stóp dobiegający ze schodów poniżej. Prawdopodobnie szturmujący przynosili kolejne dzbanki.

Merlon wskazał prowizoryczną przeprawę.

– A może to spalimy?

Zastanowiła się nad jego pomysłem, ale pokręciła głową. Drewno było twarde.

– To zajęłoby zbyt wiele czasu – odpowiedziała. – Wątpię, by dali nam spokój, kiedy bylibyśmy tym zajęci.

Wiedziała, że niektórzy ludzie Dimona mieli łuki. Być może nie byli tak wyszkoleni jak jej łucznicy, ale na tak krótki dystans pewnie by nie chybili.

W półmroku błysnęło krzesiwo pocierane o stal.

– Podpalają lonty – domyśliła się. – Szykujcie się – dodała i ściągnęła z szyi szal. Owinęła nim nos i usta. Potem spojrzała na najmłodszego z towarzyszących jej żołnierzy.

– Skocz po szale i chusty dla wszystkich. I wiadro wody, by je zmoczyć.

Pomyślała, że mokre szale owinięte wokół twarzy pomogą im oddychać w gęstym dymie.

Mężczyzna kiwnął głową i wbiegł pospiesznie po schodach.

Znów usłyszała Dimona wydającego rozkazy.

– Nie rzucajcie ich za daleko. Spróbujcie cisnąć je blisko końca kładki.

Księżniczka uświadomiła sobie, że w ten sposób dym skoncentrowałby się w miejscu, w którym stali, i zapewnił lepszą osłonę ludziom próbującym przeprawić się na drugą stronę. Ponownie załadowała procę i pozwoliła, by zwisała swobodnie wzdłuż jej ciała, kołysząc się do przodu i do tyłu niczym łeb węża szykującego się do ataku.

Pierwszy z glinianych dzbanów przeleciał nad dziurą i rozbił się cztery stopnie od kładki. Zanim jednak lont podpalił olej i pak węglowy, Merlon strącił go halabardą ze schodów, posyłając z łoskotem w dół. Jego czyn okazał się kosztowny. Zanim zdążyła mu pogratulować, skrzywił się i upuścił broń, chwytając się za ramię, w którym tkwił wystrzelony z kuszy bełt. Mężczyzna osunął się na schody. Cassandra złapała go za kamizelkę i desperackim wysiłkiem wciągnęła za ścianę, więc kolejna strzała odbiła się od schodka tuż obok jego głowy. Krzyknął z bólu, kiedy Cassandra go szarpnęła, ale zaraz potem zaczął jej dziękować. Zrozumiał, że właśnie uratowała mu życie.

– Nie ma za co! Będziemy cię jeszcze potrzebować.

Kolejna bomba przeleciała nad dziurą. Pofrunęła zbyt wysoko i rozbiła się o schody nad nimi. Ciemna chmura wzbiła się do góry, ale ktoś miał dostatecznie dużo inteligencji, by otworzyć drzwi na kolejnym poziomie. Przeciąg zaczął wysysać dym.

Tymczasem wrócił żołnierz z szalikami i chustami oraz wiadrem wody. Zaczął rozdawać mokre szmaty obrońcom, którzy owijali nimi nosy i usta.

Pojawił się we właściwym momencie, gdyż dwa kolejne dzbany rozbiły się na schodach. Lepiej nimi celowano i trafiły tuż obok Cassandry. Szybko zanurzyła szal w wiadrze i obwiązała nim nos i usta. Wilgotna tkanina do pewnego stopnia filtrowała dym, ale oczy wciąż ją drapały i ciekły z nich łzy. Niewiele widziała. Jeden z dzbanków pękł, rozlewając olej zaledwie kilka metrów od niej. Młody żołnierz sięgnął po wiadro i wylał jego zawartość na płonącą substancję, przyduszając płomienie.

– Dobry pomysł – zachrypiała, po czym wskazała drzwi u góry. – Przynieś więcej wody. Zróbcie łańcuch z wiadrami!

Kiwnął głową i choć miał przekrwione, załzawione oczy, popędził wykonać rozkaz.

Płomienie tuż obok niej przygasły jedynie na chwilę – bardziej na skutek odcięcia przez wodę dostępu powietrza niż przez jej właściwości gaszące. Zaraz potem zamigotały i powróciły do życia, żywiąc się pakiem i wypluwając dym.

Pomimo łzawiących, swędzących oczu Cassandra zobaczyła, że drzwi w płycie otwierają się ponownie i wyłania się z nich następny wrogi żołnierz. Pomyślała, że przynajmniej kładka jest na tyle wąska, by tylko jeden człowiek mógł się po niej poruszać, jeśli jednak postawi stopę po ich stronie dziury, znajdą się w tarapatach.

Zakręciła procą i wymierzyła. Przeciwnik szedł skulony za tarczą i nie stanowił wygodnego celu. Być może dlatego pocisk z przejmującym brzdękiem uderzył tylko w osłonę. Mężczyzna na chwilę zatrzymał się. Potem ruszył dalej.

Dwie kolejne bomby przeleciały przez dziurę, pękły i dodały trochę kłębiącego dymu, skrywając dantejskie sceny rozgrywające się na schodach.

Trzy strzały równocześnie uderzyły w tarczę mężczyzny, który znieruchomiał. Kładka nie stanowiła stabilnej przeprawy i przekroczenie jej w takich warunkach, z ograniczoną widocznością, pod ostrzałem łuczników, wymagało olbrzymiej koncentracji.

– Odsuń się, pani – rozległ się za nią czyjś ochrypły głos. Odwróciła się i zobaczyła jednego ze swoich ludzi – wysokiego kaprala o szerokich barkach, z ciężką włócznią w dłoniach. Oczy miał skupione na przeciwniku, który znajdował się już w dwóch trzecich kładki i powoli przesuwał się do przodu. Cassandra odsunęła się. Kapral uniósł włócznię

nad prawe ramię, a następnie, nie spuszczając wzroku z wroga, podbiegł do przodu i rzucił.

Włócznia śmignęła poprzez czarny dym i wbiła się głęboko w nogę mężczyzny. Ten krzyknął z bólu, ukucnął, puścił topór i złapał się za kończynę. Drzewce włóczni kołysało się nad rozpadliną, wytrącając go z równowagi i ściągając na dół. Próbował pozbyć się go, ale nie zdołał. Znieruchomiał, obawiając się podnieść. Kołysał się nad dziurą, podczas gdy strzały śmigały mu koło ucha i uderzały w drewniany podest pod jego stopami.

Trzymając tarczę przed sobą, zaczął się niezdarnie cofać, a cały czas podpierał się wolną ręką i zdrową nogą. Z tarczy sterczało coraz więcej strzał, gdyż łucznicy nie przestawali go nimi zasypywać. W odpowiedzi zza dziury strzelano z kuszy. Cassandra usłyszała okrzyk bólu na schodach nad sobą. Jeden z bełtów trafił w cel.

Pomyślała, że to przypadkowe trafienie. Dym ograniczał widoczność tak broniącym się, jak atakującym. Powietrze powyżej kładki oczyszczało się dzięki przeciągowi, ale kłęby dymu niżej uniemożliwiały wypatrzenie celu.

Ranny mężczyzna dotarł bezpiecznie do końca kładki i oparł się plecami o zamknięte drzwiczki płyty. Wciąż trzymał przed sobą tarczę, chroniąc się przed deszczem strzał, które nieprzerwanie ją bombardowały. Z rany na nodze płynęła krew. Kolejna strzała uderzyła go w ramię. Wzdrygnął się i krzyknął, jednak niezbyt głośno. Cassandra uświadomiła sobie, że słabnie z upływu krwi.

Nagle drzwiczki otworzyły się na oścież i kilka par rąk złapało go, wciągając w bezpieczne miejsce. Jego śladem poleciał grad strzał.

Cassandra przez kilka chwil przyglądała się kładce, w końcu jej wzrok padł na halabardę, którą upuścił Merlon. Obie strony przestały strzelać, gdyż ani jej łucznicy, ani kusznicy Dimona nic przed sobą nie widzieli.

Wcześniej Cassandra i jej ludzie próbowali zepchnąć kładkę do dziury, jednak poprzeczna belka, przybita dobry metr od jej końca, zahaczała o szczyt schodów i uniemożliwiła usunięcie przeprawy.

Takiej belki nie było jednak po jej stronie kładki. Nic więc nie stało na przeszkodzie, by wciągnąć drewnianą konstrukcję na górę.

Odwróciła się i spojrzała za siebie. Zakaszlała, gdy kłąb dymu zawirował wokół niej. Potężnie zbudowany wysoki żołnierz, który rzucał włócznią,

wciąż stał niedaleko. Idealnie sprawdzi się do takiego zadania. Przywołała go i kiedy uklęknął tuż obok, wskazała halabardę leżącą na schodach.

Halabarda stanowiła połączenie kilku różnych broni. Zrobiona z grubego jesionowego drzewca miała dwa i pół metra długości oraz topór z jednej strony i zabójczy hak z drugiej, u góry zaś grot włóczni.

– Widzisz ją? – zapytała, wskazując kładkę. A kiedy kiwnął głową, powiedziała: – Na mój znak wbij hak w drewno i zacznij ciągnąć w naszą stronę. Rozumiesz?

Mężczyzna znów pokiwał głową i uśmiechnął się, chwytając jej pomysł. Gdyby udało im się wciągnąć kładkę dostatecznie wysoko, jej dolna część zsunęłaby się ze schodów i cała konstrukcja wpadłaby do dziury. Ruszył, jednak złapała go za ramię i zatrzymała.

– Zaczekaj, aż zapewnimy ci jakąś osłonę – powiedziała. Potem przywołała łuczników stojących kilka schodów nad nią i wydała parę rozkazów.

– Łucznicy! Szybki ostrzał. Nie pozwólcie im się wychylić.

Strzały po raz kolejny w równym rytmie zaczęły przelatywać nad dziurą. Celów nie było widać, ale żelazne groty zgrzytały o półkoliste kamienne ściany klatki schodowej, krzesząc w półmroku iskry. Kilka z nich trafiło w drewnianą płytę, ale większość przeleciała nad nią, odbijając się od murów z tyłu. Niektóre łamały się, a ostre jak brzytwa groty wirowały wtedy bezwładnie w powietrzu. Usłyszeli co najmniej jeden okrzyk bólu, co sugerowało, że któryś trafił w cel. Najważniejsze, że nagły grad strzał spełnił swoje zadanie. Atakujący znajdujący się na klatce schodowej położyli się na brzuchach, zasłaniając rękami głowy, podczas gdy strzały śmigały ze świstem i spadały tuż obok nich.

Cassandra wypuściła muskularne ramię żołnierza.

– Teraz – szepnęła, więc ruszył do przodu, podnosząc po drodze halabardę. Potem, uklęknąwszy, wzniósł ją nad głowę i trzymając dwiema rękami, uderzył ze wszystkich sił, by wbić długi hak w drewniane deski kładki. Potem poderwał się na nogi i zaczął ciągnąć kładkę ku sobie. Powoli, kilka centymetrów za każdym pociągnięciem. Kiedy atakujący zorientowali się, co się dzieje, Cassandra zobaczyła dłonie wysuwające się spod płyty, próbujące schwycić kładkę i zatrzymać ją. Wybiegła za mur, złapała za pasek żołnierza i pomogła mu. Nagle poczuła, że za nią ktoś

poszedł w jej ślady. Obejrzała się przez ramię i zobaczyła młodego chłopaka, który biegał wcześniej po wodę.

– Ciągnijcie! – zawołała. – Dalej, dalej!

Dzięki wspólnemu wysiłkowi długa konstrukcja uniosła się, a jej dolny koniec zsunął się z ostatniego schodka. Potem kładka obróciła się pionowo i zniknęła w dziurze, zabierając ze sobą halabardę. Gdy ją puścili, polecieli do tyłu, na schody. Przez chwilę wsłuchiwali się w łomot drewna spadającego w ciemność pod nimi i odbijającego się od ścian. Dźwięk oddalał się.

Stojący na schodach łucznicy wydali radosny okrzyk, kiedy Cassandra i jej dwóch towarzyszy zdołali wrócić za ścianę.

Księżniczka, ciężko oddychając, usiadła na kamiennych schodach i uśmiechnęła się triumfalnie.

– Cassandro! Jesteś tam?! – To był Dimon. Wołał ją z dołu.

Jej uśmiech zgasł.

– Dimonie, ty kłamliwa żmijo! Powiedziałeś, że rozejm trwa do jutra! Właśnie tyle są warte twoje słowa! – zawołała.

– Powiedziałem, że daję ci do jutra czas na przemyślenie mojej oferty – odpowiedział. – Nigdy nie wspominałem o żadnym rozejmie! Ale moja oferta jest wciąż aktualna. Masz dwadzieścia cztery godziny na zastanowienie się!

Z wściekłością pokręciła głową. Rzucał słowa na wiatr. Pozwoliła mu uśpić swoją czujność, gdyż założyła, że wstrzyma się z atakami przez najbliższą dobę – czas do namysłu zazwyczaj sugerował rozejm. Wyłączyła czujność, a jemu prawie udało się ją pokonać. Uświadomiła sobie, że nigdy więcej nie może opuścić gardy.

– Jesteś zdrajcą i kłamcą! – zawołała pełnym emocji głosem. – Ale dostaniesz jutro swoją odpowiedź. Do tego czasu nawet nie próbuj tych swoich podstępnych, krętackich sztuczek.

– Niczego ci nie obiecuję – odpowiedział. Dosłyszała pyszałkowaty ton jego głosu.

Spojrzała na stojącego obok niej kaprala.

– Musimy mieć oczy szeroko otwarte i spodziewać się kolejnego podstępu – powiedziała zniżonym głosem.

ROZDZIAŁ 41

Od świtu dzieliło ich pół godziny.

Horace, jak to miał w zwyczaju, wychylił się za palisadę nad bramą i z ponurą twarzą spojrzał na położony poniżej obóz. Po ogniskach płonących przez całą noc pozostały tylko żarzące się popioły. Migotały w ciemnościach poprzedzających dzień, wyznaczając linię namiotów, w których spali wrogowie. Wiedział, że strażnicy czuwają, stacjonując dookoła obozu i wypatrując ewentualnego kontrataku.

On także czuwał.

Poczuł przy sobie jakiś ruch. Rozejrzał się i przekonał, że to Gilan dołączył do niego.

– Dzień dobry – powiedział Horace.

Gilan mruknął coś w odpowiedzi.

– Wiedziałem, że cię tu znajdę – oznajmił.

Horace uśmiechnął się.

– Jestem aż tak przewidywalny?

– Cóż, przychodzisz tu niemal każdego poranka. Jeśli to czyni cię przewidywalnym, to muszę odpowiedzieć twierdząco.

– Po prostu staram się śledzić, co dzieje się na dole.

Gilan nie odpowiedział przez dobrą minutę. Obserwował linię ognisk, potem pogrążone w ciszy ciemne namioty.

– Nie sądzę, by czegokolwiek próbowali – powiedział w końcu. – Ostatnio nieźle im przyłożyliśmy.

– Podobnie jak wcześniej, przy rzece. A przynajmniej ty i twoi łucznicy.

Gilan z namysłem podrapał się po brodzie.

– Tak. Mamy dwa do zera, prawda? Sądzisz, że następnym razem zmienią taktykę? Frontalne ataki nie bardzo im wychodzą.

– Nie jestem pewien, co jeszcze mogą zrobić, o ile chcą szybko zakończyć tę sprawę.

Gilan skrzywił się.

– Może planują wziąć nas głodem. Nie mamy zapasów pozwalających przetrwać długie oblężenie.

– Mamy mnóstwo wody – przypomniał Horace.

Jego towarzysz wzruszył ramionami.

– Ale nie jedzenia. Za kilka tygodni będziemy umierać z głodu. Co gorsza, konie nie pociągną dłużej bez odpowiedniej paszy. Utknęliśmy tutaj. Nigdzie nie możemy się ruszyć. Nie zdołamy się przedrzeć. Wciąż mają nad nami sporą przewagę liczebną, a jeśli spróbujemy ich zaatakować, zobaczą to i odpowiednio się przygotują. Zmuszą nas do walki na otwartym terenie. Schowają się za murem tarcz i wykorzystają przewagę liczebną.

Horace kiwnął głową.

– Wiem o tym. Mogą jeszcze zorganizować kilka wypadów, przynajmniej od czasu do czasu, żeby nas zmęczyć. Ale myślę, że na razie z przyjemnością siedzą tam, gdzie siedzą, i obserwują nas, tak jak my obserwujemy ich.

Przez dobrą minutę milczeli.

– Sądzisz, że zdołałbyś przemknąć się pomiędzy nimi? – zapytał w końcu Horace.

Gilan pokiwał głową.

– Oczywiście, że tak. Ale nie zdołałbym zabrać ze sobą Blaze. Droga na piechotę do Zamku Araluen zabrałaby mi jakiś tydzień. I co dalej? Dimon ma tam dwudziestu do trzydziestu ludzi. Zbyt mało, by pomóc nam się stąd wydostać, a przecież nie mógłbym ich wszystkich zabrać. Nie mógłbym zostawić zamku bez ochrony.

– To prawda – odpowiedział ponuro Horace. – Podejrzewam, że możemy jedynie zaczekać, aż się okaże, co wymyślili. Chyba że – dodał i uśmiechnął się smutno – wpadniesz na jakiś genialny pomysł. Słyszałem, że zwiadowcy są w tym dobrzy.

Gilan wzniósł oczy do góry.

– Też o tym słyszałem – westchnął. – Dam ci znać, jeśli coś mi przyjdzie do głowy.

– Chciałbym, żeby tak się stało…

Przed południem Maddie dotarła na polanę pod zamkiem. Zderzak już na nią czekał schowany w swojej kryjówce. Przywitał ją entuzjastycznie.

Martwiłem się o ciebie.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała. – Pogubiłam się trochę w lesie.

Niezły z ciebie zwiadowca.

– To właśnie sobie mówiłam – odpowiedziała i rozsiodłała go, po czym starannie wyszczotkowała, napełniła jego wiadro świeżą wodą i dosypała paszy do worka z obrokiem. Wcinał z wdzięcznością, głośno chrupiąc ziarno potężnymi zębiskami, tak jak to konie zazwyczaj robią. Kiedy Maddie upewniła się, że wszystkie jego potrzeby zostały zaspokojone, wyszła przed linię drzew, by przyjrzeć się zamkowi.

Wszystko wydawało się w porządku. Most zwodzony był opuszczony, a przed nim dwóch strażników pełniło wartę. Dostrzegła kolejnych spacerujących po blankach. Nigdzie nie widziała śladów jakiejkolwiek walki, czego spodziewała się, gdyby Dimon próbował zająć zamek. Pomyślała ponuro, że być może już to zrobił. Jeśli jego plan się powiódł, po prostu wszedł ze swoimi ludźmi na dziedziniec. Starcia zakończyłyby się po kilku minutach, gdyż obrońcy – włącznie z jej matką – zostaliby całkowicie zaskoczeni!

Przyszło jej do głowy, że może matka już nie żyje. Na samą myśl o tym łzy napłynęły jej do oczu.

Oparła się o pień drzewa i zastanowiła się nad tym, co widzi. Wszystko wydawało się w porządku, a jednak coś było nie tak. Miała wrażenie, że jakiś drobny szczegół zmienił się w porównaniu do dnia, w którym po raz ostatni spoglądała na zamek. Ale za nic nie mogła zorientować się, o jaki szczegół chodzi.

Przyjrzała się uważnie budowli. Skoncentrowała się i zmrużyła oczy, spoglądając na mury, wieże i blanki, próbując dociec, co jej nie pasuje.

Na pewno nie donżon. Nie blanki ciągnące się wzdłuż murów. Nie potężna brama wejściowa. Może to jedna z wież? Przyjrzała się północnej, a potem południowej. Wyglądały zwyczajnie. Nad jedną z nich powiewała chorągiew.

Chorągiew?

Kiedy ostatni raz tu była, nad południową wieżą nie powiewała żadna chorągiew. Wytężyła oczy i dostrzegła biel i czerwień. Czerwonego ptaka.

To była chorągiew jej matki.

Po chwili uświadomiła sobie, że chorągiew wisi do góry nogami – był to sygnał używany do wzywania pomocy.

W tym momencie wiedziała już, co się wydarzyło. Pucz Dimona powiódł się tylko częściowo. Matka zdołała uciec do południowej wieży, ostatniego szańca.

Myśl, że Cassandra jest bezpieczna, choćby nawet tylko chwilowo, podniosła Maddie na duchu. Spojrzała w górę wzgórza, w stronę krzaków skrywających wejście do tunelu. Wyglądały na nienaruszone. Już miała wybiec zza drzew, ale zawahała się.

Był jasny dzień, a na blankach stali strażnicy. Ludzie wroga. Maddie uczyła się przemykać tak, by nikt jej nie wypatrzył, ale mimo to wolała nie ryzykować. Właśnie w tym celu utrzymywano park i starannie go koszono – by nieprzyjaciel nie mógł przedostać się niezauważony. Skoro jej matce udało się bezpiecznie zaszyć w południowej wieży, kilka godzin na pewno jej nie zbawi. Maddie zaczeka na zmierzch, a potem zacznie działać. Pomyślała, że przez ten czas nieco odpocznie. Miała za sobą męczącą noc i wyczerpujący dzień

Godziny ciągnęły się. Choć Maddie była zmęczona, spała niespokojnie. Drzemała, budząc się co chwila, a myśli krążyły jej po głowie. Wciąż analizowała sytuację. Raz jeszcze przypomniała sobie powiedzonko Willa: „Większość czasu spędzamy na czekaniu. Najważniejszym atutem zwiadowcy jest cierpliwość”.

W końcu słońce schowało się za horyzontem, a park spowiły cienie. To był idealny moment, by wkroczyć do akcji – światło było przyćmione. Maddie wróciła pomiędzy drzewa, by pożegnać się ze Zderzakiem, potem zaś – owinięta peleryną – wyszła na krótko przyciętą trawę, poruszając się w kucki i dopasowując tempo do prędkości wiatru i cieni chmur sunących po ziemi. Pelerynę przytrzymywała tak, by nie łopotała na zrywającym się od czasu do czasu wietrze. Każdy ruch mógł zwrócić uwagę strażników.

Wieczór robił się coraz ciemniejszy. Maddie przemknęła przez zbocze i wślizgnęła się do kryjówki za krzakami, tuż obok wejścia do tunelu. Na blankach nie rozległ się żaden okrzyk, nie zabrzmiał też alarm.

Latarnię znalazła tuż przy wejściu, w miejscu, w którym ją zostawiła. Potrząsnęła nią na próbę i usłyszała chlupoczący w zbiorniku olej. Pomyślała, że jest go całkiem sporo. Dostatecznie dużo, by dwukrotnie przejść przez tunel. Pamiętając o obserwatorach kryjących się na blankach, w ciemności przeszła kilka metrów korytarzem i dopiero wtedy sięgnęła po krzesiwo, by zapalić latarnię. Żółte światło zabłysło, migocząc na glinianych ścianach. Maddie sprawdziła, czy ma przy sobie procę i saksę, po czym ruszyła.

Teraz już dobrze znała tunel, więc dość szybko przeszła pod fosą, po czym poczuła, że korytarz zaczyna się wznosić. Potykając się co jakiś czas na nierównej ziemi, dotarła do ukrytego pomieszczenia w dolnej części piwnicy i podeszła do tajnych drzwi.

Potem zatrzymała się.

Wyciągnęła dłoń do zamka i wtedy usłyszała szepty po drugiej stronie ściany. Przyłożyła ucho do kamienia i zaczęła nasłuchiwać. Wciąż nie wiedziała, czego dotyczy rozmowa. Po chwili głosy powróciły, a jeden z nich, nieco głośniejszy od pozostałych, wydał jej się dostatecznie jasny.

– …jak ci się spodoba noc spędzona w celi. Może… jutro będzie bardziej przyjazny. Dobrej nocy!

Drzwi zatrzasnęły się. Pomyślała, że to drzwi jednej z cel. Potem usłyszała stukanie butów o kamienną podłogę. Ktoś przeszedł przez piwnicę i zaczął wspinać się po schodach. Czekała, przykładając ucho do kamienia. Serce biło jej szybko. Niewiele brakowało! Przyzwyczajona do tego, że nikt nigdy nie zagląda do podziemi, niemalże naraziła się na spotykanie z człowiekiem Dimona! Teraz wiedziała już, że część służby zamknięto w celach. Myśl, skarciła się. Powinna była przecież to przewidzieć.

Jej matka i pozostali członkowie garnizonu prawdopodobnie zdołali zaszyć się w południowej wieży. Jednak nawet uwzględniając skromną liczbę służby przebywającej na zamku o tej porze roku, część służących, kucharzy czy gońców – głównie cywili – mogła tam nie dotrzeć. Niektórzy z nich pewnie zostali zastraszeni przez Dimona i jego zbrojnych. Inni jednak odmówili mu i prawdopodobnie to właśnie oni zostali zamknięci w piwnicach pod donżonem. Przez chwilę zastanawiała się nad sytuacją. Oczywiście mogła ich uwolnić i przeprowadzić tunelem w bezpieczne

miejsce, ale w ten sposób ujawniłaby swoją obecność uzurpatorowi. Uznała, że na razie byli bezpieczni, najwyżej cierpieli pewne niewygody.

Uświadomiła sobie, że od kilku minut siedzi w kucki z głową przyciśniętą do drzwi. Niczego już nie słyszała. Z pomieszczenia, w którym się znajdowała, odchodziły dwa inne tunele. Jeden prowadził do wartowni, drugi do tajnej klatki schodowej na szczyt południowej wieży.

A tam właśnie planowała się udać.

ROZDZIAŁ 42

Maddie odsunęła się od drzwi prowadzących do piwnicy i ruszyła do wyjścia po lewej stronie, które rozpoczynało tunel do południowej wieży.

Przyzwyczaiła się już do wędrówek przez tunele, do nierównego dna, konieczności schylania głowy oraz słabego światła. Szła dość szybko, podążając za blaskiem rzucanym przez latarnię. Potrząsnęła nią, by sprawdzić ilość oleju w zbiorniku. Zadowolona, że wciąż ma go dostatecznie dużo, powędrowała dalej.

– Nie chciałabym tu być, gdyby lampa zgasła – mruknęła. Dla pewności przykręciła knot, by zużywał mniej paliwa.

Tunel prowadził praktycznie na wprost. Wkrótce Maddie poczuła, że dno zaczyna lekko się wznosić. Wiedziała, że znajduje się u podstawy południowej wieży i drewnianych drabin prowadzących na najwyższe piętra. Niebawem drabiny wyłoniły się z ciemności przed nią. Dziewczyna zatrzymała się u podstawy pierwszej z nich i przyjrzała się szczeblom, by sprawdzić, czy są dostatecznie mocne. Potem zaczęła wspinać się na górę.

Poszczególne drabiny nie stały pionowo, były pochylone pod kątem około siedemdziesięciu stopni. Każda składała się z piętnastu szczebli, a raczej stopni, gdyż zrobiono je z jesionowych desek o szerokości około dziesięciu centymetrów. Po wejściu na każdą z drabin Maddie musiała podejść do kolejnej, skierowanej w przeciwną stronę.

Dwie pierwsze pozwoliły jej się dostać na pierwsze piętro wieży, więc obliczyła, że aby znaleźć się na szczycie, będzie musiała wdrapać się na osiemnaście. Skrzywiła się. Była młoda i wysportowana, wspinała się bez większych problemów. Ale osiemnaście drabin? Na szczęście biodro dokuczało jej tylko wtedy, kiedy zbyt długo siedziała bez ruchu.

– Mam za co być wdzięczna – westchnęła.

Początkowo wspinała się spokojnie, sprawdzając każdy szczebel, zanim na nim stanęła. Jeden czy dwa zatrzeszczały i poruszyły się, ale większość

była w dobrym stanie. Ponieważ posuwała się bez większych problemów, jej pewność siebie zaczęła rosnąć. Przyspieszyła.

Co ostatecznie niemal doprowadziło do tragedii. Jeden stopień na piątej drabinie zgnił w miejscu, w którym przylegał do wspornika, i kiedy Maddie postawiła na nim stopę, zatrzeszczał, pękł i rozpadł się. Złapała się pionowych belek, gdyż stopa uciekła jej w dół. Przez moment wisiała, niemal upuściła latarnię. Potem jednak odzyskała równowagę i zagryzając z wysiłku zęby, podciągnęła się na kolejny szczebel. Starannie go sprawdziła, zanim stanęła na nim całym ciężarem ciała.

Ten wytrzymał.

Cała sytuacja sprawiła, że dziewczyna stała się znacznie uważniejsza i znów poruszała się wolniej, starannie testując każdy schodek.

Dziesięć drabin. Jedenaście. Dwanaście. Liczyła każdą, na którą weszła, powtarzając szeptem kolejne liczby. Jeszcze sześć, pomyślała i zatrzymała się na niewielkiej platformie pomiędzy piętrami, by rozprostować nogi i dać odpocząć kolanom. Gdy spojrzała w górę, zauważyła słabe smugi światła w miejscach, gdzie w zewnętrznych ścianach znajdowały się otwory wentylacyjne i obserwacyjne. Spojrzała w dół. Zobaczyła jedynie mroczną pustkę. Zakręciło jej się w głowie.

W połowie trzynastej drabiny zatrzymała się i pociągnęła nosem. Powąchała powietrze wydobywające się z klatki schodowej. Poczuła dym.

Uświadomiła sobie, że nie jest to zapach palonego drewna. Przypominał olej i… smołę. Przeraziła się. Czyżby Dimonowi udało się podpalić wieżę? Czy jej matka wraz ze swoim oddziałem została wykurzona z góry i musiała się poddać? Może spotkał ją jeszcze gorszy los?

Istniał tylko jeden sposób, by się o tym przekonać. Należało iść dalej w górę. Maddie ruszyła. Na następnej drabinie uświadomiła sobie, że z klatki schodowej dobiega ją stukanie. Rytmiczne, miarowe, jak gdyby młoty uderzały w drewno.

Ktoś coś buduje, pomyślała. Ten dźwięk nieco ją uspokoił. Jeśli na górze ktoś pracował, to prawdopodobnie matka wciąż ukrywała się bezpiecznie w wieży. Obawy związane z zapachem dymu okazały się na wyrost.

Im wyżej się wspinała, tym odgłos młotów stawał się wyraźniejszy. Wciąż wyczuwała zapach dymu, lecz nie widziała nad głową migoczącego światła, które świadczyłoby o tym, że coś się pali. Nie było także widać

samego dymu – żadnych kłębów czy dławiących chmur. Cokolwiek się paliło, dawno już zgasło.

Piętnasta drabina. Szesnasta. Stukanie stało się jeszcze głośniejsze. W połowie siedemnastej drabiny Maddie zatrzymała się i przyłożyła ucho do kamiennej ściany. Walenie dobiegało z drugiej strony, mniej więcej na jej poziomie. Znów zaczęła się zastanawiać, co obrońcy mogą budować. Wspięła się aż na szczyt osiemnastej drabiny i stanęła przed kamienną ścianą.

Uniosła wysoko latarnię i zatrzymała się, by uspokoić oddech. Przed sobą widziała prostokątny zarys drzwi z prostą klamką w połowie wysokości. Od strony tajnego przejścia niczego nie trzeba było ukrywać. Tuż nad linią jej wzroku znajdował się niewielki otwór, widoczny dzięki promieniowi światła wpadającemu z wnętrza wieży. Stanęła na palcach i zajrzała do środka.

Poczuła radość, kiedy zobaczyła Cassandrę siedzącą niecałe pięć metrów od niej, tyłem do drzwi, za którymi stała. Matka rozmawiała z siwobrodym sierżantem w stroju strażnika. Siedzieli przy dębowym stole w dużym, jasno oświetlonym pomieszczeniu, które zajmowało większą część dziewiątego piętra.

Maddie sięgnęła do klamki

Cassandra siedziała przy dużym stole na dziewiątym piętrze wieży. Piła kawę, kiedy do pomieszczenia wszedł Merlon.

– Zapora jest niemalże gotowa, pani – powiedział i ruchem głowy wskazał miejsce, z którego dobiegało stukanie.

Cassandra skinęła głową.

– Dobrze. To powstrzyma kolejne próby wykurzenia nas.

Idąc w ślady Dimona, rozkazała swoim ludziom zbudować drewnianą ścianę na krawędzi dziury na klatce schodowej. Miała ona powstrzymać atakujących przed rzucaniem w nich kolejnych garnków wypełnionych płonącym olejem. Po prostu odbiłyby się od zapory i nikomu nie zagrażając, poleciałyby w dół. Drewnianą ścianę zamierzali regularnie polewać wodą, by zapobiec próbom jej spalenia.

Cassandra wyprostowała się i przeciągnęła. Była zmęczona, a barki i szyja bolały ją od ciągłego napięcia.

– Cóż, podejrzewam, że niewiele…

Nagle zamilkła, słysząc za sobą trzask. Zanim odwróciła się zaniepokojona, rozległ się znajomy głos:

– Cześć, mamo.

Cassandra krzyknęła, jednak zaskoczenie szybko ustąpiło miejsca radości. W otwartym tajnym przejściu w ścianie stała Maddie ubrana w strój zwiadowcy. Merlon wydał pomruk zaskoczenia. Cassandra szybko doszła do siebie, poderwała się na nogi i podbiegła do córki, by mocno ją przytulić.

– Maddie! Och, Maddie! Jesteś bezpieczna, Bogu dzięki!

Dziewczyna zaśmiała się z ulgą, dusząc się w uścisku matki. W końcu zdołała się uwolnić, ale tylko odrobinę. Nie za dużo.

Cassandra trzymała ją teraz na odległość ramienia. Cieszyła się, że córce nic się nie stało, a łzy szczęścia spływały jej po policzkach.

– Skąd ty właściwie wyskoczyłaś? Gdzie byłaś? Czy wszystko w porządku?

– Tak, tak, nic mi nie jest, mamo. Znalazłam całą sieć tuneli i sekretnych schodów ukrytych w ścianach i pod zamkiem. – Maddie odsunęła się i wskazała ciemny otwór za sobą. – To przejście prowadzi do piwnic.

– Piwnic? Co ty robiłaś w piwnicach? – chciała wiedzieć Cassandra.

– Wszystkie tunele właśnie stamtąd wychodzą – wyjaśniła Maddie, jednak jej odpowiedź pociągnęła za sobą kilka kolejnych pytań.

– Tunele? Schody? Sekretne przejścia? Co ty w nich robiłaś?

Maddie ujęła matkę za ręce, próbując ją uspokoić. Po tak długim zamartwianiu się Cassandra przeżyła szok na widok córki. A kiedy uświadomiła sobie, że dziewczyna jest bezpieczna, nie wytrzymała i zaczęła łkać. Merlon, przerażony tym, że spokojna, pewna siebie księżniczka straciła nad sobą panowanie, stał niepewny, co powinien zrobić. Chciał jej pomóc, ale nie bardzo wiedział jak.

Maddie posłała mu uspokajające spojrzenie.

– Czy mógłbyś zrobić nam kawy, sierżancie? – zasugerowała. Kiedy mężczyzna się oddalił, podprowadziła matkę do krzesła. – Usiądź, uspokój się. Wszystko ci opowiem

Opowiedzenie o wydarzeniach kilku ostatnich dni zajęło Maddie piętnaście minut, wliczając w to ciągłe pytania i wtrącenia Cassandry. Kiedy księżniczka dowiedziała się, że Horace jest bezpieczny – choć uwięziony w forcie na północy, nad rzeką Wezel – poczuła się, jakby gigantyczny kamień spadł jej z serca.

– Dimon próbował mi wmówić, że nie żyje – powiedziała jadowitym tonem.

Maddie pokręciła głową.

– Nic mu nie jest. Ale pewnie niełatwo będzie mu się stamtąd wydostać. Wróg ma przewagę liczebną i obserwuje każdy jego ruch. Horace nie zdoła go niczym zaskoczyć. Pomyślałam, że gdyby udało mi się zgromadzić trochę ludzi i poprowadzić atak od tyłu, z zaskoczenia, miałby szansę się wymknąć.

Cassandra zastanowiła się nad jej pomysłem.

– To mogłoby zadziałać. Ale gdzie znalazłabyś ludzi?

Córka wzruszyła ramionami.

– Może udałoby mi się zebrać wojsko – stwierdziła. W zamku stacjonował niewielki stały garnizon. Armia składała się natomiast ze zbrojnych, rycerzy i piechoty, pochodzących z okolicznych gospodarstw i wsi. W przypadku wojny lub innego zagrożenia wzywano ich pod broń.

Cassandra pokręciła głową.

– Zmobilizowanie ich zajęłoby zbyt wiele czasu – oceniła. – Poza tym Dimon szybko zorientowałby się, co planujesz.

Zaczęła krążyć po pokoju, intensywnie myśląc.

– Możemy bronić się tutaj bez końca – powiedziała. – Tak naprawdę potrzebujemy sposobu, by wyrwać twojego ojca i Gilana z tamtego fortu. Gdyby pomaszerowali na południe i zaatakowali siły Dimona, moglibyśmy się stąd wydostać i zaatakować go od tyłu. Mówisz, że na dole znajduje się tunel prowadzący do wartowni? – zapytała. Maddie skinęła głową. – Moglibyśmy opuścić most zwodzony. Ludzie Horace’a i Gilana weszliby w ten sposób na zamek.

Regentka odwróciła się i znów zaczęła krążyć po pokoju, próbując skupić myśli.

– Jeśli chcemy zaatakować z zaskoczenia oddziały, które blokują drogę Horace’owi i Gilanowi, potrzebujemy więcej ludzi. Ludzi potrafiących walczyć. Takich, którzy będą umieli nastraszyć tych szubrawców z Klanu Czerwonego Lisa…

Jej głos ucichł, gdyż do głowy przyszedł jej pewien pomysł. Czoło Cassandry wygładziło się, gdy spojrzała na córkę z szerokim uśmiechem na twarzy.

– Chyba znam ludzi, których potrzebujesz – powiedziała.